

ORSON SCOTT CARD

PŁOMIEŃ SERCA

Tom piąty cyklu „Opowieść o Alvinie Stwórcy”

Tytuł oryginału: Heartfire

Data wydania oryginału: 1998

Data wydania polskiego: 2003

SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI.	2
PODZIĘKOWANIA	4
GEŚI	6
DAMA DWORU	51
MALOWANE PTAKI	83
ZAMIESZANIE.	113
PURITY.	142
IMIONA.	184

OSKARŻENIE	227
KOSZ Z DUSZAMI	278
POŁOWANIE NA CZAROWNICE	313
W NIEWOLI	361
DOBRY LUDZIE	401
NIEWOLNICY	445
DZIEŃ SĄDU	491
BUNT.	537
OJCOWIE I MATKI	582

PODZIĘKOWANIA

Przy opracowaniu historii o Alvinie, który wędruje przez Amerykę, szukając wzorów, jakie mógłby wykorzystać w budowie społeczeństwa jednocześnie silnego i wolnego, kilka książek okazało się bezcennych. Najważniejszą z nich było dzieło Davida Hacketta Fischera *Albion's Seed: Four British Folkways in America* (Oxford University Press 1989) — znakomita, wsparta solidną argumentacją prezentacja nieredukcyjno-niścystycznej teorii źródeł amerykańskiej kultury; na stronicach tej książki znalazłem zarówno obfitość szczegółów, jak i wspaniałe rozumowanie przyczynowo-skutkowe, co bardzo mi pomogło w przeniesieniu niniejszej powieści z etapu planów do etapu go-

towego tekstu. *Road to Division: Secessionists at Bay, 1776-1854* (Oxford University Press 1990) Williama W. Freehlinga pozwoliła mi poznać życie codzienne, mało znane postacie historyczne, a także sytuację ekonomiczną i polityczną Charlestonu w latach dwudziestych XIX wieku; potem mogłem przekształcić to miasto w swój amerykański „Camelot”. *Founders and the Classics: Greece, Rome and the American Enlightenment* (Harvard University Press 1994) pozwoliła mi poznać stosunek wykształconych przywódców amerykańskich do klasycznych dzieł łaciny i greki, będącej w owym czasie elementem tradycyjnej edukacji.

Jak wiele razy wcześniej, dziękuję Clarkowi i Kathy Kiddom za udostępnienie mi schronienia, gdzie mogłem energicznie zabrać się do pisania tej książki.

Dziękuję także Kathleen Bellamy i Scottowi J. Allenowi za ich pomoc, znacznie przekraczającą wymagania i obowiązki; Jane Brady i Geoffreyowi Cardowi za zestawienie danych z poprzednich części cyklu.

GESI

Arthur Stuart stał przy oknie warsztatu wypychacza zwierząt i jak zahipnotyzowany wpatrywał się w wystawę. Alvin Smith prawie już minął następną przecznicę, nim zdał sobie sprawę, że Arthur został z tyłu. Zanim wrócił, wysoki biały mężczyzna zaczął wypytywać chłopca.

— Gdzie jest twój pan?

Arthur nie spojrział nawet na niego. Nie odrywał wzroku od wypchanego ptaka upozowanego, jakby właśnie miał wylądować na gałęzi.

— Odpowiedz mi, chłopcze, bo wezwę konstabla i . . .

— On jest ze mną — wtrącił się Alvin.

Mężczyzna natychmiast zaczął zachowywać się przyjaźnie.

— Miło to wiedzieć, przyjacielu. Chłopak w tym wieku. . . Można by sądzić, że jeśli jest wolny, rodzice nauczą go grzeczności, kiedy zwraca się do niego biały człowiek. . .

— Myślę, że widzi tylko tego ptaka na wystawie. — Alvin położył chłopcu dłoń na ramieniu. — O co chodzi, Arthurze Stuart?

Dopiero dźwięk głosu Alvina wyrwał Arthura z oszołomienia.

— Jak on to zobaczył?

— Co? — zdziwił się mężczyzna.

— Co zobaczył? — zapytał Alvin.

— Jak ptak odpycha się skrzydłami, zanim usiądzie, a potem nieruchomieje jak posąg. Nikt tego nie widzi.

— O czym ten chłopak opowiada? — nie zrozumiał mężczyzna.

— Świetnie zna się na ptakach — wyjaśnił Alvin. — Myślę, że podziwia te wypchane okazy na wystawie.

Mężczyzna rozpromienił się z dumy.

— Sam zajmuję się wypychaniem. Prawie wszystkie tutaj są moje.

Wreszcie Arthur odpowiedział mu bezpośrednio.

— Większość to zwykle martwe ptaki. Bardziej żywo wyglądały, kiedy leżały jeszcze na polu, zestrzelone śrutem. Ale ten... i tamten — wskazał pikującego jastrzębia — zrobił je ktoś, kto zna żywe ptaki.

Wypychacz przez chwilę spoglądał na niego niechętnie, jednak zaraz na jego twarz powrócił uśmiech handlarza.

— Podobają ci się? To prace takiego Francuza, przedstawia się John-James — wymówił podwójne imię, jakby to był żart. — Czeladnicza robota i tyle. Te delikatne pozy... Wątpię, czy druty długo wytrzymają.

Alvin uśmiechnął się lekko.

— Sam jestem czeladnikiem, ale moje dzieła przetrwają długo.

— Nie chciałem urazić — zapewnił szybko mężczyzna. Stracił jednak zainteresowanie. Jeśli Alvin był zaledwie czeladnikiem w swym fachu, na pewno nie miał dość pieniędzy, by cokolwiek kupić. Poza tym wędrownemu rzemieślnikowi na nic się nie przyda wypchany ptak.

— Czyli prace tego Francuza wycenia pan taniej?

Wypychacz ptaków się zawahał.

— Drożej — przyznał.

— Cena spada, kiedy chodzi o dzieło mistrza? — zdziwił się Alvin z niewinną miną.

Wypychacz zwierząt spojrzał gniewnie.

— Jego prace sprzedają komisowe i to on ustala cenę. Wątpię, czy ktoś je kupi. Ale on uważa się za artystę. Wypycha i ustawia ptaki, żeby je malować. Kiedy już skończy, samego ptaka sprzedaje.

— Lepiej by porozmawiał z ptakami, zamiast zabijać — wtrącił Arthur Stuart. — Stałyby nieruchomo, żeby mógł je malować. Stałyby dla człowieka, co widzi ptaki tak wyraźnie.

Wypychacz przyjrzał się chłopcu z dziwną miną.

— Pozwalasz chłopakowi mówić nieco zuchwale — zauważył.

— W Filadelfii, jak sądziłem, ludzie mogą mówić wprost — odparł Alvin z uśmiechem.

Wypychacz zwierząt zrozumiał w końcu, jak bardzo Alvin z niego drwi.

— Nie jestem kwakrem, dobry człowieku, i ty też nie — rzekł.

Po czym wrócił do sklepu. Przez szybę Alvin widział, jak od czasu do czasu zerka na nich z ukosa.

— Chodźmy, Arthurze Stuart, mamy się spotkać z Verilym i Mikiem na obiedzie.

Arthur zrobił jeden krok. . . ale wciąż nie mógł oderwać wzroku od ptaka na gałęzi.

— Chodźmy, Arthurze, zanim on wyjdzie i każe nam odejść sprzed sklepu.

Nawet po tym ostrzeżeniu musiał w końcu chwycić chłopca za rękę i niemal siłą odciągnąć od wystawy. Kiedy szli, Arthur był wyraźnie zamyślony.

— Nad czym się tak zastanawiasz? — spytał Alvin.

— Chcę porozmawiać z tym Francuzem. Muszę mu zadać jedno pytanie.

Alvin wiedział, że nie warto dociekać, jakie to pytanie. Naraziłby się tylko na nieuniknioną odpowiedź: „A dlaczego mam je zadawać tobie? Ty nie wiesz”.

* * *

Verily Cooper i Mike Fink już jedli, kiedy Alvin i Arthur weszli do pensjonatu. Właścicielką była kwakierka, kobieta o zadziwiającej tuszy i bardzo ograniczonych ta-

lentach kucharskich — jednak niewielkie wyrafinowanie swych dań rekompensowała ich obfitością. Co więcej, jako kwakierka nie tylko z nazwy, pani Louder nie czyniła żadnej różnicy między półczarnym chłopcem i trzema białymi mężczyznami, z którymi podróżował. Arthur Stuart siedział przy wspólnym stole z innymi; wprawdzie jeden z gości wyprowadził się tego samego dnia, kiedy Arthur Stuart pierwszy raz siadł do posiłku, jednak zachowywała się tak, jakby nawet tego nie zauważyła. Alvin starał się jej to wynagrodzić, zabierając Arthura ze sobą na codzienne wyprawy do lasu i na łąki nad rzeką, gdzie zbierali dziki imbir, gruszczykę, miętę i tymianek, by doprawić jej potrawy. Z humorem przyjmowała zioła sugerujące krytykę jej kuchni. Dzisiaj ziemniaki były ugotowane z gruszczyką, którą przynieśli wczoraj.

— Da się zjeść? — spytała, kiedy skosztowali pierwszy kęs.

Odpowiedział jej Verily; Alvin z błogą miną przeżuwał jedzenie.

— Madame, pani szczodrość gwarantuje, że trafi pani do nieba, ale to smak dzisiejszych ziemniaków sprawi, że poproszą tam panią o gotowanie.

Zaśmiała się i zamachnęła na niego chochlą.

— Verily Cooper, gładkousty adwokacie, czyżbyś nie wiedział, że kwakrzy nie uznają pochlebstw?

Wszyscy jednak zdawali sobie sprawę, że choć nie wierzy w pochlebstwa, wierzy w serdeczność, jaka się za nimi kryje.

Póki inni goście siedzieli jeszcze przy stole, Mike Fink zabawiał ich opowieścią o swej wizycie w Prosty Domu, gdzie Andrew Jackson szokował filadelfijską elitę, sprowadzając swoich kumpli z Tennizy i Kennituck. Pozwalał im żuć tytoń i spluć na podłogę w salach, które dawniej stęsknionym za domem europejskim ambasadorom oferowały odrobinę elegancji Starego Kraju. Fink powtórzył historię, którą sam Jackson opowiadał tego dnia — jak pewna elegancka filadelfijską dama skrytykowała zachowanie jego towarzyszy. „To Prosty Dom, a to są prości ludzie”, oświadczył Jackson. Gdy próbowała się spierać, dodał: „To jest też mój dom przez najbliższe cztery lata, a to są moi przyjaciele”. „Nie mają żadnych manier”, odpowiedziała dama. „Mają znakomite maniery”, odparł jej na to Jackson. „Maniery Zachodu. Ale są ludźmi tolerancyjnymi. Nie będą zwracać uwagi na to, że nawet nie spróbowała pani jedzenia, nie łyknęła do-

brej whiskey z kukurydzy, nie splunęła ani razu, choć cały czas wygląda pani, jakby miała usta pełne czegoś niesmacznego”.

Mike Fink śmiał się długo i głośno, a wraz z nim inni goście, choć niektórych roz-
bawiła wspomniana dama, a innych sam Jackson.

Arthur Stuart zadał pytanie, które interesowało również Alvina.

— Jak Andy Jackson może cokolwiek załatwić, jeśli Prosty Dom pełen jest rzecz-
nych szczurów, wieśniaków i innych takich?

— Kiedy coś ma być zrobione, to jeden z nas, rzecznych szczurów, idzie i robi to
dla niego.

— Przecież ludzie z rzeki nie umieją czytać ani pisać.

— No... Stary Hickory sam załatwia swoje czytanie i pisanie — wyjaśnił Mike. —
Posyła rzeczne szczury, żeby przekazywali wiadomości albo przekonywali ludzi.

— Przekonywali? — powtórzył Alvin. — Mam nadzieję, że nie używają metod
przekonywania, co to je kiedyś chciałeś na mnie wypróbować.

Mike ryknął śmiechem.

— Jakby Hickory pozwolił chłopakom na takie sztuki, w Kongresie nie zostałyby pewno nawet sześć nosów ani dwadzieścioro uszu.

Wreszcie jednak opowieści o zabawach w Prostym Domu — albo o jego degradacji, zależnie od punktu widzenia — skończyły się i pozostali goście wyszli. Tylko spóźnieni Alvin i Arthur wciąż jedli, zdając raport ze swych dzisiejszych dokonań.

Mike ze smutkiem pokręcił głową, gdy Alvin zapytał, czy miał okazję porozmawiać z Jacksonem.

— Och, zaprosił mnie na pokoje, jeśli o to ci chodzi. Ale rozmowa sam na sam. . . nie, raczej nie. Widzisz, Andy Jackson może i jest prawnikiem, ale zna rzeczne szczyry i moje nazwisko coś mu przypomniało. Dawna reputacja ciągle mnie prześladowe, Alvinie. Przykro mi.

Alvin uśmiechnął się tylko i machnął ręką.

— Przyjdzie taki dzień, że prezydent się z nami spotka.

— To zresztą i tak byłoby przedwcześnie — zauważył Verily. — Po co walczyć o nadanie ziemi, jeśli nie wiemy nawet, do czego ją wykorzystamy?

— Właśnie że wiemy — odparł Alvin, bawiąc się w dziecinne przekomarzania.

— Właśnie że nie. — Verily uśmiechnął się szeroko.

— Mamy zbudować miasto.

— Nie. Mamy nazwę dla miasta, ale nie mamy planu czy nawet idei miasta. . .

— To miasto Stwórców!

— Cóż, byłoby miło, gdyby Czerwony Prorok wyjaśnił ci, co to znaczy.

— Pokazał mi wszystko we wnętrzu wodnego gejzeru. Nie wiedział, co to znaczy, tak jak i ja nie wiem. Ale obaj widzieliśmy miasto zbudowane ze szkła i pełne ludzi. Samo miasto uczyło ich wszystkiego.

— A w tym całym widzeniu nie usłyszałeś może jakiejś wskazówki, co właściwie mamy ludziom mówić, żeby przyszli i pomogli nam w budowie?

— To znaczy, jak rozumiem, że ty też nie osiągnąłeś tego, co zaplanowaliśmy? — domyślił się Alvin.

— Och, przeglądałem księgi w Bibliotece Kongresu — zapewnił Verily. — Znalazłem wiele odniesień do Kryształowego Miasta, ale większość wiązała się z hiszpańskimi zdobywcami, którzy uważali, że ma ono coś wspólnego ze źródłem młodości albo z Siedmioma Miastami Cebuli.

— Cebuli? — zdziwił się Arthur Stuart.

— Jedno ze źródeł błędnie uznało indiańską nazwę „Cibola” za hiszpańskie słowo oznaczające cebulę. Pomyślałem, że to zabawne. Ale trafiałem na same ślepe zaułki. Mimo to są tam interesujące dane, których jednak nie potrafię rozsądnie zinterpretować.

— Nie chciałbym czegoś zinterpytowanego nierozsądnie — stwierdził Alvin.

— Nie baw się ze mną w dzikusa — skarcił go Verily. — Twoja żona jest zbyt dobrą nauczycielką, by mogła pozostawić cię w takiej ignorancji.

— Przestańcie się ze sobą drażnić — wtrącił stanowczo Arthur Stuart. — Co takiego znaleźliście?

— Istnieje urząd pocztowy w miejscowości, która nazywa się Kryształowe Miasto, w stanie Tennyzy.

— Pewnie jest też takie, które się nazywa Źródło Młodości — mruknął Alvin.

— W każdym razie uznałem, że to ciekawe.

— Dowiedziałeś się o nim czegoś więcej?

— Pocztmistrzem jest pan Crawford, który nosi również tytuły burmistrza i... to ci się spodoba, Alvinie: Białego Proroka.

Mike Fink parsknął śmiechem, lecz Alvin wcale się nie ucieszył.

— Biały Prorok. Jakby chciał ustawić się przeciwko Tenska-Tawie.

— Powiedziałem już wszystko, co wiem — zakończył Verily. — A co wam udało się osiągnąć?

— Jestem w Filadelfii od dwóch tygodni, a niczego jeszcze nie osiągnąłem — stwierdził Alvin. — Myślałem, że miasto Benjamina Franklina może mnie czegoś nauczyć. Ale Franklin nie żyje, żadna specjalna muzyka nie rozbrzmiewa na ulicach, żadna mądrość nie unosi się wokół jego grobu. Tutaj narodziła się Ameryka, ale nie wydaje mi się, żeby wciąż tu żyła. Ameryka mieszka teraz tam, gdzie dorastałem... W Filadelfii pozostał tylko rząd Ameryki. To tak jakby znaleźć świeże łajno na drodze. To nie koń, ale mówi ci, że koń jest gdzieś blisko.

— Potrzebowałeś dwóch tygodni w Filadelfii, żeby to odkryć? — zdziwił się Mike Fink.

Verily poparł go.

— Mój ojciec mawiał — rzekł Verily — że jeśli masz kontakt z rządem, to jakbyś patrzył, że ktoś sika ci do buta. Ten ktoś poczuje się lepiej, ale ty na pewno nie.

— Możemy sobie odpocząć od tej całej filozofii? — zaproponował Alvin. — Dostałem list od Margaret. — Był jedynym, który zwracał się do żony pełnym imieniem; wszyscy inni nazywali ją Peggy. — Z Camelotu.

— Nie jest już w Appalachee? — spytał Mike Fink.

— Cała agitacja za utrzymaniem niewolnictwa w Appalachee dociera z kolonii Korony. Dlatego Margaret tam właśnie wyruszyła.

— Po mojemu król raczej nie pozwoli, żeby Appalachee zakazało niewolnictwa — stwierdził Mike.

— Zdawało mi się, że ta wielka wojna w ubiegłym stuleciu ostatecznie przypieczętowała niezależność Appalachee — przypomniał Verily.

— A teraz pewno niektórzy potrzebują następnej, żeby ustalić, czy Czarni mogą być wolni — odparł Alvin. — Dlatego Margaret jest w Camelocie. Ma nadzieję uzyskać audiencję u króla i przemówić w sprawie pokoju i wolności.

— Jedyne czas, kiedy naród cieszy się jednym i drugim — oświadczył Verily — to krótki okres radosnego wyczerpania po wygranej wojnie.

— Ponury chłop z ciebie jak na kogoś, kto jeszcze nikogo nie zabił — ocenił Mike Fink.

— Jakby panna Larner chciała porozmawiać z Arthurem Stuartem, to czekam tutaj — wtrącił z uśmiechem Arthur.

Mike Fink demonstracyjnie klepnął go po głowie. Arthur parsknął śmiechem — ostatnio był to jego ulubiony żart; wykorzystywał fakt, że otrzymał to samo imię co król Anglii władający na uchodźstwie w niewolniczych hrabstwach Południa.

— Ma też powody, by wierzyć, że jest tam mój młodszy brat — dodał Alvin.

Na tę wieść Verily spuścił głowę i gniewnie zaczął się bawić resztkami jedzenia na talerzu, a Mike Fink wbił wzrok w przestrzeń. Obaj mieli wyrobioną opinię na temat brata Alvina.

— I właściwie sam nie wiem. . . — dokończył Alvin.

— Czego nie wiesz? — zapytał Verily.

— Czy pojechać tam i dołączyć do niej. Ona nie chce, oczywiście, bo się jej wydaje, że kiedy Calvin i ja się zejdziemy, ja umrę.

Mike uśmiechał się złowrogo.

— Nie obchodzi mnie, jaki ten chłopak ma talent. Ale niech tylko spróbuje.

— Margaret nie mówiła, że to on mnie zabije — zauważył Alvin. — Po prawdzie to nie mówiła nawet, że umrę. Ale tak się domyślam. Nie chce mnie tam, dopóki nie będzie pewna, że Calvin wyjechał z miasta. Ale ja też chciałbym się spotkać z królem.

— Nie wspominając nawet o spotkaniu z żoną — dokończył Verily.

— Przydałoby się parę dni przy niej.

— I nocy — mruknął Mike.

Alvin uniósł brew i Mike uśmiechnął się głupekowato.

— Najważniejsza sprawa — ciągnął Alvin — to czy mogę tam bezpiecznie zabrać Arthura Stuarta. W koloniach Korony nielegalne jest przywożenie do kraju wolnej osoby mającej w żyłach choćby jedną szesnastą krwi Czarnych.

— Możesz udawać, że to twój niewolnik — zaproponował Mike.

— A jeśli tam umrę? Albo mnie aresztują? Nie chcę ryzykować, że Arthur zostanie skonfiskowany i sprzedany. To zbyt niebezpieczne.

— Więc nie jedź tam — stwierdził krótko Verily. — Król zresztą i tak nie ma pojęcia o budowie Kryształowego Miasta.

— Wiem — zgodził się Alvin. — Ja też nie mam. Ani nikt inny.

— Może to nie do końca prawda — rzucił Verily z uśmiechem.

Alvin się zniecierpliwił.

— Nie kpj sobie, Verily. Co wiesz?

— Nic, czego byś sam już nie wiedział, Alvinie. Budowanie Kryształowego Miasta musi się składać z dwóch etapów. Pierwszy to Stwarzanie i wszystko z tym związane. W tym nie pomogę ci ani ja, ani żaden inny śmiertelnik. Drugi etap to słowo „miasto”. Nieważne, czego jeszcze dokonasz, ale będzie to miejsce, gdzie ludzie mieszkają razem. To znaczy, że muszą być jakieś rządy i prawa.

— Muszą być? — zapytał żalonym tonem Mike.

— Albo coś innego, co spełnia te same zadania — mówił dalej Verily. — I ziemia, podzielona, żeby ludzie mieli gdzie mieszkać. A ludzie będą głodni. Muszą siać i zbierać lub sprowadzać żywność. Muszą tkać lub kupować materiały, budować domy, szyc ubrania. Ktoś będzie brał ślub, ktoś musi go udzielić, jeśli się nie mylę. Ludzie będą mieli dzieci, więc potrzebne są szkoły. Nieważne, jakimi wizjonerami staną się miesz-

kańcy, i tak wciąż będą potrzebowali dachów i dróg, jeśli nie oczekujesz, że wszyscy zaczną latać.

Alvin oparł się na krzesło i zamknął oczy.

— Uspiełem cię czy myślisz? — zapytał Verily.

— Myślę, że właściwie nie mam bladego pojęcia, do czego się biorę — odparł Alvin, nie otwierając oczu. — Biały Morderca Harrison był może najohydniejszym człowiekiem, jakiego poznałem, ale przynajmniej umiał zbudować miasto na pustkowiu.

— Łatwo jest zbudować miasto, jeśli tak ustalisz zasady, by źli ludzie się bogacili i nikt nie karał ich za występki. W takie miejsce sama chciwość ściągnie ci mieszkańców, jeśli tylko zdołasz żyć obok nich.

— Coś takiego powinno się też udać z przyzwoitymi ludźmi.

— Powinno i udało się.

— Gdzie? — dopytywał się Mike Fink. — Nigdy nie słyszałem o takim mieście.

— To przynajmniej setka miast — wyjaśnił Verily. — Mówię o Nowej Anglii, oczywiście. A szczególnie o Massachusetts. Założonym przez purytanów, by stało się ich Syjonem, krainą czystej religii za oceanem na zachodzie. Przez całe życie, dorastając

w Anglii, słyszałem opowieści o tym, jak doskonała jest Nowa Anglia, jak czysta i pobożna, że nie ma tam bogatych ni biednych, ale wszyscy korzystają z darów Niebios i ludzie wolni są od pokus świata. Żyją w pokoju i równości, w krainie najsprawiedliwszej ze wszystkich, które istniały na ziemi Pana naszego.

Alvin pokręcił głową.

— Verily, jeśli Arthur nie może odwiedzić Camelotu, mogę się założyć, że tak samo ja i ty nie powinniśmy się wybierać do Nowej Anglii.

— Tam nie ma niewolnictwa.

— Wiesz, o co mi chodzi. Tam wieszają za czary.

— Nie jestem czarownikiem. Ty też nie.

— Według nich jesteście.

— Tylko jeśli będziemy robili jakieś heksy albo wykorzystywali ukrytą moc — tłumaczył Verily. — Z pewnością zdołamy się powstrzymać na czas potrzebny, by odkryć, w jaki sposób stworzyli tak wielki kraj wolny od waśni i ucisku, wypełniony miłością bożą.

— Niebezpiecznie — uznał Alvin.

— Zgoda! — zawołał Mike. — Musielibyśmy zwariować, żeby tam jechać. Czy nie stamtąd przybył ten adwokat, Daniel Webster? On wie o tobie, Alvinie.

— Jest teraz w Carthage City i zarabia pieniądze na ludziach zepsutych — przypomniał Alvin.

— Tak było, kiedy ostatnio o nim słyszeliśmy. Ale może pisać listy. Może się wybrać do domu. Coś może się nam nie udać.

Arthur Stuart spojrzał na Mike'a.

— Coś może się nie udać, nawet kiedy leżysz we własnym łóżku w niedzielę.

W końcu Alvin uniósł powieki.

— Muszę się uczyć — rzekł. — Verily ma rację. Nie wystarczy nauczyć się Stwarzania. Muszę poznać też sztukę rządzenia, budowy miast i całą resztę. Muszę nauczyć się wszystkiego o wszystkim, a im dłużej tu siedzę, tym bardziej zostaję z tyłu.

Arthur Stuart zrobił smętną minę.

— Czyli nie zobaczą króla. . .

— Jeśli o mnie chodzi — pocieszył go Mike — to ty jesteś prawdziwym Arthurem Stuartem i masz takie samo prawo jak on, żeby być królem na tej ziemi.

— Chciałem, żeby pasował mnie na rycerza.

Alvin westchnął. Mike przewrócił oczami. Verily poklepał chłopca po ramieniu.

— Dzień, kiedy król nobilituje chłopca mieszanej krwi. . .

— A mógłby pasować tylko moją białą połowę? — zapytał Arthur Stuart. — Jakbym tak dokonał męźnego czynu? Słyszałem, że właśnie wtedy zostaje się rycerzem.

— Stanowczo pora już ruszać do Nowej Anglii — stwierdził Alvin.

— Mówię ci, że mam złe przeczucia — upierał się Mike Fink.

— Ja też — przyznał Alvin. — Ale Verily ma rację. Stworzyli dobry kraj i ciągną tam dobrzy ludzie.

— A czemu nie wybierzemy się do tego miasteczka w Tenuis, co to nazywa się Kryształowe Miasto?

— Może tam właśnie ruszymy, kiedy skończymy już z Nową Anglią.

— Optymista z ciebie — roześmiał się Verily.

* * *

Spakowali większość rzeczy, zanim jeszcze położyli się spać. Zresztą niewiele musieli włożyć do swoich toreb. Kiedy człowiek w podróży ma jedynie konia, który niesie jego i bagaż, zupełnie inaczej ocenia, co musi wozić z miejsca na miejsce, niż ktoś podróżujący wozem albo z orszakiem sług i jucnych zwierząt. Aby nie zamęczyć wierzchowca, bierze właściwie niewiele więcej, niż mógłby nieść piechur.

Alvin zbudził się jeszcze przed świtem, ale w czasie raptem dwóch oddechów zdał sobie sprawę z nieobecności Arthura Stuarta. Okno było otwarte, a choć zajmowali pokój na najwyższym piętrze, wiedział, że to by chłopaka nie powstrzymało. Arthur wierzył chyba, że grawitacja winna mu jest przysługę.

Verily i Mike spali, ale już wiercili się w łóżkach. Alvin obudził ich i poprosił, by osiodłali i objuczyli konie, gdy on pójdzie na poszukiwanie.

Mike zaśmiał się tylko.

— Pewno znalazł sobie jakąś dziewczynę, którą chce ucałować na do widzenia.

Alvin spojrzał na niego zaszokowany.

— O czym ty mówisz? Mike był równie zdziwiony.

— Ślepy jesteś? Albo głuchy? Arthurowi zmienia się głos. Jest już o włos od zostania mężczyzną.

— Skoro o włosach mowa — wtrącił Verily — to myślę, że cień na jego górnej wardze już wkrótce stanie się szczotką. Powiem szczerze, moim zdaniem na jego twarzy już teraz rośnie więcej włosów niż na twojej, Alvinie.

— Nie zauważyłem też, żeby twoja była szczególnie zdobna w wąsy — odparował Alvin.

— Gole się.

— Ale długi czas mija między jednym a drugim Bożym Narodzeniem. Muszę iść. Pewnie wrócę, zanim skończycie śniadanie.

Po drodze Alvin zajrzał jeszcze do kuchni, gdzie pani Louder wyrabiała ciasto.

— Nie widzieliście może dzisiaj Arthura Stuarta? — zapytał.

— A kiedy zamierzaliście mnie uprzedzić, że wyjeżdżacie?

— Kiedy zaczniemy się zbierać po śniadaniu — zapewnił ją Alvin. — Nie próbowaliśmy się wymknąć, to żadna tajemnica, że się spakowaliśmy.

Dopiero wtedy zauważył, że policzki ma mokre od łez.

— Pani Louder, nie myślałem, że tak się przejmiecie. To przecież pensjonat, prawda? A goście przychodzą i odchodzą.

Westchnęła głośno.

— Jak dzieci. . .

— A czy dzieci od czasu do czasu nie powracają do gniazda?

— Jeśli to ma być obietnica, to może moimi głupimi łzami nie zmienię pieczywa w solone ciasteczka — powiedziała.

— Obiecuję, że nigdy nie spędzę nocy w Filadelfii gdzie indziej, tylko u pani. Chyba że moja żona i ja kiedyś się tu osiedlimy; będziemy wam przysyłać na śniadanie nasze dzieci, byśmy mogli się wylegiwać do późna.

Zaśmiała się.

— Pan nasz ciebie stwarzał dwa razy dłużej niż innych, Alvinie Smith, bo tyle czasu trzeba, żeby wcisnąć do środka te twoje figle.

— Figle same się wciskają. Taka ich natura.

Dopiero wtedy pani Louder przypomniała sobie o pytaniu Alvina.

— Co do Arthura Stuarta, to kiedy wyszłam po drewno, przyłapałam go, jak schodził z drzewa pod ścianą.

— I nie obudziliście mnie? Czemuście go nie zatrzymali?

Zignorowała to ukryte oskarżenie.

— Zanim poszedł, wcisnęłam mu w rękę zimnego racucha. Powiedział, że musi załatwić jakąś sprawę, zanim rankiem wyjedziecie.

— No, przynajmniej wygląda, że ma zamiar wrócić.

— Rzeczywiście. Ale gdyby nie, to nie jesteś przecież jego panem, jak sądzę.

— To, że nie jest moją własnością, nie oznacza jeszcze, że nie jestem za niego odpowiedzialny.

— Nie mówiłam o prawach. Wyraziłam prostą prawdę. Nie jest ci posłuszny jak chłopiec, ale jak mężczyzna, który chce ci sprawić radość. Czyni coś nie dlatego, że ty rozkazujesz, ale dlatego że zgadza się, iż powinien.

— Ale to jest prawda dla wszystkich ludzi i wszystkich panów. A nawet niewolników.

— Chcę powiedzieć, że nie robi tego, co robi, z lęku przed tobą — wyjaśniła pani Louder. — Dlatego nie wypada ci złościć się na niego. Nie masz takiego prawa.

Dopiero wtedy Alvin uświadomił sobie, że jest trochę zagniewany na Arthura Sturta za to wyjście bez uprzedzenia.

— Wciąż jest młody — przypomniał.

— A ty niby co, siwobrody starzec z przygarbionym grzbietem? — roześmiała się. — Idź, poszukaj go. Arthur Stuart nigdy nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie dniem i nocą czyha na chłopca z jego rodu.

— Ani z zagrożeń, które zakradają się od tyłu. — Alvin pocałował ją w policzek. — Nie pozwólcie, żeby te bułeczki zniknęły, zanim wrócę.

— Twoja to sprawa, nie moja, kiedy postanowisz wrócić — odparła. — Któż może wiedzieć, jak głodni będą dziś rano inni?

Na to Alvin zanurzył tylko palec w mące, nakreślił jej biały pasek na nosie i ruszył do drzwi. Pokazała mu język, ale nie starła mąki.

— Będę klaunem, jeśli tego chcesz ode mnie! — krzyknęła za nim.

* * *

Było jeszcze za wcześnie, żeby sklep był otwarty. Alvin jednak poszedł prosto do wypychacza zwierząt. Jaką inną sprawę mógł załatwić Arthur Stuart? Pomysł Mike'a, że Arthur poznał jakąś dziewczynę, nie wydawał się rozsądny. Chłopiec prawie nigdy nie opuszczał Alvina, więc nie miał po temu okazji, nawet gdyby już dorósł na tyle, by próbować.

Ulice były zatłoczone — farmerzy z okolicy zwozili towary na targ, ale sklepów jeszcze nie otwierano. Gazeciarze i listonosze wypełniali swe misje, wózki mleczarzy klekotały w zaułkach, dostarczając nabiał do kuchni. Panował gwar, ale był to świeży gwar poranka. Nikt jeszcze nie krzyczał, sąsiedzi się nie kłócili, domokrażcy nie zachwalali towarów, żaden woźnica nie wykrzykiwał, by ludzie zeszli mu z drogi.

I żaden Arthur nie stał przed wystawą sklepu z wypchanymi zwierzętami.

Ale dokąd jeszcze mógłby pójść? Dręczyło go jakieś pytanie i nie spocznie, póki nie znajdzie odpowiedzi. Ale przecież nie wypychacz znał tę odpowiedź, prawda? To

francuski malarz ptaków, John-James. A gdzieś we wnętrzu sklepu musiała być ukryta notatka z jego adresem. Czyżby Arthur naprawdę okazał się tak nierozsądny, by...

Rzeczywiście, okno było otwarte, a pod nim ustawione dwie skrzynki i beczka. Arthurze Stuart, wcale nie jest lepiej być wziętym za złodzieja niż za niewolnika...

Alvin podszedł do drzwi na podwórze. Przekręcił gałkę. Poruszyła się lekko, ale nie dość, by odsunąć zapadkę. A więc zamknięte...

Oparł się o drzwi i przymknął oczy, szukając swym przenikaczem, aż znalazł wewnątrz sklepu płomień serca. Tam więc był Arthur Stuart, jaskrawy życiem, gorący od przygody. Jak tyle już razy wcześniej, Alvin żałował, że nie ma daru Margaret, nie potrafi zajrzeć w płomień serca i dowiedzieć się czegoś o przyszłości i przeszłości, czy nawet o myślach w chwili obecnej... Teraz by się to przydało.

Nie odważył się wołać Arthura — jego głos zaalarmowałby kogoś i chłopiec prawie na pewno zostałby schwytany. Wypychacz zwierząt mieszkał prawdopodobnie nad sklepem albo w jednym z pobliskich domów.

Dlatego Alvin sięgnął przenikaczem do zamka, by zbadać, jak jest zbudowany. Stara konstrukcja, marnie dopasowana. Wygładził szorstkie powierzchnie, usunął brud i rdzę.

Zmiana kształtu elementów była łatwiejsza niż ich przesunięcie, więc tam gdzie dwie płaskie części stykały się, nie pozwalając na otworzenie zapadki, zmienił je na ukośne. Metal wpłynął w nowe kształty, aż obie płaszczyzny mogły łatwo przesuwać się względem siebie. Wtedy przekręcił gałkę, a zapadka odskoczyła bezgłośnie.

Nie otwierał jednak drzwi, gdyż najpierw musiał się zająć zawiasami. Były bardziej nierówne i bardziej zabrudzone niż zamek. Czy właściciel w ogóle korzysta z tego wyjścia? Alvin wyrównał więc i oczyścił również zawiasy. Teraz, kiedy przekręcił gałkę i pchnął drzwi, jedynym dźwiękiem był szelest wiatru wpadającego do wnętrza.

Arthur Stuart stał przy warsztacie wypychacza. W rękach trzymał sójkę i lekko gładził jej pióra. Uniósł głowę i spojrzał na Alvina.

— Nawet nie jest martwa — powiedział cicho.

Alvin dotknął ptaka. Tak, pozostało w nim trochę ciepła; wyczuwał uderzenia serca. Śrucina, która go ogłuszyła, wciąż tkwiła w czaszce. Mózg był uszkodzony i ptak wkrótce zdechnie, nawet jeśli żadna z ran nie okaże się śmiertelna.

— Znalazłeś to, po co przyszedłeś? Adres malarza?

— Nie — odparł zasmucony chłopak.

Alvin natychmiast wziął się do pracy nad ptakiem. Sunięcie przenikaczem przez żywe stworzenie, dokonywanie tu i tam niewielkich poprawek było zadaniem delikatniejszym niż przemiany metalu. Pomagało, że trzymał zwierzę, że mógł go dotykać, gdy pracował. Krew z mózgu wkrótce spłynęła do żył, a uszkodzone arterie się zasklepiły. Tkanki pod ołowianymi kulkami goiły się szybko, wypychając je z ciała. Nawet ta wbita w czaszkę obluzowała się i wypadła.

Sójka nastroszyła pióra i spróbowała wyrwać się Alwinowi.

— I tak ją zabiją — stwierdził.

— Dlatego ją wypuścimy — odparł Arthur. Alvin westchnął.

— Wtedy staniemy się złodziejami, prawda?

— Okno jest otwarte — zauważył chłopiec. — Sójka może wyfrunąć, kiedy ten człowiek przyjdzie rano do sklepu. Pomyśli, że sama uciekła.

— A jak skłonimy ptaka, żeby to zrobił?

Arthur spojrzał na niego jak na kogoś niespełna rozumu, po czym nachylił się nad sówką stojącą nieruchomo na blacie. Zaczął szeptać do niej tak cicho, że Alvin nie rozumiał słów. Potem zagwizdał kilka razy ostro, po ptasiemu.

Sójka wzniosła się w powietrze i trzepocząc hałaśliwie, zaczęła fruwać dookoła. Alvin uchylił się przed nią.

— Nie uderzy w ciebie — uspokoił go rozbawiony Arthur.

— Chodźmy stąd — odparł krótko Alvin.

Wyprowadził chłopca przez tylne drzwi. Kiedy je zamknął, przytrzymał jeszcze gałkę w dłoni, przywracając częściom zamka ich właściwy kształt.

Wypychacz zwierzał stał u wylotu zaułka.

— Co tu robicie?

— Mamy nadzieję was znaleźć, drogi panie — odparł spokojnie Alvin, nie cofając dłoni.

— Z ręką na gałce moich drzwi? — zapytał mężczyzna lodowato podejrzliwym tonem.

— Nie odpowiedzieliście na pukanie. Pomyślałem, że nie słyszeliście, tak jesteście zajęci pracą. Chcemy tylko zapytać, gdzie znajdziemy tego malarskiego czeladnika. Francuza. Johna-Jamesa.

— Wiem, czego chcieliście — oświadczył wypychacz. — Odsuńcie się od drzwi, bo zawołam konstabla.

Alvin i Arthur cofnęli się.

— To za mało — stwierdził właściciel warsztatu. — Kręcicie się przy tylnych drzwiach... Skąd mam wiedzieć, że nie chcecie walnąć mnie w głowę i okraść, kiedy tylko je otworzę?

— Gdyby taki był nasz plan, mój panie, leżelibyście już na ziemi, a ja miałbym w ręku klucze.

— A więc wszystko sobie przemyśleliście!

— Zdaje mi się, że to wam się roi plan kradzieży. A potem oskarżacie innych, że chcą zrobić to, coście sami przed chwilą wymyślili.

Właściciel gniewnie wyjął klucz z kieszeni i wsunął go do zamka. Zaparł się, by przekręcić mocno, spodziewając się oporu zardzewiałego żelaza. Dlatego wyraźnie się zatoczył, gdy klucz nie stawiał oporu, a drzwi uchyliły się bezszelestnie.

Może obejrzałby zamek i zawiasy, ale w tej właśnie chwili sójka, która przez całą noc powoli konała na stole, zatrzepotała gwałtownie przed jego twarzą i wyfrunęła na dwór.

— Nie! — krzyknął wypychacz zwierząt. — To trofeum pana Ridleya!

Arthur Stuart zaśmiał się głośno.

— Marne trofeum, skoro jeszcze lata.

Wypychacz zwierząt stał w progu i spoglądał za sówką. Po chwili przyjrzał się Alwinowi i Arthurowi.

— Wiem, że macie z tym coś wspólnego — oświadczył. — Nie wiem co. Nie wiem też, w jaki sposób, ale zaczarowaliście tego ptaka.

— Ależ skąd! — zapewnił Alvin. — Kiedy tu przyszedłem, nie miałem pojęcia, że trzymacie tam żywe ptaki. Myślałem, że zajmujecie się tylko martwymi.

— To prawda! Ten ptak był martwy!

— John-James — przypomniał Alvin. — Chcemy go zobaczyć, zanim wyjedziemy z miasta.

— Dlaczego miałbym wam pomagać?

— Bo poprosiliśmy. I nic was to nie kosztuje.

— Nie kosztuje? A jak niby wytłumaczę się panu Ridleyowi?

— Powiecie mu, żeby się upewnił, czy ptak jest zabity, zanim go do was przynie-
sie — zaproponował Arthur Stuart.

— Nie życzę sobie słuchać takich rzeczy od czarnego chłopaka — oznajmił wypy-
chacz zwierząt. — Jeżeli nie potrafisz dopilnować tego małego, nie powinieneś wpro-
wadzać go między dżentelmenów.

— Tak zrobiłem? — zdziwił się Alvin.

— Co zrobiłeś?

— Wprowadziłem go między dżentelmenów? Wciąż czekam na przejaw uprzejmo-
ści, która mnie przekona, że możecie się do nich zaliczać.

Wypychacz zwierząt spojrział na niego ze złością.

— John-James Audubon wynajmuje pokój w pensjonacie Wolność. Ale nie znaj-
dziecie go tam o tej porze. Do południa szuka ptaków.

— A więc dobrego dnia — pożegnał się Alvin. — Moglibyście od czasu do czasu
naoliwić zamek i zawiasy. Będą wtedy w lepszym stanie.

Wypychacz zwierząt zrobił zdziwioną minę. Gdy skręcali z zaułka na ulicę, wciąż jeszcze otwierał i zamykał swe ciche drzwi na oczyszczonych zawiasach.

— I po wszystkim — stwierdził Alvin. — Przed wyjazdem nie znajdziemy już twojego Johna-Jamesa Audubona.

Arthur Stuart popatrzył na niego zaskoczony.

— A dlaczego nie?

Zagwizdał kilka razy. Sójka sfrunęła z góry, usiadła mu na ramieniu. Arthur szeptał do niej i pogwizdywał przez chwilę. Ptak wskoczył na głowę chłopca, potem — ku zdumieniu Alvina — na Alvina ramię, na głowę i dopiero potem odleciał nad ulicą.

— Dziś rano na pewno jest nad rzeką — oświadczył Arthur Stuart. — Gęsi się tam karmią w drodze na południe.

Alvin rozejrzał się niepewnie.

— Mamy jeszcze lato. Jest gorąco.

— Ale nie na północy. Wczoraj słyszałem dwa stada.

— Ja tam nic nie słyszałem.

Arthur Stuart tylko wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Myślałem, że przestałeś słyszeć ptaki — powiedział Alvin. — Wtedy, kiedy odmieniłem cię w rzece. Myślałem, że straciłeś ten talent.

Chłopiec wzruszył ramionami.

— Straciłem. Ale przypomniałem sobie, jak to było. Cały czas słuchałem.

— I to wraca?

Arthur pokręcił głową.

— Muszę się zastanawiać. Nie przychodzi samo, jak kiedyś. To już nie jest talent.

To...

— Umiejętność? — podpowiedział Alvin.

— Coś między pragnieniem a wspomnieniem.

— Słyszałeś krzyk gęsi, a ja nie. A mam bardzo dobry słuch, Arthurze.

Arthur uśmiechnął się znowu.

— Co innego słyszeć, a co innego słuchać.

* * *

Kilku mężczyzn ze strzelbami polowało nad rzeką na gęsi. Łatwo jednak można się było domyślić, który z nich jest Johnem-Jamesem Audubonem. Nawet gdyby nie zauważyli szkicownika wewnątrz otwartego plecaka, nawet gdyby nie był dziwacznie ubrany we francuską, przesadzoną wersję kostiumu amerykańskiego trapera — uszytą ze skór jeleni — i tak by wiedzieli, który to myśliwy. Odpowiedź wskazywał prosty test: był jedynym, który znalazł gęsi.

Celował właśnie do jednej, płynącej po rzece.

— Panie Audubon! — krzyknął bez zastanowienia Alvin. — Wstydu nie macie?

Audubon obejrzał się zaskoczony. To jego nagłe poruszenie czy może wołanie Alvina spłoszyło ptaki, prowadzący gąsior zagęgał i wystartował, ociekając wodą — z początku nieco chwiejnie, ale zaraz pofrunął płynnie, z kroplami spływającymi mu ze skrzydeł srebrzystą kaskadą. Po chwili wszystkie gęsi także wzleciały nad rzeką. Audubon uniósł strzelbę, lecz zaklął i odwrócił się do Alvina, nadal z wymierzoną bronią.

— *Pour quoi, imbecile!*

— Chcecie mnie zastrzelić?

Francuz z wahaniem opuścił lufę i przypomniał sobie angielski, w tej chwili niezbyt płynny.

— Mam to piękne stworzenie w oku, gdyby nie ty, człowieku z otwarta gęba!

— Przepraszam, ale nie mogłem uwierzyć, że zastrzelicie gęś na wodzie.

— Czemu nie?

— Bo... bo to niesportowo.

— Pewno, że niesportowo! — W miarę jak Audubon rozgrzewał się w dyskusji, jego angielski wyraźnie się poprawiał. — Nie jestem tutaj dla sportu! Rozejrzyj się wszędzie, monsieur, i powiedz, jakiej bardzo ważnej rzeczy nie widzisz.

— Nie ma pan psa — stwierdził Arthur Stuart.

— Tak! *Le garçon noir* zrozumiał! Nie mogę strzelać do ptaka w powietrzu, bo jak mogę wtedy ptaka zabrać? On spada, skrzydło się łamie, po co on mi teraz? Strzelam na wodzie, potem chlap, chlap i mam gęś.

— Bardzo praktyczne — przyznał Alvin. — Gdybyście byli głodni i potrzebowali tej gęsi do jedzenia.

— Jedzenie! — wykrzyknął Audubon. — Czy wyglądam jak człowiek głodny?

— Może trochę chudy. Ale pewnie moglibyście pościć dzień czy dwa, nie padając z głodu.

— Nie rozumiem cię, *Monsieur Americain. Et je ne veux pas te comprendre.* Idźcie sobie.

Audubon ruszył brzegiem w dół rzeki, w kierunku gdzie odleciały gęsi.

— Panie Audubon! — zawołał za nim Arthur Stuart.

— Muszę was zastrzelić, zanim odejdziecie? — odpowiedział Francuz załamany.

— Mogę sprowadzić je z powrotem — oświadczył Arthur.

Audubon odwrócił się do niego.

— Wołasz gęsi? — Z kieszeni kurtki wyciągnął drewniany wabik. — Ja wołam gęsi też. Ale kiedy to słyszą, myślą: *Sacre Dieu!* Ta gęś umiera! Odlatujmy stąd! I odlatują.

Arthur Stuart podszedł bliżej. Zamiast odpowiedzieć, zaczął wydawać dziwne dźwięki z krtani i przez nos. Nie było to typowe przywoływanie gęsi — nikt nie zwróciłby na ten głos uwagi. Nie było to nawet naśladownictwo gęsiego krzyku. A jednak

było coś... gęsiego w tym bełkocie, który wydobywał się chłopcu z ust. Zresztą wcale niegłośno. Po chwili ptaki wróciły, ślizgając się nad powierzchnią wody.

Audubon uniósł strzelbę do ramienia. Arthur natychmiast zmienił głos, gęsi odfrunęły od brzegu i wylądowały daleko na wodzie.

Rozczarowany Audubon spojrzał gniewnie na Alvina i Arthura.

— Kiedy to obraziłem ciebie albo kalafiorowatą twarz twojej brzydkiej matki? Która z paskudnych, śmierdzących filadelfijskich prostytutek była twoją siostrą? A może to *le bon Dieu* uraziłem? *Notre Pere Celeste*, za co muszę tak pokutować?

— Nie sprowadzę tutaj gęsi, jeśli chce je pan tylko zastrzelić — oświadczył Arthur.

— A na co mi one, jak nie zastrzelę ani jednej?

— Pan nie chce jej jeść. Chce ją pan tylko namalować. Czyli nie musi być martwa.

— Jak mogę malować ptaka, kiedy on nie stoi w jednym miejscu! — krzyknął Audubon. I nagle coś sobie uświadomił. — Wiecie, jak się nazywam. Wiecie, że maluję. Ale ja was nie znam.

— Jestem Alvin Smith, a to mój podopieczny Arthur Stuart.

— Podpieczony? Jaki to niewolnik?

— Podopieczny. Nie jest niewolnikiem. Ale jest pod moją opieką.

— A kto mną się zaopiekuje i przed wami dwoma obroni? Dlaczego nie możecie być zwykłymi złodziejami, co to zabiorą moje pieniądze i uciekną?

— Arthur ma do was pytanie.

— Oto moja odpowiedź: odejdźcie! *Departez!*

— A gdybym nakłonił tę gęś, żeby stała przed panem nieruchomo, bez zabijania? — zaproponował Arthur.

Audubon miał już odpowiedzieć coś ostro, kiedy wreszcie zdał sobie sprawę, co właściwie obserwował przed chwilą: widział, jak Arthur przywołuje gęsi.

— Jesteś, jak to u was mówią, osobą z talentem? Wołaczem gęsiów?

— Gęsi — poprawił uprzejmie Alvin.

Arthur pokręcił głową.

— Po prostu lubię ptaki.

— Ja też lubię ptaki — odparł Audubon. — Ale one jakoś nie czują do mnie sympatii.

— Bo je pan zabija, a nawet nie jest pan głodny — wyjaśnił chłopiec.

Malarz przyjrzał mu się skonsternowany. W końcu podjął decyzję.

— Możesz zrobić, żeby gęś stała tu nieruchomo?

— Mogę ją poprosić. Ale musi pan odłożyć strzelbę.

Audubon natychmiast oparł broń o drzewo.

— I rozładować.

— Myślisz, że złamię obietnicę?

— Niczego pan nie obiecał.

— No dobrze! — jęknął Audubon. — Przysięgam na grób mojej matki.

— Co pan przysięga? — zapytał podejrzliwie Arthur.

— Przysięgam, że żadnego strzelania do gęsi! *Pas de* strzelanie do gęsi!

— Nawet z padu, cokolwiek to znaczy. Żadnego strzelania do żadnych ptaków, przez cały dzień — upierał się Arthur.

— Nie „padu”, niedouczony chłopczyku. *J'ai dit „pas de”. Rien!* Żadnego strzelania do gęsi, tak powiedziałem. — I dodał pod nosem: — *Tous les sauvages du monde sont ici aujourd'hui.*

Alvin zachichotał.

— I strzelania do dzikusów także nie, jeśli wam to nie przeszkadza.

Audubon spojrział na niego zły i zakłopotany.

— *Parlez-vous français?*

— *Je ne parle pas français* — odparł Alvin, przypominając sobie to zdanie z kilku ciężkich lekcji, jakich udzieliła mu Margaret, nim zrezygnowała z nauczania go jakiegokolwiek języka poza angielskim. Wcześniej porzuciła już łacinę i grekę. Z wypowiedzi Francuza zrozumiał jednak słowo *sauvage*, gdyż słyszał je często we francuskim forcie Detroit, kiedy jako chłopiec przebywał tam z Ta-Kumsawem.

— *C'est vrai* — mruknął Audubon. Po czym dodał głośno: — Składam obietnicę, której chcecie. Sprowadź mi gęś, co stanie na miejscu do malowania.

— Odpowie pan na moje pytanie? — upewnił się Arthur Stuart.

— Tak, oczywiście.

— Ale to będzie prawdziwa odpowiedź, nie takie głupie nic, co to zwykle dorośli mówią dzieciom?

— Chwileczkę — obruszył się Alvin.

— Ty nie — zapewnił szybko Arthur, lecz Alvin nie wyzbył się podejrzeń.

— Tak — przyrzekł ze znużeniem Audubon. — Zdradzę ci wszystkie tajemnice wszechświata.

Chłopiec kiwnął głową i przeszedł do miejsca, gdzie brzeg rzeki wznosił się najwyżej. Zanim jednak zawołał gęś, obejrzał się jeszcze.

— Gdzie ten ptak ma stanąć? — zapytał.

Audubon roześmiał się.

— Dziwny z ciebie chłopak — stwierdził. — Czy to jest to, co Amerykanie nazywają przechwałkami?

— On się nie przechwala — uspokoił go Alvin. — Naprawdę musi wiedzieć, gdzie chcecie, żeby ta gęś stanęła.

Audubon potrząsnął głową, rozejrzał się, sprawdził kąt padania promieni słonecznych i gdzie jest najbliższy ocieniony skrawek ziemi, żeby mógł usiąść do pracy. Dopiero wtedy wskazał miejsce, gdzie ptak miał mu pozować.

— Dobrze — zgodził się Arthur Stuart.

Odwrócił się w stronę rzeki i zabelkotał znowu, głośniej. Głos niósł się nad wodą. Gęsi poderwały się w powietrze i podfrunęły do brzegu, lądując na wodzie lub na

łące. Prowadzący gąsior jednak opadł obok Arthura, który zaprowadził go do miejsca wskazanego przez malarza.

Arthur spojrział niecierpliwie na Francuza. Audubon stał nieruchomo, z rozdziawionymi ustami, i patrzył, jak gąsior zajmuje pozycję i nieruchomieje niczym posąg.

— Chce pan rysować kijkiem w błocie? — zapytał Arthur. Dopiero wtedy Audubon zauważył, że papier i farby zostały w worku. Podbiegł do bagażu, zatrzymując się co chwilę, by się upewnić, że gąsior wciąż jest na miejscu.

— Zapomniałeś, że dziś rano mieliśmy opuścić Filadelfię? — zapytał Alvin, kiedy Audubon znalazł się poza zasięgiem słuchu.

Arthur spojrział na niego z wyrazem tak morderczej pogardy, do jakiej zdolna jest tylko twarz dorastającego chłopca.

— Możesz wyjechać, kiedy tylko zechcesz.

Z początku Alvin uznał, że chłopiec mówi mu, by jechał sam i go zostawił. Ale natychmiast pojął, że Arthur jedynie stwierdza fakt: Alvin mógł wyjechać z Filadelfii, kiedy chciał, więc nie ma znaczenia, czy nastąpi to dziś rano, czy później.

— Verily i Mike będą się martwić, jeśli zaraz nie wrócimy.

— Nie chcę, żeby umierały ptaki.

— To boże zadanie, widzieć każdą spadającą jaskółkę. Nie słyszałem, by ogłaszał, że to stanowisko jest wolne.

Arthur nadał się i nie odpowiedział już ani słowem. Po chwili wrócił Audubon, usiadł na trawie pod drzewem i zaczął mieszać farby, by uzyskać kolory gęsiego upierzenia.

— Chcę patrzeć, jak pan maluje — oświadczył Arthur.

— Nie lubię, kiedy ktoś zagląda mi przez ramię.

Arthur wymruczał coś i gąsior zaczął odchodzić.

— Dobrze! — zawołał rozgorączkowany Audubon. — Patrz, jak maluję, patrz na ptaka, patrz na słońce w niebie, aż oślepniesz! Co tylko chcesz!

Arthur Stuart wymamrotał coś do gąsiora, a ptak natychmiast poczłapał z powrotem na miejsce.

Alvin pokręcił głową. Czyste wymuszenie. Gdzie się podziało to łagodne dziecko, które znał od tak dawna?

DAMA DWORU

Peggy przez cały ranek starała się opanować lęk przed spotkaniem z lady Guinevere Ashworth. Jako jedna ze starszych dam pokojowych królowej Mary, miała u dworu pewne wpływy; co ważniejsze, była żoną lorda kanclerza, Williama Ashwortha. Jej mąż przyszedł wprawdzie na świat jako trzeci syn nauczyciela, ale dzięki inteligencji, błyskotliwości i niespożytej energii wyrąbał sobie drogę do znakomitej edukacji, dobrego małżeństwa i wysokiego urzędu. Lord William nie miał złudzeń co do własnego pochodzenia — w dniu ślubu przyjął nazwisko rodowe żony.

Kobieta jest jednak kobietą, niezależnie od swej rodziny czy urzędu męża, powtarzała sobie Peggy. Kiedy pęcherz lady Ashworth się wypełnia, aniołowie nie zmieniają cudownie jego zawartości w wino i nie zlewają do butelek, choć słysząc, jakim tonem wymawia się jej imię w Camelocie, można by się tego spodziewać. Był to ten poziom towarzyski, do którego Peggy nigdy nie aspirowała, nawet nie interesowała się nim. Właściwie nie знаła odpowiedniego sposobu zwracania się do córki markiza. Kiedy zastanawiała się, czy kogoś nie spytać, zaraz przypominała sobie, że jako dobra republikanka powinna nie tylko używać niewłaściwych form, ale wręcz czynić to ostentacyjnie. W końcu i Jefferson, i Franklin nieodmiennie mówili o królu jako „panu Stuarcie”, a nawet zwracali się do niego w ten sposób w oficjalnej korespondencji między głowami państw. Plotka głosiła jednak, że urzędnicy z ministerstwa „tłumacza” wszystkie listy tak, by wystąpiły w nich właściwe formy, i w ten sposób unikają międzynarodowych zatargów.

Jeśli w ogóle istniała nadzieja uniknięcia wojny zagrażającej narodom Ameryki, może ona zależeć od rozmowy Peggy z lady Ashworth, ponieważ lady Guinevere nie tylko miała wysoką pozycję towarzyską — niektórzy twierdzili, że sama królowa pyta

ją o radę w sprawach stroju — lecz była także liderką najbardziej znaczącej organizacji antyniewolniczej w koloniach Korony, Kobiety przeciwko Prawom Własności Osób. Zgodnie z panującą tu modą, organizację zwykle określano skrótem Kaprawo — wyjątkowo niefortunnie, zdaniem Peggy, zwłaszcza dla klubu powszechnie szanowanych dam.

Tak wiele może zależeć od porannego spotkania. . . Wszystkie inne ścieżki kończyły się ślepyimi zaułkami. Po miesiącach spędzonych w Appalachee Peggy zdała sobie sprawę, że naciski na utrzymanie niewolnictwa w Nowych Hrabstwach pochodzą z kolonii Korony. Rząd króla pobrzękiwał szabelką, zarówno w przenośni, jak i dosłownie, by kongres appalachijski dokładnie rozumiał, jaką daninę krwi przyjdzie zapłacić za zniesienie niewolnictwa. Jednocześnie unia ze Stanami Zjednoczonymi była niemożliwa, dopóki niewolnictwo pozostawało legalne gdziekolwiek w Appalachee. A najprostszy kompromis, polegający na umożliwieniu secesji proniewolniczym Nowym Hrabstwom Tennizy, Cherriky i Kenituck, był polityczną niemożliwością w samym Appalachee.

Rezultat, którego Peggy najbardziej się obawiała, polegałby na ustępstwie Stanów Zjednoczonych i dopuszczeniu Nowych Hrabstw jako stanów niewolniczych. Takie za-

trucie amerykańskiej wolności zniszczy kraj — była tego pewna. A secesję Nowych Hrabstw uważała za odrobinę tylko lepsze rozwiązanie, gdyż wtedy większość Czarnych w Appalachee pozostanie pod batem nadzorcy. Nie; jedynym sposobem uniknięcia wojny i zachowania choćby iskry przyzwoitości wśród ludów Ameryki byłoby przekonanie kolonii Korony do zgody na to, by całe Appalachee, razem z Nowymi Hrabstwami, zawarło unię ze Stanami Zjednoczonymi, co prowadziłoby do delegalizacji niewolnictwa w całym kraju.

Przyjaciele abolicjoniści śmiali się, gdy Peggy przedstawiała tę możliwość. Nawet jej mąż, Alvin, był pełen wątpliwości, choć w listach oczywiście zachęcał, by postępowała tak, jak uzna za słuszne. Po setkach rozmów z mężczyznami i kobietami w całym Appalachee, a w ostatnich tygodniach w Camelocie, Peggy sama miewała chwile zwątpienia. Póki jednak istniała choć iskra nadziei, będzie się starała rozpalić ją w jakąś znośną przyszłość. Gdyż przyszłość, jaką dostrzegała w płomieniach serc ludzi wokół siebie, była nie do zniesienia. Musi być pewna, iż zrobiła wszystko co tylko możliwe, by zapobiec wojnie — wojnie, po której ziemia Ameryki przesiąknie krwią, i której wynik wcale nie jest przesądzony.

Tak więc mimo strachu Peggy nie miała wyboru: musiała złożyć tę wizytę. Bo nawet jeśli nie przekona lady Ashworth i jej klubu Kaprawo do sprawy emancypacji, może przynajmniej za jej pośrednictwem uzyskać audiencję u króla i przedstawić swe poglądy bezpośrednio monarsze.

Perspektywa rozmowy z królem budziła mniejszy lęk niż spotkanie z lady Ashworth. Z ludźmi wykształconymi Peggy mogła rozmawiać szczerze, w języku zrozumiałym dla obu stron. Ale damy z Południa, jak się przekonała, były o wiele bardziej skomplikowane. Cokolwiek człowiek powiedział, dla nich oznaczało coś innego, a cokolwiek one mówiły, mogło oznaczać wszystko, z wyjątkiem zwykłego sensu słów. Dobrze, że damy z Południa nie dopuszczano do college'ów — i tak były zajęte nauką języka o wiele bardziej subtelnego i trudniejszego od zwykłej łaciny czy greki.

Peggy źle spała w nocy, rano zjadła niewiele i jeszcze mniej zatrzymała w żołądku. Najostrzejsze mdłości wczesnego okresu ciąży już minęły, ale kiedy się denerwowała, tak jak dzisiaj, powracały z wyjątkową siłą. Iskra życia dziecka w jej łonie dopiero stawała się widoczna; już wkrótce zdoła zobaczyć cienie jego przyszłości. Tylko niejasne wizje, gdyż płomień serca płodu jest chaotyczny i zmienny, ale wtedy to

życie stanie się dla Peggy rzeczywiste. Niech urodzi się w świecie lepszym niż obecny, myślała. Niech moje wysiłki zmienią przyszłość wszystkich dzieci.

Palce miała niezręczne i drżące; kiedy próbowała zapinać guziki, musiała prosić o pomoc niewolnicę przypisaną do jej piętra w pensjonacie. Jak wszyscy niewolnicy w koloniach Korony, dziewczyna unikała wzroku Peggy, nawet nie patrzyła na nią wprost. Chociaż odpowiadała cicho, ale wyraźnie na wszystkie pytania, wymianę zdań między nimi trudno by nazwać rozmową.

— Przepraszam, że sprawiam kłopot, ale czy mogłabyś mi pomóc przy guzikach?

— Tak, psze pani.

— Mam na imię Peggy, a ty?

— Jestem Ryba, psze pani.

— Proszę, nazywaj mnie Peggy.

— Tak, psze pani.

Nie warto się upierać. . .

— Ryba? Naprawdę? Czy to tylko przezwisko?

— Tak, psze pani.

— Co tak?

— Ryba, psze pani.

Specjalnie nie chce zrozumieć; zostawmy to.

— Dlaczego matka nadała ci takie imię?

— Nie wiem, psze pani.

— A może to nie matka tak cię nazwała?

— Nie wiem, psze pani.

— Jeśli dam ci coś za twoje usługi, pozwolą ci to zatrzymać?

— Żadnej zapłaty, psze pani.

— Ale gdybyś znalazła pensa na ulicy, wolno by ci było zachować go na własność?

— Nigdy nie znalazłam żadnego pensa, psze pani. Już gotowe, psze pani. — Ryba w jednej chwili znalazła się w drzwiach. W progu obejrzała się, by spytać: — Czy jeszcze coś, psze pani?

Peggy znała oczywiście odpowiedzi na swoje pytania, gdyż widziała je w płomieniu serca dziewczyny. Widziała, jak matka oddawała ją pod opiekę innym niewolnicom, gdyż z dzieckiem wiszącym u spódnicy nie mogłaby wzbudzić pożądania właściciela.

A kiedy brzuch jej obwisł od zbyt wielu ciąż, właściciel zaczął dzielić się nią z białymi gośćmi, a potem z białymi nadzorcami. Aż pewnego dnia oddał ją Curowi, czarnemu zarządcy z plantacji. Wstyd, że spadła tak nisko, by być dziewczką Czarnych, okazał się nie do wytrzymania i matka Ryby się powiesiła. Znalazła ją Ryba. Peggy zobaczyła to wszystko w jednym rozbłysku w umyśle Ryby, kiedy zapytała ją o matkę. Ale tej historii Ryba nigdy nie opowiadała i nigdy nie opowie.

Podobnie Peggy dowiedziała się, że imię nadał Rybie syn pierwszego właściciela, któremu została sprzedana po samobójstwie matki. Miała być jego osobistą pokojową, a starsza pokojowa na plantacji wyjaśniła jej, że musi robić wszystko, czego zażąda od niej młody panicz. Dziewczyna nie dowiedziała się jednak, o co jej chodziło, gdyż chłopak spojrział tylko na nią, oświadczył, że cuchnie rybą, i nie wpuścił do pokoju. Przez długie miesiące, kiedy pozostawała w tym domu, wykonywała różne obowiązki, ale imię Ryba się przyjęło. Kiedy sprzedano ją do miasta Camelot, zabrała je ze sobą. Było lepsze od tego, które nadała jej matka: Brzydkie Dziecko.

Co do napiwków, gdyby przy którymś z niewolników w tym domu znaleziono pieniądze, uznano by, że zostały ukradzione. Niewolnik byłby wtedy wychłostany, napięt-

nowany i na tydzień przykuty do słupa w porcie. Niewolnicy chodzą ze spuszczo-
nymi głowami, to prawda, ale przynajmniej w tym domu nie znajdują na podłodze monet.

Najgorsze okazało się dla Peggy przekonanie, że nie może zwyczajnie powiedzieć:
„Rybo, nie rozpaczaj. Czujesz się bezsilna i jesteś bezsilna poza okazywaniem posęp-
nej wzdargy, poza umyślną opieszałością, drobnymi przejawami buntu. Nic nie możesz
zrobić. Ale są wśród nas ludzie, wielu ludzi, którzy pragną dać ci wolność”. Nawet
gdyby to powiedziała, czy Ryba uwierzyłaby białej kobiecie? A gdyby i uwierzyła, co
wtedy? Nie mogłaby ani na jotę zmienić swego zachowania, gdyż ucierpiałaby za to,
a wyzwolenie, o ile kiedyś nastąpi, oddalone jest jeszcze o wiele lat.

Dlatego Peggy znosiła niewypowiedzianą pogardę Ryby i jej nienawiść.

Czarna skóra Ryby czyni ją niewolnicą w tym kraju, a zatem moja biała skóra czyni
mnie jej wrogiem, myślała. Gdyby bowiem zdradziła choć odrobinę swobody w kon-
taktach ze mną, zwróciła się do mnie przyjaźnie czy jak do równej sobie, naraziłaby się
na straszliwą karę.

W takich właśnie chwilach Peggy sądziła, że jej bojowi abolicjonistyczni przyjaciele z Filadelfii mogą mieć rację. Tylko krew i ogień zdołają oczyścić Amerykę z tego grzechu.

Wzruszyła ramionami i odepchnęła tę myśl, jak zawsze. Ludzie, którzy przyczyniali się do takiej degradacji Czarnych, czynili to, bo nie znali niczego innego albo byli słabi i tchórzliwi. Niewiedza, słabość i strach prowadziły do wielkich krzywd, ale same w sobie nie były grzechem i często z większą korzyścią można je naprawiać, niż karać. Tylko ci, których serca cieszyło poniżenie bezbronnych, którzy szukali okazji, by dręczyć swych czarnych niewolników, zasługiwali na krew i grozę wojny. Ale wojna nigdy nie była tak dokładna, by nieść cierpienie tylko tym, którym się należało.

* * *

Na ulicach Camelotu stały bryczki do wynajęcia, jednak Peggy nie miała pieniędzy, by marnować je na takie luksusy. Postanowiła pójść piechotą, lecz trzymać się z daleka od King's Street, gdzie konie jeździły tak gęsto, że nawóz całkiem zakrywał bruk, a tak pryskał, że zawsze ubrudził ubranie. Oczywiście nigdy nie zdecydowałaby się na przej-

ście Water Street — za bardzo cuchnęło tam rybami, a zapach pozostawał w ubraniu jeszcze przez kilka dni, choćby nie wiem jak mocno je wietrzyła.

Bardzo lubiła boczne uliczki — były tam zadbane ogrody z jaskrawymi plamami kwiatów, z głęboką, lśniąca zielenią liści, która sprawiała, że każdy ogród przypominał Eden. Bryza znad morza łagodziła duchotę powietrza. Wszystkie domy tak zaprojektowano, by chwytaly nawet najlżejszy wietrzyk, a wysokie na trzy kondygnacje werandy ocieniały dłuższe ściany co bogatszych budynków. Zapewniały głęboki cień w popołudniowym upale, a nawet teraz, nieco przed południem, na wielu z nich niewolnicy stawiali już na stolikach schłodzoną lemoniadę i szykowali się do odpędzania much.

Małe dzieci podskakiwały energicznie na dziwnych, giętkich ławkach ustawionych dla zabawy. Póki nie przyjechała tutaj, nie widziała takich urządzeń, choć były proste do wykonania: solidna deska między dwoma podporami na końcach i żadnej podpórki w środku. Dziecko mogło skakać na tej desce i zeskakiwać jak wystrzelone z procy. Może gdzie indziej taki niepraktyczny obiekt, wymyślony jedynie do zabawy, wydawałby się niegodnym luksusem. A może gdzie indziej dorośli nie zadawali sobie tyle trudu wyłącznie po to, żeby ucieszyć dzieci. Jednak w Camelocie dzieci traktowano

jak młodych arystokratów. Jeśli się nad tym zastanowić, to większość prawdopodobnie nimi była, a przynajmniej ich rodzice woleli udawać, że tak jest.

Jak wiele razy wcześniej, Peggy zadumała się nad tą sprzecznością: ludzie tak czuli dla swych dzieci, tak weseli i lubiący zabawę. . . A przy tym nie przeszkadzało im, że te same dzieci wychowywali, by chłostały niewolników nawet za drobne przewinienia, by dzieliły i sprzedawały ich rodziny.

Oczywiście, w mieście tylko nieliczne rezydencje były dostatecznie rozległe, by umożliwić właściwą chłostę na terenie posiadłości. Niewolników prowadzono na rynek i tam wymierzano karę, by jęki i krzyki nie przeszkadzały rozmowom w salonach i gabinetach pięknych domów.

Jacy naprawdę są ci ludzie? Ich miłość do dzieci, do króla i ojczyzny, do klasycznej edukacji, o którą bardzo dbali, wszystko to było szczere. Wszystkie znaki świadczyły, że są wykształceni, o wyrobionych gustach, wielkoduszni, tolerancyjni, gościnni — jednym słowem cywilizowani. A mimo to tuż pod powierzchnią kryła się bezmyślna brutalność i głęboki wstyd zatruwający wszystkie ich działania. Całkiem jakby dwa miasta leżały w jednym miejscu: Camelot, dworska metropolia, siedziba króla na wygnaniu,

był krainą tańca i muzyki, edukacji i dyskusji, światła i piękna, śmiechu i miłości. Ale dawne miasto Charleston wciąż tu istniało, a jego budynki odpowiadały tym z Camelotu — ściana w ścianę, drzwi w drzwi. Tylko obywatele się różnili, gdyż Charleston było miastem targu niewolników, miastem półbiałych dzieci wyprzedawanych z posiadłości własnych ojców, miastem chłost i poniżenia. I jako nasienie, korzeń, liść i kwiat tego miasta zła, rosła tu nienawiść i strach Czarnych i Białych, którzy żyli w stanie wojny, jedni skazani na wieczne porażki, drudzy na wieczny lęk przed. . .

Przed czym? Czego się boją?

Sprawiedliwości.

Po raz pierwszy uświadomiła sobie, czego nie dostrzegła w płomieniu serca Ryby: żądzy zemsty.

A to przecież niemożliwe. Jakaż ludzka istota potrafiłaby znieść wieczną niesprawiedliwość i ani razu nie krzyknąć, przynajmniej w zaciszu własnej duszy, o moc naprawienia świata? Czyżby Ryba była tak pokorna, że wybaczala wszystko? Nie, jej posępny opór nie miał w sobie nic z pobożności. Wypełniała ją nienawiść. A jednak

Ryba nie miała ani jednej myśli, marzenia ani planu ukarania winnych, osobistego czy boskiego. Nawet nadziei na uwolnienie czy ucieczkę.

Peggy szła uliczkami pod gorącym słońcem i niemal kręciło się jej w głowie na myśl, co się dzieje. I to nie tylko z Rybą, ale z każdym niewolnikiem, którego spotkała w Camelocie. Nie umiała zobaczyć w płomieniach ich serc wszystkiego. Potrafili ukryć przed nią część swych uczuć. Niewyobrażalne, aby tych uczuć nie żywili — byli przecież ludźmi. Wszyscy Czarni, jakich spotkała w Appalachee, marzyli o zemście, uwolnieniu lub ucieczce. Nie; jeśli nie zauważyła takich pragnień wśród niewolników z Camelotu, to nie dlatego że ich nie znali. Nauczyli się jakoś je ukrywać pod kłamstwem tak głębokim, że istniało nawet w płomieniach ich serc.

A to rzucało cień na wszystko inne. Jeśli bowiem choć jednej rzeczy Peggy zawsze była pewna, to właśnie tej: nikt nie mógł jej okłamać tak, by o tym nie wiedziała. Tak było właściwie od dnia jej narodzin. To jeden z powodów, dla których ludzie zwykle nie lubią przebywać w towarzystwie żagwi — choć niewiele żagwi potrafiło zobaczyć choćby cząstkę tego co Peggy. Zawsze tlił się w ludziach lęk, że ich tajemne myśli zostaną poznane i ujawnione.

Peggy jeszcze w dzieciństwie nie rozumiała, dlaczego dorośli tak się denerwują, gdy odpowiada raczej na to, co widzi w płomieniu ich serca, niż na wypowiedane słowa. Ale co mogła na to poradzić? Kiedy wędrowny handlarz głaskał ją po głowie i mówił: „Na pewno znajdziemy tu coś dla tej małej dziewczynki”, niemal go nie słyszała, widząc, co zdradza płomień jego serca, nie wspominając nawet o płomieniu serca ojca i wszystkich w pobliżu. Naturalnie musiała więc odpowiedzieć: „Mój tatuś nie jest głupi! Wie, że go pan oszukuje!”.

Ale wszyscy tak się wtedy złościли, że nauczyła się milczeć o kłamstwach i sekretach. Po prostu zamykała usta, nie odpowiadała. Na szczęście nauczyła się milczenia, zanim urosła na tyle, by zrozumieć te naprawdę mroczne tajemnice, które zniszczyłyby jej rodzinę. I milczenie dobrze jej służyło — tak dobrze, że niektórzy z gości w zajeździe ojca brali ją za niemowę.

Musiała jednak rozmawiać jakoś z miejscowymi i z dziećmi w swoim wieku. Przez długi czas bardzo ją złościło, że słowa nigdy dokładnie nie odpowiadają ich pragnieniom czy wspomnieniom tego, który je wypowiada — a czasem są wręcz ich przeciwieństwem. Powoli i stopniowo pojmowała, że bardzo często wypowiedane kłamstwa

mają być łagodne, litościwe, a co najmniej uprzejme. Jeśli matka uważa, że córka jest nieładna, cóż w tym złego, że skłamię i powie, jak bardzo lubi, kiedy twarz dziecka rozjaśnia się w uśmiechu? Co by komu przyszło z tego, że wyraziłaby swoją prawdziwą opinię? A kłamstwo pomagało dziewczynce dorastać w radości, dzięki czemu naprawdę stawała się ładniejsza.

Peggy zaczęła rozumieć, że to, co czyni wypowiedź dobrą lub niegodziwą, rzadko kiedy zależy od jej prawdziwości. Niewiele słów było prawdziwych — wiedziała o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Liczyło się tylko, czy oszustwo dokonywane jest w dobrych zamiarach, czy też by zyskać przewagę. By załagodzić sytuację towarzyską czy też wywyżzyć mówiącego w oczach innych.

Peggy stała się koneserką kłamstw. Dobre kłamstwa wypływały z miłości i dobroci — by osłonić kogoś przed cierpieniem, by ochronić niewinnego, by ukryć uczucia, których mówiący się wstydzi. Kłamstwa neutralne to fikcje zrodzone przez uprzejmość, pozwalające rozmowom toczyć się gładko, bez zbędnych, bezproduktywnych konfliktów. Co u ciebie? Świetnie.

Złe kłamstwa także były rozmaite. Zwykła hipokryzja irytowała, ale nie czyniła większej szkody, chyba że hipokryta ze wszystkich sił starał się oskarżyć innych o występki, których sam dokonywał skrycie. Niedbali kłamcy zdawali się nie mieć żadnego poszanowania dla prawdy, kłamali z przyzwyczajenia albo dla sportu. Okrutni kłamcy za to szukali najgorszych lęków swej ofiary i wtedy kłaniali, by sprawić jej ból lub ją wykorzystać; albo plotkowali, by zniszczyć ludzi, często oskarżając ich o grzechy, które sami chcieliby popełniać. Wreszcie byli też kłamcy profesjonalni, którzy mówili wszystko, co konieczne, by nagiąć innych do swej woli.

I mimo zdolności Peggy jako żagwi — i to nie zwyczajnej żagwi, która potrafi dojrzeć tylko mglistą wizję przyszłości dziecka w łonie — nawet jej często sprawiało kłopoty dostrzeżenie motywów kłamstwa, zwykle dlatego że były liczne i często sprzeczne. Lęk, słabość, chęć zdobycia sympatii mogły prowadzić do kłamstw, które u kogoś innego byłyby skutkiem bezwzględności lub okrucieństwa. W płomieniach serc trudno zauważyć różnicę. Niezbędny był czas; musiała zrozumieć wzorzec życia kłamcy, przekonać się, jaką ma duszę i dokąd te kłamstwa zdają się prowadzić.

Tak wiele pytań wynikało z każdego usłyszanego kłamstwa, że nie miała nadziei na znalezienie żadnej odpowiedzi — z wyjątkiem tych najbardziej oczywistych. Nawet kiedy znała prawdę, jaką kłamca starał się ukryć, czym była ta prawda? Matka wierząca, że ma brzydką córkę, może kłamać, mówiąc dziewczynce, że uśmiech czyni ją piękną — ale matka może się mylić, jej kłamstwo może być prawdą w oczach kogoś innego. Większość „prawd”, w które ludzie wierzyli i którym zaprzeczali kłamstwami, wcale nie była obiektywnymi prawdami. Realna prawda — co jest, co było lub co się stanie — okazywała się niemal niepoznawalna. Ludzie nie znali żadnego sposobu, by odróżnić prawdę od nieprawdy. Peggy zawsze widziała, w jaką prawdę kto wierzy, gdy wypowiada swoje kłamstwa, ale czy to oznacza, że sama znała prawdę?

Po latach sortowania kłamstw i uświadamiania sobie, że często są bardziej prawdziwe niż sama prawda, którą mają ukrywać, Peggy doszła w końcu do wniosku, że potrzebuje nie lepszego wyczucia prawdy, lecz umiejętności wysłuchania kłamstwa i reagowania na nie, jakby tylko to kłamstwo znała.

Kiedy uciekła z domu i pojechała do Bekane, pod opieką pani Modesty nauczyła się słyszeć zarówno słowa, jak i płomień serca, a przy tym pozwalać, by głos, twarz

i gesty zdradzały jedynie reakcje właściwe dla wypowiedzianych słów. Czasami korzystała z wiedzy zaczerpniętej z płomieni serc, nigdy jednak w taki sposób, by rozmówca podejrzewał, że zna jego najgłębsze tajemnice.

— Nawet ci z nas, którzy nie są żagwiami, muszą opanować tę sztukę — tłumaczyła pani Modesty. — Zdolność do takiego zachowania, jakbyś nie wiedziała tego, co wiesz doskonale, jest esencją uprzejmości.

Peggy nauczyła się tego wraz z muzyką, geografią, historią, gramatyką, filozofią klasyczną i poezją.

Jednak wobec tutejszych niewolników owa umiejętność nie miała zastosowania. Potrafili ukryć przed nią płomienie swoich serc.

Czy wiedzieli, że jest żagwią, i robili to świadomie? Mało prawdopodobne — nie mogli przecież wszyscy wyczuwać jej ukrytej mocy. Nie, ich tajemne marzenia były przed nią ukryte, ponieważ były ukryte także przed nimi samymi. Dzięki temu niewolnicy mogli przetrwać. Jeśli nie znali własnej wściekłości, nie mogli jej też mimowolnie zdradzić. Rodzice w niewoli muszą uczyć swoje dzieci, jak ukrywać gniew tak głęboko, żeby same nie potrafiły go odnaleźć.

A jednak był tam — był i płonął. Czy zmienia ich serca w powoli stygnący popiół? Czy w czekającą na wybuch lawę?

Dom Ashworthów nie był największy ani najbardziej elegancko wykończony, ale też nie musiał. Lady Guinevere i lord William mogli przecież zamieszkać w dowolnej z kilku posiadłości w całych koloniach Korony. Dlatego dom miejski mógł być stosunkowo skromny, nie narażając ich na utratę prestiżu.

Mimo to widoczne były oznaki prawdziwego bogactwa. Wszystko wyglądało na doskonale zadbane. Dzwonek zabrzmiał melodyjnie, drzwi od ulicy otworzyły się bezgłośnie na zawiasach. Podłoga dolnej werandy nie trzeszczała, była solidnie zbudowana — nawet weranda! A meble nie zdradzały śladów zniszczenia; z pewnością wnoszono je do wnętrza, kiedy psuła się pogoda, albo wymieniano co roku. Perfekcja w każdym szczególe. Ostentacja ludzi z nieograniczonymi zasobami finansowymi i nienagannym smakiem.

Niewolnik, który otworzył drzwi i wprowadził Peggy do pokoju, był chudym mężczyzną w średnim wieku. Pasował do swej liberii, jak gdyby urodził się w niej, a ona dorastała wraz z nim. A może spadała z niego od czasu do czasu, jak z węża skóra, od-

słaniając pod spodem idealnie dopasowany nowy kostium. Niewolnik nie odezwał się ani słowem i nie spojrział na Peggy. Przedstawiła się, kiedy otworzył drzwi, a on odstąpił i przepuścił ją. W ten sam sposób, subtelnymi gestami, pokazywał, kiedy powinna iść za nim i gdzie ma zaczekać.

Jego milczenie pozwoliło jej skupić się w pełni na badaniu płomienia jego serca. Teraz, kiedy знаła już tajemnicę, zaczęła szukać brakującej części. Ponieważ istotnie jej brakowało: urażonej godności, cierpienia, strachu, złości. Wszystkie zniknęły. Myślał tylko o służbie, o zadaniach do wykonania i o tym, w jaki sposób je wykona. Intensywna koncentracja na rutynowych czynnościach.

To przecież niemożliwe. Nie mógłby żyć ciągle w stanie tak niezwykłego skupienia myśli. Nikt tego nie potrafi. Gdzie są rozrywki? Gdzie ludzie, których lubi albo nienawidzi? Gdzie jego człowieczeństwo?

Czyżby w tym miejscu właściciele odnieśli sukces? Czyżby wyrwali z serc niewolników samo życie? Udało im się zmienić tych ludzi w to, czym zawsze twierdzili, że są — w zwierzęta?

Odszedł, a płomień jego serca był tak słaby, że z trudnością go śledziła po domu. Jak miał na imię? Czy samo imię też było ukryte? Nie, jest: Lew. Ale to tylko przezwisko domowe, nadane mu, kiedy tu przybył. Widocznie lorda i lady Ashworth bawi nadawanie niewolnikom imion szlachetnych zwierząt. Jak takie ulotne imię może być jedynym zawartym w płomieniu serca?

Jest też inne imię, ukryte gdzieś głęboko. Na pewno jest i u Ryby — imię ważniejsze niż Brzydkie Dziecko. I tam, gdzie ukryte jest to ważne imię, tam znajdzie prawdziwy płomień serca. Ryby, Lwa, wszystkich Czarnych, których ręce wykonują wszelką pracę w mieście.

— Panno Larner — odezwał się cichy głos.

Tym razem kobieta — stara i pomarszczona, siwowłosa. Suknia wisała na niej jak na kiju, ale trudno mieć do kogoś o to pretensję, przecież żaden strój nie wyglądałby dobrze na osobie tak wysuszonej. Peggy nie była pewna, czy dobrze to świadczy o właścicielach — że zatrzymali taką starą niewolnicę jako element gospodarstwa, czy raczej źle — że wyciskają ze staruszki ostatnie resztki energii.

Nie, nie; nie bądź cyniczna, powiedziała do siebie Peggy. Lady Ashworth jest przewodniczącą Kaprawo i publicznie agituje za ograniczeniem niewolnictwa. Nie pozwoliłaby tej starszce wprowadzać gości, gdyby przewidywała, że dostrzegą w tym jakieś negatywne implikacje.

Kobieta poruszała się bardzo powoli. W tym domu nazywano ją Łanią, ale — ku wielkiej uldze Peggy — jej płomień serca nie przygasł, niczego nie skrywał i łatwo było znaleźć tam prawdziwe imię, afrykańskie słowo, które Peggy słyszała w myślach, ale nie wiedziała, jak uformować wargi, by je wymówić. Wiedziała jednak, co owo imię oznacza — rodzaj kwiatu. Tę kobietę łowcy niewolników porwali z wioski ledwie kilka dni przed planowanym małżeństwem; była sprzedana trzy razy w ciągu trzech dni, nim zobaczyła pierwszą białą twarz — kapitana portugalskiego statku. Potem rejs, pierwszy właściciel w Ameryce, wysiłek, by opanować angielski i rozumieć, co jej rozkazują. Była bita, głodzona, chłostana i dręczona. Żaden z białych właścicieli jej nie zgwałcił, ale krzyżowano ją z innymi niewolnikami jak klacz; z dziewięciorga dzieci, jakie urodziła, tylko dwoje — dziewczynka i chłopiec — pozostało przy niej po trzecich urodzinach.

Trafiły do miejscowych rodzin i widywała je czasem jeszcze dzisiaj. Wiedziała nawet o trójce wnuków, gdyż jej córka stała się konkubiną swego białego pana i . .

I cała trójka była wolna.

Zadziwiające. To nielegalne w koloniach Korony, ale w płomieniu serca tej kobiety Peggy zobaczyła, że Łania wierzy, iż to prawda.

A dalej jeszcze większa niespodzianka: Łania także jest wolna, i to od pięciu lat. Dostaje zapłatę oraz może za darmo mieszkać w niedużym pokoiku w tym domu.

Dlatego tak łatwo było znaleźć płomień jej serca. Wspomnienie gniewu i goryczy wciąż w nim tkwiło, ale lord Ashworth wyzwolił ją w dniu siedemdziesiątych urodzin.

Jak cudownie, pomyślała Peggy. Po ponad pięćdziesięciu latach w niewoli, kiedy żyła już dłużej niż ogromna większość niewolników, kiedy jej ciało się pomarszczyło, a siły odeszły, dopiero wtedy odzyskała wolność.

I znowu Peggy zmusiła się, by odepchnąć te cyniczne myśli. Dla niej może to być akt pozbawiony znaczenia: wyzwolenie Łani w tak podeszłym wieku. Ale dla samej Łani było to niezwykle istotne. Otworzyło jej serce. Teraz martwiła się tylko o troje swych wnuków. O nich i o zarabianie służbą w tym domu na skromną pensję.

Łania zaprowadziła Peggy po schodach na piętro. Wszyscy tu mieszkali powyżej poziomu ulicy. Nie, Łania zaprowadziła ją jeszcze wyżej, na urządzone z przepychem drugie piętro. Tam, zamiast do gabinetu, Peggy trafiła na werandę, a na niej... Tak: trzcinowe fotele, dzbanek zimnej lemoniady, kołyszące się paski odpędzające muchy, chłopak niewolnik z wachlarzem prawie tak wielkim jak on sam. I wreszcie, z konewką w ręku, przy doniczce, sama lady Ashworth.

— Jak to miło, że pani przyszła, pani Larner — powiedziała. — Nie mogłam uwierzyć własnemu szczęściu, kiedy dowiedziałam się, że w swym napiętym planie zajęć znajdzie pani czas, by mnie odwiedzić.

Lady Ashworth okazała się o wiele młodsza i ładniejsza, niż Peggy się spodziewała. Ubrała się raczej wygodnie, a włosy upięła w prosty kok. Najbardziej zdumiała Peggy konewka. Podejrzenie przypominała narzędzie pracy, a podlewanie kwiatów w doniczce można uznać za pracę fizyczną. Damy z rodzin posiadających niewolników nie robiły takich rzeczy.

Lady Ashworth zauważyła wahanie Peggy i natychmiast zrozumiała jego powód. Roześmiała się.

— Odkryłam, że niektóre delikatne rośliny lepiej rosną, kiedy sama o nie dbam. Tym przecież zajmowali się w raju Adam i Ewa. Doglądali ogrodu, prawda?

Odstawiła konewkę, z gracją usiadła w trzcinowym fotelu obok stolika z dzbankiem lemoniady i wskazała Peggy drugi fotel.

— Poza tym, pani Larner, trzeba się przygotować do życia po abolicji niewolnictwa.

I znowu Peggy się zdumiała. W regionach niewolniczych słowo „abolicja” było mniej więcej tak uprzejme, jak co barwniejsze określenia ze słownika rzeczno szczerą.

— Och, wielkie nieba! — westchnęła lady Ashworth. — Obawiam się, że mój język mógł panią zaszokować. Ale przecież po to pani tu przyjechała, nieprawdaż, pani Larner? Czy nie łączy nas wspólny cel likwidacji niewolnictwa, gdzie to tylko możliwe? Jeśli się nam uda, powinnam przecież wiedzieć, jak wykonywać te czy inne zajęcia. Ale pani wcale się nie odzywa. . .

Peggy uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

— Rzeczywiście, nic nie mówię. Bardzo jestem wdzięczna, że zechciała się pani ze mną spotkać. I mogę zapewnić, że damy w Stanach Zjednoczonych nie stoją z rękami po łokcie w praniu. Wynajęta służba zajmuje się co bardziej męczącymi pracami.

— Ale to o wiele droższe. Służba spodziewa się pensji w gotówce. My tutaj rzadko używamy pieniędzy. Tylko sezonowo. Francuscy i angielscy kupcy przyjeżdżają do miasta, sprzedajemy bawełnę i tytoń, potem płacimy dostawcom za cały rok. Nie nosimy przy sobie pieniędzy ani nie trzymamy ich w domu. Nie sądzę, abyśmy przy takiej polityce zdołali zatrudniać zbyt wielu wolnych służących.

Peggy westchnęła w myślach, bo płomień serca lady Ashworth opowiadał całkiem inną historię. Sama podlewała kwiaty, gdyż niewolnicy specjalnie zalewali wodą najkosztowniejsze, sprowadzane z daleka okazy i zabijali je stopniowo. Wymyślony brak gotówki nie miał nic wspólnego z zatrudnianiem wolnych służących, ponieważ zamożne rodziny zawsze miały dość pieniędzy w banku. A co do abolicji, słowo to budziło w lady Ashworth' takie samo obrzydzenie jak u każdego właściciela niewolników. Zresztą nienawidziła także samej Peggy. Uznawała jednak, że pewne ograniczenia niewolnictwa należy wprowadzić, by ułagodzić opinię publiczną w Europie i Stanach Zjednoczonych.

Wszystko, co zamierzała pozwolić osiągnąć klubowi Kaprawo, to zakaz niewolnictwa w pewnych regionach kolonii Korony, gdzie gleba i gospodarka i tak czyniły je nieopłacalnym. Lady Ashworth zawsze udawało się przekonywać ludzi z Północy, że jest radykalna w swych poglądach; spodziewała się, że podobnie będzie z Peggy.

Peggy jednak postanowiła, że nie da się traktować z taką wzgardą. Bez trudu odnalazła w płomieniu serca lady Ashworth kilka przykładów jej ostatnich okrucieństw wobec niewolników.

— Może zamiast samodzielnym dźwiganie konewki — rzekła — wykazałaby pani swoje oddanie sprawie abolicji, sprowadzając z powrotem tych dwóch niewolników, którzy stoją w łańcuchach, bez kropli wody do picia, na gorącym słońcu w porcie.

Twarz lady Ashworth nie zdradzała niczego, ale w płomieniu jej serca Peggy dostrzegła gniew i lęk.

— Cóż, pani Larner, wydaje mi się, że przeprowadziła pani niewielkie śledztwo.

— Imiona i nazwiska właścicieli niewolników są tam wypisane i każdy może je odczytać.

— Niewielu gości z Północy wtyka nos w nasze sprawy wewnętrzne, odwiedzając park dyscypliny.

Zbyt późno Peggy zdała sobie sprawę, że strażnicy przy placu kar — trudno go nazwać parkiem — nigdy by jej tam nie wpuścili. Nie bez listu wprowadzającego. A lady Ashworth na pewno zbada, kto umożliwił wstęp tak radykalnej abolicjonistce z Północy jak Peggy. Dowie się, że nie było takiego listu, a Peggy nie składała wizyty na placu. Wtedy domyśli się... czego? Że Peggy jest żagwią? Możliwe. Ale uzna raczej, że rozmawiał z nią jeden z domowych Czarnych. Kary spadną na dwie osoby, z którymi się kontaktowała: Łanię i Lwa. Peggy spojrzała w przyszłość, które właśnie stworzyła; zobaczyła, jak Łania przyznaje się do wszystkiego, lecz lady Ashworth jest całkiem pewna, że staruszka kłamie, by ochronić Lwa.

Co wtedy zrobi lady Ashworth? Lew, który nie zechce się przyznać, zostanie wychłostany. W tych przyszłościach, w których przeżyje chłostę, będzie sprzedany na zachód. Łanię wyrzucą z domu, bo choć nie udzieliła Peggy żadnych informacji, pokazała, że jest bardziej lojalna wobec innego Czarnego niż wobec swej pani. Jako wolna Czarna w podeszłym wieku, Łania będzie musiała żyć tym, co z litości dadzą jej inni niewol-

nicy, a za każdy kęs żywności, jaki jej przyniosą, może ich spotkać kara za okradanie właścicieli.

Pora na kłamstwo.

— Sądzi pani, że jest jedyną... abolicjonistką w Camelocie? Różnica polega na tym, że niektórzy inni są szczerzy.

Płomień serca lady Ashworth natychmiast ukazał inne przyszłości. Teraz zacznie podejrzewać inne damy z Kaprawo. Któraś z nich pewnie ujawniła hipokryzję lady Ashworth, rozmawiając z Peggy czy też pisząc do niej list o odbywających właśnie karę niewolnikach.

— Czy przyszła pani do mojego domu, by mnie obrażać?

— Nie bardziej niż po to, by samej być obrażaną.

— Co zrobiłam, by panią obrazić? — spytała lady Ashworth.

Nie powiedziała tego, lecz Peggy usłyszała w jej głosie tak wyraźnie jak słowa — to niemożliwe, by lady Ashworth obraziła Peggy, ponieważ Peggy jest nikim.

— Śmie pani twierdzić, że łączy nas wspólny cel likwidacji niewolnictwa gdzie to tylko możliwe, gdy tymczasem doskonale zdaje pani sobie sprawę, że nie zamierza

przeżyć choćby jednego dnia bez niewolników. Wszystkie pani wysiłki zmierzają jedynie do uspokojenia Pólmocy, oszukania takich ludzi jak ja. Jest pani elementem strategii działań zagranicznych swego męża i zdecydowanie chce pani zachować niewolnictwo w koloniach Korony.

Wreszcie pękła fasada uprzejmości.

— Jak śmiesz! Co ty sobie wyobrażasz?! Kim ty jesteś?! Myślisz, że nie wiem? Twój mąż jest zwykłym rzemieślnikiem, ma na nazwisko Smith. Nikt nie słyszał o twojej rodzinie, a ty sama pochodzisz ze skundlonego kraju, który nie dba o mieszanie się ras i traktuje ludzi wysoko urodzonych, jakby byli zwykłymi śmieciami z ulicy!

— Nareszcie — odparła Peggy. — Nareszcie zgodziła się pani rozmawiać ze mną szczerze.

— Na nic się nie zgodziłam! Wynoś się z mojego domu!

Peggy nadal siedziała spokojnie w fotelu. Sięgnęła nawet po dzbanek i do wysokiej szklanki nalała sobie lemoniady.

— Lady Ashworth, konieczność tworzenia przez panią iluzji stopniowej emancypacji się nie zmieniła. Co więcej, sądzę, że mamy sobie o wiele więcej do powiedzenia, skoro już nie okłamujemy się nawzajem.

Zabawnie było patrzeć, jak lady Ashworth wyobraża sobie konsekwencje wyrzucenia Peggy z domu — zdarzenie to stanie się znane na całej Północy, przynajmniej w kręgach abolicjonistów.

— Czego pani chce, pani Larner? — spytała zimno.

— Chcę audiencji u króla — odparła Peggy.

MALOWANE PTAKI

Jean-Jacques Audubon wkrótce zapomniał, jak niezwykle jest malowanie z żywego modelu; skupił się na barwach i kształtach. Arthur i Alvin usiedli na trawie i zza jego pleców patrzyli, jak gąsior nabiera życia na papierze. Dla Arthura był to istny cud: maźnięcie tam, maźnięcie tutaj, gdzie indziej pasmo, tu rozmyte kolory, tam ostre granice. I z tego chaosu — ptak.

Od czasu do czasu model się męczył. Arthur podrywał się wtedy i przemawiał do gęsi, a po chwili następny ptak zajmował miejsce poprzedniego, najbardziej podobny, jakiego chłopiec mógł znaleźć. Jean-Jacques przeklinał pod nosem.

— To nie ten sam ptak, przecież widzę.

— Ale jest żywy — przypomniał mu Arthur. — Proszę spojrzeć na oczy.

Jean-Jacques prychnął tylko. Ptak bowiem wydawał się żywy na papierze. Arthur szepnął coś na ten temat Alwinowi, ale odpowiedź nie dała mu satysfakcji.

— Skąd wiesz, że martwe ptaki nie wyglądały tak samo żywo na jego obrazach?

Wreszcie dzieło było skończone. Jean-Jacques zajął się pakowaniem pędzli i farb, gdy nagle Arthur krzyknął gniewnie:

— Proszę popatrzeć tutaj, panie Audubon!

Jean-Jacques uniósł głowę. Gąsior stał w miejscu, już nie upozowany, ale wciąż na ziemi. Wpatrywał się z uwagą w Arthura Stuarta.

— Skończyłem z tą gęsią, możesz już ją puścić — rzekł malarz i wrócił do pakowania.

— Nie! — zawołał chłopiec.

— Arthurze — upomniał go cicho Alvin.

— On musi patrzeć!

Jean-Jacques westchnął i podniósł głowę.

— Na co mam patrzeć?

Gdy tylko spoczął na nim wzrok Audubona, Arthur klasnął w ręce. Gąsior podbiegł kawałek i niezgrabnie wzniósł się w powietrze. Kiedy jednak skrzydła znalazły oparcie, zmienił się w cudowną istotę; potężne uderzenia popychały go w nieskrępowanym locie. Inne gęsi także wzleciały. A Jean-Jacques, z którego spłynęło znużenie, obserwował, jak przefruwają nad drzewami.

— Co za gracia! — westchnął. — Żadna dama nigdy nie tańczy z takim wdziękiem.

— Właśnie! — krzyknął rozwścieczony Arthur. — Te żywe ptaki są piękniejsze niż te pańskie przeklęte obrazki!

Alvin chwycił chłopca za ramiona, przytrzymał, uśmiechnął się blado do Francuza.

— Przepraszam. Nigdy jeszcze nie widziałem go tak rozżłoszczonego.

— Każdy obraz, jaki pan namalował, pozbawił życia jakiegoś ptaka — mówił Arthur. — I nie obchodzi mnie, jak ładnie pan maluje, nie jest to warte zabijania!

Jean-Jacques był wyraźnie zakłopotany.

— Nikt jeszcze mi tego nie zarzucił. Ludzie strzelają do ptaków przez cały czas, ptaki giną codziennie.

— Dla mięsa. Żeby je zjeść.

— Czy on w to wierzy? — zwrócił się Jean-Jacques do Alvina. — Myślisz, że są głodni i strzelają do ptaków dla pożywienia? Może wypychają je, żeby mieć trofeum. Może strzelają dla zabawy, gniewny chłopcze.

Arthur nie dawał się udobruchać.

— No więc może nie są lepsi od pana. Ale ja wolałbym sobie raczej rękę odciąć, niż zabić ptaka tylko po to, żeby go namalować.

— Przez tyle godzin patrzysz, jak maluje, podziwiasz mój obraz, nie? A teraz wybierasz akurat ten moment i *tout á coup* się gniewasz?

— Bo chciałem, żeby pan zobaczył, jak ten ptak leci! Pan go namalował, a on dalej może latać!

— Ale to z powodu twojego mówienia do niego — tłumaczył Jean-Jacques. — Skąd mam wiedzieć, że taki chłopiec jak ty istnieje? Czy mam powinność czekać, aż przyjdzie jakiś chłopiec i każe ptakowi pozować? A do tego czasu rysuję drzewa?

— A kto pana prosił, żeby malować ptaki?

— Czy to jest pytanie, które chciałeś mi zadać?

Arthur zawahał się.

— Nie. Tak. Kiedy zobaczyłem w sklepie wypchane przez pana ptaki, zrozumiałem, że pan je zna, pan je naprawdę widzi. Ale w takim razie jak pan może je zabijać? Nie jest pan głodny.

— Często jestem głodny. Jestem głodny teraz. Ale nie chcę zjeść ptaka. Dzisiaj nie chcę gęsi. Jakie piękne gęsi. Kocham, jak latają, kocham, ale we Francji nikt nie widzi tych ptaków. Inne ptaki widzą, ale nie takie z Ameryki. Uczeni piszą i mówią o ptakach, ale widzą tylko szkice, złe kopie. Nie jestem dobrym malarzem ludzi. Większości ludzi wcale nie lubię, a przez to moje obrazy nie są dla nich ładne. Moi ludzie wyglądają, jakby byli martwi, *etouffé*, *avec* szklanymi oczkami. Ale ptaki mogę namalować jak żywe. Umiem znaleźć kolor, widzę je i przenoszę na papier. Drukujemy i teraz uczeni wiedzą, otwierają moją książkę i *voilà*, amerykański ptak, jakiego nigdy nie widzieli. Teraz mogą myśleć o ptakach i widzą je. Bóg pozwala ci rozmawiać z ptakami, gniewny chłopcze. Mnie pozwala je malować. Powinienem odrzucić ten dar Boga oprócz dzisiaj, kiedy tu jesteś, żeby mi pomóc?

— To nie pański dar, skoro ptak ginie dla niego — stwierdził Arthur Stuart.

— Wszystkie stworzenia umierają — odpowiedział Jean-Jacques. — Ptaki żyją życiem ptaków. Wszystkie tak samo. To piękne życie, ale życie w cieniu śmierci, strachu, uwagi, a potem nagle bum! Strzelba. Szpon jastrzębia. Łapy kota. Ale ptaka, którego ja zabijam, maluję na obrazie. Taki ptak będzie żył wiecznie.

— Malunek na papierze to nie ptak — upierał się Arthur Stuart.

Jean-Jacques błyskawicznym ruchem chwycił Arthura za ramię.

— Podejdź i powiedz to mojemu obrazowi! — Zmusił chłopca, by stanął nad otwartym szkicownikiem. — Każesz mi patrzeć na lecące gęsi. Teraz ty patrz.

Arthur patrzył.

— Widzisz, jaka jest piękna — mówił Jean-Jacques. — I naucza. Wiedza jest dobra. Pokazuję tego ptaka światu. Moja gęś jest gęsią Platona. Gęsią doskonałą. Prawdziwą gęsią. Istotą gęsi.

Alvin zachichotał.

— Nie bardzo się znamy na Platonie.

Arthur spojrział na niego z wyższością.

— Panna Larner nauczyła nas wszystkiego o Platonie, chyba że akurat spałeś tego dnia.

— Czy to pytanie chciałeś zadać panu Audubonowi? — upewnił się Alvin. — Zapytać, czy malowanie ptaków warte jest ich zabijania? Bo jeśli tak, wybrałeś bardzo niegrzeczny sposób, by je postawić.

— Przepraszam — mruknął chłopiec.

— Myślę, że odpowiedział ci uczciwie, Arthurze Stuart. Gdyby zabijał ptaki i sprzedawał je rzeźnikowi, nawet byś się nie zastanawiał, bo taka jest droga natury, zabijać i zjadać. Można strzelać do ptaków po to, by jakaś rodzina mogła kupić ścierwo, upiec i zjeść. Ale on tylko maluje; czy to robi z niego zabójcę?

— Wiem — burknął Arthur. — Wiedziałem od początku.

— To po co były te krzyki?

— Nie wiem. — Arthur zawstydził się. — Sam nie rozumiem, czemu się tak zezłościłem.

— Ja wiem czemu — oznajmił Jean-Jacques.

— Wiecie? — zdziwił się Alvin.

— Oczywiście. Gęsi nie lubią umierać. Ale nie umieją mówić. Nie mogą, jak to mawiacie, się skarżyć. Właśnie. Ty jesteś tłumaczem ptaków.

Arthur Stuart nie znalazł na to odpowiedzi. Przez dłuższą chwilę szli w milczeniu. Droga doprowadziła ich do pierwszych domów, a potem już bardzo szybko do miasta. Udeptana ścieżka zmieniła się w bruk pod stopami.

— Myślę o pytaniu do ciebie, królu Arthurze — rzekł w końcu Jean-Jacques.

— Co takiego? — zapytał Arthur, wyraźnie bez entuzjazmu.

— Ten głos, jaki wydajesz. . . żadna gęś tak nie robi. A jednak cię rozumieją.

— Szkoda, że go nie słyszeliście, kiedy był młodszy — wtrącił Alvin. — Gadał wtedy jak każdy ptak, którego byście pokazali.

— Utracił to, kiedy głos mu się zmienił na niższy?

— Wcześniej.

Alvin nie mógł przecież opowiedzieć, jak przemienił ciało Arthura Stuarta, żeby Odszukiwacze nie mogli go zabrać. Wprawdzie Jean-Jacques wydawał się przyzwoitym człowiekiem, ale lepiej nie zostawiać świadka, który potwierdzi, że Arthur naprawdę jest zbiegłym niewolnikiem, którego ścigają Odszukiwacze.

Jean-Jacques wrócił do tematu.

— Moje pytanie brzmi: jak się uczysz tej mowy? Nie słyszysz jej, więc jak się uczysz?

— Słyszę tę mowę — odparł Arthur. — Mówię do nich w ich własnym języku. Tyle że mam bardzo silny ludzki akcent.

Francuz wybuchnął śmiechem, a zaraz po nim Alvin.

— Ludzki akcent! — powtórzył malarz.

— Zresztą to nie jest tak, że gęsi mówią słowami — tłumaczył Arthur. — Kiedy ja do nich mówię, to raczej coś w rodzaju: Hej, jestem gęsią. A reszta to takie rzeczy jak: wszystko bezpieczne, albo: szybko, lećmy stąd, albo: nie ruszaj się teraz. Nie słowa. Tylko... życzenia.

— Ale był taki czas — wtrącił Alvin — kiedy widziałem, jak rozmawiasz z drozdem, a on ci opowiadał różne rzeczy i wcale nie tylko życzenia. To było dość skomplikowane.

Arthur zastanowił się.

— Aha, wtedy — mruknął w końcu. — To było dlatego, że ten drozd wcale nie mówił językiem drożdów. Mówił po angielsku. Tylko miał bardzo silny drożdzi akcent.

— Po angielsku? — zdumiał się Alvin.

— Z bardzo silnym drożdzim akcentem — dodał Arthur. Tym razem cała trójka wybuchnęła głośnym śmiechem.

* * *

Kiedy zbliżali się już do pensjonatu pani Louder, zobaczyli potężnego mężczyznę, który wyskoczył na ulicę, a potem natychmiast zawrócił do bramy.

— Czy to człowiek, czy wielka gumowa kula? — zapytał Jean-Jacques.

— To pan Fink — wyjaśnił Arthur Stuart. — Myślę, że na nas czekał.

— A może to Gargantua?

— Raczej Pantagruel.

Jean-Jacques stanął jak wryty. Alvin i Arthur spojrzeli na niego zdziwieni.

— Co się stało? — zapytał Alvin.

— Chłopiec zna Rabelais'go?

— A kto to taki?

— Tego dnia Alvin też spał — mruknął Arthur Stuart. Jean-Jacques przyjrzał się im po kolei.

— I on, i ty chodziliście do szkoły razem?

Alvin zgadywał, co sobie pomyślał Audubon — że Alvin musi być osłem, skoro chodził do szkoły równocześnie z dzieckiem.

— Mieliśmy tę samą nauczycielkę — wyjaśnił.

— I uczyła nas w tym samym pokoju, o tej samej porze — dodał Arthur.

— Tylko nie zawsze słuchaliśmy tych samych lekcji.

— Pewno. Ja się dowiedziałem o Rabelais' m i Platonie, a Alvin ożenił się z nauczycielką.

Jean-Jacques roześmiał się.

— To takie miłe. Ty jesteś mężem nauczycielki, ale jej najlepszym uczniem był ten mały niewolnik.

— Pewno tak, z jednym wyjątkiem — zaznaczył Alvin. — Chłopak jest wolny.

— A tak, przepraszam. Chciałem powiedzieć: czarny chłopiec.

— Półczarny — poprawił go Arthur Stuart.

— To znaczy, że jesteś też półbiały — zauważył Jean-Jacques. — Ale kiedy na ciebie patrzę, widzę tylko czarną połowę. Czy to nie ciekawe?

— Kiedy Czarni na mnie patrzą — odparł Arthur Stuart — widzą tylko białą połowę.

— Ale twoja tajemnica polega na tym — dokończył Jean-Jacques — że gdzieś głęboko w sercu znasz Rabelais'go.

— Co to ma wspólnego z byciem czarnym albo białym? — nie zrozumiał Alvin.

— Całe to czarne i białe tylko budzi u tego chłopca śmiech w środku. A kiedy się śmiejesz w głębi, gdzie nikt inny nie może zobaczyć, jest tam Rabelais. Tak, Arthurze Stuart?

— Rabelais... — zastanowił się Alvin. — Czy to książka o takim wielkim, grubym chłopie?

— Czyli ją czytałeś?

— Nie. Wstyd mi się zrobiło i oddałem ją pannie Larner. Znaczy się, Margaret. Nie można o takich rzeczach rozmawiać z damą.

— Aha... Twoja nauczycielka zaczęła jako panna Larner, a teraz jest Margaret — zauważył Jean-Jacques. — Następnym razem powiesz o niej „mama”, *n'est-ce pas?* Alvin trochę się oburzył.

— Może wy tam we Francji czytacie paskudne książki i w ogóle. Ale w Ameryce nie rozmawia się o tym, że czyjaś żona będzie miała dziecko.

— Aha, planujecie zdobyć je w inny sposób? — Jean-Jacques znów się roześmiał. — Patrzcie, Pantagruel nas zauważył. Idzie, żeby nas zgnieść.

Mike Fink podszedł do nich zagniewany.

— Wiecie, która już godzina, u diabła?! — zawołał.

Ludzie w pobliżu obejrżeli się na niego z wyrzutem.

— Nie wyrażaj się — upomniał go Alvin. — Chcesz, żebyśmy zapłacili karę?

— Chciałem dotrzeć do Trenton przed zmrokiem.

— A co, masz bilet na pociąg?

— Dzień dobry, Pantagruelu. Jestem Jean-Jacques Audubon.

— Czy on mówi po angielsku? — zdziwił się Mike.

— Mike, to jest John-James Audubon, Francuz, który maluje ptaki. Jean-Jacques, to jest Mike.

— Zgadza się, jestem Mike Fink! Półmiedźwiedź, półaligator, a babka ze strony matki była tornadem. Kiedy klasnę w ręce, pioruny wieją z nieba ze strachu. Kiedy chcę malować ptaka, sikam prosto w górę i całe stado robi się żółte.

— Trzęsę się w butach, wiedząc, że taki z pana niebezpieczny człowiek — oświadczył Jean-Jacques. — Jestem pewien, że kiedy opowiada pan o tym damom, same padają na wznak z zadartymi spódnicami.

Mike przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu.

— Jeśli on się ze mnie natrzęsa, Alwinie, będę musiał go zabić.

— Nie. Powiedział, że jego zdaniem wygłosiłeś piękną mowę — odparł Alvin. — Daj spokój, Mike. Jesteś wściekły na mnie, nie na niego. Przepraszam, że nie wróciłem. Znalazłem Arthura Stuarta dość szybko, ale potem musieliśmy zostać i pomóc panu Audubonowi malować gęś.

— Po co? — zdziwił się Mike. — Stara farba się łuszczyła?

— Nie, nie — wtrącił Jean-Jacques. — Maluję na papierze. Robię obraz gęsi.

Zanim Alvin zdążył wyjaśnić, że pytanie było żartem, odezwał się Mike.

— Dzięki, że mi to wytłumaczyłeś, ty przymulasty, szurnięty, oślogęby pawianie.

— Za każdym razem, kiedy pan mówisz, słyszę, jak dużo angielskiego muszę się jeszcze nauczyć — odpowiedział Jean-Jacques.

— To nie była wina pana Audubona, Mike. To Arthur Stuart kazał nam czekać, kiedy namówił gęś, żeby stała nieruchomo i można ją było namalować bez zabijania.

— No, ze mną nie ma sprawy — stwierdził Mike. — Nie jestem na was aż tak wściekły.

— Możesz być bardziej wściekły? — zdziwił się Jean-Jacques.

— Żaden z was jeszcze nie widział mnie wściekłego.

— Ja widziałem — przypomniał Alvin.

— No, może trochę. Kiedy złamałeś mi nogę. Jean-Jacques spojrział na Alvina, jakby zobaczył go w nowym świetle — skoro potrafił złamać nogę człowiekowi, który naprawdę przypominał niedźwiedzia.

— To Verily wygląda, jakby miał zaraz wybuchnąć — wyjaśnił Mike.

— Verily? — zdziwił się Alvin. Verily Cooper rzadko kiedy okazywał zdenerwowanie.

— Tak. Bębnił palcami po stole przy obiedzie, a na werandzie złapał muchę w powietrzu i cisnął ją o dom tak mocno, że wybił okno.

— Naprawdę? — zapytał Arthur Stuart z podziwem.

— Tak przecież powiedziałem, nie?

— A tak, zapomniałem, kto to mówi.

— Arthur i pan Audubon są głodni i spragnieni — rzekł Alvin. — Mógłbyś zabrać ich do środka i sprawdzić, czy pani Louder nie da im przynajmniej kawałka chleba i trochę wody?

— Wody? — powtórzył Jean-Jacques z bolesnym wyrazem twarzy. — Czy wy, Amerykanie, nie rozumiecie, że od wody można się pochorować? Wino jest zdrowe; piwo może być, o ile komuś nie przeszkadza, że intensywnie wytwarza urynę. Ale woda. . . dostaniecie, jak to się u was nazywa, hemoroidów.

— Piłem wodę przez całe życie — oświadczył Alvin. — I nie miałem żadnych hemoroidów.

— Ale to znaczy, że. . . — Po czym Jean-Jacques wyrzucił z siebie strumień francuskich słów.

— Przyzwyczajony — przetłumaczył Arthur.

— Tak. Przy-zwy-szajo-ny.

— Przy-zwy-cza-jo-ny — powtórzył wolno Alvin.

— Angielski to najgłupszy język na ziemi. Z wyjątkiem niemieckiego, a to nie język, tylko oziębacz głowy.

— Mówisz po francusku? — zapytał Alvin Arthura Stuarta.

— Nie — odparł Arthur, jakby to był najgłupszy pomysł na świecie.

— Ale zrozumiałeś pana Audubona.

— Domyśliłem się. Ja nawet po angielsku nie mówię tak dobrze.

Zgadza się, pomyślał Alvin. Możesz mówić po angielsku w taki sposób, jaki tylko zechcesz. Zwyczajnie lubisz czasem łamać reguły i mówić tak, jakbyś ledwie wczoraj wyszedł z chaty w dżungli.

— Wejźmy do domu i poszukajmy czegoś do jedzenia — zaproponował Mike. — A jeśli nie lubi pan wody, panie Odu-bon. . .

— Audubon — poprawił go Jean-Jacques.

— ...Mam nadzieję, że nada się mocny cydr, bo jakoś mi się nie widzi, żeby pani Louder znalazła coś mocniejszego.

— Czy mogę też dostać mocnego cydru? — zapytał Arthur Stuart.

— Nie, ale możesz dostać ciasteczko — obiecał Alvin.

— Hurra!

— O ile cię poczęstuje. I żadnego podpowiadania.

— Pani Louder zawsze wie, na co człowiek jest głodny. To jej talent.

Jean-Jacques roześmiał się.

— Potrawy, na które ja jestem głodny, nie były jeszcze podawane na tym kontynencie.

— O co wam chodzi? — zdziwił się Mike Fink. — Mamy tu ślimaki i żaby.

— Ale nie ma czosnku.

— Mamy cebulę tak ostrą, że człowiek pierdzi po niej na niebiesko. A raz próbowałem pieprzu Czerwonych, po którym zdawało mi się, że jestem rybą, i obudziłem się w rzece.

— We Francji nie ma nic równie wspaniałego. Jedzenie tam jest tak pozbawione smaku, że codziennie sam Bóg przysyła kogoś ze świętych do Paryża, żeby przyniósł mu kolację, ale co On tam wie.

Kontynuowali ten turniej przechwałek aż do kuchni. Alvin jednak zatrzymał się w małym saloniku, gdzie z książką na kolanach siedział Verily. Zerknął na Alvina, po czym wrócił do lektury.

— Wróciłeś — zauważył. — Sądziłem, że cię zabili, a Arthura Stuarta sprzedali w niewolę. — Przewrócił kartkę. — Może następnym razem.

Mówił to lodowatym tonem. Mike miał rację — Alvin nigdy nie widział Verily’ego tak rozzłoszczonego.

— Przepraszam.

— No to wszystko w porządku. — Verily zamknął książkę i wstał. — Jedźmy. — Ruszył do drzwi.

— Zbliża się wieczór — przypomniał Alvin, gdy Verily go mijał.

Verily znieruchomiał i spojrzał na Alvina z udanym zdziwieniem.

— Wieczór? Już tak późno? Nie miałem pojęcia.

— Powiedziałem, że przepraszam — powtórzył Alvin.

— Nie jestem jak Peggy — powiedział Verily. — Nie widzę z daleka płomienia twojego serca i nie mogę się przekonać, że nic wam nie grozi. Siedzę tu tylko i czekam.

— Nie mogę uwierzyć. — Alvin westchnął. — Mówisz jak żona.

— Mówię jak człowiek rozgniewany. To dość interesujące, że w myślach tłumaczysz to na gderanie żony.

— Teraz mówisz jak prawnik — stwierdził Alvin.

— A ty mówisz jak ktoś, kto uważa, że jego życie jest tak bardzo ważne, że może narażać innych na niepokój i niewygody, a wszystko będzie dobrze, kiedy tylko powie, że przeprasza.

To Alvina zaszokowało.

— Jak możesz tak mówić? Wiesz, że wcale tak nie uważam.

— Nie mówisz tego. Ale tak postępujesz.

— Tak, może rzeczywiście tak się zachowuję. Jestem w drodze i próbuję odkryć, do czego służy talent, jaki mam. Powiedziano mi kiedyś, że mam zbudować Kryształowe Miasto, tylko że nie wiem, czym ono jest ani jak się je buduje. Dlatego miotam się,

zmieniam decyzje z dnia na dzień i z tygodnia na tydzień, ponieważ nie wiem nawet, od czego zacząć. Od jakiegoś miasteczka w Tennesy, które nazywa się Kryształowe Miasto? A może od Nowej Anglii, bo jeden z najmądrzejszych ludzi, jakich znam, uważa, że tam się nauczę tworzenia miasta?

— Tu nie chodzi o to, czy korzystasz z moich sugestii, czy nie.

— Wiem, o co chodzi — zapewnił Alvin. — Twój talent jest równie zadziwiający jak mój. Na dodatek jesteś człowiekiem wykształconym. Więc dlaczego włóczysz się po całej Ameryce za niedouczonego czeladnikiem kowalskim, który nawet nie wie, dokąd zmierza?

— Właśnie to pytanie zadaję sobie przez cały dzień.

— No to sobie odpowiedz. Bo jeśli chcesz być ośrodkiem własnego życia, to wracaj do niego. Zostaw mnie. Im dłużej idziesz za mną, tym bardziej dajesz się wplątać w moje życie, aż w końcu zostaniesz tylko człowiekiem, który pomógł Alwinowi Smithowi zbudować Kryształowe Miasto.

— O ile uda ci się je zbudować.

— Dochodzimy do sedna, Very, prawda? Warto wlec się za mną, o ile w końcu zbuduję to nieszczęsne miasto. A jeśli nigdy mi się nie uda? O co wtedy będzie chodziło w twoim życiu?

Verily odwrócił się plecami, ale nie wychodził z pokoju. Podeszedł do okna.

— Teraz rozumiem — stwierdził.

— Co rozumiesz?

— Siedziałem tu, robiłem się coraz bardziej i bardziej zły, i myślałem, że to dlatego, że opóźniasz nasz wyjazd i nie dałeś znać, co się dzieje. Aż w końcu sam siebie przekonałem, że irytuje mnie to, jak egoistycznie podejmujesz decyzje. Ale to bzdura, bo przecież nic mnie nie trzyma i w każdej chwili mogę stąd odejść. Jestem przy tobie z własnego wyboru, a do tego zalicza się też cierpliwość, kiedy starasz się coś rozstrzygnąć. Więc czemu się gniewałem?

— Gniew zawsze następuje z powodu, który wydaje się rozsądny.

— Wyobrażasz sobie, że musisz to tłumaczyć prawnikowi? — Verily zaśmiał się posępnie. — Teraz zrozumiałem, że byłem zły, ponieważ nie kieruję własnym życiem. Tobie oddałem tę władzę.

— Nie mnie — sprzeciwił się Alvin.

— Ty prowadzisz tę wyprawę.

— Wydaje ci się, że skoro nie kierujesz w tej chwili własnym życiem, to ja muszę nim kierować? — Alvin usiadł na podłodze i oparł się o ścianę. — Nie ja dałem sobie ten talent. Nie ja posłałem Niszczyciela, żeby z dziesięć razy próbował mnie zabić jeszcze w dzieciństwie. Nie ja sprawiłem, że przyszedłem na świat tam, gdzie pewna żagiew mogła zobaczyć moją przyszłość i z pomocą mojego czepka porodowego za każdym razem ratować mi życie. Nie ja też sprawiłem, że spotkałem się z Tenska-Tawą. . . Porwała mnie banda Czerwonych spiskujących z Harrisonem. A kiedy już sam dokonuję wyboru, często coś psuje. Wymyśliłem, jak uchronić Arthura Stuarta przed Odszukiwaczami, ale ile go to kosztowało? Nie potrafi już imitować głosów, nawet prawdziwych głosów ptaków. Oddałbym wszystko, żeby to naprawić, żeby znów był taki jak dawniej. A ten złoty pług, żywy pług, który znalazłem w ogniu, to był mój najgorszy błąd, bo nie wiem, jak go używać ani do czego służy. Ale czuję, że musi mieć jakiś sens. Musi istnieć dla jakiegoś celu. Jakiegoś planu. Tylko że nie widzę, jaki to plan. Ani w przyszłości, ani w teraźniejszości, ani w przeszłości. Margaret też nie może mi pomóc, bo ona dostrzega

zbyt wiele przyszłości, a obchodzi ją tylko to, czy umrę, jak gdyby istniała taka przyszłość, w której nie umieram. Verily, wydaje ci się, że jesteś prowadzony na smyczy, ale przynajmniej możesz spojrzeć na jej drugi koniec i zobaczyć, kto ją trzyma.

— Ty — oświadczył Verily.

— I możesz mi ją zabrać, kiedy tylko zechcesz. Możesz pójść swoją drogą. A co ze mną, Verily? Kto trzyma moją smycz? Jak mogę się wyrwać?

Verily opadł na kolana przed Alvinem, chwycił jego dłonie, uściśnął mocno.

— Potrzebujesz przyjaciela, Alvinie, a ja tylko narzekam.

— Jesteś przyjacielem, jakiego mi trzeba, Verily. Dopóki tylko zechcesz.

Przez chwilę cieszyli się swą bliskością i tym, że nie zagubili się w wybuchu emocji dwóch mężczyzn o silnej woli.

— To znaczy, że zostajemy tu jeszcze jedną noc? — upewnił się Verily.

— O ile pani Louder nie zmieniła jeszcze pościeli.

— Nie. Powiedziała, że nie zmieni, dopóki nie zobaczy, jak odjeżdżasz.

— Czyli wiedziała, że nic dzisiaj nie wyjdzie z podróży?

— Marzyła o tym. Wiesz, że za tobą szaleje.

— Nie żartuj — obruszył się Alvin. — Jest przynajmniej dwadzieścia lat starsza ode mnie, w dodatku ja jestem żonaty.

— Kupidyn wypuszcza swe strzały tam, gdzie może najbardziej napsocić.

— Matkuje mi, i tyle.

— Dla ciebie wygląda to może jak matkowanie, ale dla niej to raczej żenowanie.

— Więc wynieśmy się stąd jeszcze dzisiaj.

— Zło już się stało — stwierdził Verily. — A ona niczego nie będzie próbowała, więc dlaczego by nie przespać jeszcze jednej nocy w znajomym łóżku?

— I zjeść znajome potrawy? — dodał Alvin.

— Które czuję już w tej chwili.

— Przecież jeszcze daleko do kolacji.

— Jakże często miłość kobiety objawia się w ciasteczkach.

— A więc jeszcze jedna noc w domu pani Louder — zdecydował Alvin.

— Zawsze będziesz tu wracał, kiedy trafisz do Filadelfii — stwierdził Verily.

— Myślisz, że potrafię zrezygnować z dobrego jedzenia i miękkiego łóżka?

— Raczej nie zniesiesz myśli o tym, że łamiesz jej serce.

— A ja myślałem, że jestem ślepy na potrzeby i pragnienia innych ludzi.

Verily uśmiechnął się.

— Wydaje mi się, że osoba, która to mówiła, była mocno zdenerwowana. Osoba racjonalna nigdy nie powiedziałaby o tobie czegoś takiego.

— W takim razie ruszamy do Nowej Anglii jutro rano? — spytał Alvin.

— Chyba że Arthur Stuart znajdzie nam coś nowego do roboty.

— A Verily, prawnik i adwokat, jedzie z nami?

— Nigdy nie wiadomo, kiedy przyda ci się ktoś, kto wyciągnie cię z więzienia.

— Mam już dosyć więzień — zapewnił Alvin. — Kiedy znowu ktoś spróbuje mnie zamknąć, wyjdę, zanim jeszcze zdąży się odwrócić.

— Czy nie wydaje ci się to ironią — rzekł Verily — że nie masz pojęcia, co powinienś zrobić, a jednak tylu ludzi zadało sobie tyle trudu, żeby ci to uniemożliwić?

— Może zwyczajnie moja twarz im się nie podoba.

— Mogę zrozumieć to uczucie. Ale myślę, że raczej boją się twojej mocy. Kiedy już zrobiłeś ten pług, kiedy ocaliłeś Arthura Stuarta, stało się jasne, że taki ktoś jak ty

istnieje. Żli ludzie oczywiście założyli, że wykorzystasz tę moc właśnie tak, jak oni by ją wykorzystywali.

— Jak?

— Cheiwey pośród nich myślą o złocie. Jaki skarbiec zdołałby cię zatrzymać? Ponieważ jedyne, co powstrzymuje ich od kradzieży, to fakt, że nie potrafią się dostać do skarbców, więc nie mogą uwierzyć, że nie wykorzystasz do tego swej mocy. Z tych samych przyczyn co bardziej ambitni wśród twych nieprzyjaciół wyobrażają sobie, że masz plany zdobycia władzy i prestiżu, więc starają się z góry cię zdyskredytować, oczerniając wszelkimi zarzutami, w jakie ich zdaniem ktokolwiek mógłby uwierzyć. Samo to, że stanąłeś przed sądem, kala twoje imię, choć zostałeś oczyszczony.

— Chcesz powiedzieć, że tak samo jak ja nie masz pojęcia, co powinienem zrobić?

— Chcę powiedzieć, że twoje szansę, by nigdy już nie trafić do więzienia, są nikłe.

— I dlatego wyruszasz ze mną?

— Z więzienia nie zbudujesz Kryształowego Miasta, Alvinie.

— Verily Cooper, jeśli ci się wydaje, że uwierzę w powody, jakie podałeś, to lepiej zastanów się jeszcze raz, przyjacielu.

— Tak?

— Ruszczasz ze mną, bo to najciekawsze ze wszystkiego, co się może zdarzyć, i nie chcesz stracić ani jednej sekundy.

— Najciekawsze? Siedzieć tu w upale przez cały dzień, kiedy ty patrzysz, jak ten Francuz maluje?

— Dlatego tak się wściekałeś — uznał Alvin. — Chciałeś sam tam być i widzieć, jak Arthur namawia ptaki do pozowania.

Verily uśmiechnął się lekko.

— Musiało to ciekawie wyglądać.

— Może przez pierwsze kilka minut. — Alvin ziewnął.

— No tak, rzeczywiście, masz takie nudne życie...

— Nie. Tylko pomyślałem, że bardziej cię poruszy to, jak włamaliśmy się do warsztatu wypychacza zwierząt i uwolniliśmy ptaka, który nie był jeszcze całkiem martwy.

Verily zaczął krążyć wokół pokoju.

— Otóż to! Pod samym nosem! To niedopuszczalne! — perorował. — Dlatego tak mnie to gniewa. Całą zabawę zachowujesz dla siebie! I przez to jesteś najbardziej irytującym przyjacielem, jakiego można sobie znaleźć.

— Ależ Verily, kiedy wychodziłem z domu, nie miałem pojęcia, że zdarzy się coś takiego.

— O to mi właśnie chodzi! — oświadczył Verily. — Nie masz pojęcia, co się zdarzy, ale biorąc pod uwagę, co ci się zdarzało przez całe życie, to postawa wyjątkowo nierozsądna. Jest wręcz szaleństwem zakładać, że dowolne zadanie, jakiego się podejmiesz, może być zrealizowane bez niebezpiecznych i fascynujących konsekwencji.

— Jakie proponujesz rozwiązanie?

Verily klęknął i oparł dłonie na kolanach Alvina.

— Zawsze zabieraj mnie ze sobą, do licha.

— Nawet kiedy muszę wyjąć co trzeba i wysikać się w krzakach?

— Jeśli zgodzę się na jakieś wyjątki, to jest tak pewne, jak twoje przyjście na świat, że w krzakach będzie czekał gadający borsuk. Zaciśnię szczęki na twoim siusiaku i nie puści, dopóki nie zdradzisz mu tajemnic wszechświata.

— Do diabła, Verily, jeśli zdarzy się coś takiego, to do końca życia będę musiał sikać w kucki, bo nie znam tajemnic wszechświata.

— I właśnie dlatego musisz mnie ze sobą zabierać.

— Czemu? Ty znasz tę tajemnicę?

— Nie, ale mogę przydusić borsuka, żeby cię puścił.

— Borsuki mają silne pazury, Verily. W parę sekund będziesz miał nogi w strzępach. Straszny z ciebie żółtodziób.

— Nie ma żadnego borsuka, Alvinie. To była sytuacja hipotetyczna, świadomie przesadzona dla lepszego efektu retorycznego.

— Plujesz na mnie, Very.

— Idę za tobą do samego końca, Alvinie. To właśnie próbuję powiedzieć.

— Wiem, Verily Cooper. Liczę na ciebie.

ZAMIESZANIE

W tanim pensjonacie, gdzie zatrzymali się Calvin i Honoré, kuchnia mieściła się w ogrodzie na tyłach. To im odpowiadało. Wracając do domu po całonocnej hulance, chcieli jeszcze coś zjeść, ale woleli nie zwracać uwagi gospodyni na swój późny powrót. Byli przecież w Camelocie, gdzie mężczyźni mogli pić, owszem, ale zachowując pozory i nigdy tak, by wprawiać w zakłopotanie damy.

Większość żywności była zamknięta w spiżarni, w parterowym domu, gdzie mieszkali niewolnicy. Nie warto ich budzić. W kuchni zostało na szczęście trochę jedzenia. Znaleźli słój taniej kuchennej melasy, trochę zjełczałego masła i nieco nasion ciecierzy-

cy przyklejonych do garnka, w którym były gotowane. Honoré de Balzac przyjrzał się tym resztkom z niesmakiem, ale Calvin tylko się uśmiechnął.

— Zanadto pan wybredny, *Monsieur Haute Societé* — oświadczył. — Nic więcej nam nie trzeba do solidnej porcji zamieszanki.

— To słowo, za które Bogu dziękuję, że go nie poznałem.

— Nazywa się zamieszanka, bo trzeba ją porządnie zamieszać.

Po chwili Calvin rozpałił w piecu, roztopił na patelni zjełczałe masło, dodał chochlą trochę melasy i wyskrobaną z garnka ciecierzycę. Po czym zamieszał.

— Widzisz? — upewnił się. — Mieszam.

— Mieszasz z boku na bok — zauważył Honoré. — A jakoś tej potrawy opada z każdą chwilą poniżej poziomu akceptacji. Jakieś zapachy unoszą się przede mną. Czego na pewno nie robisz, to nie mieszasz „za”.

— Czy angielski nie jest zabawny?

— Im dłużej cię znam, tym mniej jestem pewny, że to, co mówisz, jest po angielsku.

— Do diabła, na tym polega doskonałość języka. Można nim mówić na dziesięć tysięcy różnych sposobów, a wciąż jest OK.

— To barbarzyńskie wyrażenie! Co to znaczy?

— „Oll Korrekt”, czyli wszystko w porządku. Taki żart z ludzi, którzy za bardzo się przejmują, jak słowa są zapisane.

— O właśnie. Zapisać, to ma sens. Ślad atramentu zostaje za piórem. Za sobą zostawiasz swe pisma. Twoja ohydna mikstura powinna się nazywać „podmieszanka”.

Gęsta maź z masła i melasy bulgotała już na ogniu.

— Dobra i gorąca — stwierdził Calvin. — Chcesz trochę?

— Tylko aby odsunąć grożącą mi śmierć głodową.

— Leczy głód, ale też francuską chorobę, i jeszcze cholere, że już nie wspomnę o tym, jak wściekłe psy od niej skomlą i uciekają.

— We Francji nazywamy ją angielską chorobą.

— Od tej bandy purytanów? Jak mogą złapać chorobę płciową?

— Może i żyją czystą doktryną, ale rzną się jak króliki — oświadczył Honoré. — Dziewięcioro dzieci w rodzinie, a mniej to znak, że Bóg ich znienawidził.

— Obawiam się, że nauczyłem cię mówić prymitywnym angielskim. — Calvin skosztował zamieszanki. Była smaczna. Ciecierzycy okazała się trochę za twarda i Ca-

Ivin podejrzewał, że w ciemności niechcący dodał nieco komarzego mięsa, ale wypił dość, by przejmować się tym mniej niż na trzeźwo. — Ludzie uprzejmi nie mówią „różną”.

— Sądziłem, że to eufemizm.

— Ale raczej wulgarny. Mamy w planie bywać tu w eleganckich domach, a nie z tego nie wyjdzie, jeśli będziesz tak się wyrażał.

Calvin podał łyżkę Honoré, który skrzywił się od zapachu, lecz skosztował. Maź sparzyła mu język. Sycząc, wachlował otwarte usta.

— Ostrożnie — ostrzegł go Calvin. — Jest gorąca.

— Dzięki Bogu, że inkwizycja nie zna twoich potraw.

— Ale smakuje nieźle, co?

Honoré zgryzł kilka ziaren ciecierzycy — słodkich i tłustych.

— Na surowy, prymitywny, dziki sposób, owszem — przyznał.

— Surowa, prymitywna i dzika, to najlepsze cechy Ameryki — orzekł Calvin.

— Istotnie, to smutne — odparł Honoré. — W przeciwieństwie do Rousseau, nie uważani dzikusów za szlachetnych.

— Ale rzną się jak króliki! — zawołał Calvin.

W stanie upojenia uznał to zdanie za nieopisanie zabawne. Śmiał się, aż stracił oddech. A potem wymiotował na patelnię.

— Czy to fragment przepisu? — zapytał Honoré. — *Piecé de résistance?*

— Rzygnąłem nie po zamieszance. To przez ten ocet, który kazałeś nam pić.

— Zapewniani cię, że było to najlepsze wino w tym lokalu.

— Bo nikt tam nie chodzi na wino. Specjalizują się w kukurydzianej whiskey.

— Wolę raczej zwrócić to, co mam w żołądku, niż pozwolić się oślepić alkoholem z kukurydzy. A zdaje się, że tylko taki mieliśmy wybór.

— To był jedyny saloon otwarty nad rzeką.

— Jedyny, z którego jeszcze nas nie wyrzucili, chciałeś powiedzieć.

— Teraz zaczynasz narzekać? Zdawało mi się, że lubisz przygody.

— Lubię. Ale dochodzę do wniosku, że zebrałem już wszystkie niezbędne materiały na temat najgorszych mętów amerykańskiego społeczeństwa.

— No to wracaj do domu, ty żabożerco i pniakolizie.

— Pniakolizie? — zdziwił się Honoré.

— Nie podoba ci się?

— Jesteś bardzo pijany.

— Ale przynajmniej surdut mi się nie pali.

Honoré bardzo powoli przeniósł wzrok na połę surduta tłącą się przy ogniu paleniska. Ostrożnie uniół tkaninę do oczu.

— Nie przypuszczam, żeby dało się to wyprać — stwierdził.

— Zaczekaj, aż będę przytomny — uspokoił go Calvin. — Umiem to naprawić. Jestem Stwórcą.

— Czy jak zwymiotuję, będę się czuł równie dobrze jak ty?

— Czuję się jak zdeptane końskie gówno — oznajmił Calvin.

— To właśnie poprawa, o jakiej marzę. — Honoré zwymiotował, ale nie trafił w patelnię. Wymiociny zaskwierczały na blasze pieca. — Podziwiał człowieka edukowanego i wyrafinowanego.

— Mało przyjemnie pachnie — ocenił Calvin.

— Muszę iść do łóżka. Nie czuję się dobrze.

Dotarli do krzaków na granicy ogrodu, zanim zdali sobie sprawę, że nie zacierają w stronę domu. Chichocząc, runęli pod liście i wkrótce obaj zasnęli.

* * *

Słońce świeciło jasno. Calvin sływał potem, kiedy się wreszcie obudził. Czuł, jak chodzą po nim insekty, i w pierwszym odruchu chciał się poderwać, strzepnąć je z siebie, ale ciało nie reagowało. Po prostu leżał. Nie mógł nawet otworzyć oczu.

Dmuchał lekki wietrzyk. Insekty znów się poruszyły na twarzy Calvina. Aha. To wcale nie insekty. To liście. Leżał w krzakach.

— Czasami żałuję, że nie można zbudować muru wokół kolonii Korony, by nie dopuszczać tu tych natrętnych cudzoziemców.

Głos kobiety. Kroki na brukowanym chodniku.

— Słyszała pani, że królowa chce udzielić audiencji tej wścibskiej, przemądrzałej, abolicjonistycznej nauczycielce?

— Nie, to po prostu nie do wiary.

— Zgadzam się, ale z lady Ashworth jako protektorką. . .

— Lady Ashworth!

Damy przerwały spacer ledwie kilka kroków od miejsca, gdzie leżał Calvin.

— Pomyśleć, że lady Ashworth nawet pani nie zaprasza na swoje *soiree*. . .

— Bardzo przepraszam, ale sama jej zaproszenie odrzuciłam.

— A mimo to chce przedstawić tę jakąś Peggy. . .

— Zdawało mi się, że ma na imię Margaret. . .

— Ale w jej kraju nazywają ją Peggy, jakby była klaczą.

— A gdzie jest jej mąż? Jeśli w ogóle ma męża.

— Ależ ma. Sądzony za kradzież niewolników. Wprawdzie uniewinniony, ale dobrze wiemy, że właściciel niewolników nie może liczyć na sprawiedliwość w sądach abolicjonistów.

— Jak się pani o tym wszystkim dowiedziała?

— Myśli pani, że agenci króla nie śledzą cudzoziemców, którzy przybywają tu siac zamieszanie?

— Zamiast ich śledzić, lepiej ich tu w ogóle nie wpuszczać.

— Ojej!

Ten okrzyk zdumienia zdradził Calvinowi, że właśnie został dostrzeżony. I chociaż z wolna wracała mu władza nad własnym ciałem, uznał, że rozsądek nakazuje nie otwierać oczu i leżeć nieruchomo. Poza tym był okryty liśćmi i kobiety nie zdołają go rozpoznać; jeśli zaś się ruszy, mogą zobaczyć jego twarz.

— Coś podobnego! Ten zajazd powinno się zamknąć. Sprowadza absolutnie niewłaściwy element do porządnej dzielnicy miasta.

— Proszę spojrzeć. Zapaskudził sobie spodnie.

— To niedopuszczalne. Złożę skargę w magistracie.

— Jak może pani to zrobić?

— Jak mogę tego nie zrobić?

— Ale pani zeznanie przed sądem... Jak zdoła pani opisać stan tego nędznika, pozostając przy tym damą?

— Och...

— Nie. Po prostu go nie zauważyłyśmy. — Oj!

Ten drugi wykrzyknik zdradził Calvinowi, że kobiety odkryły Honoré de Balzaca. Przyjemnie było wiedzieć, że nie został osamotniony w swym poniżeniu.

— Coraz gorzej. . .

— On wyraźnie nie jest dżentelmenem. Jak może przebywać poza domem w ogóle bez spodni?

— Czy pani. . . Czy widzi pani jego. . .

Calvin uznał, że tego już wystarczy. Nie otwierając oczu, odezwał się z mocnym hiszpańskim akcentem, naśladując handlarzy niewolników, których słyszał w porcie.

— *Señoritas*, ten mały biały mężczyzna jest niczym w porównaniu z nagimi Czarnymi z mojego składu przy hiszpańskim nabrzeżu.

Piszcząc ze wzburzenia, damy szybko się oddaliły. Calvin leżał jeszcze przez chwilę i trzął się ze śmiechu. Głos Honoré dobiegł spod krzaków niedaleko.

— Wstydź się! Autor powieści miał niezwykłą okazję podsłuchania, jak kobiety naprawdę ze sobą rozmawiają. A ty je spłoszyłeś.

Calvin wcale się nie przejął. Honoré mógł udawać, że jest pisarzem, ale Calvin nie wierzył, by kiedykolwiek zdołał coś napisać.

— Gdzie podziałeś spodnie?

— Zdjąłem je, kiedy wstałem, żeby wypróżnić pęcherz. A potem nie mogłem znaleźć.

— Czy wczoraj byliśmy pijani?

— Mam nadzieję. Nie przychodzi mi do głowy żadne inne honorowe wytłumaczenie faktu, że spaliśmy razem pod żywoplotem.

Obaj wyturlali się spod gałęzi. Honoré, mrużąc oczy, zataczał się tu i tam, szukając spodni. Zatrzymał się na chwilę i zmierzył wzrokiem Calvina.

— Może i jestem trochę nieubrany, ale przynajmniej się nie zmoczyłem.

Calvin znalazł jego spodnie wiszące na krzaku, mokre i zaplamione.

— Zdjąłeś je i potem obsikałeś!

— Było ciemno — wyjaśnił Honoré, z żalem oglądając tę część swojej garderoby.

Podążył za Calvinem w stronę domu. Kiedy mijali kuchnię, pochwycił niechętnie spojrzenie drobnej czarnej staruszki, która nadzorowała przygotowanie posiłków. Na szczęście od niewolnicy nie musieli się spodziewać dalszych wyrzutów. Weszli do holu, gdzie Honoré wręczył spodnie praczce.

— Będą mi potrzebne dzisiaj przed kolacją — poinformował. Odwracając głowę, niewolnica wymruczała jakieś potwierdzenie i chciała odejść.

— Zaraz! — krzyknął Honoré. — Calvin, masz spodnie nie lepsze od moich.

— Praczka może przyjść na górę i później je zabrać.

— Ściągaj je natychmiast. Nie będzie patrzyła na twoje białe, owłosione nogi.

Calvin odwrócił się, zdjął spodnie i wręczył je niewolnicy. Odbiegła natychmiast.

— Nie ma co wstydzić się służby — stwierdził Honoré. — To jakbyś się obnażał przed drzewami albo kotami.

— Po prostu nie miałem ochoty iść na górę bez spodni.

— W spodniach mokrych od uryny byłbyś obrzydliwy. Ale jeśli obaj jesteście goli, wszyscy zaczną udawać, że nas nie zauważają. Stajemy się niewidzialni.

— Mam rozumieć, że chcesz wejść głównymi schodami?

— Ależ skąd — obruszył się Honoré. — Będę prowadził, bo gdybym miał się wspinać na trzy piętra, patrząc na twoje pośladki, co najmniej na miesiąc straciłbym zdolność opisywania piękna.

— Jak myślisz, czemu kucharka tak wrogo na nas patrzyła? — zainteresował się Calvin.

— Nie mam pojęcia, przyjacielu. Ale czyż trzeba jej powodów? To jasne, że wszyscy Czarni tutaj nienawidzą wszystkich Białych.

— Ale zwykle tego nie okazują.

— Bo Biali zwykle noszą spodnie. Wszyscy niewolnicy wiedzieli, jestem tego pewien, że śpimy w krzakach, zanim jeszcze się obudziliśmy. Ale nie okryli nas ani nie próbowali zbudzić. W ten sposób okazali swoją nienawiść: nie robią tego, czego nikt im nie nakazał.

Calvin zachichotał.

— Powiedz, co cię tak śmieszy — zażądał Honoré.

— Tak się zastanawiam. . . Może to wcale nie ty obsikałeś sobie spodnie.

Honoré myślał przez chwilę.

— Jeśli już o tym mowa, przyjacielu, może to wcale nie ty obsikałeś swoje.

Calvin jęknął.

— Zły z ciebie człowiek, Honoré, i masz chorą wyobraźnię.

— To mój talent.

Dopiero kiedy wrócili do pokoju i przebierali się, Calvinowi przejaśniło się w głowie i uświadomił sobie znaczenie tego, o czym mówiły damy przy żywopłocie.

— Nauczycielka i abolicjonistka zwana Peggy? To musi być panna Larner, ta nauczycielka, z którą ożenił się Alvin.

— Och, nieszczęsny Calvinie. Wytrzymałeś już trzy dni, nie wspominając swego brata, i teraz się załamaleś.

— Myślałem o nim, odkąd dostałem ten list od mamy, gdzie opowiadała o ślubie, o tym, jak przestała działać klątwa i w ogóle. Ciekawe, czy mój brat planuje mieć siedmiu synów.

Calvin zaniósł się śmiechem.

— Jeśli istotnie ma takie plany, musimy go znaleźć i powstrzymać — oświadczył Honoré. — Dwóch Stwórców to i tak więcej, niż światu potrzeba. Nie ma tu miejsca dla trzech.

— Myślałem raczej, że powinniśmy odszukać tę przemądrzałą abolicjonistkę Peggy i się z nią zaznajomić.

— Calvinie, jaką awanturę chcesz rozpętać?

— Żadnej awantury — zirytował się Calvin. — Skąd ci przyszło do głowy, że planuję jakąś awanturę?

— Bo jesteś przytomny.

— Ona będzie na audiencji u królowej. Może uda nam się wśliznąć tam za nią. Spotkać ludzi z dworu i tak dalej.

— Dlaczego miałaby ci pomóc? Jeśli jest żoną Alvina, na pewno zna twoją reputację.

— Jaką reputację? — Calvinowi nie podobała się sugestia zawarta w uwadze Balzaca. — Co ty możesz wiedzieć o mojej reputacji? W ogóle nie mam żadnej reputacji.

— Przebywam z tobą bez przerwy od miesiący, drogi przyjacielu. To niemożliwe, byś nie zyskał reputacji wśród swoich krewnych i sąsiadów. I tę reputację żona twojego brata musiała poznać.

— Mam reputację słodkiego, miłego chłopaka. Jeszcze z czasów, kiedy ktoś zadawał sobie trud zauważenia, że w ogóle istnieję.

— Ależ nie, Calvinie — odparł Honoré. — Jestem pewien, że masz reputację człowieka zazdrosnego, złośliwego, skłonnego do wybuchów wściekłości, niezdolnego przyznać się do błędu. Twoja rodzina i sąsiedzi nie mogli nie dostrzec tych cech.

Odkrycie po tylu miesiącach, że Honoré taką ma o nim opinię, okazało się nie do zniesienia. Calvin poczuł, jak wzbiera w nim gniew. Rzuciłby się na Honoré, gdyby mały Francuz nie miał tak szczerego, wesołego spojrzenia. Czy to możliwe, że nie chciał go urazić?

— Widzisz, o co mi chodziło? — zapytał Honoré. — Nawet teraz się złościś i masz do mnie pretensje. Czemu? Mówiąc o swoich obserwacjach, nie zamierzałem powiedzieć nic złego. Jestem pisarzem. Badam życie. Ty żyjesz, więc badam i ciebie. I stwierdzam, że jesteś nieskończenie fascynujący. Człowiek mający zarówno ambicję, jak i zdolności gwarantujące mu wielkość, który jednocześnie tak nie potrafi zapanować nad własnymi impulsami, że ową wielkość odrzuca. Jesteś tygrysem, który studiuje, jak być myszą. W ten sposób świat jest przed tobą bezpieczny. Nigdy nie zostaniesz Napoleonem.

Calvin krzyknął z wściekłości, ale nie potrafił uderzyć samego Honoré, jedyne go przyjaciela, jakiego miał w życiu. Dlatego z całej siły walnął dłonią o ścianę.

— Ale spójrz tylko — mówił dalej Francuz. — Uderzyłeś ścianę, nie moją twarz. Czyli nie do końca miałem rację. Potrafisz jakoś nad sobą zapanować. Potrafisz uszanować cudzą opinię.

— Nie jestem myszą — oświadczył Calvin.

— Nie, nie. Nic nie zrozumiałeś. Powiedziałem, że studiujesz, jak być myszą, a nie że zdałeś egzaminy i teraz żyjesz tylko serem. Kiedy słyszę, jak popiskujesz, myślę sobie: cóż to za dziwny odgłos w paszczy tygrysa. Znałem w życiu kilka tygrysów. Mnóstwo myszy, ale tylko kilka tygrysów. Dlatego jesteś dla mnie cenny, przyjacielu. Smutno mi, kiedy słucham twoich pisków. A twoja bratowa... Myślę, że zna cię tylko z tych pisków. To właśnie chciałem ci wytłumaczyć. I dlatego wątpię, czy ucieszysz się ze spotkania z tobą.

— Potrafię zaryczeć, jeśli trzeba — zapewnił Calvin.

— Faktycznie jesteś wściekły. I co teraz zrobisz? Uderzysz mnie? To, drogi przyjacielu, będzie pisk. — Honoré przyjrzał się swym gołym nogom. — Jestem brudny jak świnia w błocie. Zamówię kąpiel. Kiedy skończę, możesz skorzystać z tej samej wody.

Calvin nie odpowiedział. Wysłał swój przenikacz na powierzchnię skóry, usuwając brud, tłuszcz, zaschnięty mocz i pot. Zajął mu to tylko chwilę, gdyż kiedy raz pokazał, co należy robić, przenikacz mógł działać dalej bez nadzoru — tak jak ręka potrafi piłować, choć człowiek o tym nie myśli, albo palce wiązać węzły, choćby człowiek nie widział sznura.

Honoré szeroko otworzył oczy.

— Dlaczego zniknęła twoja bielizna?

Dopiero wtedy Calvin uświadomił sobie, że każdy obcy obiekt został sproszkowany i odepchnięty od ciała.

— Kogo ona obchodzi? Jestem teraz czystszy, niż ty kiedykolwiek będziesz.

— Skoro już używasz swej mocy, żeby się upiększyć, to czemu nie zmienisz zapachu? Może na jakiś kwiat? Nie nasturcje, one i tak już cuchną jak niemyte nogi. Co powiesz na lilie? Albo róże?

— Właściwie to czemu nie zmienię ci nosa w kalafior? No nie, za późno, ktoś już to zrobił.

— Aha, próbujesz obrazić mnie kapustą.

Honoré szarpnął sznurek, który uruchomił dzwonek w kwaterze służby.

Calvin wyjął czyste ubranie — w każdym razie dość czyste, i wychodził z pokoju, kiedy w odpowiedzi na wezwanie Francuza zjawiała się niewolnica. Honoré był całkiem nagi, nawet poły koszuli nie zakrywały jego skromnego daru natury, ale zupełnie się tym nie przejmował. Zresztą niewolnica mogła tego nie dostrzec, gdyż nie odrywała wzroku od podłogi. Honoré wciąż tłumaczył, ile kociołków gorącej wody należy wlać mu do balii, gdy Calvin zbiegł już schodami i przestał słyszeć jego głos.

* * *

Drzwi rezydencji lady Ashworth otworzył mu stary, chudy niewolnik w obcisłej liberii.

— Witam — rzucił Calvin. — Słyszałem, że moja bratowa, Peggy Smith, złożyła tu wizytę i...

Niewolnik odszedł, zostawiając go samego na progu. Jednak nie zamknął drzwi, więc Calvin wszedł do środka. Odruchowo wysłał przenikacz na wyprawę po domu. Z płomieni serc wiedział, gdzie kto jest; w przeciwieństwie do Peggy nie potrafił w płomieniach niczego dostrzec, nie umiał nikogo rozpoznać. Wiedział tylko, gdzie znajduje się każda żywa dusza, a z jasności płomienia zgadywał, czy jest ludzka, czy zwierzęca.

Mógł się jednak domyślać. Płomień sunący wolno po kuchennych schodach to pewnie niewolnik, który otworzył mu drzwi. Płomień na werandzie na piętrze nad Calvinem, ku któremu szedł niewolnik, to lady Ashworth. Albo może lord Ashworth. . . Nie, lord zapewne stara się przebywać jak najbliżej króla.

Umieścił przenikacz w podłodze na piętrze, wyczuwając wibracje wzbudzone rozmową. Skupił się i zamienił je w głosy. Niewolnik nie mówił zbyt wiele.

— Dżentelmen czeka przy drzwiach.

— Nie oczekuję gości.

— Mówi, że jego siostra to Peggy Smith.

— Nie znam nikogo o tym. . . Och, chodzi pewnie o Margaret Larner. . . Ale jej tu nie ma. Przekaż mu, że jej nie zastał.

Niewolnik natychmiast ruszył z powrotem. Głupia kobieta, pomyślał Calvin. Nie myślałem, że Peggy tu jest; chcę wiedzieć, gdzie ją znajdę. Czy w Camelocie nie uczą ludzi zwykłej uprzejmości? A może jest tak wysoko na królewskim dworze, że nie musi dbać o maniery wobec zwykłych ludzi. . .

No to, uznał, przekonamy się, jakie będą twoje maniery, paniusiu, kiedy już z tobą skończę.

Widział powolny płomień serca niewolnika na kuchennych schodach. Ruszył więc w głąb domu, znalazł schody frontowe i wbiegł lekko na piętro. Tutaj Ashworthowie przyjmowali gości; duża sala balowa miała trzy balkonowe okna wychodzące na galerię, gdzie lady Ashworth stała przed doniczką, trzymając w ręku nożyce.

— Tej rośliny nie trzeba przycinać — oświadczył Calvin, mówiąc z wyrafinowanym akcentem, jakiego nauczył się w Londynie.

Lady Ashworth odwróciła się zdumiona.

— Przepraszani bardzo, ale nie został pan tu zaproszony.

— Drzwi były otwarte. Słyszałem, pani, jak mówisz swemu słudze, by mnie odprawił. Nie mogłem jednak znieść myśli, że odejdę, nie oglądając damy o tak legendarnej urodzie i wdzięku.

— Pańskie komplementy budzą mój niesmak — oznajmiła. Jej kolonialny akcent w gniewie był wyraźniej słyszalny. — Nie mam cierpliwości dla dandysów i dla intruzów. Na ogół każę ich zabijać.

— Nie trzeba mnie zabijać. Pani wzgardliwe spojrzenie i tak już zatrzymało we mnie serce.

— Och, widzę, że pan mi nie pochlebia, ale kpi. Nie wie pan, że ten dom jest pełen służby? Każę pana wyrzucić.

— Czarni ośmielą się tknąć Białego?

— Zawsze korzystamy ze służby, by usunąć z domu śmieci.

Ta wymiana zdań nie angażowała nawet drobnego ułamka uwagi Calvina. Przenikaczem badał ciało lady Ashworth. W swych wędrówkach z Honoré obserwował, jak Francuz uwiódł kilkadziesiąt kobiet ze wszystkich klas społecznych. Ponieważ Calvin był w duchu uczonym, użył przenikacza, by zaobserwować, jakie zmiany występują

w ciele kobiety, gdy budzi się w niej pożądanie. Odkrył maleńkie organy wytwarzające pewne soki i wypuszczające je do krwi. Trudno je było odszukać, ale gdy już znalazł, łatwo mógł zmusić je do działania. Po chwili trzy różne gruczoły wytwarzały w ciele lady Ashworth dość silne dawki soków pożądania; teraz na własne oczy, bez przenikacza, widział zachodzące w niej zmiany. Powieki jej zaciążyły, głos stał się bardziej gardłowy.

— Wobec twej gracji i piękna, pani, istotnie jestem śmieciem — zgodził się. — Ale twoim śmieciem, pani, i możesz ze mną uczynić, co tylko zechcesz. Odrzuć mnie, a przestanę istnieć. Zachowaj mnie, a stanę się wszystkim, czego zapagniesz. Klejnotem, byś nosiła mnie na łonie. Wachlarzem, za którym twa uroda pozostanie niewidzialna. Czy też rękawiczką, w której zachowasz czystą, ciepłą dłoń.

— Kto by się spodziewał tak dwornej przemowy od chłopaka z pogranicza, z Wobish? — odparła, kryjąc uśmiech.

— Liczy się nie to, skąd przybywa mężczyzna, ale dokąd zmierza. Wydaje mi się, że całe moje życie prowadziło właśnie do tej chwili. Do tego gorącego dnia w Camelocie, tej werandy, dżungli roślin, ku tej cudownej Ewie, która dogląda ogrodu.

Zerknęła na nożyce.

— Ale mówił pan, żeby nie przycinać tych pędów.

— To byłoby okrucieństwo — odparł Calvin. — Roślina sięga w górę, nie do słońca, ale do ciebie. Nie pogardzaj tym, co wzrasta dla twojej miłości, pani.

Zaczerwieniła się; jej oddech przyspieszył.

— To, co mówisz. . .

— Przybyłem tu, poszukując żony mego brata, słyszałem bowiem, że odwiedziła cię, pani. Aby osiągnąć ten cel, mogłem zostawić wizytówkę u twego sługi.

— Istotnie, mogłeś.

— Ale nawet na szorstkich kamieniach bruku słyszałem cię jak muzykę, czułem jak kwiaty, widziałem jak światło gwiazdy przebijającej się nocą przez chmury. Wiedziałem, że z całego świata tu właśnie być powinienem, w tym miejscu, choćby miało mnie to kosztować życie i honor. Pani, do tej chwili każdy dzień mego życia był brzemieniem dźwiganym bez celu i bez radości. Teraz pragnę tylko tutaj pozostać, patrząc na ciebie, dumając, jakież cuda doskonałości skrywają draperie twych sukni, więżą spinki w twych włosach.

Drżała.

— Nie powinieneś mówić o takich. . .

Stał teraz tuż przed nią. Tak jak zaobserwował podczas uwiedzeń Honoré, jego bliskość podwyższyła temperaturę uczuć, jakie ją ogarniały. Wyciągnął rękę i musnął palcami jej policzek, potem szyję i ramię, dotykając tylko nagiej skóry. Syknęła, ale nie odezwała się, nie odwróciła wzroku.

— Moje oczy sobie wyobrażają — wyszeptał. — Moje wargi sobie wyobrażają. Każda część mojego ciała wyobraża sobie, że jest blisko ciebie, obejmuje cię, spaja się z tobą. . .

Zachwiała się. Ledwie mogła iść, gdy prowadziła go z werandy do sypialni.

Poza studiowaniem reakcji kobiet Calvin badał także ciało Honoré, widział, jak Francuz zatrzymuje się na granicy ekstazy, nie przekraczając jej jednak. To, czego Honoré musiał dokonywać dzięki samodyscyplinie, Calvin robił mechanicznie, używając przenikacza. Lady Ashworth przeżywała rozkosz wiele razy i na wiele sposobów, nim wreszcie Calvin pozwolił sobie na uwolnienie. Potem leżeli obok siebie w pościeli wilgotnej od ich potu.

— Jeśli w ten sposób diabeł wynagradza niegodziwość — szepnęła lady Ashworth — rozumiem, dlaczego Bóg zdaje się tracić teren na tym świecie.

Ale w jej głosie brzmiał smutek, gdyż budziło się sumienie, gotowe karać ją za doznaną rozkosz.

— Nie popełniliśmy dziś niegodziwości — uspokoił ją Calvin. — Czy twoje ciało nie przez Boga zostało stworzone? Czy te pragnienia nie z ciała się narodziły? Kim jesteś, jeśli nie kobietą, jaką Bóg cię uczynił? Kim jestem ja, jeśli nie mężczyzną, którego Bóg sprowadził tutaj, by cię czcił?

— Nie wiem nawet, jak się nazywasz — powiedziała.

— Calvin.

— Calvin? To wszystko?

— Calvin Stwórca.

— To dobre imię, mój ukochany — przyznała. — Ponieważ mnie stworzyłeś. Aż do tej chwili naprawdę nie istniałam.

Calvin miał ochotę roześmiać się jej w twarz. Do tego jedynie sprowadza się romans i miłość? Ciecze wypływające z gruczołów. Ciała obejmujące się w gorączce. I wiele pięknych słów.

Znowu oczyścił swoje ciało. Jej także. Ale pozostawił w niej swe nasienie. Pchnięty impulsem podążył za nim, ciekaw, czego zdoła dokonać. Sam pomysł uznał za pociągający: jego dziecko wychowane w domu arystokraty. Jeśli chciałby mieć siedmiu synów, przecież nieważne, czy wszyscy zrodzą się z tej samej matki. Niech ten będzie pierwszy.

Ciekawe, czy można się przekonać, jakiej płci będzie dziecko. Nie wiedział. Może Alvin pojmował rzeczy tak małe, ale Calvin mógł tylko śledzić, co się dzieje w ciele lady Ashworth. A potem nawet to stracił z oczu. Po prostu nie wiedział, czego powinien szukać. Przynajmniej nie była wcześniej ciężarna.

— Wiesz, to był mój pierwszy raz — oświadczył.

— Jak to możliwe? — zdumiała się. — Wiedziałeś wszystko. Potrafiłeś... w porównaniu z tobą mój mąż nie wie niczego.

— Pierwszy raz — powtórzył. — Aż do dzisiaj nie miałem jeszcze żadnej kobiety. Twoje ciało nauczyło mnie wszystkiego, co powinienem wiedzieć.

Sprawił, by mimo wilgoci w powietrzu wysechł pot na pościeli. Podniósł się z chłodnego, suchego łoża, czystego i świeżego jak w chwili jego przybycia. Przyjrzał się tej kobiecie. . . Właściwie nie była już młoda, tu i tam zwisała jej skóra; ale całkiem niezła, biorąc wszystko pod uwagę. Honoré na pewno go pochwali. . . jeśli mu powie.

Oczywiście, że mu powie. Z całą pewnością, gdyż Honoré będzie zachwycony tą historią, ucieszony tym, jak wiele nauczył się Calvin z jego ciągłych podbojów.

— Gdzie jest moja bratowa? — zapytał rzeczowym tonem.

— Nie odchódź — poprosiła lady Ashworth.

— Nie byłoby dobrze, gdybym tu został. Rozplotkowane damy Camelotu nigdy by nie zrozumiały doskonałego piękna tej chwili.

— Ale wrócisz?

— Tak często, jak na to pozwoli ostrożność — obiecał. — Nie pozwolę, by moje wizyty tutaj miały ci zaszkodzić.

— Co ja zrobiłam? — szepnęła. — Nie jestem kobietą skłoną do cudzołóstwa.

Wręcz przeciwnie, pomyślał Calvin. Jesteś tylko kobietą, która nigdy nie doznała pokusy. Do tego sprowadza się cnota. Cnota jest tym, co chronimy, dopóki nie poczuje-

my żądy; wtedy staje się nieznośnym ciężarem, który lepiej odrzucić i podnieść znowu, gdy żądze opadną.

— Jesteś kobietą, która wyszła za mąż, zanim poznała miłość swego życia — powiedział. — Dobrze służysz swemu mężowi. On nie ma powodów, by się na ciebie skarżyć. Ale nigdy nie będzie cię kochał tak, jak ja ciebie Kocham.

Łza pociekła jej z kącika oka i popłynęła po skroni na przesłoniętą włosami poduszkę.

— Dosiada mnie niecierpliwie, jak klacz, i zeskakuje, niemal zanim dotrze do celu.

— Zatem wykorzystywał cię, a ty jego — uznał Calvin. — Małżeński kontrakt został dopełniony.

— Ale co z Bogiem?

— Bóg jest nieskończenie współczujący. Rozumie nas w sposób bardziej doskonały, niż to możliwe dla ludzkich istot. I wybacza.

Pochylił się i pocałował ją raz jeszcze. Powiedziała mu, gdzie zatrzymała się Peggy. Opuścił rezydencję, pogwizdując. Ależ zabawa! Nic dziwnego, że Honoré tyle czasu poświęcał pogoni za kobietami.

PURITY

Purity bardzo się starała być godna swego imienia. Była grzeczną dziewczynką, a jako nastolatka stała się jeszcze grzeczniejsza, ponieważ wierzyła w to, co mówili duchowni, a poza tym niegodziwość nigdy nie wydawała jej się atrakcyjna.

Ale bycie godną swego imienia zaczęło oznaczać dla niej więcej niż tylko posłuszeństwo słowu bożemu zapisanemu w Biblii. Uświadomiła sobie bowiem, że imię to jedyne ogniwo łączące ją z dawną, prawdziwą tożsamością — z rodzicami, którzy zginęli, gdy była jeszcze niemowlęciem. Imię było jedynym ich wkładem w jej wychowanie.

Imię samo zawierało pewne wskazówki. Tutaj, w Massachusetts, ludzie pochodzili na ogół ze wschodniej Anglii i Essex. Choć wychowywali się w tradycji purytańskiej, nie nazywali dzieci od cnót charakteru. Ten obyczaj był bardziej powszechny w Sussex, co sugerowało, że rodzina Purity żyła raczej w Netticut, nie w Massachusetts.

Kiedy Purity dorastała w domu sierot w Cambridge, wielebny Hezekiah Study, człowiek dobrze już po siedemdziesiątce, zwrócił uwagę na jej bystry umysł. Nalegał, by wbrew tradycji uzyskała wykształcenie rezerwowane tylko dla chłopców. Oczywiście było wykluczone, by przyjęto ją w poczet studentów college'u Harvarda, gdyż uczelnia ta szkoliła jedynie kaznodziejów. Pozwolono jej jednak siedzieć na stołku w korytarzu przed dowolnie wybraną salą i słuchać tej części wykładu, jaka okaże się wystarczająco głośna. Uzyskała też dostęp do biblioteki.

Wkrótce przekonała się, że biblioteka jest lepszym nauczycielem, gdyż autorzy książek nie mogli wykluczyć jej z wykładu ze względu na płeć. Powierzywszy swoją wiedzę drukowi, musieli cierpieć hańbę czytania i rozumienia przez kobietę. Żywi profesorowie przeciwnie — zwracali uwagę, kiedy Purity słucha; większość wykorzystywała tę okazję, by mówić bardzo cicho, zamykać drzwi albo używać greki lub łaciny, które to

języki studenci powinni rozumieć, a Purity zapewne nie. Jednak czytała łacinę i grekę płynnie, a mówiła lepiej niż prawie wszyscy — z kilkoma tylko wyjątkami — studenci płci męskiej. Czy inaczej zauważyłby jej zdolności wielki tradycjonalista, wielebny Study? Odkryła przy tym, że profesorowie rzadko prezentują przemyślenia tak spójne, głębokie i przenikliwe jak autorzy książek.

Zdarzały się wyjątki. Młody Waldo Emerson, który sam niedawno ukończył Harvard, chętnie wprowadziłby ją do sali zajęć, gdyby nie odmówiła. Zawsze słyszała wyraźnie każde słowo jego wykładu i chociaż miał skłonność do używania metafor jako substytutu analizy, jego entuzjazm dla aktywności umysłowej był zaraźliwy i pobudzający. Wiedziała, że Emersonowi zależy, by uważano go bardziej za erudytę niż myślicie-la — jego „filozofia” składała się z tego, co najbardziej irytowało władze, a jednocześnie nie było aż tak szokujące, by kosztować go stanowisko. Wśród studentów cieszył się reputacją oryginała i buntownika, a przy tym nie musiał płacić kary za bycie jednym lub drugim.

Nie dzięki Emersonowi zatem, ale dzięki bibliotece dokonała Purity kolejnego kroku ku zrozumieniu znaczenia swego imienia i tego, co zdradzało na temat życia jej

rodziców. Podczas lektury traktatu „O traktowaniu potomstwa czarownic i heretyków” Cottona Mathera po raz pierwszy pojęła, dlaczego jest sierotą noszącą imię z Netticut i wychowywaną w Massachusetts.

Mather pisał:

„Wszystkie dzieci rodzą się równie skalane pierwotnym grzechem Adama. Dzieci upadłych rodziców nie są więc skalane bardziej niż dzieci wybranych, a zatem niesprawiedliwe jest narzucanie im kar innych niż te naturalnie przypisane dzieciństwu, jak to poddawanie się autorytetowi, ignorancję, skłonność do nieposłuszeństwa, częste kary za nieuwagę etc.”. Purity przeczytała ten fragment z radością. Po wszystkich sugestiach, że dzieci z sierocińca najwyraźniej mają mniejszą szansę zostać wybranymi niż dzieci wychowywane przez rodziców będących członkami Kościołów, przyjemnie było odkryć, że sam Cotton Mather swym autorytetem zaświadcza, iż niesprawiedliwe jest traktowanie jednego dziecka inaczej niż drugiego.

Była więc podniecona, gdy przeszła do kolejnych zdań — tak bardzo, że niemal przeoczyła ich znaczenie. „Aby dać dzieciom najlepszą szansę uniknięcia pośmiertnego

wpływu rodziców i podejrzliwości sąsiadów, najlepszym wyjściem jest usunięcie ich z parafii, a nawet z kolonii”.

I wreszcie, kilka linijek niżej: „Nazwisko winno być im odebrane, gdyż jest ono hańbą; jednak ich imienia z chrztu zmieniać nie należy, otrzymały je bowiem w imieniu i od Chrystusa, jakkolwiek niegodni byłiby rodzice, którzy do chrztu ich trzymali”.

Mam na imię Purity, myślała. Imię z Netticut, ale jestem w Massachusetts. Moi rodzice nie żyją.

Powieszni za czary albo spaleni na stosie jako heretycy. Raczej czary, gdyż najczęściej spotykaną herezją jest kwakierstwo, a wtedy nie miałabym na imię Purity. Czarownik starałby się ukryć, kim jest, i nazywał dzieci tak, jak to robią sąsiedzi.

Ta świadomość wzbudziła równocześnie lęk i ulgę. Lęk, gdyż musiała wciąż się pilnować, by nie oskarżono jej o czary. Lęk, bo nie mogła się nie zastanawiać, czy zdolność łatwego odgadywania, co czują inni, nie jest tym, co czarownicy nazywają talentem.

Ulgę, gdyż tajemnica jej rodziców wreszcie została rozwiązana. Matka nie była ladcnicą ani cudzołożnicą, która podrzuciła dziecko do sierocińca z kartką z imieniem

przypiętą do kocyka. Ojciec nie odszedł wskutek kary bożej, dotknięty zarazą czy wypadkiem. Jej rodziców powieszono za czary, a z tego, co Purity wiedziała o procesach czarownic, najprawdopodobniej byli niewinni.

Któregoś dnia Waldo Emerson powiedział studentom:

— Kiedy dar otrzymany od Boga przekracza niedostrzegalną granicę i staje się diabelskim talentem? I jak diabeł może wyposażać ludzi w dary i ukryte moce, które, otrzymane przez proroków i apostołów w Piśmie Świętym, wyraźnie były darami Ducha Świętego? Czy nie jest możliwe, że skazując sam talent zamiast grzesznego użycia talentu, odrzucamy dary Boga i mordujemy niektórych z Jego najbardziej ukochanych? Czy nie powinniśmy więc osądzać raczej moralnego charakteru aktu zamiast jego niezwykłości?

Purity siedziała wtedy na korytarzu, wdzięczna, że nie weszła do sali, gdzie młodzi ludzie widzieliby, jak drży, zauważyliby łzy spływające po policzkach — i uznaliby ją za istotę po kobiecemu słabą. Moi rodzice byli niewinni, powtarzała sobie, a mój dar pochodzi od Boga, bym mogła go użyć w Jego świętej służbie. Dopiero kiedy odwróce

się od Niego i zacznę służyć szatanowi, stanę się czarownicą. Mogę jeszcze znaleźć się wśród wybranych.

Wybiegła z budynku przed końcem wykładu, w lęku, że będzie musiała z kimś rozmawiać. Wędrowała samotnie przez las nad brzegiem rzeki Eufrat. Łodzie płynęły rzeką od Bostonu w głąb łądu, dokąd pozwalało im zanurzenie, jednak marynarze nie zwracali na nią uwagi, gdyż była istotą lądową, poniżej ich godności.

Jeśli ta moja zdolność jest darem bożym, to czy nie odrzucam go, pozostając tutaj i ukrywając się? Czy nie zakopuję go w ogrodzie, jak ten głupi sługa z przypowieści? Czy nie powinnam szukać wyższego celu, dla którego ów talent byłby przydatny?

Wyobraziła sobie, że zostaje misjonarzem w jakimś pogańskim kraju, na przykład w Afryce czy we Francji, gdzie umie zrozumieć tubylców na długo przed tym, nim opamiętuje ich mowę. Wyobraziła sobie, że zostaje dyplomatą w służbie Protektoratu i korzysta ze swych zdolności, by wiedzieć, kiedy zagraniczni ambasadorowie i głowy państw kłamią, a kiedy mówią szczerze.

I wtedy, w miejsce obrazów wyobraźni, zobaczyła, jak chłopiec mniej więcej dwunastoletni, o ciemnej skórze i z kręconymi włosami, wyskakuje nad wodę jakieś siedem

sążni od niej. Bryzgi wody błyszczą w słońcu; chłopiec usta ma otwarte i roześmiane. W powietrzu dostrzega ją i widać, jak zmienia się jego twarz. W jednej chwili Purity wie, co czuje: zakłopotanie, gdyż kobieta zobaczyła go całkiem nagiego, niktące echo hałaśliwej zabawy, a także — ledwie wschodzącą pod powierzchnią, gdzie nie potrafi jeszcze wykryć jej we własnych myślach — miłość.

Nigdy na nikim nie wywarłam takiego wrażenia, pomyślała Purity. To jej pochlebilo. Nie dlatego że miłość dwunastolatka mogłaby jakoś wpłynąć na jej życie. Jednak to słodkie, kiedy chłopiec u progu męskości, który widział ją tylko przez chwilę, zobaczył nie zarozumiałą sierotę, która tak zniechęca i przeraża młodych ludzi w Cambridge, ale kobietę. Więcej: to, co zobaczył i pokochał, to nie kobieta, ale Kobieta; Purity czytała Platona i wiedziała, że niegodziwi mężczyźni pożądamy konkretnej kobiety, ale mężczyźni o wysokich aspiracjach kochają przebłysk Kobiety, który dostrzegają u wszystkich dobrych kobiet, że miłość do ideału pomaga doprowadzić obiekt do bliższej zgodności — jak gdyby unosili z drogi płaski cień i łączyli się z całą istotą, która ów cień rzuciła.

O czym ja myślę! — strofowała samą siebie. Ten dzieciak jest pewnie równie niezwykły jak ja. Jest Czarny w kraju Białych, tak jak ja jestem sierotą wśród rodzin, a na dodatek jestem uważana za córkę czarowników.

Wszystkie te myśli przemknęły jej przez głowę jak długi trzask błyskawicy. Chłopiec opadł z powrotem do wody, a obok niego wynurzył się dorosły mężczyzna o potężnie umięśnionych barkach, ramionach i grzbiecie. Był o wiele wyższy, więc choć stanął tylko, nie wyskoczył, jego białe pośladki były widoczne nad powierzchnią. I kiedy zobaczył, na co z rozdziawionymi ustami, z miłością patrzy czarny chłopiec, obejrzał się i...

Purity zdążyła odwrócić wzrok. Nie ma powodu, by dopuszczać możliwość nieczystych myśli. Może, lecz nie musi być jedną z wybranych, ale nie należy zbliżać się do otchłani, wymagając od Zbawiciela większego wysiłku, niezbędnego do jej ocalenia.

— To tyle, jeśli idzie o miejsce, gdzie nikt nie chodzi! — zawołał ze śmiechem mężczyzna. Plusk, jaki usłyszała, to pewnie odgłos wyjścia ich obu z wody. — Za chwilę będziemy ubrani i możecie, pani, dalej spacerować.

— Nie szkodzi — odparła. — Mogę pójść inną drogą.

Ale, zawróciwszy, zdążyła zrobić tylko jeden krok, gdy stanął przed nią szorstki z wyglądu mężczyzna o silnych mięśniach i groźnej twarzy. Z cichym okrzykiem cofnęła się. . .

I poczuła pod stopą czyjś but.

— Au — powiedział spokojnie jakiś mężczyzna.

Odwróciła się. Za nią stało dwóch. Jeden wystrojony, ale dość niski; przyglądał się jej tak otwarcie, że aż poczuła niepokój. Ale ten, któremu nadepnęła na stopę, był wysoki i dystyngowany. Ubierał się jak człowiek z wyższych sfer — nie w czarny strój kaznodziei, ale też nie w ziemiste, „smutne” kolory zwykłych ludzi w Nowej Anglii. Nie, ubrany był właściwie jak. . .

— Anglik — stwierdziła. — Adwokat.

— Przyznaję, lecz zdumiewa mnie, jak pani to odkryła.

— Goście z Anglii często odwiedzają Cambridge, drogi panie — odparła. — Niektórzy są prawnikami. Ubierają się, mam wrażenie, w pewien szczególny sposób, by pokazać, że ich ubrania kosztują znaczne kwoty, nie naruszając jednak całkiem zasad skromności.

Odwróciła się, by spojrzeć na groźnego mężczyznę, niepewna, czy Anglik da sobie z nim radę.

Wtedy spostrzegła, że na moment dała się zwieść pozorom. Ten szorstki mężczyzna jej nie zagrażał, nie bardziej niż Anglik. Trzeci, ten niewysoki i elegancki, wciąż oceniający ją wzrokiem, także nie był groźny. Zdawało się, że zna tylko jeden sposób odnoszenia się do kobiet, a zatem w myślach umieścił Purity na półce podpisanej „obiekty pożądania”. Jednak ten tom będzie długo zbierał kurz, zanim ów człowiek zechce go zdjąć i przeczytać.

— Na pewno wystraszyliśmy panią — rzekł Anglik. — Nasi przyjaciele postanowili się wykapać, a my woleliśmy zdrzemnąć się na brzegu. Dlatego nie zauważyła pani niczego, dopóki nie weszła między nas. Proszę o wybaczenie, gdyż zobaczyła pani dwóch z naszego towarzystwa w takim stanie, *deshabilles*.

— W stanie Jezabel? A cóż to takiego?

Wystrojony człowieczek roześmiał się głośno, ale zamilkł nagle i odwrócił się. Cemu? Bał się. Ale czego?

— Proszę wybaczyć mój francuski — tłumaczył Anglik. — W Londynie nie jesteśmy tak czyści jak mieszkańcy Nowej Anglii. Kiedy Napoleon opanował Francję, a potem zaanektował większą część Europy, niewiele pozostało miejsc, gdzie mogła się udać wypędzona arystokracja i królewskie rody. Londyn aż się roi od gości z Francji i nagle francuskie słowa to prawdziwy szyk. Oj, przepraszam, znowu zaczynam.

— Wciąż pan nie wyjaśnił, co oznacza to francuskie słowo. „Szyk” jednak rozumiem. Wydaje się, że wasze towarzystwo jest dobrze przyszykowane na spotkanie z obcymi.

Adwokat parsknął.

— Powiedziałbym, że to pani ton sugeruje dobre przygotowanie do rozmów z obcymi mężczyznami, gdyby nie było niewłaściwym mówienie takich rzeczy młodej damie, której nie zostało się przedstawionym. Proszę więc, by zechciała mi pani zdradzić, kto jest jej ojcem i gdzie mieszka, bym mógł spytać go o pani zdrowie.

— Mój ojciec nie żyje — odparła i dodała mimo lekkiego ataku paniki: — Został powieszony w Netticut jako czarownik.

Zamilkli wszyscy, co ją zaniepokoiło, gdyż nie takiej reakcji się spodziewała. Nie była to odraza wobec jej przyznania do tak niewłaściwych stosunków rodzinnych. Obcy raczej zamknęli się w sobie i odwrócili wzrok.

— No cóż, przykro mi, że przypomniałem pani to tragiczne zdarzenie — rzekł w końcu Anglik.

— Proszę nie żałować. Nie znałam ojca. Niedawno dopiero zrozumiałam, jaki los go spotkał. Nie wyobraża pan sobie chyba, że ktokolwiek w sierocińcu powiedziałby mi o tym wprost.

— Ale jest pani damą, nieprawdaż? Nie ma w pani nic z uczennicy.

— Sieroctwo nie kończy się w dniu osiągnięcia pełnoletności — odparła Purity. — Ale posłużę sobie jako ojciec i matka, i wyrażę zgodę, by mi się pan przedstawił.

Anglik skłonił się nisko.

— Nazywam się Verily Cooper. A moi towarzysze to Mike Fink, niegdyś pracujący w transporcie wodnym, obecnie jednak porzucił to zajęcie, oraz mój drogi przyjaciel John-James Audubon, który jest niemową.

— Nie, wcale nie — stwierdziła Purity. Dostrzegła bowiem i u Coopera, i u samego Audubona, że to stwierdzenie jest kłamstwem. — Naprawdę nie należy okłamywać obcych. To bardzo nieładny początek znajomości.

— Zapewniam panią, madame — rzekł stanowczo Cooper — że w Nowej Anglii jest i pozostanie całkowicie niemy.

Po tej niewielkiej zmianie zobaczyła u nich obu, że teraz oświadczenie jest absolutnie prawdziwe.

— A więc postanowił pan być niemową w Nowej Anglii — powiedziała. — Spróbuję rozwiązać tę zagadkę. Nie ośmiela się pan otwierać ust, a zatem pańska wymowa musi stawiać pana w niedobrym świetle. Nie, musi stanowić zagrożenie, gdyż nie sądzę, by którykolwiek z was przejmował się ludzkimi opiniami. A kiedy sama mowa może sprowadzić na człowieka niebezpieczeństwo? Jeśli ma akcent zakazanego kraju. Kraju papistów, ośmielam się twierdzić. A że nazywa się pan Audubon, a pańskie maniere wobec kobiet skalane są założeniami, o których nie wypada głośno wspominać, domyślałam się, że jest pan Francuzem.

Audubon poczerwieniał pod opalenizną i odwrócił głowę.

— Nie wiem, skąd pani to wie, ale musiała pani też zauważyć, że ani przez chwilę nie zachowałem się wobec niej niewłaściwie.

— Ona próbuje nam powiedzieć — wtrącił Verily Cooper — że ma swój talent.

— Proszę zachować te prymitywne uwagi na czas, kiedy będzie pan sam z ludźmi bez wychowania — zaprotestowała Purity. — Uważnie obserwuję ludzi, to wszystko. A po akcencie poznaję, że moje rozumowanie było poprawne.

Wtedy odezwał się ów wyglądający prymitywnie mężczyzna, Mike Fink.

— Kiedy słyszysz piski i chrząkania, możesz się założyć, że gdzieś blisko jest świnia.

Purity spojrzała na niego z wyższością.

— Nie mam pojęcia, co chciał pan przez to powiedzieć.

— Tylko tyle, że talent to talent.

— Dość — przerwał Cooper — Niecały tydzień jesteśmy w Nowej Anglii, a już zapomnieliśmy o ostrożności? Talenty są tu nielegalne. A zatem ludzie przyzwoici ich nie mają.

— Jasne — zgodził się Mike Fink. — Tyle że ona ma.

— Ale może nie jest przyzwoita — zauważył Audubon.

Tym razem przysłała kolej na Purity, by się zarumienić.

— Zapomina się pan — oświadczyła.

— Proszę nie zwracać uwagi — uspokoił ją Cooper. — Jest obrażony, ponieważ wygłosiła pani tę uwagę o założeniach, o jakich nie wypada mówić.

— Jesteście wędrowcami — stwierdziła.

— John-James maluje północnoamerykańskie ptaki, pragnie w przyszłości opublikować księgę swoich obrazów do użytku uczonych w Europie.

— I do tego potrzebny mu cały oddział? Co takiego robicie? Trzymacie mu pędzle?

— Nie wszyscy wypełniamy tę samą misję.

W tej właśnie chwili z krzaków wynurzyło się dwóch, których widziała w wodzie. Wciąż jeszcze mieli mokre włosy, ale byli w pełni ubrani.

— Madame, bardzo przepraszam, że musieliście oglądać tyle gęziej skórki bez żadnych gęsi — powiedział Biały.

Czarny milczał, ale nie odrywał od niej wzroku.

— To Alvin Smith — przedstawił przybysza Cooper. — Człowiek o nieocenionych umiejętnościach, ale tylko dlatego, że nikt nie starał się ich ocenić. Ten niższy to Arthur Stuart, żaden krewny króla. Podróżuje z Alvinem jako jego adoptowany kuzyn czy szwagier, czy w jeszcze jakiś inny sposób powinowaty.

— A pan — zauważyła Purity — przebywa poza Anglią już tak długo, że nauczył się amerykańskiego gadulstwa.

— Jednakże w otoczeniu Amerykanów mam wrażenie, że moje gadulstwo jest niczym ćwierćpensówka w worku gwinei.

Słuchając tego paplania, nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

— A więc podróżuje pan przez Nową Anglię z Francuzem, który może uniknąć wy-pędzenia, więzienia, aresztowania, tylko udając niemowę. Jest pan adwokatem, ten człowiek jest marynarzem, jak przypuszczani, natomiast kąpiący się są. . .

Umilkła.

— Są. . . jacy? — zapytał Alvin Smith.

— Czyści — odparła. I uśmiechnęła się.

— Ale co chcieliście powiedzieć? — nie ustępował Smith.

— Nie naciskaj — upomniał go Cooper. — Jeśli ktoś postanowił zostawić rzecz nie-dopowiedzianą, doświadczenie mówi mi, że wszyscy będą szczęśliwsi, jeśli zrezygnują z nalegania.

— Nie ma o czym mówić — odezwał się Arthur Stuart. — Nie wydaje mi się, żeby sama wiedziała, co chciały powiedzieć jej wargi.

Zaśmiała się z zakłopotaniem.

— To prawda — przyznała. — Liczyłam chyba, że jakiś żart przyjdzie mi na myśl, ale nic z tego.

Alvin uśmiechnął się do niej.

— A może żart przyszedł na myśl, ale należał do takich, że nie wypadałoby go powiedzieć. Więc odszedł.

Nie podobało jej się, jak na nią patrzy — jak gdyby sądził, że wie o niej wszystko. Nieważne, że ona pewnie patrzyła na niego w ten sam sposób — ona naprawdę wiedziała. Był tak pewny siebie, że miała ochotę rzucić w niego grudą błota, by mu pokazać, że nie jest noszony przez anioły. Całkiem jakby nie bał się niczego, jakby wyobrażał sobie, że potrafi osiągnąć wszystko. I nie chodziło tu o złudzenie, które usiłował stwo-

rzyć. Naprawdę był zarozumiały. Obawiał się tylko jednej rzeczy: że kiedy przyjdzie co do czego, w chwili próby może okazać się jeszcze lepszy, niż mu się wydawało.

— Nie wiem, co takiego zrobiłem, by was rozdrażnić — odezwał się Smith. — Poza tym, że kąpałem się na golasa, ale mama uczyła mnie, że tak trzeba robić, by ubranie się nie skurczyło.

Inni zaśmiali się. Purity nie.

— Chce pani coś zjeść? — zaproponował Arthur Stuart.

— Nie wiem. A co masz? — zapytała.

Wyciągnął do niej swój kapelusz, w którym leżało kilka garści jagód. Wciąż się w nią wpatrywał lekko rozszerzonymi oczami, odrobinę otwierając usta. Tak, to miłość, nie ma co — z rodzaju tych cielőco-szczeniących.

Wzięła jedną jagodę i spróbowała.

— No nie — jęknął Cooper. — Zjadła pani coś, więc teraz co roku miesiąc musi pani spędzić w Hadesie.

— Ale te jagody dojrzewały w Nowej Anglii, nie w piekle.

— Co za ulga — stwierdził Smith. — Nie byłem pewien, gdzie przebiega granica.

Purity nie wiedziała, jak traktować tego Smitha. Jego zuchwałość ją niepokoiła. Nie był nawet zawstydzony, że widziała go nagiego.

Wolała rozmawiać z Cooperem. Jego maniery, ubiór, głos, wszystko to należało do człowieka, który — jak do tej pory sądziła — może istnieć tylko we śnie. Dlaczego tak bardzo różnił się od innych, którzy w ten sam sposób się ubierali?

— Nie jest pan zwykłym prawnikiem — powiedziała.

Cooper spojrział na nią zaskoczony. I nagle jego zdziwienie zmieniło się w strach.

— Nie jestem — przyznał. Czego się boi?

— Owszem, jest — wtrącił Smith.

— Nie — uparł się Cooper. — Zwyczajni prawnicy zarabiają dużo pieniędzy. Ja przez ostatni rok nie zarobiłem ani szylinga.

— I to wszystko? — upewniła się Purity. Możliwe. Adwokatom rzeczywiście zwykle dobrze się powodziło. Ale nie, tu chodziło o coś innego. — Chyba raczej wyróżnia pana to, że nie uważa się pan za lepszego od pozostałych.

Cooper przyjrzał się swym towarzyszom — kowal, marynarz, francuski malarz, czarny chłopak. . . Uśmiechnął się.

— Myli się pani — stwierdził. — Jestem stanowczo lepszym człowiekiem.

Wszyscy się roześmiali.

— W czym lepszym? — zapytał Mike Fink. — W piszczeniu jak moskit, jak tylko zobaczysz pszczołę?

— Nie lubię pszczół — przyznał Cooper.

— One cię lubią — wtrącił Arthur Stuart.

— Bo jestem słodki.

Żartował, ale Purity widziała, że jego lęk rośnie. Rozejrzała się, szukając źródła zagrożenia.

Smith zauważył to i przyjął jako znak, a może zwykłe przypomnienie.

— Zbierajmy się — powiedział. — Pora ruszać.

— Nie — sprzeciwił się Cooper.

Purity widziała, że jest zdecydowany. Nie tylko się bał — postanowił działać w oparciu o ten strach.

— Co się stało? — zdziwił się Smith.

— Dziewczyna.

— Co z nią? — zapytał Arthur Stuart tak zaczepnym tonem, że Purity spodziewała się upomnienia od któregoś z mężczyzn. Ale nie, traktowali go, jakby jego głos ważył tyle samo co pozostałych członków grupy.

— Doprowadzi nas do śmierci.

Teraz zrozumiała. Bał się jej.

— Wcale nie — zaprotestowała. — Nikomu nie powiem, że jest papistą.

— Kiedy włożą pani w rękę Biblię i zaprzysięgną? — zapytał Cooper. — Skaże się pani na piekło, zaprzeczając, że on jest katolikiem?

— Nie jestem dobrym katolikiem — wtrącił skromnie Audubon.

— Więc trafisz do piekła niezależnie od tego, kto ma rację — stwierdził Smith. To miał być żart, ale nikt się nie roześmiał.

Cooper wciąż ścigał ku sobie spojrzenie Purity i teraz ona z kolei zaczęła się bać. Nigdy jeszcze nie widziała u nikogo takiego zapału, skupienia — może z wyjątkiem pastora za pulpitem w czasie najbardziej dramatycznej części kazania.

— Dlaczego się pan mnie boi? — spytała.

— Właśnie dlatego — odparł Cooper.

- Co dlatego?
- Wie pani, że się jej boję. Wie pani zbyt wiele o tym, o czym myślimy.
- Już powiedziałam: nie wiem, o czym ktokolwiek myśli.
- No to o tym, co czujemy. — Cooper uśmiechnął się smętnie.
- To pani talent.
- Mówiłem — przypomniał Fink.
- A jeśli nawet? — spytała wyzywająco. — Kto wie na pewno, że talenty nie są darami Boga?
- Sądy w Massachusetts — rzekł Cooper. — Szubienice.
- No to ma swój talent — przyznał Smith. — Kto nie ma?
- Pozostali kiwali głowami.
- Oprócz Coopera.
- Czyście rozum stracili? Spójrzcie tylko na siebie. Znacie się na talentach! Przyznajecie, że Jean-Jacques jest Francuzem, a na dodatek katolikiem.
- Przecież i tak wiedziała — bronił się Audubon.
- I to cię nie zaniepokoiło? Że wiedziała to, czego przecież nie mogła wiedzieć?

— Wszyscy wiemy o rzeczach, o których nie możemy wiedzieć — zauważył Smith.

— Ale póki się nie zjawiała, dość skutecznie zachowywaliśmy tę wiedzę dla siebie! — Cooper podszedł do Purity. — W purytańskim kraju ludzie ukrywają swoje talenty albo giną. To tajemnicą, którą zachowują wszyscy: że mają jakiś szczególny dar i gdy tylko odkryją, co to takiego, uczą się go ukrywać, nie pozwalają, by ktokolwiek się dowiedział, co takiego robią o wiele lepiej od innych. Nazywają to pokorą. Ale ta dziewczyna obnosi się ze swoim talentem.

Dopiero wtedy Purity zdała sobie sprawę, co właściwie zrobiła. Ten prawnik miał rację — nigdy nie dała nikomu poznać, jak łatwo zgaduje uczucia innych. Skrywała to, była pokorna.

— Spodziewam się, że jutro o tej porze ta dziewczyna będzie w więzieniu, a za miesiąc zawisnie — ciągnął Cooper. — Problem polega na tym, że kiedy zapytają ją o innych czarowników, z którymi się zadawała, jak myślicie, kogo wskaże? Przyjaciółkę? Ukochanego nauczyciela? Wydaje się osobą przyzwoitą, więc to nie będzie wróg. Nie, wymieni obcych. Papistę. Czeladnika kowalskiego. Adwokata, który najwyraźniej mieszka w lesie. Amerykańskiego człowieka rzeki.

— Nigdy was nie oskarżę — zapewniła.

— Och, skoro pani tak mówi. . .

Nagle uświadomiła sobie, że Mike Fink stoi tuż za nią. Słyszała jego oddech, regularny, powolny. Ten człowiek był zupełnie spokojny. Ale wiedziała, że potrafi zabić.

Smith westchnął.

— No cóż, Very, umiesz szybko myśleć i masz rację. Nie możemy ruszać dalej w drogę, jakbyśmy wciąż byli bezpieczni.

— Owszem, możecie — oświadczyła. — Normalnie się tak nie zachowuję. Byłam nieostrożna. To skutek zaskoczenia po spotkaniu was tutaj.

— Nie — sprzeciwił się Cooper. — Nie o to spotkanie chodziło. Przyszła tu pani sama. Nie myśląc o niczym. Ślepa i głucha. Nie słyszała pani, jak Al i Arthur chlapią się w wodzie niczym dzieciaki. Nie słyszała pani, że Mike wyje te smętne rzeczne ballady swoim piskliwym głosem psa gończego.

— Nie śpiewałem — oburzył się Mike.

— Nie powiedziałem tego. Panno. . . nie dosłyszałem imienia. . .

— Nie zdradziła go — odpowiedział Fink.

— Purity — przedstawiła się. — Moi rodzice tak mnie nazwali.

— Panno Purity, dlaczego po tylu latach życia w pokorze nagle stała się pani tak nieostrożna, jeśli idzie o demonstrowanie swojego talentu?

— Tłumaczę przecież: nie byłam, a w każdym razie zwykle nie jestem nieostrożna, a poza tym to wcale nie talent, tylko dar boży. Jestem po prostu spostrzegawcza, wcale. . .

— Widziałem przed chwilą — przerwał jej Cooper. — Na własne oczy. Czy bierze mnie pani za głupca? Dorastałem w jednej z najgęściej zamieszkaney przez czarowników części Anglii. Nie dlatego że więcej ludzi miało talenty, ale dlatego że więcej ich szukało. Jeśli człowiek nie był ostrożny, nie przeżył nawet godziny. To szczęście, że spotkała pani nas, a nie kogoś znajomego. Tutaj roi się od kaznodziejów, a pani chciała po prostu okazać swój talent, nieważne, kto stanie na drodze.

Purity była zakłopotana. Czyżby miał rację? Czy dlatego wybiegła z college'u — bo wiedziała, że nie zdoła dłużej skrywać swego talentu?

Ale dlaczego nie może go skrywać? Co kazało jej go ujawnić?

— Sądzę, że może pan mieć rację — powiedziała. — Dziękuję, że zwrócił pan mi uwagę na to, co robię. Nie macie się już czego obawiać. Od tej chwili znowu będę ostrożna.

— Mnie to wystarczy — stwierdził Smith.

— A mnie nie — rzekł stanowczo Cooper. — Al, ustępuję ci w większości spraw, ale nie w tym, co może na nas sprowadzić proces o czary.

Smith zaśmiał się.

— Dość już czasu siedziałem i czekałem na adwokatów. Nie ma takiego więzienia, które zatrzyma mnie albo moich przyjaciół.

— Owszem, jest. Robią je długie na sześć stóp, przybijają wieko gwoździami i zakopują w ziemi.

Wszyscy się zamyślili. Wszyscy oprócz Arthura Stuarta.

— No więc co chcecie z nią począć? — zapytał gniewnie. — Przecie nic złego nie zrobiła.

— Przeca nic złego nie zrobiła, jak już — wtrącił Mike Fink.

Chłopak spojrzał na rzecznego szczura jak na szaleńca.

— Jak możesz mnie poprawiać? Powiedziałeś jeszcze gorzej ode mnie.

— Bo przeca nic cię nie prze.

— Nie zostanę oskarżona i was nie oskarżę — zapewniła Purity.

— Myślę, że tak — stwierdził Cooper. — Myślę, że chce pani umrzeć.

— To absurd! — krzyknęła.

— Ściśle mówiąc, myślę, że chce pani zawisnąć na szubienicy jako czarownica.

Przez moment panowała nad sobą. Zamierzała potraktować tę sugestię z lekceważeniem, na jakie zasługiwała. Ale nagle w jej myślach pojawiła się wizja rodziców na szubienicy. A raczej, musiała przyznać, wizja ta tkwiła w jej umyśle od chwili, gdy skojarzyła fakty i uświadomiła sobie, jak zginęli.

Zalała się łzami.

— Nie macie prawa doprowadzać jej do płaczu! — zawołał Arthur Stuart.

— Nie krzycz, Arthurze — uciszył go Smith. — Verily ma rację.

— Skąd możesz to wiedzieć? — zdziwił się Audubon.

— Spójrz na nią.

Purity szlochała tak gwałtownie, że ledwie mogła ustać na nogach. Poczowała, jak obejmują ją długie, silne ręce; z początku chciała się szarpnąć, sądząc, że to Mike Fink chwycił ją z tyłu, lecz poczuła, że przyciska twarz do kosztownego garnituru adwokata.

— Już dobrze — szepnął Cooper.

— Powiesili moją matkę i ojca — powiedziała. A raczej próbowała powiedzieć; trudno było zrozumieć słowa.

— I teraz się pani dowiedziała. Od kogo?

Potrząsnęła głową, niezdolna tego wyjaśnić.

— Sama się pani domyśliła?

Przytaknęła.

— I pani miejsce jest przy nich. Nie wśród ludzi, którzy ich zabili i umieścili panią w sierocińcu.

— Nie mieli prawa! — krzyknęła. — To kraj morderców!

— Ciszej!... Czasami tak się wydaje, ale to przecież nieprawda. Oczywiście, są wśród nich mordercy, bo trafiają się wszędzie. Są ludzie, którzy chętnie oskarżają sąsiada

o czary, żeby rozstrzygnąć spór, zdobyć kawałek ziemi, pokazać wszystkim, jacy są prawi i czujni. Ale większość chce żyć w spokoju i pozwolić innym na to samo.

— Nic nie rozumiecie! To pobożni zabójcy, co do jednego!

— Pobożni — zgodził się Cooper. — Ale nie zabójcy. Proszę o tym pomyśleć, zastanowić się. Każdy człowiek ma jakiś talent. Ilu trafia na szubienicę za czary? W pewnych latach może pięć, sześć osób. Zwykle ani jedna. Ludzie nie chcą otaczać się śmiercią. Chcą wokół siebie życia, jak dobrzy ludzie na całym świecie.

— Dobrzy ludzie nie odebraliby mnie rodzicom! — zawołała Purity.

— Myśleli, że robią to dla pani dobra. Wierzyli, że w ten sposób ratują panią przed piekłem.

Spróbowała się wyrwać z jego uścisku. Nie ustąpił.

— Proszę mnie puścić!

— Jeszcze nie — odparł. — Zresztą nie ma pani dokąd iść.

— Niech idzie, jeśli chce — powiedział Arthur Stuart. — Możemy się stąd wynieść. Alvin zacznie zieloną pieśń, pobiegniemy jak wiatr i znajdziemy się poza Nową Anglią, zanim zdąży komuś coś powiedzieć.

— Nie z tym mamy kłopot — rzekł Smith. — Chodzi o nią. Very nie chce, żeby dała się zabić.

— Nie musi się przejmować — oznajmiła Purity. Odsunęła się i Cooper wypuścił ją z ramion. — Nic mi nie będzie. Musiałam tylko komuś o tym opowiedzieć. Już to zrobiłam.

— Nie — zaprotestował Cooper. — To minęło. Już nie obawia się pani śmierci. Czekaj pani na nią, bo sądzi pani, że to jedyny sposób, by wrócić do domu, do rodziny.

— Skąd pan wie, co myślę? Czy to pański talent? Mam nadzieję, że nie, ponieważ się pan myli.

— Nie powiedziałem, że tak pani myśli. I nie, to wcale nie jest mój talent. Ale jestem adwokatem. Widywałem ludzi w najtrudniejszych chwilach ich życia. Patrzyłem, jak rezygnują, jak godzą się skapitulować wobec świata. I potrafię rozpoznać moment podjęcia tej decyzji. Pani zdecydowała.

— A jeśli nawet? — spytała wyzywająco. — Ale wcale nie zdecydowałam, więc to nieważne.

Cooper nie zwracał na nią uwagi.

— Jeżeli ją tu zostawimy, ona zginie wcześniej czy później. Zrobi to, by wykazać, że jest dzieckiem swoich rodziców.

— Wcale nie — protestowała Purity. — Ja nawet nie wiem na pewno, czy to właśnie ich spotkało.

— Ale chce pani, żeby to była prawda.

— To głupie! Dlaczego miałabym chcieć?

Cooper milczał.

— Przecież nie nienawidzę tych ludzi. Byli dla mnie dobrzy. Wielebny Study postarał się, żeby pozwolili mi korzystać z biblioteki Harvardu. Mogę słuchać wykładów. Nie żeby miało mi się to do czegoś przydać. . .

Cooper uśmiechnął się lekko.

— A do czego może się przydać? — spytała gniewnie Purity. — Jestem kobietą. Albo wyjdę za mąż, albo nie. Jeśli tak, będę wychowywała dzieci. Może nauczę je czytać, zanim jeszcze pójda do szkoły, ale nie ja wprowadzę je w łacinę i grekę. Ktoś inny pokaże im Cezara, Cycerona i Homera. A gdybym nie wyszła za mąż, to mogę

mieć nadzieję, że zatrzymają mnie jako matronę w sierocińcu. Tylko dzieci będą słuchać mojego głosu.

— Nie widzę w dzieciach nic złego — mruknął Arthur Stuart.

— Nie o to jej chodzi.

— Jak pan śmie tłumaczyć, co mówię! — krzyknęła Purity. — Wydaje się panu, że zna mnie lepiej niż samego siebie!

— Tak właśnie uważam — zgodził się Cooper. — Przeszedłem tę samą drogę.

— Och, był pan sierotą? Jako adwokatowi kazali panu cały czas pracować z dziećmi? Czy też musiał pan siedzieć poza salą sądową, broniąc czyjejś sprawy?

— Wszystkie te ofiary poniosłaby pani z zadowoleniem, gdyby wierzyła pani w sprawę.

— Oskarża mnie pan o brak wiary? — Tak.

— Jestem chrześcijanką! — oznajmiła. — A wy jesteście heretykami! Jesteście czarownikami!

— Proszę nie krzyczeć tak głośno — uprzedził ją groźnie Mike Fink.

— Nie jestem czarownikiem — zapewnił gorączkowo Audubon.

— Widzi pani? — rzekł Cooper. — Już teraz nas pani oskarża.

— Wcale nie! Nie ma tu nikogo prócz was.

— Jest pani kobietą, której świat nagle wywrócił się do góry nogami. Jest pani córka czarowników. Jest pani zła, że zostali zabici. Jest pani zła na siebie, ponieważ pani żyje, w dodatku żyje w społeczności, która ich zabiła. I gniewa się pani na tę społeczność za to, że nie jest godna takiej ofiary.

— Nie osądzam innych.

— Mieli tu wybudować nowy Syjon — mówił Cooper. — Miasto Boga. Miejsce, gdzie Chrystus, gdy nadejdzie, miał znaleźć prawych ludzi zebranych razem i czekających na niego.

— Tak — szepnęła Purity.

— Nawet panią nazwali Purity. A jednak sama pani widzi, że nic nie jest czyste. Ludzie starają się być dobrzy, ale nie są dość dobrzy. Kiedy przyjdzie Chrystus, znajdzie tu tylko grupę ludzi, którzy dokonali tyle, że znaleźli inny sposób bycia mierzwą, a on będzie musiał ją wypalić.

— Nie. Cnota jest prawdziwa, ludzie są dobrzy. Wielebny Study. . .

— Cnota jest prawdziwa także poza Nową Anglią.

— Doprawdy? Tutaj większość żyje według przykazań. Cudzołóstwo jest rzadkie jak ryba z nogami. Morderstwo nie zdarza się nigdy. Pijaństwa nigdzie się nie widuje, z wyjątkiem portów, gdzie marynarzom z innych regionów wolno. . . Ale dlaczego mam przed panem bronić Nowej Anglii?

— Nie musi pani — zapewnił Cooper. — Dorastałem wśród marzeń o Nowej Anglii. Kiedy ktoś źle się zachował, kiedy ktoś u władzy popełnił błąd, mawialiśmy: „Czego się spodziewałeś? To przecież nie Nowa Anglia”. Kiedy ktoś był wyjątkowo miłosierny, ofiarny, pokorny czy słodki, mówiło się: „Jego miejsce jest w Nowej Anglii” albo „On ma już miejsce na statku do Bostonu”.

Purity spojrzała na niego zaskoczona.

— Nie, nie jesteśmy aż tak wspaniali.

— Wiem. Na przykład wciąż wieszacie czarowników, a ich dzieci oddajecie do sierocińców.

— Nie rozplączę się znowu — zapewniła Purity. — Jeśli pan na to liczył.

— Miałem nadzieję na coś innego — odparł Cooper. — Proszę pójść z nami.

— Verily! — zawołał Smith. — Wielkie nieba, gdybyśmy chcieli mieć wśród nas kobietę, wędrowalibyśmy z Margaret! Sądzisz, że ta dziewczyna potrafi spać na gołej ziemi?

— To zresztą nieprzyzwoite — przypomniał Mike Fink. — Jest dama.

— Nie musicie się przejmować perspektywą mojej podróży z wami — oświadczyła Purity. — Co z pana za szaleniec? Może i jestem zagniewana, rozczarowana wobec marzeń o czystości tutaj, w Nowej Anglii. Dlaczego jednak miałabym być szczęśliwsza z wami, którzy nie jesteście nawet tak czysti jak tutejsi mieszkańcy?

— Ponieważ mamy jedną rzecz, której pani pragnie.

— A cóż to takiego?

— Cel życia.

Roześmiała mu się w twarz.

— Was pięciu! A cała reszta świata go nie odkryła? Dlaczego więc wszyscy nie zrezygnują i nie umrą?

— Niewielu rezygnuje z życia — odparł Cooper. — Większość rezygnuje z szukania celu. Ale niektórzy nie potrafią przestać. Nie mogą znieść życia bez celu. Bez czegoś

większego niż oni sami, czegoś tak wspaniałego, że nadaje wszystkiemu sens. Pani jest poszukującą, panno Purity.

— Skąd niby tyle pan o mnie wie?

— Ponieważ ja także jestem poszukującym. Sądzi pani, że nie rozpoznam podobnych sobie?

Rozejrzała się po pozostałych.

— Gdybym była kimś takim, kimś poszukującym, dlaczego miałabym szukać innych poszukujących? Skoro nadal poszukujecie, to znaczy, że niczego nie znaleźliście.

— Ależ znaleźliśmy — stwierdził Cooper.

Smith przewrócił oczami.

— Verily Cooper, wiesz przecież, że nie mam nawet pojęcia, czego szukamy.

— Nie o tym mówię. Ty nie jesteś poszukującym, Alvinie. Ty dostałeś już swoje życie w ręce, czy tego chciałeś, czy nie. Arthur też nie jest poszukującym. On już odkrył, czego chce.

Arthur zakłopotany spuścił głowę.

— Tylko nie mów.

— Tak jak Mike Fink. Obaj znaleźli ciebie, AL Będą za tobą podążać aż do śmierci.
— Być może mojej — zauważył Smith.
— Nie może być — orzekł Mike Fink. — Chyba że ja pierwszy padnę trupem.
— Widzisz? Obecny tu Jean-Jacques Audubon też nie jest poszukującym. On także zna już cel swojego życia.

Audubon wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Ptaki, kobiety i wino.

— Ptaki — sprostował Cooper.

— Ale ty wciąż szukasz? — zapytał Smith.

— Ja też znalazłem ciebie, lecz nie wiem jeszcze, do czego się nadaję. Nie odgadłem, jaki sens ma moje życie. — Cooper znowu zwrócił się do Purity. — Dlatego wiedziałem. Bo sam stałem w miejscu, gdzie pani teraz stoi. Oszukała pani ich wszystkich; wydaje im się, że panią znają, ale to oznacza jedynie, że zachowała pani swój sekret. Tylko że teraz ma pani już dosyć sekretów; musi się pani stąd wydostać, musi znaleźć ludzi, którzy wiedzą, po co pani żyje.

— Tak... — wyszeptała.

— Więc proszę pójść z nami.

— Do licha, Very — obruszył się Smith. — Nie możemy przecież zabrać w drogę kobiety.

— Dlaczego nie? — zdziwił się Cooper. — Niedługo znów spotkasz się z żoną i zacznie z nią podróżować. Nie możemy przecież całe życie sypiać w lesie. A panna Purity może nam pomóc. Nasz przyjaciel malarz jest pewnie zadowolony z tego, co tu osiągnął, my jednak nie wiemy ani trochę więcej, niż wiedzieliśmy przed przybyciem. Oglądamy wioski, ale nie bardzo możemy z kimkolwiek rozmawiać, gdyż mamy wiele tajemnic, a oni tu są małomówni wobec obcych. Panna Purity może nam dużo wytłumaczyć. Pomoże nauczyć się tego, co potrzebne, by zbudować Miasto. . .

Urwał.

— Miasto — zakończył po chwili.

— Dlaczego nie powiedzieć wprost? — spytała Purity. — Miasto Boga.

Cooper i Smith spojrzeli na siebie i Purity zobaczyła, że obaj się cieszą, jakby coś zrozumieli.

— Widzisz? — powiedział Cooper. — Już się czegoś nauczyliśmy, tylko dzięki temu, że mamy przy sobie pannę Purity.

— Czego się nauczyliście? — zainteresował się Arthur Stuart.

— Że może Kryształowe Miasto ma też inną nazwę — odparł Smith.

— Kryształowe Miasto? — zdziwiła się Purity.

Cooper zerknął na Smitha, pytając o zgodę. Alvin spojrział na każde z nich po kolei, aż w końcu jego wzrok zatrzymał się na dziewczynie.

— Jeśli uważasz, że się nadaje. . .

— Wiem, że tak — zapewnił Cooper.

— Ma pani parę minut? — zapytał Smith.

— Raczej parę godzin — sprostował Mike Fink.

— Może jak wy tu będziecie gadać i gadać, wykąpię się w rzece — zaproponował Audubon.

— Ja stanę na straży — rzekł Fink. — Swego czasu wpadałem do tyłu rzek, bez rozbierania się do goła, że nie mam zamiaru robić tego celowo.

Po chwili Purity, Smith, Cooper i Arthur Stuart siedzieli w wysokiej, miękkiej trawie na brzegu.

— Opowiem pani historię — rzekł Smith. — O tym, kim jesteśmy i co tutaj robimy. A potem zdecyduje pani, co zechce z tym począć.

— Ja opowiem — zgłosił się Arthur Stuart.

— Ty?

— Ty zawsze wszystko mieszasz i opowiadasz od końca.

— Co to znaczy „zawsze”? Mało komu opowiadam to wszystko.

— Nie jesteś Bajarzem, Alvinie.

— A ty jesteś?

— Ja przynajmniej umiem opowiadać od początku do końca, zamiast stale dodawać różne kawałki, o których zapomniałeś w odpowiednich miejscach.

Smith roześmiał się głośno.

— Dobrze, Arthurze Stuart, opowiesz historię mojego życia, bo znasz ją lepiej ode mnie.

— To zresztą i tak nie jest historia twojego życia — przypomniał Arthur Stuart. —
Bo zaczyna się od małej Peggy.

— Małej?

— Tak ją wtedy wołali.

— Mów — zachęcił chłopca Smith.

Arthur Stuart spojrział pytająco na pozostałych. Cooper i Purity skinęli głowami. Arthur poderwał się natychmiast i odszedł na kilka kroków. Potem odwrócił się i stanął przed nimi, plecami do rzeki, a letnie słońce oświetlało go jasno, gdy słuchacze siedzieli w cieniu. Założył ręce za plecy, przymknął oczy i zaczął mówić.

IMIONA

Margaret nie martwiła się z góry, kiedy — i czy w ogóle — dojdzie do skutku jej obiecana audiencja u królowej. Wiele przyszłości, dostrzeganych w płomieniach serc innych osób, prowadziło do takiego spotkania, wiele nie prowadziło. I w żadnym przypadku taka audiencja nie pozwalała odwrócić krwawej wojny, której się lękała.

Tymczasem miała dość pracy, by nie narzekać na nadmiar wolnego czasu. Przekonała się bowiem, że Camelot jest o wiele bardziej skomplikowany, niż sądziła.

W dzieciństwie przeżyтым na Północy nauczyła się uważać niewolnictwo za zjawisko typu „wszystko albo nic”; zwykle zresztą tak było. Nie da się połowicznie na nie

przyzwalać ani połowicznie praktykować. Albo człowiek może być kupowany i sprzedawany przez innego człowieka, albo nie. Albo może być zmuszany do pracy dla cudzej korzyści pod karą śmierci lub cierpienia, albo nie.

Mimo to dostrzegała rysy w tym pancerzu. Właściciele niewolników ulegali zwykłym ludzkim impulsom. Mimo bardzo surowych praw, zakazujących takiej praktyki, niektórzy Biali żywili ciepłe uczucia wobec lojalnych Czarnych. Prawo zakazywało uwolnienia niewolnika, a jednak Ashworthowie nie byli jedynymi, którzy wyzwolili, a potem zatrudnili niektórych Czarnych — i nie wszyscy z tych uwolnionych byli tak starzy jak Łania. Owszem, niemożliwe było atakowanie instytucji niewolnictwa w prasie czy na publicznych spotkaniach, ale nie znaczy to, że nie istniało miejsce dla dyskretnych reform.

Właśnie pisała o tym w liście do Alvina, kiedy ktoś zastukał cicho do drzwi.

— Proszę.

Drzwi otworzyła Ryba. Bez słowa wręczyła Margaret wizytówkę i wyszła, zanim Margaret zdążyła podziękować.

Wizytówka należała do jakiegoś galanteryjnika w Filadelfii, co zdumiało Margaret, dopóki nie domyśliła się, że należy ją odwrócić. Znalazła wiadomość wypisaną niedbale, dziecięcym pismem.

Droga bratowo Margaret,

Słyszałem, że jesteś w mieście. Obiad? Spotkajmy się na dole o czwartej.

Calvin Miller

Od wielu dni nie zaglądała do płomienia jego serca, zajęta studiowaniem społeczności Camelotu. Oczywiście teraz spojrzała; jego wyraźny płomień rozjarzył się z gąszczu innych w mieście. Nigdy nie lubiła zaglądać w Calvina z powodu złośliwości kryjącej się w jego sercu. Patrzyła zawsze krótko i nie szukała głęboko. Natychmiast jednak dowiedziała się o jego związku z lady Ashworth, co wzbudziło jej niesmak, mimo długiego doświadczenia z grzechami i słabościami znanymi ludzkości. Użyć swojego talentu, by wzbudzić u kobiety żądzę — czym to się różni od gwałtu? Owszem, lady Ashworth mogła wezwać niewolników i wyrzucić go za drzwi; to jedyna sytuacja, kiedy niewolnikom pozwala się brutalnie traktować Białego. Jednak lady Ashworth nie

była przyzwyczajona do odczuwania seksualnego pożądania i — jak dziecko w pierwszym okresie dojrzewania — nie znała żadnej strategii oporu. Tam, gdzie obyczajowość każe w tym chaotycznym okresie rozdzielać chłopców od dziewcząt, chroniąc ich przed katastrofalnym brakiem samokontroli, lady Ashworth, jako osoba dorosła i o wysokiej pozycji, nie miała takiej ochrony. Bogactwo zapewniło jej odosobnienie i dało okazję, nie udzielając żadnej pomocy w odpieraniu pokusy.

Pewna myśl przemknęła Margaret przez głowę: wiedza o małżeńskiej zdradzie lady Ashworth może się okazać użyteczna.

Ale natychmiast odrzuciła ją zawstydzona. Nie wolno wykorzystywać grzechu kobiety przeciwko niej. Wiedziała, że ludzie grzeszą przez całe życie — a także widziała straszne przyszłości, które pojawią się, jeśli zdradzi, co wie. Bóg dał jej tak potężny talent przecież nie po to, by szerzyła nieszczęście.

A jednak... Gdyby istniał jakiś sposób, by wiedza o uwiedzeniu lady Ashworth pomogła zapobiec wojnie...

Jakież to gorzkie, że najbardziej odpowiedzialny — Calvin — był pozbawiony wstydu i sumienia, zatem nie mogła faktu cudzołóstwa użyć przeciwko niemu. Chyba że lord

Ashworth okazałby się mistrzem pojedynków. Nawet wtedy jednak — podejrzewała — w walce z Calvinem przekonałby się nagle, że pistolet nie chce wystrzelić albo że szpada się złamała. Tak już bywa na tym świecie: uwodziciele i gwałciciele rzadko ponoszą konsekwencje swoich działań, a przynajmniej nie w takim stopniu jak osoby uwiedzione i złamane.

Mają się spotkać o czwartej, za kilka godzin. Ryba nie czekała na odpowiedź, Calvin najprawdopodobniej także nie. Margaret albo spotka się z nim, albo nie spotka — i rzeczywiście, płomień serca wskazywał, że Calvin wcale się tym nie przejmuje. Tylko zwykły kaprys skłonił go do spotkania. Celem rozmowy miało być w równym stopniu przekonanie się, kim jest bratowa, jak też próba — pod osłoną jej spódnicy — dostania się na dwór królewski.

Ale nawet w Calvinowej chęci zobaczenia króla Arthura nie było żadnego planu. Znał przecież Napoleona — król na wygnaniu mu nie zaimponuje. Przez chwilę Margaret zastanawiała się, czy Calvin chce może zamordować króla Arthura, tak jak zamordował — choć sam uznawał to raczej za egzekucję — Henry'ego Harrisona. Ale

nie; płomień jego serca nie ukazywał żadnej takiej ścieżki w przyszłości ani takiego pragnienia w chwili obecnej.

Na tym jednak polegał kłopot z płomieniem serca Calvina — zmieniał się z dnia na dzień, z godziny na godzinę. Większość ludzi, ograniczana zwykle okolicznościami, mogła dokonywać niewielu prawdziwych wyborów, więc płomienie ich serc ukazywały przyszłości podążające tylko kilkoma prawdopodobnymi ścieżkami. Nawet ludzie obdarzeni wielką mocą, jak jej mąż Alvin, którego talenty dawały niezliczone możliwości, nadal mieli przyszłość rozłożoną wzdłuż większej, ale jednak przeliczalnej liczby ścieżek, ponieważ ich charakter był przewidywalny, ich decyzje spójne.

A Calvinem kierowały chwilowe zachcianki. Ostatnio jego życie kształtował związek z tym francuskim intelektualistą, a to dzięki temu, że Balzac miał stanowczy charakter. Gdy tylko jednak przyszłości Calvina oddzielały się od Balzaca, natychmiast zaczynały się rozgałęziać, dzielić, rozszczepiać w całe tysiące, miliony możliwości, a żadna nie była bardziej prawdopodobna od pozostałych, Margaret nie mogła podążać wszystkimi, by sprawdzić, dokąd prowadzą.

To w płomieniu serca męża, nie Calvina, zobaczyła śmierć Alvina spowodowaną machinacjami brata. Gdyby zbadała każdą z miliarda ścieżek Calvinowej przyszłości, pewnie odkryłaby wiele sposobów osiągnięcia tego końca. Nienawiść i zazdrość, a także miłość i podziw dla Alvina były jedynymi stałymi elementami w niestałym sercu Calvina. To, że życzył bratu jak najgorzej i że te życzenia kiedyś się spełnią, nie ulegało wątpliwości; Margaret nie umiała znaleźć żadnej ścieżki pozwalającej tego uniknąć.

Oprócz zabicia go.

Co się ze mną dzieje? — zdziwiła się. Najpierw rozważam wymuszenie czegoś groźbą ujawnienia grzechu lady Ashworth, a teraz wprost myślę o zamordowaniu brata mojego męża. Czyżby sam kontakt z Calvinem budził takie pokusy? Czy płomień jego serca tak na mnie wpływa?

Czy nie byłoby miło obciążyć Calvina winą za własne słabości?

Jednego Margaret była całkiem pewna: ziarno wszelkiego grzechu tkwi w ludziach. Gdyby nie to, czy można by uznać za cnotę fakt, że powstrzymują się od działań kierowanych takimi impulsami? Calvin nie musiał jej uczyć złych myśli. Wystarczyło poczucie niemocy, niezdolność zmiany biegu zdarzeń, bezradność wobec zguby czekającej

Alvina, widzianej tak wyraźnie, którą on zdawał się nie przejmować. Pragnienie zmuszenia innych, by nagięli się i ulegli jej woli, zawsze było obecne, choć zwykle ukryte tak głęboko, że mogła o nim zapomnieć. Czasem jednak wynurzało się i zawieszało dojrzały owoc władzy tuż poza jej zasięgiem. Jak mało kto wiedziała, że moc przymuszania zależy całkowicie od lęków i słabości innych ludzkich istot. Owszem, można wykorzystywać przymus, ale w rezultacie człowiek zawsze znajduje się w otoczeniu słabych i lękliwych, a silni i odważni łączą się przeciw niemu. Wielu z tych silnych, dzielnych przeciwników dorównuje mu w złych uczynkach. Im bardziej przymusza się innych, tym szybciej nadchodzi chwila klęski.

Nadejście nawet dla Napoleona. Margaret zobaczyła to, gdyż badała czarny, gorący płomień jego serca, kiedy sprawdzała, co porabia Calvin we Francji. Zobaczyła pole bitwy. Zobaczyła sprzymierzonych przeciw niemu wrogów. Żaden przymus, nawet wykorzystujący nieodparty z pozoru talent Napoleona, nie mógł zbudować trwałej struktury. Tylko kiedy przywódca zbiera wokół siebie chętnych zwolenników, dzielących jego cel, może go przetrwać to, co stworzy. Aleksander stworzył imperium, ale po jego śmierci rozpadło się na części. Karolowi Wielkiemu udało się trochę lepiej,

Attyli gorzej — po jego śmierci imperium przestało istnieć. Za to imperium rzymskie, zbudowane na wspólnej zgodzie, przetrwało dwa tysiące lat. Imperium Mahometa po jego śmierci wciąż rosło, aż stało się cywilizacją. Obecna Francja nie była Rzymem ani Napoleon Mahometem.

Ale Napoleon przynajmniej starał się coś zbudować — Calvin nawet nie próbował. Tworzenie było jego wrodzonym talentem, lecz pragnienie budowania okazało się obce jego naturze. Był słaby i lękliwy. Nie potrafił znieść lekceważenia; wstydu bał się bardziej niż śmierci. To sprawiało, że uważał się za odważnego. Wielu ludzi popełnia taki błąd wobec siebie: ponieważ nie cofają się przed perspektywą fizycznego bólu, a nawet pewnej śmierci, sądzą, że mają odwagę — lecz to nieprawda, gdyż sama groźba zawstydzenia nakazuje im wypełnić każde głupie polecenie, oddać każdy skarb, nawet najdroższy.

Calwinie, co ja mam z tobą zrobić? Czy nie ma sposobu, by w twoim słabym, głupim sercu rozpalic prawdziwe męstwo? Na pewno nie jest jeszcze za późno, nawet dla ciebie. Wśród miliona rozbieżnych ścieżek w twym płomieniu musi być przynajmniej jedna, na której znajdziesz w sobie dość odwagi, by uznać wielkość Alvina, nie lękając się przy

tym, że inni będą cię lekceważyć jako słabszego. Z pewnością jest taka chwila, w której zdecydujesz się pokochać dobro dla niego samego, kiedy przestaniesz się martwić, co inni o tobie myślą.

Na pewno w każdym stogu siana jest jedno źdźbło, które posadzone, okopane, podlewane i nawożone, będzie żyło i rosło.

* * *

Honoré de Balzac truchtał za Calvinem, z każdą chwilą bardziej zirytowany.

— Zwolnij, laskonogi, bo zetnę się na wióry, próbując za tobą nadążyć.

— Zawsze chodzisz tak powoli — odparł Calvin. — Czasami muszę przejść kawałek trochę szybciej, bo dostanę skurczu w nogach.

— Jak dostaniesz skurczu, to je rozkurcz! — zawołał gniewnie Honoré.

Ale kłótnia już się skończyła — Calvin szedł teraz wolniej.

— Ta twoja bratowa. . . Dlaczego zechce płacić za obiad?

— Powiedziałem ci już. Jest żagwią, Napoleonem wśród żagwi. Zanim jeszcze zej-
dzie nam na spotkanie, będzie wiedziała, że nie mam ani centa. Czy też szylinga. Jak-
kolwiek to tu nazywają.

— Wtedy odwróci się i ucieknie na górę.

— Nie. Będzie chciała się ze mną spotkać.

— Ależ Calvinie, drogi przyjacielu! Jeśli jest żagwią, to musi wiedzieć, co masz
w sercu. Kto wtedy chciałby się z tobą spotykać?

Calvin odwrócił się nagle; grymas złości wykrzywił mu twarz.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Przez moment Honoré poczuł strach.

— Proszę, nie zamieniaj mnie w żabę, *Monsieur le Stwórca*.

— Jeśli mnie nie lubisz, czemu stale się włączysz za mną?

— Piszę powieści, Calvinie. Obserwuję ludzi.

— Mnie obserwujesz?

— Nie, oczywiście, że nie. Ciebie mam już w umyśle, gotowego do opisania. Obserwujesz ludzi, których spotykasz. Jak na ciebie reagują. Mam wrażenie, że coś w nich rozbudzasz.

— Co?

— Różne rzeczy. To właśnie badam.

— Czyli wykorzystujesz mnie.

— Oczywiście! Czyżbyś żywił złudzenia, że trzymam się ciebie z miłości? Myślisz, że jesteśmy jak Damon i Fintiasz? Albo Jonatan i Dawid? Byłbym durniem, kochając cię jak takiego przyjaciela.

Twarz Calvina stała się jeszcze bardziej mroczna.

— Czemu byłbyś durniem?

— W twoim życiu nie ma miejsca dla takiego człowieka jak ja. Jesteś już uwięziony w tańcu ze swoim bratem. Kain i Abel nie mieli przyjaciół... co prawda byli wtedy jedynymi ludźmi. Może lepszą analogią będzie Romulus i Remus.

— Którym z nich jestem?

— Młodszym bratem.

— Więc uważasz, że brat spróbuje mnie zabić?

— Mówiłem o bliskości dwóch braci, nie o zakończeniu tej opowieści.

— Bawisz się mną.

— Zawsze bawię się każdym — zapewnił Honoré. — To moje powołanie. Bóg zesłał mnie na ziemię, bym czynił z ludźmi to, co koty z myszami. Bawił się nimi, wysysał z nich ostatnią resztkę życia, a potem chwycił w zęby i porzucił na progu. Takie jest zadanie literatury.

— Bardzo się przechwalasz jak na pisarza, który nie wydrukował jeszcze żadnej książki.

— Nie ma książki dość grubej, by pomieściła wszystkie opowieści, jakie mnie wypełniają. Ale wkrótce już będę gotów pisać. Wrócę do Francji, napiszę swoje powieści, od czasu do czasu mnie aresztują, będę zaciągał długi, zarobię bardzo dużo pieniędzy, ale nigdy dosyć, i w końcu moje książki przetrwają o wiele dłużej niż imperium Napoleona.

— A może tak się tylko będzie wydawać tym, którzy je będą czytali.

— Nie dowiesz się. We francuskim jesteś analfabetą.

— Jestem analfabetą w prawie każdym języku — stwierdził Calvin. — I ty też.

— Owszem, ale w konkursie analfabetyzmu odstępuję ci laury.

— To jest ten dom — oświadczył Calvin.

Honoré ocenił zajazd.

— Twoja bratowa nie jest bogata, ale wydaje pieniądze, żeby zatrzymać się w szanowanym miejscu.

— Kto mówi, że nie jest bogata? Zastanów się tylko. Wie, co ludzie myślą. Wie o wszystkim, co zrobili i co chcą zrobić. Widzi przyszłość! Mogę się założyć, że zainwestowała tu czy tam parę dolarów. I że ma już teraz dużo pieniędzy.

— Cóż za bezsensowne marnowanie takiej mocy. . . — Honoré westchnął. — Zwyczajnie zarabianie pieniędzy. Gdybym mógł zajrzeć w serce innego człowieka, potrafiłbym napisać najprawdziwszą ze wszystkich powieści.

— Myślałem, że i tak potrafisz.

— Owszem, ale to tylko wyobrażona dusza innego człowieka. Nie jestem pewien, czy mam rację. Nigdy jeszcze nie pomyliłem się względem nikogo, ale pewności nie mam nigdy.

— Ludzie nie są tacy trudni do odgadnięcia — zapewnił Całym. — Traktujesz to jak nie wiadomo jaką tajemnicę, a siebie jak wielkiego kapłana, któremu sam Bóg ją zdradza. A ludzie to po prostu ludzie. Zawsze chcą tego samego.

— Zdradz mi listę tych rzeczy po drodze przez próg tego domu.

Calvin pociągnął za sznurek dzwonka.

— Wody. Pożywienia. Wypróżniania. Kobiety albo mężczyzny, zależy. Bogactwa. Żeby ludzie ich szanowali i lubili. Żeby ludzie robili to, co im każą.

Drzwi się otworzyły. W progu stała czarna kobieta ze spuszczoną głową.

— Panna Larner albo pani Smith, czy jakiego jeszcze nazwiska używa, Margaret w każdym razie, umówiła się z nami na dole — poinformował ją Calvin.

Niewolnica odsunęła się bez słowa. Honoré przestąpił próg, ujął ją pod brodę i pchnął głowę do góry, aż spojrzeli sobie w oczy.

— Czego chcesz? — zapytał. — Czego pragniesz najbardziej na całym świecie?

Przez moment niewolnica patrzyła na niego ze zgrozą, uciekając spojrzeniem na boki. Honoré wiedział, że usiłuje znowu wbić wzrok w podłogę, wrócić do bezpiecznego i uporządkowanego świata. Jednak nie śmiała odwrócić od niego twarzy, dopóki trzy-

mał ją pod brodą, w lęku, że oskarży ją o nieposłuszeństwo. Po chwili jednak przestała zerkać na boki; popatrzyła mu w oczy, jak gdyby potrafiła zajrzeć w głąb i przekonać się, że nie chce jej skrzywdzić, chce tylko ją zrozumieć.

— Czego chcesz? — powtórzył.

Poruszyła wargami.

— Mnie możesz powiedzieć.

— Imienia — szepnęła.

A potem wyrwała się i uciekła.

Honoré spoglądał za nią zdziwiony.

— Jak sądzisz, o co jej chodziło? — zwrócił się do Calvina. — Przecież z pewnością ma imię. Jak inaczej jej pan by ją wołał, kiedy jest potrzebna?

— Musisz zapytać Margaret — odparł Calvin. — To ona wie, co się dzieje w czyjejś głowie.

Usiedli na werandzie; obserwowali, jak kolibry i pszczoły szturmują kwiaty w ogrodzie. Po chwili Calvin znalazł sobie rozrywkę — sprawiał, że skrzydełka pszczół przestawały uderzać. Wskazywał palcem pszczołę, a ona spadała na ziemię jak kamień. Po

chwili, oszołomiona i gniewna, znów zaczynała brzęczeć i wznosiła się w powietrze. W tym czasie Calvin wskazywał już następną, którą strącał. Honoré śmiał się, bo to rzeczywiście było zabawne: widzieć, jak spadają, wyobrażać sobie ich zdumienie.

— Proszę, tylko nie rób nic takiego kolibrom — powiedział.

I natychmiast tego pożałował, gdyż oczywiście Calvin musiał to zrobić. Wskazał palcem, a skrzydła kolibra zamarły. Ptak runął. Ale nie zabrzączał i nie wystartował ponownie, tylko męczył się na ziemi, trzepocząc jednym skrzydełkiem, gdy drugie wlokło się bezwładnie.

— Dlaczego uszkodziłeś tak piękne stworzenie? — zapytał Honoré.

— Kto stanowi reguły? — odparł Calvin. — Dlaczego jest to śmieszne z pszczołami, ale nie z ptakami?

— Bo to nie krzywdzi pszczoły. Bo kolibry nie żądają. Bo pszczoły są pospolite, a kolibry to rzadkie anioły.

— Nie tutaj.

— Chcesz powiedzieć, że tak wiele jest aniołów w Camelocie?

— Chcę powiedzieć, że żyje tu mnóstwo kolibrów. Są pospolite jak wiewiórki.

— A zatem można złamać któremuś skrzydło i pozwolić mu zdechnąć?

— O co chodzi? Bóg czuwa nad wróblami, a tobie przypadły kolibry?

— Jeśli nie możesz czegoś naprawić — rzekł Honoré — nie powinienes psuć.

Calvin spojrzał na niego gniewnie. Podniósł się z krzesła, przeskoczył balustradę i klęknął przy kolibrze. Chwycił za skrzydełko i próbował je wyprostować. Ptak wyrwał mu się z dłoni.

— Nie ruszaj się, do licha!

Chwycił skrzydło, zamknął oczy, skoncentrował się. Ale trzepotanie ptaka wciąż go irytowało. Wykonał gwałtowny gest, jakby potrzasał za ramię dziecko, i kości skrzydła rozkruszyły mu się w palcach. Cofnął ręce i spojrzał na wynik swych starań z wyrazem niesmaku na twarzy.

— Czy to taka gra? — zapytał Honoré. — Sprawdzić, ile razy można złamać skrzydło jednego kolibra?

Calvin popatrzył na niego z wściekłością.

— Zamknij swoją przeklętą gębę!

— Ten ptak cierpi, *Monsieur le* Stwórca.

Calvin poderwał się na nogi i mocno przydepnął kolibra.

— Teraz już nie.

— Calvin uzdrowiciel — mruknął Honoré.

Mimo żartobliwego tonu, cierpiał. To z jego podjudzenia zginął ptak. Co prawda i tak nie było dla niego nadziei. Został skazany już w chwili, gdy Calvin strącił go na ziemię. Nawet to było w części winą Honoré, który prosił, by Calvin tego nie robił. Wiedział, a w każdym razie powinien wiedzieć, że go tylko zachęci.

— Przez ciebie to zrobiłem — oznajmił Calvin.

Unikał wzroku Honoré. A to zmartwiło Francuza bardziej niż wyzywające spojrzenie. Calvin poczuł wstyd w obecności przyjaciela. Owemu przyjacielowi nie wróżyło to najlepiej.

— Bzdura — odparł wesoło Honoré. — To był twój własny mądry wybór. Nie zabijać pszczół, bo robią miód. A co robi koliber? Plama koloru w powietrzu, a potem ginie i voila Plama koloru na ziemi. A gdzie jest bardziej potrzebna? Powietrze i tak pełne jest jaskrawych barw. Ziemia nigdy nie ma ich dosyć. Sprawileś, że świat jest piękniejszy.

— Kiedyś obrzydzenie mnie ogarnie od twoich paskudnych żartów — stwierdził Calvin.

— Czemu trwa to tak długo? Ja już czuję do siebie obrzydzenie.

— Ale swoje żarty lubisz.

— Nigdy nie wiem, czy mi się spodobają, dopóki nie usłyszę siebie, jak je opowiadam — wyjaśnił Honoré.

Usłyszał kroki wewnątrz budynku — kroki zbliżające się do drzwi. Obejrzał się. Margaret Smith okazała się kobietą surową z wyglądu, ale to nie znaczy, że mało atrakcyjną. *Au contraire*, była bardzo atrakcyjna. Może odrobinę zbyt wysoka jak na gust Honoré, ale jak większość niskich mężczyzn, już dawno pogodził się z koniecznością admiringowania kobiet wyższych od siebie. Inna decyzja zbyt ograniczyłaby liczbę dostępnych dam.

Oczywiście, ta nie była dostępna. Lekko uniosła brew, jakby chciała dać Honoré do zrozumienia, że docenia jego podziw i uważa to uczucie za słodkie, ale niemądre. Po czym skierowała wzrok na Calvina.

— Pamiętam — rzekła — jak raz Alvin uleczył połamane zwierzę.

Honoré drgnął i zerknął na Calvina. Ku jego zdumieniu, zamiast wybuchnąć gniewem, przyjaciel uśmiechnął się tylko.

— Miło cię spotkać, Margaret — powiedział.

— Ustalmy jedno na samym początku — odparła. — Wiem o wszystkich twoich paśkudnych postępkach. Wiem, jak bardzo nienawidzisz i jak bardzo zazdrościsz mojemu mężowi. Wiem, jaką wściekłość odczuwasz w tej chwili i jak chciałbyś mnie poniżyć. Nie musimy zachowywać fałszywych pozorów.

— Skoro tego sobie życzysz, zgoda — rzekł Calvin z uśmiechem. — Chcę się z tobą kochać. Chcę, żebyś nosiła moje dziecko zamiast Alwinowego.

— Jedyne, czego chcesz, to rozgniewać mnie i wystraszyć. Chcesz, żebym się obawiała, czy wykorzystasz swoją moc, by skrzywdzić dziecko w moim łonie, a potem uwieść mnie jak tamtą nieszczęsną kobietę. Pozwól, że cię uspokoje. Heksy chroniące moje dziecko są dziełem samego Alvina, a ty nie masz takich zdolności, by się przez nie przebić.

— Myślisz, że nie mam?

— Wiem, że nie masz — zapewniła Margaret. — Ponieważ już próbowałeś, nie udało ci się i nawet nie zaczynasz się domyślać powodu. Co do uwodzenia mnie, to zachowaj swoje trudy dla kogoś, kto nie zdoła przejrzeć twojej gry. A teraz idziemy na obiad czy nie?

— Ja jestem głodny — wtrącił Honoré, by jakoś zażegnać nastrój wrogości, który ciążył nad rozmową. Czy ta kobieta nie wie, jakim Calvin jest szaleńcem? — Gdzie zjemy?

— Ponieważ ja mam płacić — odparła Margaret — musimy wybrać restaurację, na którą mnie stać.

— Doskonale — ucieszył się Honoré. — Niedobrze mi się robi na myśl o jedzeniu w restauracjach, na które stać mnie.

To zyskało mu delikatną sugestię uśmiechu surowej pani Smith.

— Proszę podać mi ramię, monsieur de Balzac. Nie mówmy mojemu szwagrowi, dokąd idziemy.

— Bardzo zabawne — mruknął Calvin, wspinając się przez balustradę z powrotem na werandę.

Ton wściekłości zniknął z jego głosu. Honoré przyjął to z ulgą. Ta kobieta, ta żagiew z pewnością lepiej niż on rozumie Calvina, gdyż Calvin uspokajał się wyraźnie, choć tak niebezpiecznie go drażniła. Oczywiście, jeśli chronią ją hekсы, czuje się pewniejsza.

Ale czy tylko na hekсы liczy? Jest przecież żoną Stwórcy, jakim Calvin tak bardzo chciałby zostać — może liczy na świadomość Calvina, że gdyby skrzywdził ją albo dziecko, musiałby zmierzyć się w końcu z gniewem brata, a nie był dla niego godnym przeciwnikiem. Kiedyś dojdzie między nimi do starcia, ale jeszcze nie jest gotów i dlatego nie tknie żony Alvina ani jego nienarodzonego dziecka.

Z pewnością tak właśnie postąpiłby człowiek racjonalny.

* * *

W czasie posiłku Calvin starał się hamować irytację. Co by mu przyszło z wybuchu złości? Widziała przecież wszystkie jego uczucia. Co prawda widziała również, że tłumii gniew, więc nawet to nie pomagało. Nienawidził samej myśli o jej istnieniu — kogoś, kto sądzi, że poznał prawdę o jego duszy, tylko dlatego że potrafi zajrzeć w jego tajemne pragnienia. A przecież każdy ukrywa jakieś pragnienia, prawda? Nie można

ludzi skazywać za zachcianki, jakie przemknęły im przez myśl, prawda? Liczą się tylko czyny.

A potem przypomniał sobie martwego kolibra. Nagą lady Ashworth w łożu. Powstrzymał się, nim zaczął wspominać wszystkie akty krytykowane przez innych — nie ma powodu, by przed czujnym okiem Margaret odsłaniać cały ich katalog. Potem przekaze wszystko Alwinowi, bez wątpienia w najgorszej możliwej interpretacji. Szpieg Alvina. . .

Nie, nie warto się złościć. Nic nie mogła poradzić na swój talent, nie bardziej niż Calvin czy ktokolwiek inny. Nie jest szpiegiem. . .

Jest za to sędzią. Wyraźnie osądzała go; powiedziała to właściwie wprost. Osądzała każdego. Dlatego właśnie znalazła się tutaj, w koloniach Korony — ponieważ osądziła i skazała ich za praktykę niewolnictwa, mimo że jeszcze do niedawna cały świat praktykował niewolnictwo. Trudno osądzać tych ludzi za to, że pomysł emancypacji był dla nich jakąś nowomodną ideą pochodzącą z purytańskiej Anglii i od kilku francuskich filozofów.

Nie chciał, by sądziła go na podstawie czynów. To także nie jest sprawiedliwe. Ludzie popełniają błędy. Nie można wiecznie ich o to oskarżać, prawda?

Nie, ludzi należy osądzać według tego, czego zamierzali dokonać na dłuższą metę. Poprzez zasadniczy cel, który próbowali osiągnąć. Calvin zamierzał pomóc Alwinowi w budowie Kryształowego Miasta. Dlatego właśnie wyruszył do Anglii i Francji, prawda? Żeby odkryć, jak ludzie się gromadzą i dają sobą rządzić w prawdziwym świecie. Żadne tam marne lekcje, jakich Alvin udzielał w Vigor Kościele, próbując zmienić ludzi w coś, czym nie byli i stać się nie mogli. Nie, w taki sposób Alvin do niczego by nie doszedł. To Calvin pozna wszystkie sposoby, wróci i wskaże bratu drogę. Calvin będzie nauczycielem i obaj bracia wspólnie wybudują wspaniałe miasto, by stamtąd sprawować rządy nad światem. Nawet Napoleon przyjdzie się im pokłonić. A wtedy wszystkie błędy i złe myśli Calvina zostaną zapomniane wobec chwały i glorii, jaka na niego spłynie.

I choćby mu się nie udało, taki miał cel i to się liczy. Taki naprawdę był Calvin i w taki sposób powinna osądzić go Margaret.

Chociaż jeśli się zastanowić, to osądzanie go naprawdę nie jest jej sprawą. Tak powiedział Jezus, prawda? Nie sądziecie, byście nie byli sądzeni. Jezus wybaczał wszystkim. Margaret powinna wziąć przykład z Jezusa i wybaczyć Calvinowi, zamiast go skazywać. Świat stałby się lepszy, gdyby ludzie więcej wybaczała. Wszyscy grzeszą. Czym jest niewielki grzeszek Calvina z lady Ashworth wobec zabicia Odszukiwacza przez Alvina? Czym jest martwy koliber wobec martwego człowieka? Margaret potrafiła wybaczyć Alwinowi, ale Calvinowi nie, nigdy, bo nie należał do jej faworytów.

Ludzie są takimi hipokrytami. . . Niedobrze mu się robiło. Udają nie wiadomo jak prawych. . .

Oprócz Balzaca. On nigdy nie udaje. Zawsze jest sobą. I nie osądza Calvina. Przyjmuje go takiego, jaki jest. Nie porównuje z Alvinem. Zresztą nie mógłby. Nigdy się przecież nie spotkali.

Obiad dobiegał końca. Zajęty myślami Calvin nie zauważył nawet, że prawie wcale się nie odzywa. Zresztą co właściwie miałby mówić, skoro Margaret i tak uważała, że wie o nim wszystko?

Balzac opowiadał jej o niewolnicy, która otworzyła im drzwi.

— Zapytałem jej, czego pragnie najbardziej na świecie, a ona powiedziała, że najbardziej chciałyby imienia. Myślałem, że ludzie tutaj nadają swoim niewolnikom imiona.

Margaret spojrzała na niego zaskoczona. Odpowiedziała dopiero po chwili.

— Dziewczyna, z którą pan rozmawiał, ma dwa imiona. Nienawidzi obu.

— To miała na myśli? Że nie lubi swego imienia? Ale to nie to samo co pragnąć go. I znowu Margaret zastanawiała się przez moment.

— Wydaje mi się, że odkrył pan coś, czego nie potrafię zrozumieć. Nienawidzi swojego imienia, a jednak mówi panu, że chciałyby mieć imię. Nie umiem go rozszyfrować.

Balzac pochylił się nad stołem i położył dłoń na ręce Margaret.

— Musi mi pani zdradzić, co pani naprawdę myśli, madame.

— Naprawdę myślę, że powinien pan cofnąć rękę — odparła łagodnie. — To może działać na kobiety we Francji, ale na mnie taka niechciana poufałość nie robi dobrego wrażenia.

— Błagam o wybaczenie.

— I powiedziałam panu, co naprawdę myślę.

— Ale to nieprawda — zaprotestował Balzac.

Calvin roześmiał się niemal, słysząc, z jaką śmiałością się jej sprzeciwia.

— Doprawdy? — zdziwiła się Margaret. — Jeśli tak, to nie jestem świadoma, jaka jest owa prawda.

— Miała pani spojrzenie... zamyślane. Potem wyciągnęła pani jakieś wnioski. A mimo to powiedziała pani, że nie umie rozszyfrować, czemu dziewczyna pragnie imienia.

— Powiedziałam, że nie potrafię go rozszyfrować — przypomniała Margaret. — Chodziło mi o to, że nie umiem wykryć jej prawdziwego imienia.

— Aha. To znaczy, że jednak coś pani rozszyfrowała.

— Nie przyszło mi wcześniej do głowy, żeby tego właśnie szukać. Wydaje się, że dwa jej imiona, jakie znałam: imię, jakim wołała ją matka, które było okropne, i jej tutejsze imię, niewiele lepsze zresztą, bo nazywają ją Rybą... nie są jej imionami prawdziwymi. Ale ona sądzi, że tak. A raczej nie zna żadnego innego, dlatego pragnie swego imienia prawdziwego i... Jak pan widzi, niczego właściwie nie odkryłam.

— Te domysły nie sięgają może zwykłych pani norm zrozumienia — odparł Balzac. — Ale wystarczą, żeby odebrać mi oddech.

I tak paplali razem, Balzac i pani Smith, wymieniając się komplementami. Calvin rozmyślał o imionach. O ileż prostsze byłoby życie, gdyby nie dzielił własnego imienia z Alvnem — przy jednej tylko literze różnicy. I jak to Alvin nie chciał używać nazwiska Stwórcy, choć na nie zasłużył. Alvin Smith, też mi coś. A Margaret. . . dlaczego przestała być Peggy? Co chce w ten sposób okazać? A może Margaret jest jej prawdziwym imieniem, a Peggy tylko maską?

Gadają, gadają. . . Och, zamknijcie się lepiej oboje!

— Pomyślcie nad tym — przerwał im Calvin. — Co jest pierwsze, imię czy dusza?

— O co ci chodzi? — nie rozumiał Balzac.

— O to, czy dusza jest zawsze taka sama, choćbyśmy nazywali ją rozmaicie? Czy może zmieniając imiona, zmieniamy też dusze?

— Ale co imiona mają wspólnego. . . — Głos Margaret ucichł z wolna. Spojrzała gdzieś w przestrzeń.

— Mam wrażenie, że odszyfrowywanie dokonuje się właśnie na naszych oczach — stwierdził Balzac.

Calvin się zirytował. Nie miała traktować tego poważnie.

— Tylko pytałem. Nie zamierzałem zgłębiać tajemnic wszechświata.

Margaret zerknęła na niego obojętnie.

— Zamierzałeś rzucić jakiś niemądry żart na temat oddania Alwinowi C z twojego imienia, bo wtedy ty byłbyś tym, którego wszyscy lubią.

— Wcale nie — burknął urażony Calvin.

Nie zwracała już na niego uwagi.

— Niewolnicy mają imiona — tłumaczyła. — Ale i nie mają, ponieważ imiona nadane im przez właścicieli nie są prawdziwe. Rozumiecie? To ich sposób, by pozostać wolnymi.

— Żadne porównanie z rzeczywistą wolnością — zauważył Calvin.

— Oczywiście — zgodziła się Margaret. — Jednak chodzi tu o coś więcej niż tylko imię. Ponieważ kiedy ukrywają imię, chowają coś jeszcze.

Calvin przypomniał sobie, co mówił, rozpoczynając tę głupią dyskusję.

— Swoje dusze?

— Swoje płomienie serc. Wiem, że rozumiesz, o czym mówię. Zdaję sobie sprawę, że nie potrafisz zajrzeć w nie tak jak ja, ale wiesz, gdzie są. Czy nie zauważyłeś, że niewolnicy ich nie mają?

— Owszem, mają — stwierdził krótko Calvin.

— O czym wy mówicie? — zainteresował się Balzac.

— O duszach — wyjaśnił Calvin.

— O płomieniach serc — poprawiła go Margaret. — Nie wiem, czy są tym samym.

— To bez znaczenia — mruknął Calvin. — Francuzi nie mają jednych ani drugich.

— Teraz obraża mnie i cały mój kraj — oświadczył Balzac. — Ale widzi pani, że nie próbuję go zabić.

— Bo masz krótkie ręce i za dużo pijesz, żeby celnie wymierzyć z pistoletu.

— Bo jestem człowiekiem cywilizowanym i gardzę przemocą.

— Czy żaden z was — przerwała im Margaret — nie przejął się tym, że niewolnicy znaleźli sposób ukrywania swoich dusz przed właścicielami? Czy są dla ciebie aż tak niewidzialni, Calvinie, że nie zwróciłeś uwagi na brak płomieni serc?

— Wciąż noszą jakąś iskrę — zauważył Calvin.

— Ale jest maleńka i nie ma głębi. To wspomnienie płomienia serca, nie sam płomień. Niczego w nim nie dostrzegam.

— Mnie się wydaje, że oni znaleźli sposób, żeby ukrywać swoje dusze przed tobą.

— Czy on w ogóle czasem kogoś słucha? — Margaret zwróciła się do Balzaca.

— Tak — przyznał. — Słyszy, ale się nie przejmuje.

— A czym niby miałbym się przejąć, czym się teraz nie zajmuję? — spytał Calvin.

— Tym, co powiedziała ta czarna dziewczyna — wyjaśnił Balzac. — Czego pragnie. Ukryła swoje imię i swoją duszę, a teraz chciałyby odzyskać je z powrotem, ale nie wie jak.

— W jaki sposób do tego doszliście?

— To było oczywiste od chwili, kiedy pani Smith skojarzyła fakty. Wy dwoje jesteście ze znanych mi osób najlepiej zorientowani w kwestiach ukrytych mocy. Jak to możliwe, że tego nie wiedzieliście?

— Nie zajmuję się duszami — odparł Calvin.

— Moc, którą przywożą z Afryki, działa inaczej — wyjaśniła Margaret. — Alvin próbował to zbadać, ja także. Myślimy, że każdy rodzi się z jakąś ukrytą mocą, ale od ludzi wokół siebie uczy się korzystać z niej w ten czy inny sposób. My, Biali... a przynajmniej Anglicy, chociaż Napoleon jest podobny, więc kto wie... uczymy się używać tych mocy indywidualnie, wiążąc je ściśle z jakimś wrodzonym talentem, pragnieniem lub potrzebą. Odrobinę tej mocy możemy wykorzystywać poza sobą, w postaci heksów, ale prawdziwa siła kryje się w danej osobie. Czerwoni otwierają tę moc na świat wokół siebie, przez co stają się coraz mniej i mniej samotni, coraz bardziej związani z mocą natury. Daje im to wielkie możliwości, ale wystarczy odciąć ich od świata natury, a tracą je.

— A Czarni? — spytał Balzac.

— Uczą się przelewać moc w przedmioty, a może w przedmiotach ją znajdują. Ponieważ sama nigdy czegoś takiego nie robiłam, Alvin także, mogę się tylko domyślać. Jednak pewne rzeczy, które widziałam w płomieniach serca Czarnych... Nie mogłam uwierzyć. A przecież to prawda. Matka Arthura Stuarta posiadała niezwykłą moc; zrobiła coś i dała sobie skrzydła. Poleciała.

Balzac parsknął śmiechem, ale natychmiast uświadomił sobie, że nie był to żart ani metafora.

— Poleciała?

— Prawie sto mil. Nie dość daleko, nie całkiem w odpowiednim kierunku, ale wystarczyło, żeby ocalić jej dziecko, choć dla niej mocy już zabrakło i straciła życie.

— Ten Arthur Stuart. . . Czemu jego nie zapytacie, jak działa magia Czarnych?

— To tylko chłopak — rzucił lekceważąco Calvin. — Zresztą i tak jest pół-Biały.

— Pan go nie zna — odparła Margaret. — Nie wie, jak działa moc Czarnych, ponieważ człowiek się z tym nie rodzi, ale uczy od rodziców. Alvin nauczył się zielonej pieśni od Czerwonych, ponieważ stał się jak syn dla Tenska-Tawy i Ta-Kumsawa. Arthur Stuart dorastał z mocą kształtowaną w talent, jak u Białych, bo wśród Białych się wychowywał. Myślę, że Czarnym bardzo trudno jest zachować afrykańskie sposoby. Może dlatego Ryba nie umie sobie przypomnieć prawdziwego imienia. Ktoś jej to imię zabrał, by trzymać w ukryciu, bezpieczne i wolne. Ona teraz chce je odzyskać, ale nie potrafi, gdyż nie urodziła się w Afryce, nie żyje w otoczeniu plemienia. Otaczają ją załamani niewolnicy, których płomienie serc i imiona są gdzieś ukryte.

— Jeżeli wszyscy mają taką moc — wtrącił Calvin — to dlaczego są niewolnikami?
— Och, to łatwe — wyjaśnił Balzac. — Ci, którzy schwytali ich w Afryce, też byli Afrykanami. Wiedzą, jakie to moce, i nie pozwalają, żeby złapani dostali te niezbędne przedmioty.

— Czarni przeciwko Czarnym — westchnęła smętnie Margaret.

— Skąd to wszystko wiesz? — zapytał Balzaca Calvin.

— Byłem w porcie! Widziałem, jak wyciągają ze statków Czarnych w łańcuchach. Widziałem Czarnych, którzy przeszukiwali ich, odbierali małe laleczki ze szmatek czy śmieci albo inne rzeczy.

— A co ja robiłem, kiedy to wszystko oglądałeś?

— Byłeś pijany, przyjacielu — odparł Balzac.

— W takim razie ty również.

— Ale ja mam zdolność przyswojenia ogromnych ilości wina. Pijany jestem w najlepszej formie. To narodowy talent Francuzów.

— Na pańskim miejscu nie byłabym z tego taka dumna — wtrąciła Margaret.

— Co za świętoszka w kwestii naszego wina w tym kraju kukurydzianej wódki i żytniej whiskey. — Balzac wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— W chwili, kiedy myślę już, że mogłabym pana polubić, okazuje się, że nie jest pan dżentelmenem, monsieur Balzac.

— Nie muszę być dżentelmenem. Jestem artystą.

— Jednak nadal chodzi pan na dwóch nogach i je ustami — zauważyła Margaret. — Artysta nie ma specjalnych przywilejów. Jeśli już, to raczej większą odpowiedzialność.

— Muszę badać życie we wszystkich jego przejawach — wyjaśnił Balzac.

— Może to prawda. Ale jeśli pokosztuje pan całego zepsucia świata, popełni każdą zdradę i zada każdą krzywdę, nie będzie pan zdolny do poznania radości wyższego rzędu. Nie będzie pan bowiem dostatecznie zdrowy ani silny... ani dość przyzwoity, by cieszyć się towarzystwem dobrych ludzi, a to największa radość.

— Jeśli nie potrafią wybaczyć mi moich słabości, to jednak nie są tacy dobrzy, prawda? — Balzac uśmiechnął się, jakby właśnie zagrał ostatnim asem w talii.

— Ależ oni wybaczą panu słabości — zapewniła Margaret. — I przyjmą pana do towarzystwa. Ale nie zrozumie pan, o czym rozmawiają. Zabraknie panu doświadczeń,

które ich łączą. Pozostanie pan obcy, nie z przyczyny jakiegokolwiek ich działania, ale dlatego że nie przebył pan drogi, która uczy, jak być jednym z nich. Poczuj się pan jak ktoś wygnany z pięknego ogrodu, ale to pan sam się wygna. Będzie ich pan obwiniał, zarzucał im wydawanie sądów i niechęć do wybaczenia, choć przecież to własny ból i gorzkie wspomnienia pana skazą, pańska ignorancja cnoty uczyni pana obcym w kraju, który winien być pańską ojczyzną.

Oczy jej płonęły. Balzac patrzył na nią z zachwytem.

— Zawsze myślałem, że będę eksperymentował ze złem, a dobro sobie wyobrażę, bo to łatwiejsze. Prawie mnie pani przekonała, że powinienem postąpić odwrotnie.

Calvin nie był tak oczarowany. Wiedział, że to kazanie skierowane było do niego, a jemu wcale się nie spodobało.

— Nie ma żadnego sekretu, który by znali dobrzy ludzie — oświadczył. — Udają tylko, żeby się pocieszyć, bo stracili całą zabawę.

Margaret uśmiechnęła się do niego.

— Wzięłam te idee z twoich własnych myśli kilka minut temu, Calvinie. Wiesz, że to, co powiedziałam, jest prawdą.

— Myślałem coś przeciwnego.

— Tylko myślałeś, że tak myślisz — odparła. — Ale nie musiałybyś mieć takich myśli, gdybyś naprawdę tak właśnie myślał.

Balzac roześmiał się głośno. Calvin mu zawtórował, choć bez przekonania.

— Madame Smith, mógłbym pracować do końca swoich dni, a nigdy nie wymyśliłbym rozmowy, w której ktoś może użyć takiego zdania w sposób, by miało jakiś sens. „Tylko myślałeś, że tak myślisz”. Cudowne! „Nie musiałybyś mieć takich myśli, gdybyś naprawdę myślał to, co myślałeś, że myślisz”. Czy może „myślisz, że myślałeś”?

— Ani jedno, ani drugie. Widzę, że już się pan szykuje, żeby źle mnie zacytować.

— Nie jestem dziennikarzem. Jestem pisarzem i mogę poprawić każdą wypowiedź.

— Niech pan poprawi tę — rzekła Margaret. — Możecie obaj bawić się w swoje głupie gierki: Calvin w człowieka potężnego, monsieur de Balzac w artystę, ale wokół siebie macie prawdziwe życie. Prawdziwe cierpienia. Czarni są istotami ludzkimi, jak wy czy ja, ale oddają płomienie swoich serc i swoje imiona, aby przetrwać torturę należenia do innych ludzi, którzy nimi gardzą i którzy się ich boją. Jeśli potraficie mieszkać w tym mieście zła i pozostać nietknięci ich bólem, to wy właśnie jesteście

ludźmi trywialnymi, pustymi. Potrafiliście zachować wasze imiona i płomienie serc, bo nie są warte tego, by je kraść.

Po tych słowach wstała od stołu i wyszła z restauracji.

— Myślisz, że ją uraziliśmy? — zdziwił się Calvin.

— Możliwe — zgodził się Balzac. — Ale martwi mnie to o wiele mniej niż fakt, że nie zapłaciła.

Zbliżył się kelner.

— Czy panowie chcą płacić gotówką?

— Ta dama nas zaprosiła — odparł Balzac. — Czyżby zapomniała zapłacić?

— Ależ zapłaciła. Za własny obiad. Zanim państwo usiedli, wypisała nam czek.

Balzac spojrział na Calvina i wybuchnął śmiechem.

— Powinieneś zobaczyć swoją twarz, monsieur Calvin!

— Mogą nas za to aresztować.

— Na pewno nie chcieliby aresztować francuskiego powieściopisarza. Przecież wrócić kiedyś do Francji i napiszę o tej restauracji, że jest siedzibą much i zarazy.

Kelner spojrział na niego lodowato.

— Ambasador francuski wynajmuje nas, żebyśmy szykowali dania na jego przyjęcia — poinformował. — Nie lękam się pańskiej groźby.

W kilka chwil później Calvin kłął jak szewc. Aż wrzał ze złości, z rękami po łokcie w wodzie i pomyjach. Złościł się na Margaret, oczywiście. Na Alvina, którego winą było to, że się z nią ożenił. Na Balzaca także — za to, jak wesoło paplał z czarnymi niewolnikami. To oni normalnie wykonywali wszystkie prace kuchenne, do których zmuszono teraz jego. Oczywiście, Czarni wcale nie paplali niczego w odpowiedzi. Prawie na niego nie patrzyli. Ale Calvin widział, że słuchają z przyjemnością, ponieważ wciąż więcej i więcej ich zatrzymywało się w kuchni trochę dłużej, niż wymagały obowiązki. Natomiast jego, Calvina, ignorowali zupełnie, gdy nosił wiadra odpadków na kompost do ogródka warzywnego, wylewał cebry mydlin, ciągnął ze studni wodę do grzania. Ciężka, męcząca praca, brud na rękach, brud na twarzy... Myślał, że zmoczony uryną sen z wczorajszej nocy to granica, poniżej której nie można już się stoczyć. Teraz jednak wykonywał pracę niewolników, a niewolnicy na to patrzyli. I nawet tutaj znalazł się inny człowiek, którego lubili bardziej.

Wrócił do kuchni w chwili, gdy jakiś Czarny wynosił stos czystych talerzy. Miał na twarzy ledwie ślad uśmiechu po czymś, co opowiadał Balzac. Tego było już za wiele po wszystkim, co się zdarzyło zeszłej nocy. Calvin wysłał swój przenikacz do wnętrza talerzy i rozbił je co do sztuki, roztrzaskał na rękach niewolnika.

Huk sprowadził Białego, szefa kuchni i nadzorcę, z krótkim grubym kijem wzniesionym już do uderzenia. Ale Balzac zdążył podbiec i rzucił się między kij a niewolnika. Dosłownie, musiał się rzucić, gdyż i niewolnik, i nadzorca byli o wiele wyżsi od pisarza. Podskoczył i niemal zawisł na niewolniku, jak dziecko noszone na barana.

— Nie, monsieur, proszę go nie bić, jest niewinny! To ja przez nieuwagę wpadłem na niego i zrzuciłem talerze na podłogę! Jestem najnieszczęśliwszym z ludzi, gdyż zjadłem obiad, za który nie mogłem zapłacić, a teraz potłukłem talerze. To mój grzbiet zasłużył na razy!

— Nie będę chłostał Białego, to nie czarnuch — stwierdził nadzorca. — Niby za kogo mnie bierzecie?

— Jest pan ramieniem sprawiedliwości — oświadczył Balzac. — A ja jestem sercem winy.

— Wyrzućcie tych *imbeciles* z mojej kuchni! — polecił szef.

— Pan jest Francuzem! — krzyknął Balzac.

— Jasne. Kto by zatrudnił angielskiego kucharza?

I natychmiast obaj zaczęli wyrzucać z siebie potoki francuskich słów. Calvin rozumiał niektóre, ale nie dość, żeby pojąć coś więcej. Balzac zepsuł całą zabawę, naturalnie. Niewolnicy patrzyli na niego — z ukosa, żeby nikt ich nie przyłapał na wpatrywaniu się w Białego — jakby to sam Bóg zstąpił na ziemię, by wywieść ich z niewoli.

Nawet kiedy Calvin był zły i chciał trochę wyrównać rachunki, udało mu się tyle, że Balzac wyszedł na bohatera, a on na wielkie nic.

Wywieść ich z niewoli. Jak sam Bóg. Własna myśl sprzed chwili odbiła się echem w umyśle. Margaret uważa, że stracili swoje imiona i płomienie serc. Potrzebują kogoś, kto zwróci im dusze i wyprowadzi z niewoli.

Balzac tego dla nich nie robi. Kim jest właściwie? Francuska krewetka z palcami brudnymi od atramentu. Ale jeśli to ja uwolnię niewolników, kim w porównaniu ze mną będzie Alvin?

Przez moment rozważał pomysł, czy nie porazić nadzorcy i nie skłonić niewolników do ucieczki. Lecz dokąd by uciekli? Nie, potrzebne jest ogólne powstanie. A trudno się spodziewać, żeby Czarni bez dusz mieli dość odwagi na jakikolwiek opór.

To zatem będzie jego pierwszym zadaniem. Szukanie dusz i nadawanie imion.

OSKARŻENIE

Właściwie Alvin wcale się nie zdrzemnął, kiedy Arthur Stuart opowiadał historię jego życia. Ale błędził gdzieś myślami.

Nie mógł nie słyszeć, że głos Arthura Stuarta nie zmienia się podczas opowieści. Nikt inny nie mógł tego zauważyć, jednak Alvin pamiętał, że kiedy chłopiec był młodszym, potrafił bezbłędnie naśladować głosy innych. Nieważne, wysokie czy niskie, niezależnie od akcentu czy wad wymowy, czy szept, czy grzmiąca mowa, łatwo wydobywał je ze swych ust.

A potem zjawili się Odszukiwacze Niewolników ze skarbczykiem zawierającym kawałki włosów i ciała Arthura, pobrane, kiedy tylko się urodził. Mieli talent rozpoznawania, kto pasuje do skarbczyka, i nie było przed nimi ucieczki. Wyczuwali ofiarę jak psy gończe. Dlatego Alvin zabrał chłopca za rzekę Hio i tam, po stronie Appalachee, dokonał zmiany w najgłębszym jądrze najdrobniejszych cząstek ciała chłopca. Niewielkiej zmiany, ale wystarczyła, by nie pasował już do własnego skarbczyka. Alvin zanurzył go w wodzie, żeby splukać ostatnie ślady dawnej skóry. Kiedy Arthur wypłynął, był bezpieczny. Ale stracił talent naśladowania głosów.

Czy to jest mój los? — myślał Alvin. Staram się pomóc, ale odbieram tyle, ile daję. Może sam Bóg tak ułożył świat, żeby nikt nie mógł zyskać zbyt wielkiej przewagi. Otrzymujesz cud, ale tracisz coś całkiem zwyczajnego, za czym już zawsze tęsknisz. Gdzieś jakiś anioł mierzy radość i smutek, i jaką porcję ci przeznaczył, taką dostaniesz, choćbyś nie wiem jak próbował.

I nagle ogarnęło go poczucie samotności. Wiedział, że to niemądre w otoczeniu wypróbowanych przyjaciół. Ale gdzieś na południu była jego żona, a także jego nauczycielka i opiekunka, para jasnych oczu, które strzegły go od niemowlęctwa, chociaż

sama była jeszcze dzieckiem, kiedy zaczęła się nim opiekować. Margaret. A w jej łonie kolejna generacja: ich pierworodna córka.

Myśląc o nich, zaczął szukać. Nie potrafił, jak Margaret, przeskakiwać myślą od jednego płomienia serca do drugiego, widzieć, gdy tylko zapragnął widzieć. Musiał wysłać przenikacz daleko, szybko, coraz szybciej, pędzący nad mapą Ameryki, wzdłuż brzegu, mijający płomienie serc wszystkich żyjących istot, przez pola, jasne zielone lasy, nad rzekami, przez rozległe Chesapeake. Znał drogę i nigdy się nie gubił. Dopiero w samym mieście Camelot musiał szukać, rozglądać się za podwójnym płomieniem, który znał tak dobrze, którego szukał każdej nocy.

Znalazł — matkę i maleńki płomień serca ich nienarodzonej córki. Nie potrafił zajrzeć w płomienie, tak jak Margaret, ale mógł obserwować ciało. Wiedział, kiedy Margaret mówi, choć nie miał pojęcia, co zostało powiedziane. Słyszał bicie serca, wyczuwał oddech, zgadywał, czy jest zdenerwowana, czy spokojna, ale nie mógł wiedzieć dlaczego.

Jadła właśnie. Była spięta, mięśnie jej zeszywniały, zachowywała czujność. Dwóch ludzi towarzyszyło jej w posiłku. Jeden z nich był nieznajomy. Drugi. . .

Co Calvin robi przy stole naprzeciw Margaret?

Alvin natychmiast dokładnie sprawdził stan żony i dziecka. Córce nic nie zagrażało — jej serce biło regularnie, nie zdradzała niepokoju.

Oczywiście, że nie. Skąd mu przyszło do głowy, że Calvin może być zagrożeniem dla jego rodziny? Owszem, Calvin jest chłopcem trochę dziwnym, zazdrosnym i skorym do gniewu, ale przecież nie potworem. Nie ranił ludzi, poza ranieniem ich uczuć. Przyczyną obaw były z pewnością ciągle ostrzeżenia Margaret, że pewnego dnia zginie z winy Calvina. Gdyby stanowił zagrożenie dla samej Margaret albo dziecka, wiedziałyby o tym z góry i podjęła odpowiednie kroki, by go powstrzymać.

Calvin i Margaret razem przy obiedzie. To skłaniało do zastanowienia. Nie mógł się doczekać, że Margaret znajdzie wolną chwilę w samotności i opíše mu wszystko.

Potem zaczął myśleć o Margaret. Bardzo za nią tęsknił. Jak by to było, gdyby osiedlili się gdzieś, nie dźwigając na barkach brzemienia losów świata, poświęcając czas wychowaniu dzieci i pracy, by utrzymać się przy życiu? Nie musieliby obserwować i odpiierać żadnego Niszczyciela. Nie musieliby zbudować Kryształowego Miasta. Nie

martwiliby się, jak uniknąć okropnej wojny. Tylko żona, dzieci, mąż, sąsiedzi, a z czasem i wnuki, i groby, radość i łzy, wzloty i upadki, powódzie i susze na rzece życia.

— Zasnąłeś, Alvinie? — spytał Verily.

— Chrapałem? — wystraszył się Alvin.

— Arthur skończył opowieść. Historię twojego życia. Nie słuchałeś?

— Już ją słyszałem — wyjaśnił. — Poza tym byłem przy tym, kiedy się działo. W rzeczywistości nie była nawet w połowie taka ciekawa jak opowieść Arthura.

— Pytanie brzmi: czy panna Purity zechce dołączyć do naszego towarzystwa — powiedział Verily.

— W takim razie dlaczego mnie pytasz?

— Pomyślałem, że pomożesz nam wysłuchać jej odpowiedzi.

Alvin zerknął na Purity, która zarumieniła się i odwróciła głowę.

Arthur Stuart popatrzył na Verily'ego gniewnie.

— Oskarżasz pannę Purity o kłamstwo?

— Mówię tylko, że jeśli uwierzyła w twoją opowieść, zapewne się przestraszy wielkiej mocy, jaką ma w sobie Alvin. Może więc nie dać nam szczerzej odpowiedzi, tylko taką, o której sądzi, że zagwarantuje jej bezpieczeństwo.

— I ja niby mam wiedzieć, czy mówi prawdę? — zdziwił się Alvin.

— Jej serce nie jest z drewna — odparł Verily. — Dlatego ja na pewno nie zgadnę, czy bije szybciej, czy wolniej, kiedy będzie mówiła.

— To ona ma talent zgadywania, co czują inni. Margaret też umie zajrzeć w płomień serc. A ja... ja tylko bawię się różnymi drobiazgami.

— Jest pan zbyt skromny — wtrąciła Purity. — Jeśli to, co mówią pańscy uczniowie, jest prawdą.

To poruszyło Alvina.

— Uczniowie?

— Czy nie nimi właśnie jesteście? Mistrz i jego uczniowie wędrujący po pustkowiach w nadziei zwerbowania następnego.

— Dla mnie wygląda to raczej jak zagubiony człowiek i przyjaciele, którzy godzą się być zagubieni razem z nim, dopóki nie znajdzie tego, czego szuka.

— Sam pan w to nie wierzy — oświadczyła Purity.

— Nie — przyznał Alvin. — Są moimi przyjaciółmi, ale nie dlatego się tu znaleźli. To współmarzyciele. Tak samo jak ja pragną zobaczyć Kryształowe Miasto i skłonni są wędrować setki mil, żeby mi pomóc je znaleźć.

Purity uśmiechnęła się blado.

— Kryształowe Miasto. Miasto Boga. Zastanawiam się, kogo w końcu będziecie tam wieszać, bo przecież nie możecie wieszać czarownic.

— Nie planujemy wieszać nikogo — zapewnił Alvin.

— Nawet morderców?

Alvin wzruszył ramionami.

— Oni i tak trafiają na szubienicę, nieważne, dokąd pójda.

— Kiedy raz postawicie szubienicę, znajdziecie jakieś powody, żeby wieszać na niej ludzi.

— Czemu jest pani taka złośliwa? — zapytał Verily. — W ciągu dwustu lat od swego założenia Nowa Anglia nie dodała do listy przestępstw karanych śmiercią żadnej nowej zbrodni. A niektóre z już wymienionych nie doprowadziły nikogo na szubienicę od stu

lat. Nie ma powodu, by przypuszczać, że władza zabijania sprowadzi nagle obłąd na rozsądną społeczność.

— Nowa Anglia nie potrzebowała nowych powodów — odparła. — Ponieważ dysponowała już znakomitym i uniwersalnym oskarżeniem. Nieważne, co człowiek zrobił; jeśli chce się go zabić, uprawia czary.

— Nic o tym nie wiem.

— Sam pan to stwierdził. Każdy ma jakiś talent. Ukrywa go ze strachu i nazywa to pokorą. Ale jeśli ktoś chce zabić człowieka, musi tylko wykryć jego talent i donieść. Czyli każdego można zabić w każdej chwili. Po co komu nowe prawa, skoro stare są takie uniwersalne?

— Czyżby w ciągu ostatnich kilku godzin stała się pani cyniczna? Czy może zawsze przyjmuje pani najgorszy możliwy punkt widzenia, jeśli chodzi o ludzi?

— Życie ludzkie jest do samego serca przesiąknięte niegodziwością — tłumaczyła Purity. — Tylko wybrańcy Boga wznoszą się ponad ludzką niegodziwość i trafiają w obszar dobroci niebios. Oczekiwać od człowieka niegodziwości to moim zdaniem

najlepszy sposób, by uniknąć zaskoczenia. Kiedy potem coś mnie zaskakuje, to zawsze przyjemnie.

— Zadaj jej to pytanie i kończmy — wtrącił Alvin.

— A jeśli powiem, że nie chcę wyruszyć z wami? — zapytała Purity.

— Wtedy wyruszymy bez was, panienko.

— Nie robiąc mi krzywdy?

Verily Cooper parsknął śmiechem.

— Nawet gdybyśmy chcieli, Alvin by nam nie pozwolił. Kiedy pszczoła go użądli, wkłada jej żądło z powrotem, uzdrawia ją i odsyła.

— W takim razie moja odpowiedź brzmi: nie — rzekła Purity. — Na pewno już ktoś mnie szuka. Jeśli chcecie uniknąć pytań, najlepiej pozwólcie mi odejść i zajmijcie się swoimi sprawami.

— Nie! — zaprotestował Arthur Stuart. — Musicie pójść z nami.

— Dlaczego muszę? — zapytała Purity. — Bo umiesz ładnie opowiadać?

— Mówiłem czystą prawdę i wiecie o tym.

— Tak — przyznała już łagodniej. — Wierzyłeś w każde swoje słowo. Ale nie ma to ze mną nic wspólnego. Nie odgrywam żadnej roli w tym, co chcecie osiągnąć.

— Ależ tak! — zawołał Arthur. — Nie zrozumieliście sensu mojej historii? Ktoś kieruje tym wszystkim. Ktoś dał Alwinowi tę moc, którą posiada. Ktoś doprowadził jego rodzinę do zajazdu Horacego Guestera, żeby mała Peggy była na miejscu i mogła go pilnować. Dlaczego moja mama przyleciała tak blisko tego miejsca, żebym był tam i czekał, aż Alvin powróci? A Mike Fink i Verily Cooper... niby jak się z nim spotkali? Proszę nie mówić, że to przypadek, bo i tak nie uwierzę.

— Ja również — zgodziła się Purity.

— Więc ten ktoś, kto doprowadził nas do Alvina albo jego do nas, dzisiaj doprowadził nas do pani. Mogliście przecież iść każdą inną drogą. My mogliśmy się kapać w każdym innym miejscu nad rzeką. Ale byliśmy tutaj i tutaj przyszliście.

— Nie mam wątpliwości, że nasze spotkanie było zaplanowane. Pytanie tylko przez kogo.

— Nic nie wiem o tym, żeby to był ktoś — rzekł Alvin. — Arthur sądzi, że Bóg tym wszystkim kieruje. Nie wątpię, że Bóg ma ten świat na oku, ale nie wydaje mi się,

żeby poświęcał czas specjalnie dla mnie. Mam takie przeczucie, że talenty ciągną do siebie. A moc, z jaką się urodziłem, jest dość silna, więc działa jak magnes i jakoś tak naturalnie przyciąga inne silne osoby. To nie jest tak, że tylko dobrzy ludzie do mnie ciągną. Miałem też sporo tego drugiego rodzaju. Dlaczego Bóg miałby ich do mnie przysyłać?

Arthur Stuart nie dał się przekonać argumentom Alvina. Wyraźnie nie pierwszy raz o tym rozmawiali.

— Bóg sprowadza niektórych, a ten drugi pozostałych.

— Zjawiają się naturalnie — upierał się Alvin. — Oba rodzaje. Nie próbuj zgadywać, co robi Bóg, bo ci, co próbują, zawsze jakoś się mylą.

— A skąd byś wiedział, że się mylą, jakbyś sobie nie myślał, że możesz poznać Bożą wolę? — zapytał Arthur tryumfującym tonem, jak gdyby właśnie znalazł ostateczny argument.

— Bo tak marnie wszystko wychodzi — wyjaśnił Alvin. — Popatrz na tę krainę. Wszystko działa na korzyść Nowej Anglii. Mieszkają tu dobrzy ludzie, którzy starają się jak najlepiej służyć Bogu. I na ogół służą. Ale wymyślili, że Bóg chce od nich, by

zabijali każdego, kto używa talentu, chociaż nigdy nie wpadli na to, jak odróżnić, czy talent pochodzi od Boga, czy od diabła. Wszystkie talenty nazwali czarami i zabijają ludzi w imię Boże. Więc nawet jeśli całą resztę Bożej woli zrozumieli, jak trzeba, pomyśl tylko, jaką krzywdę zrobili pannie Purity. Powiesili jej rodziców, a ją samą oddali do sierocińca. Nie trzeba poznawać Bożej woli, żeby zrozumieć, że w Nowej Anglii nie odgadli jej należycie.

— Mówi pan jak profesorowie spierający się o jakiś niejasny punkt łacińskiej gramatyki, gdy tymczasem sam tekst jest fałszywy — stwierdziła Purity. — Czy doprowadził mnie tutaj Bóg, natura czy szatan we własnej osobie, nie zmienia to mojej decyzji. Nie mam z wami nic wspólnego. Tutaj dopełni się moje przeznaczenie. Kimkolwiek jestem i cokolwiek mnie spotka, moja historia zaczyna się i kończy tutaj... w Nowej Anglii.

— W sądach Nowej Anglii — uściślił Verily.

— Pan tak twierdzi.

— Na szubienicy Nowej Anglii — nie ustępował.

— Jeśli Bóg zechce.

— Nie — sprzeciwił się Verily. — Trafi pani na szubienicę tylko wtedy, gdy sama pani zechce.

— Wręcz przeciwnie. Spotkanie z wami było najważniejszą lekcją mojego życia. Póki was nie poznałam, póki nie wysłuchałam waszej opowieści, byłam pewna, że moi rodzice nie mogli naprawdę być czarownikami, a zatem popełniono wielką niesprawiedliwość. Właściwie nie wierzyłam w czary. Teraz widzę, że się myliłam. Panie Smith, ma pan moc większą, niż Bóg zaplanował dla kogokolwiek prócz proroka albo apostoła, i nie waha się pan z niej korzystać. Wędruje pan, zbiera uczniów i planuje budowę miasta. Jest pan jak Nimrod, potężny myśliwy przeciwny Bogu, a miasto, które chce pan wznieść, to Babel. Chce pan postawić ludzkość ponad wodami potopu, zabrać ludzi do nieba, gdzie staną się niczym Bóg, wszechwiedzący. Jest pan sługą diabła, pańska moc to czary, pańskie plany to anatema, pańskie wierzenia herezja, a jeśli moi rodzice byli choć w jednej dziesiątej tak niegodziwi jak pan, zasługiwali na śmierć.

Patrzyli na nią bez słowa. Arthurowi łyzy ciekły po policzkach. Wreszcie odezwał się Alvin — do swych towarzyszy, nie do niej.

— Pora ruszać w drogę, chłopcy. Arthurze, pobiegnij do Audubona, powiedz mu, żeby się wysuszył i ubrał.

Chłopiec posłusznie odbiegł.

— Nawet nie chcecie się ze mną spierać? — zdziwiła się Purity.

Alvin spojrział na nią zagadkowo, po czym odszedł w kierunku stojącego na straży Mike'a Finka. Pozostał tylko Verily Cooper.

— Czyli przyznajecie, że to, co powiedziałam, jest prawdą.

Verily popatrzył na nią ze smutkiem.

— To, co pani powiedziała, jest fałszywe jak samo piekło. Alvin Stwórca jest najlepszym człowiekiem, jakiego spotkałem na tym świecie. Nie ma w nim nawet odrobiny zła. Nie zawsze ma rację, ale nigdy się nie myli, jeśli rozumie pani, co mam na myśli.

— Właśnie takich słów spodziewałabym się po demonie, gdy opowiada o swoim panu, diable.

— Właśnie — rzekł Verily. — Dlatego zrezygnowaliśmy z pani.

— Ponieważ ośmieliłam się głośno powiedzieć prawdę?

— Ponieważ uczepiła się pani wersji, która może objąć wszystko, co mówimy, i zamienić to w kłamstwo.

— Dlaczego miałabym to zrobić?

— Bo gdyby nie wierzyła pani w te głupie kłamstwa o nas, musiałaby pani przyznać, że nie mieli racji, zabijając pani rodziców. Wtedy musiałaby pani ich znienawidzić, a to jedyni ludzie, jakich pani zna. Stałaby się pani kobietą bez ojczyzny, a że jest pani już kobietą bez rodziny, nie może pani odrzucić tych ludzi.

— Widzi pan, jak diabeł przekręca miłość do mojego kraju i próbuje obrócić ją przeciwko mnie?

Verily westchnął.

— Panno Purity, powiem tylko tyle. Cokolwiek uczyni pani w ciągu najbliższych godzin i dni, podejrzewam, że znajdzie pani wiele okazji, by rozsądzić między Alvinem Smithem a prawami Nowej Anglii. Gdzieś wewnątrz pani istnieje miejsce, gdzie prawda jest prawdą, a kłamstwa spływają jak krople deszczu po oleju. Zajrzy tam pani i zobaczy, kto postępuje jak Chrystus.

— Chrystus jest sprawiedliwy, nie tylko łaskawy — przypomniała Purity. — Tylko grzesznicy twierdzą, że Chrystus jedynie wybacza. Prawi pamiętają, że potępił grzech, po którym nie było żalu, że objawił prawdę, iż wieczny ogień czeka na tych, którzy odrzucają prawość.

— Użył też ostrych słów na temat głupców i hipokrytów.

— Uważa mnie pan za hipokrytkę?

— Wręcz przeciwnie — zapewnił Verily. — Myślę, że jest pani głupia.

Uderzyła go w twarz.

Verily mówił dalej, łagodnie, jakby go nawet nie dotknęła.

— Została pani ogłupiona krzywdą, jaką pani wyrządzono, oraz faktem, że niegodziwość tej krainy jest tak niewielka w porównaniu z obecnym tu dobrem. To jednak nie oznacza, że nie jest rzeczywista, że nie zatręła pani i że w końcu pani nie zabije.

— Bóg mieszka w Nowej Anglii — oznajmiła Purity.

— Odwiedza ją, jak i inne krainy. Śmiem twierdzić, że pośród tych farm i wiosek, w ogrodzie duszy znajduje wiele rzeczy, z których jest zadowolony. Ale wciąż wiją się tu węże, jak gdzie indziej.

— Jeśli chcecie mnie zabić — rzekła Purity — lepiej zróbcie to szybko, ponieważ zamierzam na was donieść i posłać ich za wami.

— Proszę więc ruszać — odparł Verily. — Albo nas znajdą, albo nie, zależnie od tego, co postanowi Alvin. A jeśli nas znajdą, proszę pamiętać o jednym: on chce tylko, żeby ludzie dostali szansę szczęśliwego życia. Nawet pani.

— Moje szczęście nie zależy od czarownika!

— Owszem, ale aż do teraz ci czarownicy, od których zależało, byli martwi.

Łzy stanęły jej w oczach, twarz poczerwieniała. Pewnie uderzyłaby go znowu, ale przypomniała sobie, że to na nic się nie zda. Odwróciła się więc i odbiegła w las, niemal zderzając się z Alvinem i Finkiem, którzy wracali ścieżką. Po chwili zniknęła.

— Chyba przegrałeś, Very — stwierdził Alvin. — Czy może taki miałeś plan?

— Nie była w dobrej formie — stwierdził Verily. Spojrzał na Mike'a, potem na Alvina. — Czy pora już, żebyśmy włożyli siedmiomilowe buty?

Alvin wybuchnął śmiechem.

— A może wolisz, żebyśmy przywiązali cię do masztu, kiedy będziemy przepływać obok syreny?

Verily zdziwił się wyraźnie.

— O co ci chodzi?

— O to, że widzieliśmy, jak na nią patrzysz. Coś w tobie zbudziła.

— Oczywiście. Przytłaczała ją konieczność ukrywania całkiem poważnego talentu. I nagle dowiedziała się, że z powodu talentów zostali powieszoni jej rodzice. Musi nauczyć się rozróżniać pomiędzy sobą a tymi, którzy świadomie uprawiają czary. Musi wykreślić granicę cnoty i stanąć po jej właściwej stronie, nie wypierając się tego, kim jest i co potrafi. Przeżywałem to samo, tyle że moi rodzice mieli więcej szczęścia i zachowali życie. Rozumiem trochę z tego, co ona przechodzi.

— Niewygodny czas dla niej na taki kryzys wiary, nie sądzisz?

— Nie doszukuj się w tym więcej, niż można znaleźć. Tak jak jej powiedziałem: jeżeli doniesie na nas, władze znajdą nas albo nie, zależnie od tego, co postanowisz.

Mike parsknął tylko.

— To łatwa zagadka.

W tej właśnie chwili pojawił się Arthur Stuart i mokry, częściowo tylko ubrany Audubon.

— Poszła. . . — odezwał się Arthur.

— To dobrze, bo to, co mam na sobie. . . — Audubon machnął tylko ręką.

— Ma zamiar donieść na nas — wyjaśnił Mike. — A my tu strząpimy języki.

— Od Alvina zależy, czy uciekamy, czy czekamy — przypomniał Verily. — Może jednak nie doniesie.

— Ale może donieść. A gdyby jednak, to lepiej, żeby nas tu nie było.

Lecz Verily i Alvin spoglądali na siebie, rozstrzygając jakiś problem, którego pozostali nie rozumieli.

— Czy jest jakiś powód — zapytał Alvin — dla którego miałbym im pozwolić nas złapać?

Verily nie odpowiedział.

— Żeby ją ocalić — wtrącił Arthur Stuart.

Teraz wszyscy spojrzeli na Arthura. On z kolei patrzył na Alvina z takim skupieniem, jak przed chwilą Verily. Alvin miał wyraźne uczucie, że oczekują po nim zrozumienia jakichś niewypowiedzianych głośno wyjaśnień.

— Jak ocali ją to, że nas złapią? — zapytał.

— To, jak się zachowuje — odparł Arthur — doprowadzi ją do śmierci. Chyba że ją uratujemy.

Mike Fink stanął między nimi.

— Czy ja dobrze rozumiem? Chcesz, żebyśmy dali się zamknąć i osądzić jako czarownicy, po to by ją ratować?

— Jak jej pomoże nasz pobyt w więzieniu? — zapytał Alvin.

— Jakie ptaki mogą malować w więzieniu? — wtrącił Audubon.

— Nie zostaniesz tam długo — uspokoił go Verily. — Procesy o czary są zwykle bardzo krótkie.

— Co jest w tej kobiecie, że jej życie warte jest życia czterech mężczyzn i chłopca? — dopytywał się Fink.

Verily roześmiał się niechętnie.

— O czym ty myślisz, Mike? To przecież Alvin Smith, Stwórca złotego pługa. Jak ci się zdaje, czy długo pozwoli nam tkwić w więzieniu?

— Naprawdę nie chciałbyś jej tu zostawiać, prawda, Very? — domyślił się Alvin. — I ty też, Arthurze. Mam rację?

— Pewno — przyznał chłopiec.

— Rzeczywiście — potwierdził Verily.

— Wielki Boże! — jęknął drwiąco Mike. — Teraz mowa o miłości?

— Kto niby się zakochał? — zapytał groźnie Arthur.

— Verily Cooper kocha pannę Purity — oznajmił Mike Fink.

— Nie wydaje mi się — zaprotestował Verily.

— Na pewno — upierał się Mike. — Bo pozwolił jej odejść i donieść na nas do władz, i chce, żebyśmy dali się zamknąć. Myśli, że dziewczyna poczuje skruchę, zmieni zdanie o nas i wycofa zeznanie, a potem jednak pójdzie z nami. To świetny plan, oprócz tej części, gdzie nas wieszają, a ona klęczy u stóp szubienicy i wypłakuje sobie śliczne oczka, tak jej przykro.

Arthur Stuart spojrział na Verily'ego z namysłem.

— Myślisz, że zmieni zdanie o nas, jeśli nas aresztują?

— Mike się myli. Nie na litość liczę — wyjaśnił Verily. — Na strach.

— Strach przed czym? — zapytał Alvin.

— Strach przed działaniem prawa. W tej chwili ona wierzy, że prawo jest sprawiedliwe, a zatem i my, i jej rodzice zasługujemy na śmierć. Szybko zmieni zdanie, kiedy zobaczy, jak odbywają się procesy o czary.

— Z jednego ogniwa uplotłeś bardzo długi łańcuch — stwierdził Fink.

— Dajmy jej szansę — poprosił Arthur Stuart.

Alvin popatrzył na Arthura, potem na Verily'ego. Kto by pomyślał, że ten mężczyzna i ten chłopiec będą kiedyś rywalami w miłości?

— Może warto spróbować.

— Jeśli mnie aresztują, zabiorą moje obrazy i zniszczą — poskarżył się Audubon.

— Ty i twoje obrazy będziecie bezpieczni — obiecał Alvin.

— A jeśli ciebie zabiją? Co się wtedy stanie z moimi obrazami?

— Nie będę się już nimi martwił.

— Ale ja będę!

— Wcale nie — wtrącił Arthur. — Bo jak Alvin umrze, wy również.

— Właśnie o to mi chodzi! — krzyknął Audubon. — Uciekajmy stąd! Ta zielona pieśń, co o niej mówicie, do ukrywania się w lesie i biegania bardzo szybko. . . Śpiewaj!

— Myślałem raczej o spacerze brzegiem rzeki — odparł Alvin. — Pamiętajcie wszyscy: do niczego się nie przyznawać. Żadnych czarów. Żadnych talentów. Nie przyznawaj się nawet, że jesteś Francuzem, John-James.

— Nie będę kłamał pod przysięgą — zaznaczył Arthur Stuart.

— Nie kłam. Odmawiaj odpowiedzi.

— Wtedy zaczynają się tortury — ostrzegł Verily. — Kiedy nie chcesz powiedzieć ani „tak”, ani „nie”.

— Ale wieszają cię, jeśli powiesz „tak” — przypomniał Alvin. — A nie słyszałem, żeby wypuszczali, jeśli się zaprzecza.

— Ale jeśli nie odpowiadasz, możesz umrzeć i nawet nie doczekasz procesu.

Alvin zachichotał.

— Teraz zaczynam rozumieć. Ty przecież chcesz stanąć przed sądem. Nie chodzi o Purity ani o miłość. Chcesz się zmierzyć z prawem o czarach.

— Ale ja nie chcę — zapewnił Mike Fink. — Nie chcę odpowiadać pod przysięgą na pytanie, czy służyłem kiedy szatanowi.

— Wydaje mi się — mówił Alvin — że jeśli chcesz mieć swój dzień w sądzie, Very, powinieneś stanąć przed nim jako obrońca, nie jako oskarżony.

— I nie powinieneś ciągnąć za sobą tych, co nie mają ochoty na proces — zauważył Mike.

— Chociaż oczywiście nikomu z nas nie stanie się krzywda — przypomniał Alvin. Audubon wznosił ręce ku niebu.

— Słuchajcie go tylko! Alvin ma... butę! Myśli, że umie ocalić wszystkich!

— Potrafię — zapewnił Alvin. — To fakt.

— W takim razie zostanmy tutaj i ocalmy ją! — zawołał Arthur Stuart. — Nie muszą nas aresztować, żebyśmy mogli to zrobić.

— Chcę czegoś więcej, niż tylko ocalić jej ciało przed śmiercią — wyjaśnił Verily.

— Proszę, nie mów, co jeszcze chcesz zrobić z jej ciałem — mruknął Audubon.

Verily nie zwrócił na niego uwagi.

— Chcę, żeby poznała prawdę o swoich rodzicach i o sobie. Chcę, żeby była dumna ze swego talentu. Chcę, żeby razem z nami budowała Kryształowe Miasto.

— To naprawdę piękne marzenia — zgodził się Alvin. — Jednak w tej chwili bardzo wyraźnie pamiętam te miesiące spędzone w więzieniu w Hatrack i muszę powiedzieć, że nawet godziny w takim miejscu nie życzę nikomu z tego towarzystwa.

— Tak! Prawdziwa mądrość Salomona! — ucieszył się Audubon.

— Co nie znaczy, że nie rozumiem twojego podejścia, Very — mówił dalej Alvin. — Co do ciebie, Arthurze Stuart, rozumiem też, że kiedy młody człowiek, taki jak ty, widzi damę wchodzącą prosto do jaskini smoka, po prostu musi dobyć miecza.

— O czym ty mówisz? — zdziwił się Arthur.

— O świętym Jerzym. I smoku.

— Chłopak nie pozwala mi zabijać ptaków — przypomniał Audubon. — Ale smoki...

Mike Fink nie rozumiał.

— Przeca nie ma tu żadnych smoków.

— Ustawcie się rzędem za mną — polecił Alvin. — Nic nie mówcie, niczego nie dotykajcie, nie zbaczajcie ze ścieżki, którą wybiorę.

— A więc chcesz Purity zostawić na ich łasce? — rzekł Verily ze smutkiem.

— Obiecuję ci, Very — odparł Alvin — że dostaniesz wszystko, czego chcesz.

Verily kiwnął głową. Alvin spojrzał jeszcze na Arthura Stuarta, bezgłośnie czyniąc mu tę samą obietnicę. Chłopiec także przytaknął.

Wszyscy ustawili się na brzegu, rzędem za Alvinem. Alvin ruszył powoli, przyspieszył do tempa marszowego, do truchtu, wreszcie pobiegł. Z początku męczyli się, by za nim nadążyć, lecz po chwili usłyszeli coś w rodzaju muzyki — nie granej na instrumentach, nie takiej, przy której się śpiewa lub tańczy, ale dźwięk wiatru wśród liści i ćwierkanie ptaków, piski wiewiórek i brzęczenie owadów, wysoki biały syk słonecznych promieni trafiających krople rosy, powolny szum ulatującej w powietrze pary wodnej. Odgłos ich kroków wtopił się w tę muzykę, a świat wokół stał się plamą zieleni zawierającą każdy liść, każde drzewo, każdy okruch ziemi i czyniącą z nich jedność. Biegący byli częścią tej jedności, a ich bieg elementem pieśni. Liście rozchyłały się, by ich przepuścić, powietrze ich chłodziło, strumienie przenosiły, nie moczając im stóp. Zamiast bólu nóg i kłucia w piersiach czuli uniesienie, byli pełni otaczającego ich życia. Mogliby tak biec przez całą wieczność.

I nagle, kilka chwil później, zielona pieśń zaczęła cichnąć. Las zwęził się do pasa drzew nad rzeką. Pola uprawne skrywały inną muzykę, niskie tony tysięcy identycznych istot. Budynki przełamywały pieśń całkowicie i te szczeliny ciszy były niemal bolesne. Biegacze zachwiali się, poczuli, jak zaczepiają o gałęzie, jak stopami uderzają w twardą ziemię. Zwolnili do truchtu, do marszu, aż wreszcie się zatrzymali. Jak jeden odwrócili się od pól i zabudowań, i od miasta Boston, gdzie smukłe maszty statków w porcie wznosiły się wyżej niż domy. Spojrzeli w górę rzeki, ku miejscom, przez które prowadziła ich zielona pieśń.

— *Mon Dieu!* — szepnął Audubon. — Frunąłem na skrzydłach anioła.

Jeszcze przez chwilę stali w milczeniu. A potem odezwał się Arthur.

— Gdzie jest Alvin? — zapytał.

Alvina nie było. Mike spojrzał gniewnie na Verily'ego.

— Patrz, co narobiłeś!

— Ja?

— Odesłał nas, a sam został, żeby dać się złapać — wyjaśnił Mike. — Przysięgałem, że będę go chronił, a potem ty namawiasz go na coś takiego.

— Nie prosiłem, żeby robił to sam.

Arthur Stuart ruszył ścieżką z powrotem do lasu.

— Dokąd idziesz?! — zawołał za nim Verily.

— Wracam do Cambridge. To nie może być daleko. Słońce na niebie prawie się nie ruszyło.

— Za późno już, żeby powstrzymać Alvina — zauważył Mike.

Arthur popatrzył na niego jak na szaleńca.

— Wiem przecież. Ale on się spodziewa, że wrócimy i pomożemy.

— Skąd możesz to wiedzieć? — zdziwił się Audubon. — Mówi ci, co planuje?

— Powiedział nam wszystkim — odparł Arthur. — Wie, że Verily chce wystąpić w procesie o czary. Dlatego Alvin postanowił, że on będzie czarownikiem. Verily ma być obrońcą, a cała reszta świadkami.

— Ale dziewczyna nas też oskarży — wystraszył się Audubon.

Verily pokiwał głową.

— To prawda — przyznał. — Tak, to prawda. Dlatego wy trzej zaczekacie w lesie, dopóki po was nie wrócę.

— Jaki jest plan? — chciał wiedzieć Mike.

— Nie dowiem się, póki nie porozmawiam z Alvinem. Ale pamiętajcie o jednym: jedyne, co jest ważne w procesie o czary, to czy zawładnął wami szatan. Dlatego to jedyne pytanie, na które możecie odpowiedzieć. Nic na temat talentów i ukrytych mocy. Tylko o szatanie. Nigdy go nie widzieliście, nie rozmawialiście z nim, niczego wam nie dawał. Czy możecie uczciwie to przysiąc?

Roześmiali się wszyscy i przyznali, że mogą.

— Kiedy więc przyjdzie do zeznań, na to jedno pytanie odpowiecie. Przy pozostałych udawajcie głupków.

— A co ze mną? — zmartwił się Audubon. — Byłem ochrzczony jako katolik.

— O tym też możesz opowiedzieć — uznał Verily. — Zobaczysz. Jeśli choć w połowie jestem takim prawnikiem, na jakiego się szkoliłem, żadna z tych rzeczy w ogóle nie zostanie wspomniana na procesie. — Ruszył ścieżką za Arthurem. — Chodźcie. Teraz to praca dla adwokata. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, Alvin będzie wolny, a panna Purity zostanie naszą towarzyszką podróży.

— Nie chcę z nią wędrować! — zirytował się Mike. — Sam widzisz, w jakie kłopoty nas wpędziła.

Kłopoty? — zdziwił się Verily. — Głupiałem już z nudów w Nowej Anglii. Wszystko tu jest takie spokojne. Wszystko toczy się gładko, większość sporów rozstrzyga się pokojowo, sąsiedzi jakoś żyją obok siebie, ludzie są za bardzo szczęśliwi. Wielkie nieba, przecież jestem prawnikiem! Niewiele brakowało, żebym tu zwariował.

* * *

Z początku wielebny Study próbował ją zlekceważyć.

— Rozumiem, że jesteś zafascynowana ideą czarów, ale to rzecz z przeszłości, droga Purity.

— Przechwalali się tym — oświadczyła Purity. — Nie pytałam ich nawet.

— O to właśnie chodzi, rozumiesz — tłumaczył kapłan. — Nie są z Nowej Anglii, a przybysze lubią drwić z naszego ścisłego posłuszeństwa Pismu. Żartowali sobie z ciebie.

— Wcale nie — upierała się Purity. — A jeśli mi pan nie pomoże, sama pójde prosto do strażników pokoju.

— Nie, nie. — Study wystraszył się. — Nie wolno ci tego robić.

— Dlaczego nie? Zeznanie kobiety liczy się przed sądem. Nawet zeznanie sieroty, mam nadzieję.

— Tu nie chodzi o... Purity, czy zdajesz sobie sprawę, w jakie kłopoty się wpędzasz tymi szalonymi oskarżeniami?

— Nie są szalone. I dobrze wiem to, czego tak bardzo stara się pan nie powiedzieć: że moi rodzice zostali powieszoni za czary.

— Co?! — oburzył się Study. — Kto ci naopowiadał takich bzdur? Kto rozgłasza takie plotki?

— Chce pan powiedzieć, że tak nie było?

— Nie mam pojęcia, ale nie wyobrażam sobie, żeby to była prawda. W tej części Nowej Anglii nie było procesu o czary od... o wiele dłużej, niż żyjesz na tym świecie.

— Ale proces nie odbył się tutaj. Odbył się w Netticut.

— To trochę daleko, nie wydaje ci się? Dlaczego akurat Netticut?

— Wielebny Study, im dłużej rozmawiamy, tym dalej uciekają ci ludzie. A jeden z nich jest papistą, Francuzem, sprowadzonym tutaj pod fałszywą tożsamością. Udawał niemowę.

Wielebny Study westchnął.

— Widzę, że wcale mnie pan nie szanuje, tak samo jak wszyscy inni — oświadczyła Purity.

— Więc o to ci chodzi? Próbujesz zyskać sobie szacunek?

— Nie, wcale nie!

— Ponieważ w ten sposób nic nie osiągniesz. Pamiętam procesy w Salem. No, nie pamiętam ich osobiście, nawet mnie tam nie było, ale hańba tego miasteczka wciąż jest żywa. Tak wielu zabito, opierając się na zeznaniach grupki rozhisteryzowanych dziewcząt. Dziewczęta pozostały bez kary, jak wiesz. Przeżyły swoje żywoty tak, jak pozwoliło im sumienie, ponieważ żaden ziemski sędzia nie potrafiłby rozpoznać, które oskarżenia wniesiono złośliwie, a które były skutkiem złudzenia i wpływu mentalności tłumu.

— Nie jestem grupą i nie jestem rozhisteryzowana.

— Jednak takie oskarżenia wzbudzają pewien sceptycyzm.

— To bzdura. Ludzie wierzą w czary, wielebny Study. Wszyscy. Robią kontrole na granicach. Nawołują. . . Nie, pan na kazaniach nawołuje do walki z czarami.

— To takie skomplikowane. Na kazaniach mówię o próbach korzystania z ukrytych mocy. Nawet jeśli istnieją, nie wolno ich używać, by uzyskać przewagę nad bliźnimi, a nawet by zdobyć podziw przyjaciół. Ale formalne oskarżenie o czary. . . To wymaga zarzutu kontaktów z szatanem, służenia złu. Zależnie od tego, kto prowadzi przesłuchanie, mogą się pojawić pytania o sabaty czarownic, trzeba wymieniać nazwiska. Te sprawy wymykają się spod kontroli.

— Oczywiście, że skłamię o szatanie. Przy mnie nie wspomnieli o nim ani słowem.

— Właśnie. Czyli to nie czary, sama rozumiesz.

— Ale czy nie tego się właśnie spodziewamy? — spytała Purity. — Czy nie oczekujemy po czarowniku kłamstwa?

— To właśnie zdarzyło się w Salem! — zawołał Study. — Zaprzeczenia interpretowali jako kłamstwa, jako próby ukrycia wpływów szatana w społeczności. Ale później odkryto, uświadomiono sobie, że w ogóle nie było żadnych czarów, że wyznania, jakie

uzyskano, wszystkie motywowane były egoistycznym pragnieniem zachowania życia, podczas gdy na szubienicę trafili jedynie ci, którzy nie chcieli kłamać.

— Chce pan powiedzieć, że pańskim zdaniem Biblia się myli, kiedy mówi: nie pozwolisz żyć czarownicy?

— Nie, nie. Oczywiście, jeśli znajdziesz prawdziwą czarownicę, musisz... działać, ale...

— Znalazłam czarowników, wielebny Study. Proszę wezwać strażników, by pomóc mi wykonać Bożą wolę wyrażoną w Biblii.

Z bólem w sercu wielebny Study wstał.

— Nie zostawiasz mi wyboru.

— Tak jak oni nie zostawili mi wyboru.

Study zatrzymał się przy drzwiach i rzekł, nie odwracając się do niej:

— Czy nie rozumiesz, że wskutek twoich działań może się ujawnić wiele długo skrywanych uraz?

— Ci ludzie są tu intruzami. Jaką urazę do nich może żywić ktokolwiek? Sędziowie będą ucziwi. Moje zeznanie będzie ucziwe.

Study oparł głowę o futrynę i niemal szeptem odpowiedział:

— Były plotki. O tobie.

Purity poczuła, jak dreszcz lęku i radości przeszywa jej ciało. Zadrżała. A zatem miała rację! Jej rodziców naprawdę skazano za czary, tak jak się domyśliła.

— Tym więcej mam powodów, by wykazać, że jestem lojalnym wyznawcą Pisma i wrogiem szatana.

— Ogień parzy ręce, które go dotkną.

— Służę Bogu, drogi panie. A pan?

— Czasami najlepiej służy się Bogu, przestrzegając jego co bardziej miłosiernych nakazów. Nie sądzicie, byście nie byli sądzeni. Pomyśl o tym, zanim wskażesz kogoś palcem.

Po czym odszedł.

Purity czekała sama w jego gabinecie. Właściwie raczej w jego bibliotece, tak dużo tu było książek na półkach i ułożonych w stosy. Skąd tyle wziął? Czy naprawdę wszystkie przeczytał? Purity nigdy nie miała okazji, by przyrzeć się tytułom. Komplety pobożnej literatury, oczywiście. Zbiory słynnych kazań. Komentarze Pisma. Książki

prawnicze? To ciekawe — czyżby myślał kiedyś o studiowaniu prawa? Nie, to prawo kościelne. Wśród nich kilka książek o ściganiu czarowników, szukaniu czarowników, oczyszczeniu czarowników. Wielebny Study może udawać, że nie interesują go takie sprawy, ale przecież posiada te książki, co oznacza, że w pewnej chwili musiał się do nich odwoływać. Nie było go „tam” w czasie procesów w Salem, ostatnich we wschodnim Massachusetts. To może znaczyć, że jeszcze się wtedy nie urodził... Jak dawno to było? Chyba ze sto lat, może sto pięćdziesiąt. Ale uczestniczył gdzieś w procesie o czary. Tak, znał te sprawy i bardzo się nimi przejmował.

Podniosła książkę „O badaniu czarów, magii i innych praktyk szatańskich”, ale nie potrafiła się zmusić, by ją otworzyć. Słyszała, że kiedyś torturowano oskarżonych. Dziś to już chyba niemożliwe. Prawo wyraźnie stanowiło, że nie można nikogo zmuszać, by świadczył przeciwko sobie. Odkąd Stany Zjednoczone powstały z centralnych kolonii i wprowadziły tę zasadę do Karty Praw, uzyskała ona moc prawną także w Nowej Anglii. Nie będzie więc żadnych tortur.

Tom otworzył się jej w rękach. Nic przecież nie mogła na to poradzić, prawda? Otworzył się w pewnym konkretnym miejscu, wiele razy czytany i w wielu miejscach podkreślonym. „Jak przesłuchiwać czarownicę będącą brzemienną?”.

Czy moja matka nosiła mnie, kiedy aresztowali ją i skazali?

Niewinne wobec prawa jest dziecko nienarodzone, a zatem nietknięte grzechem pierworodnym. Grzech pierworodny spada na dziecko dopiero w momencie narodzin, a więc każde działanie, mogące skrzywdzić nienarodzone istnienie, byłoby niczym ukaranie Adama i Ewy, jeszcze zanim nastąpił upadek: niesprawiedliwością i obrażą wobec Boga.

Dałam swojej matce odrobinę dłuższe życie. Uratowałam ją, gdyż byłam... tak jak moje imię... czysta, nieskalana, bez grzechu pierworodnego. Ile tygodni, ile miesięcy zyskała dzięki mnie?

A może to też było dla niej torturą? Czy mój ojciec zawisł już na szubienicy, a ona marniała w celi, czekając na własny proces, płakała po nim i nad dzieckiem w swym ciele, skazanym na żywot sieroty? Może wolałaby raczej umrzeć? Może wolałaby nigdy nie mieć dziecka?

Powinna wcześniej o tym pomyśleć, zanim wzięła udział w zakazanych praktykach. „Talenty” — tak je nazywali w niegodziwych rejonach kraju. Dary od Boga, jak je określili ten kowalski czeladnik, kiedy usiłował ją oszukać. Ale prawdziwa natura fałszywych podarków szatana szybko wyjdzie na jaw. Te „talenty” czarowników pochodzą od szatana. A ponieważ wiem, że nigdy nie miałam do czynienia z szatanem, ten skromny dar, jaki posiadam, nie może być ukrytą mocą. Jestem tylko spostrzegawcza, nic więcej. Nie zmieniam żelaza w złoty pług jak ten, o którym opowiadał Arthur Stuart — pług, co tańczy wokół, gdyż opętany jest przez złe duchy jak gerazeńska świnia.

Drżała z nieopanowanego podniecenia. Wydawało się jej strachem, choć przecież nie miała się czego bać. Wydawało się także ulgą, jak gdyby otrzymywała wreszcie coś, na co czekała od dawna. I nagle zrozumiała: matka dała jej imię Purity, by zachować ją nieskalaną grzechem. Dzisiaj spotkała się twarzą w twarz z kuszeniem szatana w postaci tego wędrownego kowala i jego trupy pomniejszych czarowników, i przez moment odczuwała straszliwe pragnienie. Adwokat był tak atrakcyjny, ten pół-Czarny chochlik tak słodki, sam Alvin teraz wydawał się dostatecznie skromny i pokorny, a jego marzenie o Mieście Boga rzeczywiste i godne spełnienia, że chciałyby do nich dołączyć.

Na pewno w taki sposób zło uwiodło jej matkę. Nierozumiejąca, nieuprzedzona, wpadła w pułapkę. Może to ojciec Purity ją wciągnął, tak jak Verily Cooper przyzywał samą Purity dzisiaj nad rzeką, wzbudzając niezwykle uczucia i tęsknoty, i głos szepczący w umyśle, że to miłość. Na pewno diabeł budził w niej takie myśli. Miałaby kochać czarownika?! Będzie pogrążona, tak jak matka! Och, Ojczy, któryś jest w niebie, dzięki Ci, że zechciałeś mnie ocalić! Jestem grzeszna jak wszyscy, ale jeśli postanowiłeś, że znajdę się pośród wybranych, przez wieczność będę wielbiła Twoje imię.

Usłyszała pospieszne kroki na schodach, więc odłożyła gruby tom na półkę. Kiedy otworzyły się drzwi, wielebny Study i strażnicy zobaczyli ją siedzącą na krześle, z zamkniętymi oczami, z dłońmi złożonymi na kolanach — w klasycznej pozie człowieka o duszy, która nie pozwala się dotknąć żadnemu złu tego świata.

Wielebny Study odmówił pójścia z nimi w celu schwytania czarowników. Niech się wstydzi, pomyślała Purity. Inni, o silniejszych sercach, muszą zrobić to, co zrobić trzeba.

Konie na wiele by się nie przydały na nadbrzeżnej ścieżce. Jeden ze strażników, Ezekial Shoemaker, poprowadził oddział posępnych mężczyzn na koniach, by zabloko-

wali drogi ucieczki w dole rzeki. Drugi, Hiram Peaseman, wraz ze swymi ludźmi ruszył z Purity ścieżką, którą musieli iść czarownicy.

— Skąd jest panienka taka pewna, że ruszyli w dół rzeki? — zapytał Peaseman, surowy mężczyzna, który do dzisiejszego dnia budził w Purity nieokreślony lęk.

— Powiedzieli, że zmierzają do Bostonu. Niezależnie od tego, co postanowią.

— Jeśli byli czarownikami, pewnie skłamali, żeby posłać nas fałszywym tropem?

— Nie. Zamierzali mnie przekonać, bym poszła z nimi.

— Nadal nie wynika z tego, że nie kłamali.

— Wiele powiedzieli kłamstw, mogę pana zapewnić — przyznała Purity. — Ale mówili prawdę, kiedy twierdzili, że zmierzają do Bostonu.

Peaseman przeszył ją lodowatym wzrokiem.

— Skąd wiesz, że to także nie było kłamstwo?

Przez chwilę Purity czuła dawny strach. Czyżby zdradziła się z posiadaniem ukrytej mocy?

Ale zaraz wróciła jej pewność siebie. To nie była żadna ukryta moc.

— Jestem spostrzegawcza — wyjaśniła. — Kiedy ludzie kłamią, okazują to różnymi drobiazgami.

— I nigdy się nie mylisz?

Zatrzymali się; pozostali ludzie stanęli wokół niej.

Pokręciła głową.

— Tylko Bóg jest doskonały, panienko — odezwał się ktoś z grupy.

— Ma pan rację, oczywiście — zgodziła się Purity. — Okazałabym dumę, twierdząc, że nigdy się nie mylę. Chciałam powiedzieć, że jeśli się myliłam, to nic o tym nie wiem.

— Czyli mogli kłamać — uznał Peaseman. — Tylko robili to lepiej od innych.

Purity zniecierpliwiła się.

— Będziemy tak tu stać i czekać, aż czarownicy uciekną, bo nie wiecie, czy można mi wierzyć co do tego, dokąd zamierzali się udać? Jeśli mi nie wierzycie, równie dobrze możecie wątpić we wszystko, co powiedziałam, a wtedy od razu wracajmy do domu.

Niektórzy z nich przestępowali z nogi na nogę. Wreszcie Peaseman przymknął oczy i powiedział głośno to, o czym wszyscy myśleli.

— Jeśli byli czarownikami, panienko, boimy się, że zastawili na nas pułapkę, w którą ty nas prowadzisz. Całkiem nieświadomie.

— Czy nie macie wiary w moc Chrystusa, która was ochroni? — spytała Purity. — Ja się takich jak oni nie lękam. Szatan obiecuje swym sługom przerażającą moc, ale potem zdradza ich za każdym razem. Idźcie za mną, jeśli się ośmielicie.

Odważnie ruszyła ścieżką i po chwili usłyszała za sobą ich kroki. Wkrótce potem znowu ją otaczali, aż wreszcie wyprzedzili.

Dlatego była ostatnią, która zobaczyła, czemu zatrzymali się niecałe sto pięćdziesiąt sążni dalej. Alvin Smith siedział tam na powalonym pniu, oparty o drzewo, z rękami założonymi za głowę. Uśmiechnął się, kiedy wyszła zza szeregu mężczyzn.

— Ależ panno Purity, nie musieliście wracać, żeby pokazać mi drogę do Bostonu, ani kłopotać tych dobrych ludzi. Poradziłbym sobie.

— To główny czarownik — wyjaśniła Purity. — Nazywa się Alvin Smith. Jego towarzysze muszą być gdzieś blisko.

Alvin rozejrzał się.

— Towarzysze? — popatrzył na nią z pozornie szczerym zdziwieniem. — Czyżbyście widzieli zjawy, panienko? — Zwrócił się do mężczyzn. — Czy ta dziewczyna widuje czasem rzeczy, których nie ma?

— Nie dajcie się oszukać — uprzedziła Purity. — Na pewno gdzieś tu są.

— Czy ja dobrze pamiętam i ona przed chwilą rzeczywiście nazwała mnie czarownikiem? — zapytał Alvin.

— Istotnie, mój panie — przyznał Peaseman. — I jako jeden ze strażników pokoju Cambridge mam obowiązek poprosić was do miasteczka na przesłuchanie.

— Odpowiem na wszystkie pytania, jakie mi zadacie — obiecał Alvin. — Ale nie widzę powodu, żebym zawracał, zamiast ruszać w dalszą drogę.

— Nie ja stanowią prawo — odrzekł Peaseman. — I nie jestem sędzią. Obawiam się, że musimy was sprowadzić tak czy inaczej.

— No cóż, w takim razie wybieram tak, a nie inaczej — zdecydował Alvin. — Na własnych nogach, swobodnie, z własnej woli przyjmuję wasze uprzejme zaproszenie.

Lekki uśmiech przemknął po wargach Peasemana.

— Tak, my też wolimy ten sposób, mój panie. Ale zechciejcie nam wybaczyć, gdyż musimy was związać, żebyście nie mogli uciec.

— Daję wam moje słowo.

— Wybaczcie, panie — powtórzył Peaseman. — Jeśli was uniewinnią, osobiście przeproszę. Ale musimy dopuścić myśl, że oskarżenie jest prawdziwe, a skoro tak, więzy będą bezpieczniejsze dla wszystkich. Mam rację?

W odpowiedzi Alvin wyciągnął przed siebie obie dłonie. Peaseman nie dał się jednak oszukać i związał mu ręce z tyłu.

— To nie jest dobry sznur — zauważył Alvin.

— Na pewno dobry — odparł Peaseman.

— Nie. Nie trzyma węzła. Popatrzcie.

Alvin lekko potrząsnął rękami i węzeł się rozplatał. Peaseman patrzył jak ogłupiały na sznur wiszący teraz luźno w rękach zatrzymanego.

— To był dobry węzeł.

— Dobry węzeł na złym sznurze nie jest lepszy od złego węzła — stwierdził Alvin. — Chyba stary Ben Franklin powiedział to jako pierwszy. W „Biednym Ryszardzie”.

Twarz Peasemana pociemniała.

— Zrobicie nam wszystkim przyjemność, nie cytując słów tego czarownika.

— On nie był czarownikiem. Był patriotą. Ale nawet gdyby był człowiekiem równie niegodziwym jak... jak papież, i tak miałby rację w tej kwestii.

— Nie ruszajcie się — poprosił Peaseman. Zawiązał węzeł jeszcze raz, mocniej, a potem drugi.

— Postaram się nie ruszać rękami, żeby węzeł znów się nie rozwiązał — obiecał Alvin.

— Bawi się z wami — oznajmiła Purity. — Nie widzicie, że to właśnie jego ukryta moc? Nie umiecie rozpoznać diabła, choć stoi przed wami?

Peaseman rzucił jej gniewne spojrzenie.

— Widzę człowieka i sznur, na którym węzeł się nie trzyma. Kto kiedy słyszał, żeby diabeł dawał moc rozwiązywania węzłów? Gdyby tak było, jak można by w ogóle powiesić czarownika?

— On drwi z was — upierała się Purity.

— Nie wiem, czym was uraziłem, panienko — rzekł Alvin. — Ale dostatecznie trudno jest wędrowcowi, kiedy nazwą go czarownikiem, nawet jeśli nie oskarżają go o wszystko, co się zdarza. Gdyby jeden z tych ludzi pośliznął się i wpadł do rzeki, czy to też byłaby moja wina? Jeśli czyjaś krowa zachoruje w sąsiedztwie, czy też mnie o to oskarżysz?

— Słyszycie jego klątwy? — upewniła się Purity. — Lepiej wszyscy pilnujcie bydlę i stąpajcie ostrożnie w drodze do domu.

Mężczyźni popatrzyli po sobie. Sznur zsunął się z przegubów Alvina na ziemię. Peaseman podniósł go; węzeł rozluźnił się już wyraźnie.

— Daję wam słowo, że nie ucieknę — rzekł Alvin. — Jak zresztą mógłbym się wyrwać tyłu ludziom, nawet gdybym chciał? Ucieczka nic mi nie da.

— W takim razie dlaczego uciekli twoi towarzysze? — dopytywała się Purity.

Alvin spojrział na zebranych z wyraźnym zakłopotaniem.

— Nie ma ze mną nikogo. Mam nadzieję, że wszyscy to widzą.

Purity rozgniewała się.

— Miałeś ich czterech, trzech mężczyzn i chłopca, pół-Czarnego, którego ocaliłeś przed niewolą, zmieniając jego naturę. Był też francuski malarz, papista udający niemo-
wę. I marynarz, który próbował cię zabić, a ty użyłeś swojej mocy, żeby usunąć mu ze skóry wytatuowany heks. I jeszcze angielski prawnik.

— Wybacz, panienko, ale to raczej senne zjawy, a nie grupa prawdziwych ludzi podróżujących razem. Jak często spotyka się prawników z Anglii w towarzystwie takich wiejskich chłopaków jak ja?

— Zabiłeś człowieka swoim talentem! Nie zaprzeczaj! — krzyknęła Purity, rozgniewana jego oczywistymi kłamstwami.

Alvin zrobił urażoną minę.

— Czy teraz jestem oskarżony o morderstwo? — Znów spojrział na mężczyzn, tym razem zdradzając oznaki lęku. — Kogo niby zabiłem? Mam nadzieję, że proces będzie uczciwy, i że macie świadków, jeśli mam odpowiadać za morderstwo.

— Nikt nie został tu zamordowany — uspokoił go Peaseman. — Panno Purity, będę wdzięczny, jeśli zamilkniecie i pozwolicie, by prawo zajęło się tym człowiekiem.

— Przecież on kłamie! Nie widzicie tego?

— Sąd zdecyduje, co jest prawdą.

— A co z pługiem? Chłopak opowiadał, jak ten człowiek zrobił złoty pług, który zawsze przy sobie nosi, ale nikomu nie pokazuje, bo ten pług jest żywy. Jego towarzysze widzieli, jak sam się porusza. Jeśli to nie jest dowód szatańskich mocy, czego jeszcze trzeba?

Peaseman westchnął.

— Mój panie, czy macie taki pług, jaki został tu opisany?

— Możecie przeszukać mój worek — odpowiedział Alvin. — Właściwie to będę wdzięczny, jeśli ktoś go poniesie, bo mam tam młotek i obcęgi, inaczej mówiąc środki utrzymania jako kowalski czeladnik. Leży o tam, po drugiej stronie powalonego klonu.

Jeden z ludzi poszedł po worek.

— Otwórzcie go! — krzyknęła Purity. — To ten, w którym trzyma pług!

— Nie ma żadnego pługa w tym worku, złotego, żelaznego, spiżowego ani z cyny — zapewnił Alvin.

— Zgadza się — oznajmił mężczyzna, zaglądając do worka. — Tylko młot i obcęgi. I bochenek suchego chleba.

— Trzeba go moczyć z godzinę, zanim da się zjeść — wyjaśnił Alvin. — Czasem wydaje mi się, że obcęgi szybciej by zmiękły niż ten chleb.

Ludzie się roześmiali.

— I tak diabeł oszukuje was po trochu — stwierdziła Purity.

— Dość już tego — zirytował się Peaseman. — Wiemy, że go oskarżacie, więc nie trzeba wciąż tego powtarzać. W worku nie ma pługa, a jeżeli ten człowiek pójdzie spokojnie z nami, nie trzeba go wiązać.

— I tak wiedzie ich spokojnych do piekła — rzekła Purity.

Po raz pierwszy Peaseman okazał gniew. Podszedł do niej i spojrzał z wysoka.

— Powiedziałem: dość już takiego gadania, panienko. Żaden z nas nie jest zachwycony, kiedy tak opowiadacie, że zostaliśmy oszukani przez szatana.

Purity otwierała już usta, by skarcić mężczyzn, że dali się podejść temu sprytnemu „wiejskiemu chłopakowi”, choć przecież wskazała go jako sługę piekła. W końcu jednak zdała sobie sprawę, że nie zdoła ich przekonać. Alvin nadal będzie się zachowywał spokojnie i niewinnie, ona zaś im bardziej się rozgniewa, tym bardziej będzie wyglądać na obłąkaną.

— Zostanę tutaj i spróbuję znaleźć pług — zdecydowała.

— Nie, panienko. Będę wdzięczny, jeśli pójdziecie teraz z nami.

— Ktoś musi go poszukać. Wspólnicy tego człowieka na pewno przyczaili się gdzieś w pobliżu i czekają na okazję, by go odzyskać.

— Tym bardziej nie mogę pozwolić, żebyście zostali tu bez nikogo. Idziemy, panienko. Mówię teraz jako przedstawiciel władzy w miasteczku. To nie jest uprzejme zaproszenie.

W jego głosie zabrzmiały groźne tony.

— Mnie chcecie aresztować? — spytała zdumiona. Peaseman przewrócił oczami.

— Panienko, proszę tylko, żebyście mi pozwolili wykonać pracę tak, jak nakazuje prawo. Zgodnie ze wskazówkami prawa i zdrowego rozsądku, nie mogę was tu zostawić

samej i narażać na niebezpieczeństwo. A mając więźnia, którego nie można związać, potrzebuję tych ludzi przy sobie. — Peaseman obejrzał się na dwóch swoich podwładnych. — Panowie, podajcie ramię młodej damie.

Z demonstracyjną uprzejmością obaj wyciągnęli ku niej ręce. Purity zdała sobie sprawę, że w tej chwili nie ma właściwie wyboru.

— Pójdę sama, jeśli można. I będę powstrzymywać język. Peaseman pokręcił głową.

— O to prosiłem wiele minut i kilka długich przemów temu. Teraz proszę, żebyście wzięli ich pod ręce i nie spierali się dłużej, bo możemy już nie być tak łaskawi.

Wsunęła obie ręce pod ramiona dwóch strażników i smętnie pomaszrowała przed siebie. Milczała. Alvin zaś paplał wesoło o pogodzie, idąc wolny na przedzie. Mężczyźni kilka razy wybuchnęli śmiechem, słuchając jego żartów i opowieści, a ona z każdym krokiem mocniej czuła gorycz żółci. Czy jestem jedyną, która wie, że diabeł ma przyjazną twarz? Czy jestem jedyną, która zdołała przejrzeć czarownika?

KOSZ Z DUSZAMI

— Czego ty właściwie szukasz? — spytał Honoré.

Spędzili w porcie najgorętszą część dnia i teraz ociekali potem. Zbliżał się już wieczór, ale upał nie zelżał.

— Dusz — wyjaśnił Calvin. — A konkretnie złodziei dusz.

Stali w niewielkiej plamie cienia rzucanej przez stos pustych skrzyń i patrzyli, jak cumuje statek. Honoré był trochę rozdrażniony.

— Jeśli transakcja, którą widziałem na nabrzeżu, miała cokolwiek wspólnego z zaginionymi płomieniami serc. . . które nie są duszami w takim sensie, w jakim opisują je kapłani. . . to wcale nie była kradzież. Oddawali laleczki z własnej woli.

— Czasami kradzież wcale nie wygląda jak kradzież. A jeśli wierzą, że tylko je wypożyczają, a potem nie mogą ich odzyskać? Co na to powiesz?

— A jeśli stawiasz nas na drodze czegoś niebezpiecznego? Pomyślałeś o tym?

Calvin uśmiechnął się tylko.

— Nic nie może nas skrzywdzić.

— To stwierdzenie jest w tak oczywisty sposób fałszywe, że nie warto go nawet komentować.

— Ty chyba nie rozumiesz, co potrafię zrobić.

Przerzucono trap z nabrzeża do występu w burcie statku.

— Paskudnie wygląda ta załoga, nie sądzisz? Może Portugalczycy?

— Jeśli postanowię, że tobie i mnie nic się nie stanie, to się nie stanie — oświadczył Calvin.

— Aha. . . Czyli potrafisz czytać w myślach, jak twoja bratowa?

— Nie musisz czytać w myślach, kiedy możesz roztopić komuś nóż w ręku.

— Ale *Monsieur le Genius*, nie wszystkie noże widoczne są z wyprzedzeniem.

— Ja je widzę.

— Nic cię nigdy nie zaskakuje?

Zanim Calvin wymówił krótkie „nic”, Honoré trzepnął go dłonią w kark. Calvin zatoczył się i odwrócił, masując dłonią szyję.

— Do diabła, co niby chcesz tym udowodnić?

— Dowiodłem, że można cię skrzywdzić.

— Nie. Dowiodłeś, że nie można ci ufać.

— Teraz rozumiesz, o co mi chodzi? — ucieszył się Honoré. — Właśnie kiedy czujesz się bezpieczny, najbardziej jesteś narażony na ciosy. A że jesteś na tyle głupi, by czuć się bezpieczny przez cały czas, to przez cały czas jesteś narażony.

Oczy Calvina zmieniły się w wąskie szparki.

— Nie czuję się bezpiecznie przez cały czas. Czuję się bezpiecznie z tobą.

— Ale ostatnio przez cały czas jesteśmy razem. — Honoré znów się uśmiechnął. — I jesteś bezpieczny przede mną. Nie jestem dumnym posiadaczem żadnego użyteczne-

go talentu, nie noszę broni i zbyt mnie zajmuje studiowanie człowieczeństwa, żebym myślał o zranieniu pojedynczego człowieka. Ale fakt, że jesteś przede mną bezpieczny, nie oznacza jeszcze, że jesteś bezpieczny w moim towarzystwie.

— Nie rób mi wykładów, ty francuski pierdzielu.

— Zbyt mi pochlebiasz. Czosnek, wino, zupa cebulowa, dojrzały ser... Wszystkie razem sprawiają, że pierd *française* jest najlepszym z możliwych pierdnięć. Voltaire tak twierdzi.

Calvin nie roześmiał się.

— Patrz — powiedział. — Patrz tylko na tego niewolnika. Nie ma nic do roboty.

— On czeka.

— To ten, którego widziałeś?

— Obserwuję, co ludzie robią. Nie udaję, że umiem poznać, czy dwaj Czarni, jeden widziany z tyłu, drugi z przodu, obaj ze sporej odległości, a ubrani identycznie jak połowa niewolników w Camelocie, są w rzeczywistości tym samym człowiekiem.

— Chcesz powiedzieć, że to ten sam?

Honoré westchnął.

— Chcę powiedzieć, że nie wiem.

— Więc powiedz to po prostu. Nie wygłaszaj tych swoich wyszukanych oracji.

Honoré nie zwracał na niego uwagi. Zataczając się, mrużąc oczy, pochyleni, rozglądający się dookoła, na pokładzie pojawili się pierwsi Czarni.

— To statek niewolniczy.

— Wiedzieliśmy o tym.

— Wiedzieliśmy też o trzech innych statkach, które przybiły dzisiaj, a jednak nie wiozły niewolników.

— Wiedzieliśmy, że ten jest niewolniczy, bo popatrz tylko na Białych. Chodzą po pokładzie z kijami. Nie potrzebują ich do rozładowania skrzyń.

— Gdybym tylko był taki sprytny jak ty...

Czarny, którego zauważyli wcześniej, który mógł, ale nie musiał być tym widzianym wcześniej przez Honoré, jak zbiera kukiełki, zbliżył się z dwoma wiadrami wody i koszem. Spuścił głowę, by nie patrzeć w oczy żadnemu z białych dokerów. Powiedział coś do kierującego robotnikami, a ten skinął ręką w stronę trapu.

— Nie, tępy czarnuchu! — Głos dokera dobiegał wyraźnie do miejsca, gdzie stali Calvin i Honoré. — Czekaj na dole! Jak zaczniesz się pchać po trapie, będą się zderzać i pospadają do wody! Głupek, głupek, głupek!

Gdy kończył swoją listę głupeków, Czarny z wiadrami kłaniał się, pochylał głowę i cofał tak długo, że dotarł na wskazaną pozycję.

— On wiedział — oświadczył Honoré.

— Co takiego wiedział?

— Wiedział, gdzie ma stanąć. Szedł już w tamtą stronę, zanim ten człowiek wskazał mu miejsce.

— To dlaczego rozgniewał tego robotnika?

— Chciał go przekonać, że jest głupi.

— Robotnik od samego początku myślał, że jest głupi. Oni myślą, że wszyscy Czarni są głupi.

— Naprawdę? Ale myślą też, że niektórzy są jeszcze głupszy od innych.

Pierwsi niewolnicy, skuci i połączeni łańcuchem za kostki, wyszli chwiejnie na trap, po czym od razu skierowali się po wodę. Sporo się wylało przy akompaniamencie ci-

chych przekleństw nosiwody. Calvin użył przenikacza, by przyjrzeć się wszystkiemu z bliska. Rzeczywiście, każdy z niewolników oddawał jakiś niewielki przedmiot wykonany ze ścinków materiału, drewnienek i kawałków żelaza.

— Jego szukamy — oświadczył Calvin. — Ale skąd ci przyszło do głowy, że oddają lalki?

— Mogłem się dobrze przyjrzeć tylko jednej, większej od innych. To była lalka.

— Inne nie.

— Czymś jednak są, prawda?

— Oczywiście, są czymś, to jasne. Chciałbym ich zapytać, co to jest. Jak przelewają moc w coś takiego.

— Ale co to jest, jeśli nie lalki?

— Nic. Powiązane strzępy materiału, sznurki, nici, żelazo, drewno, różne śmieci. Nie znajdziesz dwóch takich samych.

— Ach, gdyby tak mieć talent żony twojego brata. . . — westchnął Honoré.

— Dowiemy się niedługo.

— Ale czy to nie ironiczne, że przez cały dzień czekamy tu i obserwujemy, a teraz, kiedy już znaleźliśmy tego człowieka, dalej nie mamy pojęcia, co on właściwie robi? A ona już wie.

— Dlaczego sądzisz, że wie cokolwiek? — zdziwił się Calvin.

— Bo potrafi zajrzeć w czyjś płomień serca. Pilnowała nas przez cały dzień, a kiedy tylko go zobaczyliśmy, mogła przeskoczyć, zajrzeć w niego i wszystkiego się dowiedzieć.

— Do licha! — Calvin spojrzał na przyjaciela z irytacją. — Nie powiesz chyba, że czujesz, kiedy na ciebie patrzy?

— Niczego nie muszę czuć — wyjaśnił Honoré. — Wiem, że patrzyła, bo jest ciekawa. Zobaczyła w płomieniach naszych serc, że chcemy odszukać tego człowieka, więc nas obserwowała. To oczywiste.

— Dla ciebie.

— Tak, dla mnie. Jestem światowej klasy autorytetem w dziedzinie ludzkich zachowań.

— We własnej opinii.

— Ale widzisz, jestem takim człowiekiem, który zawsze uważa się za najlepszego na świecie we wszystkim, czym się zajmuje. Ty zresztą też. To jedyne, w czym jesteśmy podobni.

Calvin uśmiechnął się.

— Prawda jak diabli.

— Różnica między nami polega na tym, że ja nie myślę się w tej opinii.

Calvin znów zmrużył oczy.

— Pewnego dnia przestanę udawać, że biorę te twoje słowa za żart.

— I co zrobisz, żeby mnie ukarać? Sprawisz, że obudzę się pod krzakiem z potwornym bólem głowy i w ubraniu zmoczonym uryną?

Teraz trapieniem schodziły kobiety, nagie do pasa i powiązane, nie skute, choć sznury obtarły im kostki i przeguby do krwi.

— Żona twojego brata zna już imię tego nosiciela wody, wie, gdzie mieszka i co jadł na śniadanie — stwierdził Honoré.

— Może i tak. Ale my też wkrótce się dowiemy.

— Myślisz, że nie zauważy, jak idą za nim dwaj Biali?

— Już mówiłem — rzekł Calvin ze złośliwym grymasem — potrafię zrobić wszystko, co potrzebne. Mogę go śledzić tak, że nas nie zauważy ani nie będzie wiedział, że jest śledzony.

— Używając twojego przetykacza?

— Przenikacza.

— Przecież nie znasz wszystkich ukrytych mocy, jakie może posiadać ten Czarny — zauważył Honoré. — Skąd wiesz, że nie złapie twojego przenikacza i nie zatrzyma w niewoli?

Calvin chciał już wyśmiać ten pomysł, ale nagle spoważniał.

— Wiesz, byłbym durniem, uważając, że nie jest niebezpieczny, tylko dlatego że przy tym dokerze udawał durnia.

— Uczysz się podejrzliwości! Jestem z ciebie dumny!

— Ale mój przenikacz nie musi przecież podróżować w tym człowieku ani nic takiego.

— To dobrze — uznał Honoré. Widział jednak, że Calvin jest niespokojny.

Każdy z niewolników, bez wyjątku, miał coś, co oddawał nosicielowi wody. Kobiety okazały się bardziej nieufne od mężczyzn — nie trzymały tych przedmiotów w rękach ani nie ukrywały w skąpej odzieży — wypływały je z ust do chochli.

— Niektóre mają po dwie — zauważył Calvin. — Dwie takie magorzeczy.

Kiedy coś trafiło do chochli, nosiwoda zawsze wrzucał to do prawego wiadra. Zebrał tam już pewnie sporą kolekcję.

Ostatnie w kolejce było kilkanaście dość już dużych dzieci. Wyglądały na bardziej przerażone i słabsze od dorosłych. Żadne z nich nic nie miało dla nosiwody.

— Kobiety dawały po dwie — przypomniał sobie Honoré.

— Rzeczywiście — zgodził się Calvin. — Za dzieci. Obsługując je, nosiwoda niezgrabnie zahaczył i przewrócił prawe wiadro, wylewając wodę na rozgrzane deski narzeża. Pozostałym dzieciom dał wodę z drugiego wiadra. Po chwili okazało się, czemu przewrócił to ważniejsze: jeden z marynarzy chwycił kubek, w którym zostało jeszcze trochę wody, i chlusnął na plecy ostatniego dziecka. Wzbudził tym głośny rechot białych dokerów. Tymczasem nosiwoda przyklęknął, wybrał wszystko z prawego wiadra i wrzucił do małego koszyka, który ze sobą przyniósł.

Jego misja nie skończyła się jednak. Szef dokerów zatrzymał go przy zejściu z nabrzeża.

— Co tam niesiesz? — zapytał, wskazując kosz.

— Nie wiem, co mój pan tam włożyć — odparł nosiwoda.

— A ja wiem, że byłoby lepiej, gdyby jedna rzecz się tam znalazła.

Przez długą chwilę spoglądali na siebie w posepnym milczeniu, aż wreszcie nosiwoda uśmiechnął się, błysnął białkami oczu i sięgnął do kosza.

— Ja taki głupi, boss, głupi, ja całkiem zapomnieć.

Wyjął i wręczył Białemu monetę.

— Gdzie reszta?

— To wszystko, co ja dostać.

— Nie oszukuj, Duńczyk.

— Aha — szepnął Honoré. — Poznaliśmy jego imię.

— Chyba tak — odpowiedział Calvin. — Bo Skandynawem żadnym nie jest, to pewne.

— Wiesz co? — rzucił groźnie Biały. — Powiem mu, że dałeś mi jednego pensa. Zobaczmy, co on na to.

— Ale ja dać panu szyling.

— Myślisz, że w to uwierzy, jeśli powiem, że było inaczej?

— Moja dostać baty — stwierdził Duńczyk. — Ale pan nie dostać więcej pieniędzy.

— Wynoś się z mojego nabrzeża.

— Boss dobra pan. — Duńczyk wycofał się w pokłonach.

Po chwili odwrócił się i znowu podniósł wiadra. Zanim jednak się wyprostował, szef dokerów kopniakiem przewrócił go na deski. Dokerzy i marynarze ryknęli śmiechem. Ale niewolnicy, ustawieni do inspekcji celnej, wcale się nie śmiali. Sam Duńczyk, kiedy się podniósł, nie okazywał nawet śladu rozbawienia. Calvin i Honoré widzieli, że panuje nad sobą, rozciąga usta w głupawym uśmiechu, a dopiero potem się odwraca.

— Pan wesola człowiek, boss — powiedział. — Zawsze moja rozśmieszać.

Z przesadną ostrożnością podniósł wiadra, tym razem nie odwracając się plecami do dokera. Demonstracyjnie zatrzymywał się kilka razy i oglądał czujnie, upewniając

się, że nikt nie zakrada się od tyłu, by go kopnąć. Biali śmiali się z tej błazenady, nawet kiedy już odszedł.

Przez cały ten czas niewolnicy nie odrywali od niego wzroku.

— Pokazuje im, jak tu przetrwać — stwierdził Honoré.

— Znaczy, rozzłościć jakiegoś Białego? Rzeczywiście sprytnie.

— On nie jest głupi. Nie, to mądry człowiek. Pokazuje reszcie, że mają udawać głupków i rozśmieszać Białych. Biały człowiek powinien odczuwać rozbawienie i wzdgarę, ponieważ wtedy nie będzie czuł lęku i gniewu.

— Prawdopodobnie — zgodził się Calvin. — Ale może po prostu od czasu do czasu dostaje kopniaka w tyłek.

— Nie — sprzeciwił się Honoré. — Powtarzam ci, że jestem autorytetem w dziedzinie ludzkiej natury. On to robi celowo. W końcu właśnie on odbiera im dusze.

— Mówiłeś, zdaje się, że to wcale nie dusze.

— Zmieniłem zdanie. Popatrz na nich. Stracili swoje.

Przyjrzeni się Czarnym w łańcuchach i sznurach. Urzędnicy celni poszturchiwali ich, obdzierali z resztek odzieży, sprawdzali im uszy, nozdrza, zęby, jakby mieli do czy-

nienia ze zwierzętami. Czarni przyjmowali to obojętnie. Wyraz przerażenia, jaki mieli na twarzach, kiedy wyszli na światło dnia, teraz zniknął. Zniknęło również skupienie, z jakim obserwowali Duńczyka zabierającego ich amulety czy cokolwiek to było. Teraz naprawdę wydawali się zwierzętami.

— Rzeczywiście, są puści — przyznał Calvin. — Wszyscy mieli płomienie serc, kiedy schodzili ze statku. I to mocne. Teraz wszystkie przygasły, jak ogień, który tylko się tli.

— Byli gotowi, zanim wyszli z ładowni — dodał Honoré. — Skąd wiedzieli?

— Może to jedna z tych rzeczy, które później zdoła nam wyjaśnić Margaret.

— Jeśli w ogóle jeszcze kiedyś się do nas odezwie.

— Odezwie się — zapewnił Calvin. — Jest miła. Dlatego będzie się czuła winna, że przez nią musieliśmy odpracować cenę wczorajszego obiadu.

— Oni wiedzieli — mruknął Honoré. — I wszyscy się godzili. Oddali w jego ręce własne dusze.

— Ciekaw jestem, gdzie on je trzyma i co z nimi robi.

— W takim razie musimy pójść do twojej bratowej i ją zapytać, skoro jesteś pewien, że zechce z nami rozmawiać.

Calvin rzucił mu gniewne spojrzenie.

— Już w tej chwili go śledzę — oznajmił. — Nie widzi mojego przenikacza.

— Albo nie okazuje tego, że widzi.

— Zajmuję się tym dłużej od ciebie. Wiem.

— To dlaczego drżysz? — spytał Honoré.

Calvin odwrócił się zagniewany, przyciskając Honoré do skrzyń.

— Ponieważ ledwie się powstrzymuję, żeby nie... zatrzymać... twojego... serca.

Honoré zrobił zdumioną minę.

— Czyżbyś pod tym żywoplotem całkiem stracił poczucie humoru?

Calvin cofnął się nieco, tylko częściowo udobruchany.

— Co jak co, ale zabawny na pewno nie jesteś.

— Jeżeli będę ćwiczył, może kiedyś stanę się zabawny.

— To ja jestem śmieszny. — Calvin cofnął się jeszcze i Honoré mógł teraz stanąć, nie opierając się o skrzynie. — Czy może pod żywoplotem straciłeś poczucie humoru?

— Obaj jesteście śmiesznymi chłopakami — uznał Honoré. — Idźmy za tym człowiekiem z koszem dusz. Muszę się dowiedzieć, co z nimi robi.

— Przechodzi przez drzwi.

— Gdzie?

— Miasteczko Czarnych — odparł Calvin. — Wszędzie wiszą jakieś śmieci. Tylko jeden płomień serca w całym domu. — Gwizdnął. — Ależ to jaskrawe.

— Co jest jaskrawe? — zapytał Honoré.

Calvin nie odpowiedział.

Honoré zbliżył się nieco.

— To nieuczciwe, żeby mi nie mówić.

Calvin spojrzał na niego tępo.

— Wiesz, co ci powiem? — zirytował się Honoré.

* * *

Margaret siedziała przy biurku i układała swój codzienny list do Alvina. Nigdy ich nie wysyłała. Mogłaby, ponieważ zawsze wiedziała, gdzie przebywa i dokąd zmierza.

Ale po co zmuszać go do szukania urzędów pocztowych w każdym miasteczku, do którego trafi? Lepiej poczekać do ostatnich godzin przed zachodem słońca. Cokolwiek by wtedy robił, przerywał i kierował swe myśli ku niej. Co ważniejsze, wysyłał swój przenikacz, by ją obserwować. Nie umiał czytać w myślach, ale wyczuwał, jak poruszają się jej ręce, jej palce; potrafił znaleźć pióro. Zanurzała je w kałamarzu tylko po to, by wracać do tego, co napisała wcześniej. Wiedziała, że on widzi słowa pisane na papierze tak wyraźnie, jakby zaglądał jej przez ramię. Zadawała pytania; kiedy były już na wpół uformowane, znajdowała odpowiedzi w jego wspomnieniach.

Był to nierówny układ, wiedziała o tym. Mogła poznać jego najskrytsze myśli, nawet uczucia, z których sam prawie nie zdawał sobie sprawy. Widziała, jak rozwijają się przed nim możliwości, jak zbiegają się znowu po każdym wyborze. Nie miał przed nią tajemnic. Ona za to mogła ukryć każdy sekret, z wyjątkiem fizycznego stanu swego ciała. Mógł więc ją uspokajać, że dziecko rozwija się dobrze; mógł się martwić, że za dużo pracuje. Ale jej myśli pozostawały przed nim zamknięte. Nie wydawało się to sprawiedliwe.

A jednak Alwinowi to nie przeszkadzało — naprawdę, wcale nie przeszkadzało, nawet chyba tego nie dostrzegał. Wiedziała, że jest ku temu kilka powodów. Po pierwsze, Alvin był człowiekiem szczerym i nie miał tajemnic. Umiał coś ukryć, naturalnie, lecz gdy już komuś zaufał, opowiadał mu całą historię, nie pomijając żadnych szczegółów, czy dobrze o nim świadczyły, czy źle. Czasami ludzie uznawali to za przechwałki — kiedy to, czego dokonał, było rzeczywiście niezwykle. Jednak nie były to ani przechwałki, ani wyznania. Alvin po prostu opowiadał o tym, co miał w pamięci. Dlatego wcale mu nie ciążyło, że Peggy tak łatwo może zajrzeć w płomień jego serca.

Drugi powód dla tego braku urazy trochę ją jednak niepokoił: Alvin zwyczajnie się nie przejmował. Nie przeszkadzało mu, że ona zna jego tajemnice, ale też nie przeszkadzało, że on nie zna jej. Mógłby być bardziej dociekliwy! Czyżby to znaczyło, że jej nie kocha? Czy zdradzało jakiś zasadniczy egoizm? Nie, Alvin był człowiekiem wielkodusznym. Po prostu nie był aż tak ciekawy szczegółów jej myśli. Zadowalał się tym, co sama mówiła. Ufał jej. To było to: zaufanie, nie brak miłości.

Trzeci powód, prawdopodobnie najważniejszy, był też najbardziej denerwujący. Wszystko, co dotyczyło Margaret, Alvin przyjmował jako dany fakt, część otaczają-

cego go naturalnego świata. Wprawdzie dowiedział się o tym później, ale obserwowała go przez całe dzieciństwo i wiele razy ocaliła mu życie. Uczyła go, przebrana za starą pannę, nauczycielkę. Jak słońce codziennie rzucało na niego swe promienie, tak i codzienna była jej troska o niego. Przyjmował ją jak coś oczywistego. Obecność Margaret w jego myślach była czymś tak zwyczajnym jak oddychanie.

Nie jestem nawet pogodą jego życia, jestem klimatem, myślała. Nie, raczej kalendarzem. Czasami wypadają święta, ale przez resztę czasu traci rachunek dni; wiadomo, że będą przemijać jeden po drugim.

Nie wolno mi myśleć w ten sposób. Muszę pisać.

„Najdroższy Alvinie, tęsknię za tobą bardziej niż kiedykolwiek. Calvin to taki niemiły chłopak, twoje przeciwieństwo, kiedy jednak słyszę jego głos, przypomina mi twój”.

Tyle że listy nie były zwykle pisane tak składnie. Kiedy tylko widziała, że zrozumiał, porzucała niedokończone słowo i przechodziła dalej. List zaczynał się w rzeczywistości raczej w taki sposób: NA, tęs za t bard. C to taki niemił chł, tw przeciw, kiedy jdn sły jgo głos, przypom mi ci.

Trudno sobie wyobrazić, by ktokolwiek inny zrozumiał te strzępki wyrazów pisane dziecięcymi, drukowanymi literami zamiast zwykłym eleganckim pismem Margaret — drukowane litery Alvin łatwiej rozpoznawał.

Pisała dalej: „Uważam, że robisz niemądrze, godząc się na pozostanie w tym więzieniu choćby przez jedną noc. Wyjdź z niego, zbierz swoich towarzyszy i wracaj do domu. Nie dbam zbyt o Purity. Ma przed sobą kilka dobrych przyszłości, ale niezbyt prawdopodobnych. Możliwe są też wielkie nieszczęścia, jeśli zostaniesz i wyrwiesz ją z Nowej Anglii”.

Jego pytanie: A zatem to możliwe?

„Tak, ale...”.

Czy ją powiesz, jeśli jej nie zabierzemy?

Margaret wiedziała, że szczerą odpowiedź nie pozostawi Alwinowi wyboru. Będzie musiał zostać.

Pisała: „Śmierć nie jest najgorszą rzeczą na świecie. Wszystkich nas czeka; a jeśli powiesz ją jako czarownicę, istnieje spora szansa, że doprowadzi to do zniesienia kary śmierci za czary. A zatem jej śmierć przyniesie wiele dobrego”.

Natychmiast dostrzegła w umyśle Alvina odpowiedź, ale знаła ją już wcześniej, bo wynikała z jego charakteru: Spróbujmy osiągnąć ten sam cel bez wysyłania jej na szubienicę.

Mówiąc mu prawdę, zagwarantowała, że Alvin na dłużej zostanie w więzieniu.

Pisała: „Czy twoje poprzednie uwięzienie i proces nie wystarczą na całe życie?”.

Nie odpowiedział; za to w myślach zadał pytanie: Calvin? Czego chce?

„Być tobą. A jeśli to się nie powiedzie, to zniszczyć wszystko, co kiedykolwiek osiągnąłeś. Uwiódł wytworną damę, wzbudzając w niej niepokonowaną żądzę. Też tak potrafisz?”.

Jego odpowiedź: Nigdy o tym nie pomyślałem. Chcesz, żebym spróbował?

„Nie!!! Nie, póki nie ma cię tutaj cieleśnie, ty dręczycielu”.

To mnie będą dręczyć i torturować.

„Tylko cię pogonią. Przyda ci się trochę ćwiczeń”.

Ta rozmowa trwałaby jeszcze chwilę, gdyby nie przerwało jej gwałtowne stukanie do drzwi.

„Ktoś puka”, napisała.

Potem spojrziała na płomienie serc przed drzwiami i znalazła tylko jeden: Ryby.

— Wejść.

— Dwóch Białych czeka na dole i chce się z panią zobaczyć.

„Goście”, napisała.

Poszukała płomieni serc na parterze, ale zobaczyła tylko jednego mężczyznę czekającego na spotkanie.

„Honoré de Balzac. Partner Calvina w rozpuście. Muszę zejść. Jutro?”.

Odpowiedział: Jutro. Zawsze. Kocham cię.

Czując ściskanie w gardle, Margaret złożyła i schowała kartkę papieru. Zostało jeszcze sporo wolnego miejsca, by pisać listy do Alvina.

Na dole Balzac poderwał się z krzesła. Był nerwowy niczym żaba na patelni.

— Słucham. . . — zaczęła Margaret.

— Musi mi pani pomóc z Calvinem — przerwał jej Balzac; jego perfekcyjny angielski trochę go zawodził. — Gdzie on jest?

— Nie wiem. — Zdziwiła się nieco. — Nie ma go tutaj, jeśli o to panu chodzi.

— Ależ jest tutaj, madame. Jest, lecz go nie ma. Proszę spojrzeć.

Kiedy zwróciła się tam, gdzie wskazywał palcem, ze zdumieniem odkryła, że Calvin istotnie jest obecny. Siedział na drewnianej ławie i kołysał się bezmyślnie, wpatrzony w pustkę. Jak mogła nie zauważyć, że przyszedł z Balzakiem, kiedy sprawdzała płomień serc?

Ponieważ brakowało jego płomienia. A raczej był, ale rozmiarów typowych raczej dla myszy; nie miał w sobie żadnej przyszłości, jedynie tępą świadomość chwili obecnej. Jak gdyby Calvin swoje własne działania dostrzegał kątem oka.

Całkiem jakby był jednym z niewolników.

Ale nie. Niewolnicy z Camelotu wciąż posiadali płomień swoich serc. Słabe, bez prawdziwych imion, z pasjami wytłumionymi i prawie nieobecnymi, o przyszłościach kierowanych na kilka tylko wąskich ścieżek. Więcej jednak, niż pozostało Calvinowi. Zachował swoje imię, ale właściwie nic więcej. Co do przeszłości i przyszłości, przesłaniała je gęsta mgła. Pojawiały się w niej błyski i cienie, ale Margaret nie potrafiła nadać im sensu. W szczególności nie umiała zobaczyć, gdzie się podział jego przenikacz.

— Wyprowadźmy mojego drogiego szwagra do ogrodu — zaproponowała. — Tam porozmawiamy.

Balzac skinął głową, zadowolony, że tak szybko zrozumiała powagę sytuacji.

Ogród leżał w głębokim, gorącym cieniu, jaki w popołudniowych godzinach rzucał budynek. W pobliżu nie było nikogo, kto mógłby podsłuchiwać, więc Margaret w spokoju wysłuchiwała opowieści Balzaca; gdy mówił, śledziła opisywane wydarzenia w jego pamięci. Dzień na nabrzeżu... wyładunek niewolników... Duńczyk nosiwoda... małe amulety z powiązanych razem ścinków, przekazywane lub wypluwane do chochli... Calvin wysyłający za Duńczykiem swój przenikacz...

— Ostrzegałem go — zakończył Balzac. — Nie chciał słuchać.

— Nigdy nie słucha — stwierdziła Margaret.

— Nigdy? — zdziwił się Balzac. — Myślałem, że spotkała go pani ledwie w zeszłym tygodniu.

— Moim nieszczęściem jest, że dobrze znam każdego, kogo spotykam. Calvin nie jest człowiekiem rozważnym. Pan także nie.

— Jak kamyk wobec księżycy, taka jest moja nierozważność w porównaniu z Calvinową.

— Kiedy będzie pan umierał na chorobę, którą nazywacie angielską, a Anglicy francuską, kiedy umysł odmówi panu posłuszeństwa, kiedy będzie pan ślepy, a ciało zacznie się rozkładać, nie potrafi pan już sobie przypomnieć, że swoją nierozwagę uważał pan za drobnostkę.

— *Mon Dieu*. Czyżbym poznał swój los?

— Bardzo prawdopodobne zakończenie pańskiego żywota — potwierdziła Margaret. — Wiele ścieżek do niego prowadzi. Z drugiej strony jednak na wielu ścieżkach jest pan bardziej rozważny w doborze towarzystwa.

— A co ze szczęściem?

— Nie należę do wyznawców szczęścia. Nie dzięki szczęściu pański przyjaciel Calvin utracił duszę.

— Jak mógł ją utracić, jeśli i tak miał ją już diabeł? — Te słowa Balzaca tylko w części były żartem.

— Cóż ja wiem o duszach? Staralam się zrozumieć, co takiego postradali niewolnicy w tym mieście. W Appalachee tak się nie zachowują. Zastanawiam się, czy nie dlatego,

że wciąż mają niewielką nadzieję na ucieczkę. Podczas gdy tutaj żadna nadzieja nie istnieje. Zatem, by zachować życie, muszą ukryć się przed własną rozpaczą.

— Calvin nie rozpaczał.

— Och, wiem o tym. — Margaret machnęła ręką. — Nie oddał też swemu prześladowcy kawałków sznurka i innych śmieci. Ale przecież te przedmioty mogą służyć Czarnym do osiągnięcia tego, co Calvin potrafi samodzielnie, dzięki wrodzonemu talentowi: by oddzielić pewien fragment siebie od własnego ciała.

— Przekonała mnie pani. Ale jaki fragment? I jak możemy go odzyskać?

Margaret westchnęła.

— Monsieur Balzac, uważa mnie pan chyba za osobę lepszą, niż jestem w rzeczywistości. Ponieważ wciąż nie mam pewności, czy rzeczywiście chcę mu pomóc wrócić do siebie. — Spojrzała na nieruchomą twarz Calvina. Mucha wylądowała mu na policzku, na chwilę weszła do nozdrza; nie zrobił najmniejszego ruchu, by ją odpędzić. — Niewolnicy funkcjonują sprawniej niż on. A jednak nie wydaje się, żeby cierpiał.

— Rozumiem — rzekł Balzac — że im lepiej ktoś poznaje monsieur Calvina, tym bardziej może sobie życzyć, by pozostawić go w obecnym, potulnym stanie. Jednakże musi pani rozważyć kilka innych kwestii.

— Na przykład?

— Na przykład tę, że nie jestem krewnym tego człowieka i nie czuję się za niego odpowiedzialny. Pani za to jest jego bratową. Zatem ja mogę wyjść z tego ogrodu bez niego. Co zrobi pani z ciałem? Ono wciąż oddycha; są tacy, którzy mogą panią krytykować, jeśli je pani pochowa, choć ja nie powiem o pani złego słowa z powodu takiej decyzji.

— Monsieur Balzac, pan również powinien wziąć pod uwagę kilka kwestii.

— Na przykład? — powtórzył za nią Balzac, uśmiechając się lekko.

— Na przykład tę, że nie ma pan pojęcia, ile z naszej rozmowy słyszy Calvin, choć wydaje się niezdolny do poświęcania nam uwagi. Niewolnicy słyszą, co się do nich mówi. Co więcej, nie istnieje na ziemi takie miejsce, dokąd mógłby się pan udać i gdzie Calvin nie znalazłby pana, by wyrzucić taką zemstę, na jaką jego zdaniem pan zasłużył.

Balzac stracił pewność siebie.

— Madame, przyłapała mnie pani na oszustwie. Nigdy nie porzuciłbym mojego drogiego przyjaciela w takim stanie. Miałem tylko nadzieję, że groźba zrzucenia odpowiedzialności skłoni panią do pomocy, ponieważ nie mam pojęcia, gdzie znajduje się jego dusza ani jak ją uwolnić, gdybym ją znalazł.

— Apele do przyzwoitości lepiej na mnie działają niż groźby niewygód.

— Ponieważ jest pani kobietą wielu cnót.

— Ponieważ wstyd mi uchodzić za egoistkę — wyjaśniła Margaret. — Nie ma takiej cnoty, której nie dałoby się przedstawić jako wady.

— W istocie? Nigdy nie odczuwałem potrzeby, by to czynić. Przedstawianie wad jako cnót to moja specjalność. — Balzac uśmiechnął się szeroko.

— Nonsens — sprzeciwiła się Margaret. — Cnoty i przywary określa pan jako to, czym są naprawdę. To pański talent.

— Mój? Mam talent?

— Jakie były ostatnie słowa Calvina?

Balzac znieruchomiał na moment. Przymknął oczy.

— „Miasteczko Czarnych”, powiedział. „Wszędzie wiszą jakieś śmieci”. Aha, chwilę wcześniej wspomniał, że przechodzi przez drzwi. Czyli to może było w jakimś budynku. Tak, w budynku, bo pamiętam, że mówił „Tylko jeden płomień serca w całym domu”. A potem: „Ależ to jaskrawe”. I więcej nic.

— Światło — domyśliła się Margaret. — Dom z jednym tylko płomieniem serca. Poza należącym do tego Duńczyka. I coś jaskrawego. A potem został schwytyany.

— Może pani znaleźć ten dom? — zapytał Balzac.

Nie odpowiedziała. Zamiast tego przyjrzała się z powątpiewaniem Calvinowi.

— Jak pan sądzi, chyba nie potrafi kontrolować swoich potrzeb? — spytała.

— Słucham?

— Rozważam, jakie jest najlepsze miejsce, dokąd można go zabrać. Sądzę, że powinien zostać z panem.

— Czemu nie jestem zaskoczony?

— Gdyby miał kłopoty z panowaniem nad urynącją i defekacją, myślę, że wywoła to mniejszy skandal, jeśli pan będzie mu pomagał.

— Zachwyca mnie pani przezorność. — Balzac westchnął. — Przypuszczam, że również ja muszę dostarczyć mu pożywienia i napojów.

Margaret otworzyła sakiewkę ukrytą w rękawie sukni i wręczyła Balzacowi gwineę.

— Gdy pan zajmie się jego stanem fizycznym, ja poszukam przenikacza.

Balzac podrzucił monetę w górę.

— Znaleźć to jedna sprawa. Ale czy potrafi go pani zwrócić?

— To przekracza moje możliwości — odparła. — Noszę silne heksy, lecz nie wiem, jak je zrobić. Nie. Postaram się tylko odkryć, gdzie się znajduje i kto go więzi. Podejrzewam, że przy okazji odnajdę też dusze niewolników z Camelotu. Dowiem się, jak tego dokonują. I uzbrojona w tę informację...

Balzac skrzywił się.

— Napisze pani o tym traktat?

— Nic tak bezużytecznego. Powiem Alwinowi i zobaczę, co on może zrobić.

— Alwinowi! Życie Calvina zależy od jego brata, którego nienawidzi bardziej niż kogokolwiek na świecie?

— Obawiam się, że nienawiść płynie tylko w jednym kierunku. Mimo moich ostrzeżeń Alvin nie potrafi zrozumieć, że towarzysz zabaw jego dzieciństwa został zamordowany przez człowieka, który do niedawna zamieszkiwał to ciało. Dlatego Alvin upiera się przy miłości do Calvina.

— I to pani nie męczy? Być żoną takiego szaleńca?

Margaret uśmiechnęła się.

— Alvin męczy mnie przez całe swoje życie.

— Ale... nie, nie... pozwoli pani, że ja za nią dokończę: „Ale zmęczenie to radość, ponieważ przychodzi w służbie jemu”.

— Drwi pan ze mnie.

— Drwię z siebie. Gram błazna: człowieka, który udaje tak wyrafinowanego, że uczucie i sentymenty go bawią. Tymczasem w rzeczywistości oddałby wszystkie swoje marzenia za świadomość, że kobieta o tak wybitnej inteligencji żywi taki sentyment dla niego.

— Stwarza się pan niczym postać z powieści — zauważyła Margaret.

— Obnażyłem przed panią duszę, a pani zarzuca mi fałsz.

— Nie fałsz. To było bardziej prawdziwe niż zwyczajna rzeczywistość.

Balzac skłonił się.

— Och, madame, obym nigdy nie spotkał krytyków tak mądrych i przenikliwych jak pani.

— Jest pan człowiekiem głęboko sentymentalnym — oświadczyła Margaret. — Udaje pan twardego, choć jest wrażliwy. Udaje obojętnego, ale pańskie serce daje się porwać raz za razem. Udaje pan ironicznego i pretensjonalnego, gdy w rzeczywistości wie pan, że naprawdę jest geniuszem, którego udaje pan, że udaje.

— Geniuszem?

— Czyżbym nie dość już panu pochlebiła?

— Mój angielski nie jest jeszcze doskonały. Czy słowo „pochlebstwo” może być użyte wraz ze słowem „dosyć”?

— Wcale panu nie pochlebiam. Na każdej ścieżce przyszłości, na której rzeczywistość zaczyna pan pisać, z pańskiego pióra wypływa taka rzeka postaci i namiętności, że pańskie imię znane będzie przez stulecia i na wszystkich kontynentach.

Łzy stanęły mu w oczach.

— O Boże, przez anioła zesłałeś mi znak!

— To nie jest droga do Emmaus — uprzedziła Margaret.

— Miałem raczej na myśli drogę do Damaszku.

Zaśmiała się.

— Pana nikt nie zdołałby oślepić. Widzi pan sercem tak dokładnie jak ja.

Balzac zbliżył się do niej i zaczął szeptać. . . Nie, formował tylko słowa wargami, licząc, że zrozumie głos jego serca, choć nie usłyszy dźwięku.

— To, czego nie widzę, to przyszłość i przeszłość. Czy uzyskam kiedyś wolność od Calvina? On mnie przeraża.

— Nie ma się pan czego obawiać — uspokoiła go Margaret. — On kocha pana i pragnie pańskiego podziwu bardziej niż kogokolwiek, z wyjątkiem jednego człowieka.

— Pani męża.

— Jego nienawiść do Alvina jest tak gwałtowna, że nic już nie pozostało mu dla pana. Jeśli utraci pański podziw, będzie to niczym ugryzienie pchły w porównaniu z utratą nadziei na szacunek Alvina.

— A co to będzie w porównaniu z moim ugryzieniem pchły? Użądlenie osy? Ukąszenie węża? Amputacja?

Margaret pokręciła głową.

— Teraz pan sięga do pochlebstw. Proszę go zabrać do domu, monsieur Balzac. Spróbuję gdzieś w Miasteczku Czarnych znaleźć płomień jego serca.

POLOWANIE NA CZAROWNICE

Hezekiah Study nie potrafił się skupić na książce, którą próbował czytać, ani na kazaniu, które powinien napisać, ani nawet na gruszce, którą zamierzał zjeść. Była kilka razy nadgryziona i wiedział, że sam musiał ją nadgryźć, ale pamiętał tylko własne lękliwe, rozbiegane myśli. Purity, ty głuptasko. Teraz przyjedzie on; nie wiedziałaś o tym? Przybędzie, bo zawsze przybywa, a na tej sprawie jest twoje imię, on wie, kim jesteś — tak, zna ciebie, chce twojego życia, chce dokończyć to, co rozpoczął, zanim się urodziłaś.

W ten sposób spędził całe popołudnie, aż wreszcie zerwał się wietrzyk, szeleszcząc papierami pod przyciskiem na jego biurku. Wiatr i cień chmury przesłaniający światło w gabinecie... a potem odgłos, na który czekał: stukanie kopyt konia ciągnącego małą bryczkę. Micah Quill. Micah, łowca czarownic.

Hezekiah wstał i podszedł do okna. Bryczka właśnie przejeżdżała ulicą w dole; przez moment tylko widział z góry profil twarzy. Tak miła, tak szczerza, budząca zaufanie — Hezekiah zaufał jej kiedyś, uwierzył słowom płynącym ze skromnie uśmiechniętych ust. Te usta mówiły: „Bóg nie pozwoli, by kara spadła na niewinnych. Tylko Zbawicielowi przeznaczone było, by cierpieć niewinnie”. Pierwsze z tysiąca kłamstw. Prawda płynęła do Micaha Quilla, była zasysana i znikąca, by pojawić się znowu; wyglądała prawie tak samo jak poprzednio, odmieniona tylko subtelnie, na brzegach, gdzie nikt nie zauważał; w rezultacie prosta prawda zmieniała się w skomplikowany materiał, który mógł człowieka owinać mocno i odciąć od powietrza, aż się w nim udusił.

Micah Quill, mój najlepszy uczeń. Nie przybył do Cambridge, by odwiedzić swego starego nauczyciela ani posłuchać kazań, jakie ów nauczyciel wygłasza w niedzielę.

Wychyliwszy się z okna, Hezekiah zobaczył, że bryczka staje przed wejściem do sierocińca. Jakież to typowe dla Micaha. Nie zatrzymuje się, by coś zjeść po długiej podróży, czy nawet by opróżnić pęcherz, ale natychmiast bierze się do pracy. Purity, nie mogę ci teraz pomóc. Nie słuchałaś moich ostrzeżeń.

* * *

Purity weszła do pokoju i z ulgą przekonała się, że łowca czarownic nie jest przerażającą istotą, jakimś aniołem zniszczenia. Okazał się człowiekiem pewnie już po czterdziestce, jednak wciąż zachowującym świeżość młodości. Uśmiechnął się do niej i natychmiast poczuła się uspokojona i swobodna. Odetchnęła; obawiała się bowiem tortur sumienia, gdyby Alvina Smitha — który wydawał się tak miłym człowiekiem — przesłuchiwał i osądzał jakiś potwór. Na szczęście śledztwo będzie uczciwe, a proces sprawiedliwy, gdyż ten człowiek nie miał w sobie złości.

— Oto panna Purity — odezwał się łowca czarownic. — Ja się nazywam Micah Quill.

— Miło mi pana poznać — odpowiedziała.

— I mnie także — zapewnił Quill. — Wyruszyłem natychmiast, gdy tylko dostarczono mi twoje zeznanie. Podziwiam twoją odwagę, że tak śmiało zaświadczyłaś przeciwko czarownikowi tak groźnemu.

— Niczym mi nie groził.

— Samo jego istnienie jest groźbą dla wszystkich duszyczek bożych. Choć nie rzucił żadnej groźby, wyczułaś to, ponieważ żyje w tobie duch chrześcijanina.

— Tak pan myśli, proszę pana?

Quill pisał coś w zeszycie.

— Co pan zapisuje?

— Robię notatki ze wszystkich przesłuchań — wyjaśnił Quill. — Nigdy nie wiadomo, co może okazać się dowodem. Nie zwracaj na mnie uwagi.

— Tylko że ja. . . nie zaczęłam jeszcze zeznawać.

— Co za roztargnienie z mojej strony. — Quill wyprostował się. — Usiądź, proszę, i opowiedz mi o tym czczącym diabła niewolniku piekieł.

Mówił tak miłym tonem, że Purity przeoczyła niemal mroczne znaczenie jego słów. Kiedy tylko zdała sobie sprawę, co naprawdę powiedział, poprawiła go natychmiast.

— Nic nie wiem o tym, czemu i w jaki sposób ten człowiek oddaje cześć. Tyle tylko, iż twierdzi, że ma czarnoksiężskie talenty.

— Ale widzisz, panno Purity, takie czarnoksiężskie talenty ludzie otrzymują wyłącznie dlatego, że służą diabłu.

— Chcę jedynie powiedzieć, że nie widziałam, aby oddawał cześć diabłu, nie mówił o diable i nie okazywał, by chciał diabłu służyć.

— Z wyjątkiem tego talentu, który oczywiście służy diabłu.

— Ani razu nie widziałam na własne oczy, by używał tego talentu — wyjaśniła Purity. — Słyszałam tylko opowieści od chłopca, który z nim wędrował.

— Jak się nazywał chłopiec? — zapytał Quill, wznosząc pióro.

— Arthur Stuart.

Quill spojrzał na nią, nie zapisując.

— To żart, proszę pana, ale zażartowali tak przed wielu laty ci, którzy nadawali mu imię. Ja teraz z panem nie żartuję.

Zapisał imię.

— To pół-Czarny — dodała.

— Przypieczony przez ogień piekielne — stwierdził Quill.

— Nie, myślę, że to po prostu syn białego właściciela, który przemocą posiadał czarną niewolnicę. Tak przynajmniej wynikało z historii, którą mi opowiedział.

Quill uśmiechnął się.

— Dlaczego mi się sprzeciwiasz? — zapytał. — Mówisz, że jest pół-Czarny. Ja, że to znak, iż został przypieczony w ogniach piekieł. Ty na to, że nie, wcale nie. . . Po czym opowiadasz mi, że jest skutkiem gwałtu białego mężczyzny na czarnej kobiecie. Czy można lepiej opisać takie przerażające poczucie, niż mówiąc, że ogień piekielny przypiekł to dziecko? Sama widzisz.

Purity kiwnęła głową.

— Myślałam, że rozumie to pan dosłownie.

— Tak rozumiem — potwierdził Quill.

— To znaczy. . . Zdawało mi się, że pańskim zdaniem chłopiec naprawdę był w piekle i wrócił stamtąd trochę przypieczony.

— Tak właśnie powiedziałem. — Quill uśmiechnął się. — Nie rozumiem tych bezustannych prób poprawiania mnie, kiedy już się zgadzamy.

— Ależ ja pana nie poprawiam. . .

— Czy to stwierdzenie samo w sobie nie jest poprawką? Czy też mam je rozumieć jakoś inaczej? Obawiam się, że jesteś dla mnie nazbyt subtelna, panno Purity. Oszałamiasz mnie swoją argumentacją. W głowie mi się kręci.

— Och, nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek zdołał wprowadzić pana w zakłopotanie. — Purity zaśmiała się nerwowo.

— I znowu odczułaś potrzebę, by mnie poprawić. Czy coś cię niepokoi? Czy jest jakiś powód, dla którego niemożliwe ci się wydaje, byś bez oporów przyznała mi rację?

— Ależ nie mam żadnych oporów, przyznając panu rację.

— To stwierdzenie, choć słodkie w swej treści, jest wszakże kolejnym zaprzeczeniem mojego wcześniejszego stwierdzenia. Ale zostawmy na razie fakt, że nie potrafisz ani jednego mojego słowa przyjąć wprost. To, co mnie zastanawia, co muszę pomóc ci wyjaśnić, to kwestia pewnych brakujących danych i dodatkowych informacji. Na przykład wymieniasz w swoim zeznaniu kilka osób, których nikt prócz ciebie nie widział. Konkretnie: prawnik Verily Cooper, marynarz Mike Fink i chłopiec, mieszaniec Arthur Stuart.

— Nie jestem jedyną osobą, która ich widziała — zaprotestowała Purity.

— Zatem zeznanie jest nieprawdziwe?

— Nie twierdziłam w swoim zeznaniu, że tylko ja widziałam tych ludzi.

— Doskonale! Kto jeszcze był obecny na tym sabacie czarowników?

— Jakim sabacie czarowników? — Purity zdziwiła się wyraźnie.

— Czy nie mówiłaś, że trafiłaś na tę grupę czarowników, kiedy nago odprawiali swe igraszki na brzegu?

— Dwóch się kąpało, ale nie spostrzegłam żadnego znaku czegokolwiek bardziej groźnego.

— Zatem, według ciebie, kiedy czarownicy hasają nago na twoich oczach, to tylko niewinna kąpiel?

— Nie, ja. . . Nie pomyślałam, że to. . . To nie było żadne oddawanie czci.

— Ale rzucenie dziecka w stronę niebios, w dodatku pół-Czarnego, i to, że nagi mężczyzna śmiał się z ciebie, nie czując wstydu z powodu swej nagości. . .

Purity była pewna, że nie powiedziała ani nie zapisała niczego, co pasowałoby do tego opisu.

— Skąd może pan o tym wiedzieć?

— Przyznajesz więc, że nie włączyłaś tych kluczowych dowodów do swego zeznania?

— Nie wiedziałam, że to są dowody.

— Wszystko jest dowodem — rzekł Quill. — Stworzenia, które baraszkują nago, śmieją się z chrześcijan, a potem znikają bez śladu. . . Która część tego doświadczenia nie jest dowodem? Nie wolno ci niczego pomijać.

— Teraz to zrozumiałam — zgodziła się Purity. — Sądzę, że po prostu nie wiedziałam, jak może wyglądać sabat czarowników, więc nie rozpoznałam go, kiedy tam trafiłam.

— Ale skoro nie wiedziałaś, dlaczego na nich doniosłaś? Nie oskarżałaś ich chyba fałszywie?

— Ależ nie! Każde słowo, jakie wypowiedziałam, było prawdą!

— No tak. . . A co ze słowami, których nie wypowiedziałaś?

Purity zmieszła się jeszcze bardziej.

— Skoro ich nie wypowiedziałam, skąd mogę wiedzieć, co to za słowa?

— Przecież znasz je. Właśnie je odkryliśmy. Fakt, że byłaś świadkiem pogańskich bachanalii, że na twoich oczach nagi mężczyzna molestował nagiego chłopca. . .

— Molestował? Podrzucił go w powietrze, tak jak ojciec może podrzucić własnego syna albo jak starszy brat bawić się z młodszym.

— Sądzisz więc, że doszło także do kazirodztwa? — spytał Quill.

— Nic nie sądzę. Pragnęłam jedynie jak najdokładniej powtórzyć, co sami o sobie opowiadali. Że ten Alvin Smith jest siódmym synem siódmego syna, ze wszystkimi talentami, jakie tacy ludzie często miewają.

— Wierzysz więc słowom diabła w tej sprawie?

— Słowom jakiego diabła?

— Diabła, który przemówił do ciebie i twierdził, że talenty ot tak sobie przytrafiają się siódmym synom siódmych synów, skoro w rzeczywistości czary może praktykować tylko ten, który całkowicie oddał się w służbę szatanowi.

— Nie rozumiałam tego — zapewniła Purity. — Myślałam, że korzystanie z ukrytych mocy jest przestępstwem samym w sobie.

— Zło nigdy nie zdarza się samo w sobie — odparł Quill. — Pamiętaj, że kiedy będziesz zeznawać, złożysz przysięgę, kładąc dłoń na Piśmie. Będziesz miała pod palcami słowo Boże, a to tak jakbyś samego Chrystusa trzymała za rękę, gdyż On jest Słowem. Złożysz przysięgę, że powiesz prawdę, całą prawdę. Nie wolno ci zatem ukrywać dalszych informacji, tak jak to dotąd czyniłaś.

— Przecież niczego nie ukrywałam! Odpowiedziałam na wszystkie pytania!

— I znowu musisz zaprzeczyć słudze bożemu, nawet kiedy głosi szczerą prawdę. Ukryłaś informacje o pederastii, o sabacie czarowników, o kazirodztwie. . . Starłaś się udawać, że ukryte moce tego Alvina pojawiły się naturalnie, wskutek kolejności, w jakiej przyszedł na świat w swej rodzinie. A przecież to niemożliwe, by taka diabelska potęga pochodziła z natury, gdyż natura zrodziła się z myśli Boga, podczas gdy czarodziejska moc pochodzi od Antychrysta. Czy nie wiesz, że ciężkim grzechem jest dawać fałszywe świadectwo?

— Wiem i mówiłam prawdę, tak jak ją rozumiałam.

— Ale teraz rozumiesz ją lepiej, prawda? — upewnił się Quill. — Kiedy więc będziesz zeznawać, powiesz całą prawdę bez żadnego matactwa? Czy też zamierzasz kłamać, by chronić twych przyjaciół czarowników?

— Moich... Moich przyjaciół czarowników?

— Czy nie przysięgłaś, że byli czarownikami? Chcesz wycofać zeznanie?

— Zaprzeczam, że byli moimi przyjaciółmi, nie że byli czarownikami.

— Ale twoje zeznanie... Mam wrażenie, że starasz się jak najszybciej z niego wycofać.

— Potwierdzę każde jego słowo.

— I mimo to twierdzisz, że ci ludzie nie byli twoimi przyjaciółmi? Zeznałaś, że prosili cię, byś poszła z nimi w tę niegodziwą wyprawę po Nowej Anglii. Czy to coś, o co poprosiliby obcego?

— Tak być musi, gdyż byłam dla nich obca, a jednak mnie poprosili.

— Strzeż się tego wyzywającego tonu — rzekł Quill. — Nie pomoże w twojej sprawie przed sądem.

— Przed sądem? Czy rozpatrywana jest moja sprawa?

— A nie? Między tobą a szubienicą stoi jedynie to zeznanie. Pierwsza słaba próba odwrócenia się od zła. Musisz jednak zrozumieć, że miłość Chrystusa nie ocali cię, jeśli tylko połowicznie okażesz skruchę.

— Odwrócenia się od zła? Nie zrobiłam nic złego!

— Wszyscy ludzie są źli — oznajmił Quill. — Człowiek zmysłowy jest nieprzyjacielem Boga, jak powiedział Paweł. Czyżbyś więc była lepsza od innych ludzi?

— Nie, jestem grzeszna jak wszyscy.

— Tak myślałem. Ale z twojego zeznania wynika, że ludzie ci zwracali się do ciebie po imieniu i błagali, byś z nimi poszła. Po co by to robili, gdyby nie zaliczali cię do swego grona, nie uważali za czarownicę?

Purity była wstrząśnięta. Jak do tego doszło? Przecież to ona była oskarżycielką. A teraz oto oskarża ją łowca czarownic.

— Panie, czy nie jest równie możliwe, że to znak, iż do ich grona nie należę, i że dopiero starali się mnie przekonać?

— Ale nie opisałaś sceny kuszenia — rzekł Quill. — Nie powiedziałaś nam, jak diabeł stanął przed tobą z otwartą księgą, czekając, by zapisać w niej twoje imię, gdy tylko wyrazisz zgodę.

— Ponieważ tego nie robił — odparła Purity.

— A więc nie było to kuszenie, a diabeł nie zachęcał cię, byś go kochała i mu służyła?

Purity przypomniała sobie, jak się czuła w obecności Verily'ego Coopera; wspomniła, jakie pragnienia przez nią płynęły, gdy zobaczyła, jaki jest przystojny, usłyszała jego czystą, bezbłędną wymowę.

— Rumienisz się — zauważył Quill. — Widzę, że duch Boży zesłał na ciebie wstyd z powodu tego, co ukrywasz. Mów, oczyść swoje sumienie.

— Nie sądziłam, że to choć trochę ważne. Ale tak, rzeczywiście przez chwilę czułam się kuszona przez jednego z towarzyszy Alvina, prawnika, który nazywa się Verily Cooper. Pomyślałam jednak, że to tylko uczucie, jakie może pojawić się u dziewczyny w moim wieku wobec przystojnego mężczyzny o dobrej profesji.

— Ale nie żywiłaś tych uczuć do przystojnego mężczyzny o dobrej profesji. Kierowały cię one do człowieka, którego sama nazwałaś czarownikiem. Teraz więc obraz jest niemal pełny: trafiłaś na sabat czarowników, widziałaś niewypowiedziane, kazirodcze rozpasanie dokonujące się pomiędzy nagim mężczyzną i nagim chłopcem na brzegu, i trzeciego czarownika, który sprawił, że poczułaś wobec niego seksualne pożądanie. Potem zaprosili cię, byś dołączyła do nich w diabelskiej wyprawie po Nowej Anglii. A na sam koniec śmiesz mi wmawiać, że nie mieli żadnego powodu, by wierzyć, że zechcesz z nimi wyruszyć?

— Skąd mogę wiedzieć, jakie mieli powody?

Quill pochylił się nad stołem. Patrzył na nią z miłością i współczuciem.

— Och, panno Purity, nie musisz dłużej tego skrywać. Tak długo utrzymywałaś ten sekret, ale wiem, że zanim jeszcze trafiłaś na sabat czarowników, ukrywałaś swe moce, które dał ci diabeł. Ukrywałaś je przed wszystkimi wokół, lecz w tajemnicy wykorzystywałaś, by zyskać przewagę nad bliźnimi.

Łzy popłynęły z oczu Purity. Nie umiała ich powstrzymać.

— Czy nie czujesz się lepiej, mówiąc prawdę? Czy nie rozumiesz, że kiedy mówisz prawdę, jednocześnie mówisz „nie” szatanowi?

— Tak, mam talent — przyznała Purity. — Zawsze potrafiłam odgadnąć, co ktoś czuje, co ma zamiar zrobić.

— Czy możesz powiedzieć, co ja mam zamiar zrobić?

Purity zbadała wzrokiem jego twarz, zajrzała w głąb własnego serca.

— Panie, doprawdy nie znam ciebie.

— I tak diabeł cię opuszcza. Sama musisz sobie radzić w godzinie próby. Zaprawdę, panno Purity, diabeł jest fałszywym przyjacielem. Odrzuć go! Odwróć się od niego! Zaprzestań udawania!

— Jakiego udawania? Wyznałam wszystko!

— I znowu mi zaprzeczasz. Czy nie rozumiesz, że póki zaprzeczasz moim słowom, duch piekielny tkwi w tobie, zmusza cię do ścierania z tym, co służy Bogu?

— Ale nie wiem, co jeszcze mogłabym wyznać!

— Kto ci powiedział, że sabat czarowników odbędzie się tego dnia nad rzeką?

— Nikt mi nie powiedział. Już mówiłam, szłam po prostu ścieżką.

— A czy jest twoim zwyczajem, by spacerować nad rzeką o takich porach?

— Nie, akurat przeczytałam coś w bibliotece i chciałam pomyśleć.

— O czym czytałaś?

— O... czarach.

Quill z uśmiechem pokiwał głową.

— I co, czy nie czujesz się lepiej?

Purity nie wiedziała, co takiego powinno poprawić jej samopoczucie.

— Myślałaś o swym niegodnym przymierzu z szatanem i nagle znalazłaś się na ścieżce nad rzeką. Może przeleciałaś tam, może przeszłaś... Większość leci na sabaty, często na miotłach, ale nie zaprzeczę, że niektórzy mogą chodzić pieszo. Jakkolwiek do tego doszło, nieoczekiwanie zobaczyłaś scenę rozpusty tak przeraźliwej, że zaszokowała nawet zatwardziałą jak ty czarownicę. Zapragnęłaś oczyścić się ze swych niegodziwości, gdyż spotykając dusze bardziej nawet zagubione od swojej, przypomniłaś sobie o lęku przed Bogiem. Wróciłaś więc z opowieścią. Nadal pełna była kłamstw, i nadal wiele pozostawiłaś niedopowiedzianego, ale najważniejsze się stało: wymówiłaś sło-

wo „czarownik” i podałaś nazwisko. Nazwanie grzechu i wyrzeczenie się kusiciela to początek odkupienia.

Choć wiele z jego stwierdzeń całkiem nie pasowało do tego, co zapamiętała, jednak ostatnie zdanie było prawdziwe. Jak mogła wcześniej tego nie dostrzec? Została tam doprowadzona, prawdopodobnie przez diabła. Czy nie wypełniały ją tak straszliwe emocje, że tamci musieli ją ostrzec, by była ostrożna, bo zostanie oskarżona o czary? Tak, była jedną z nich, rozpoznali w niej swoją. Zamiast ich oskarżać, powinna oskarżyć siebie. Początek odkupienia. . .

— Och, chcę znowu zyskać miłość Boga. Pomoże mi pan, panie Quill?

Ucałował ją w policzek.

— Panno Purity, przybywam do pani z pocałunkiem braterstwa, jak święci witali się ze sobą za dawnych dni. W głębi serca jesteś chrześcijańską duszą. Pomogę ci zbudzić w sobie chrześcijankę i odepchnąć diabła.

Szlochając głośno, chwyciła jego dłonie.

— Dzięki ci, panie.

— Zacznijmy więc na poważnie — rzekł Quill. — W swym lęku wymieniłaś początkowo jedynie obcych ludzi wędrujących przez te ziemie. Ale sama byłaś czarownicą od lat, pora więc, byś wskazała innych czarowników w Cambridge.

— Czarowników w Cambridge? — powtórzyła, nie rozumiejąc.

— Wiele, bardzo wiele lat już minęło, odkąd w tej części Massachusetts odbył się ostatni proces o czary. Czarownictwo i czarownizm pleni się tu gęsto, a twoja skrucha daje nam szansę, by wyrwać je z korzeniami.

— Czarownizm?

— System wierzeń związany z czarownictwem, który je ochrania i pozwala mu rozkwitać. Jestem pewien, że słyszałaś te kłamstwa. Twierdzenie, że talent jest naturalny, wręcz jest darem bożym... to ewidentnie szatańskie kłamstwo mające powstrzymać ludzi od wyrzeczenia się czarów. Twierdzenie, że talenty nie istnieją... Choć to absurd, tę właśnie tezę głosi wielu mądrych ludzi! Ona także daje osłonę, pod którą grupy czarowników mogą spokojnie czynić zło. Dobrze wiadomo, że choć wielu czarowników zwyczajnie naśladuje przekonania ludzi o silnej woli ze swego grona, jednak sami są w tajemnicy czarownikami, udają niewiarę w czary, chociaż sami je praktykują. To

przerażający hipokryci, którzy muszą być ujawnieni. A jednak często są to najbardziej atrakcyjni i najciekawszy z czarownistów, co pozwala im ukryć prawdziwą naturę. Czy wiesz o kimś, kto głosi takie poglądy?

— Nie wyobrażam sobie, żeby któryś z nich był czarownikiem! — oburzyła się Purity.

— Nie ty o tym decydujesz, prawda? — rzucił Quill. — Wymień nazwiska i pozwól mi ich przesłuchać. Jeśli są czarownikami, w końcu to z nich wydobędę. Jeśli są niewinni, Bóg ich ocali i odejdą wolni.

— Więc niech Bóg ich panu wskaże.

— Nie ja przechodzę próbę, tylko ty. Teraz masz szansę wykazać, że twoja skrucha jest szczerą. Oskarżyłaś obcego. Oskarż teraz węża we własnym ogrodzie.

Wyobraziła sobie, jak wylicza nazwiska. Kogo mogłaby wskazać? Emersona? Wielbego Study? Tych ludzi kochała i podziwiała. Nie było w nich czarownictwa... ani czarownizmu.

— Wszystko, co wiem o czarownictwie, to mój własny talent — oświadczyła. — Oraz ludzie, których już wskazałam.

Nagle Quillowi łzy stanęły w oczach.

— Szatan lęka się teraz, że całe jego królestwo w tej krainie jest zagrożone. Przeraża cię więc i zakazuje ci mówić.

— Nie, drogi panie — odparła Purity. — Honor zakazuje mi wymieniać tych, którzy nie są czarownikami i którzy, wedle mojej wiedzy, jedynie dobro czynią na tym świecie.

— Więc ty jesteś sędzią? — szepnął Quill. — Ty śmiesz mówić o honorze? Niech Bóg ich osądzi. Ty masz tylko ich wskazać.

Teraz dopiero przypomniała sobie ostrzeżenia wielebnego Study. Dlaczego w ogóle zaczęłam zeznawać? Czy to zawsze prowadzi do tego samego? Nie mogę być uznana za oczyszczoną, dopóki fałszywie nie oskarżę innych?

— Według tego, co mi wiadomo, nie ma tu innych czarowników oprócz mnie.

— Nie zapominaj, że pytałem też o czarowników. Dalej, moje dziecko, nie cofaj się w okrutne uściski szatana spowodowana fałszywym poczuciem lojalności. Jeśli są chrześcijanami, Chrystus nie pozwoli ich skrzywdzić. A jeśli to nie chrześcijanie, czy nie lepiej przysłużysz się im samym i światu jako całości, jeśli wyjawisz, kim są w istocie?

— Przekręca pan wszystko. Z nimi zrobi pan to samo.

— Przekręcam? — powtórzył Quill. — Czyżbyś teraz zaprzeczała swemu przyznaniu się do czarów?

Przez jedną chwilę chciała potwierdzić. Ale zaraz przypomniała sobie: jedyni, którzy zostali powieszeni jako czarownicy, to ci, którzy przyznali się, a potem albo nadal uprawiali czary, albo wycofywali swe zeznania.

— Nie, proszę pana, nie zaprzeczam, że jestem czarownicą. Zaprzeczam tylko, że kiedykolwiek widziałam, jak ktoś z Cambridge robił coś, co mogłabym nazwać czarownictwem czy choćby... czarownizmem.

— To zły znak, że kłamiesz przede mną — stwierdził Quill. — Podobno przysłuchujesz się wykładom niejakiego Ralpa Waldo Emersona.

— Tak — przyznała z wahaniem.

— Dlaczego tak się opierasz, by nie powiedzieć prawdy? Czy szatan zamyka ci usta? Czy może w ten sposób inni czarownicy karzą cię za twą uczciwość, powstrzymując, kiedy próbujesz mówić? Powiedz mi!

— Ani szatan nie zamyka mi ust, ani żaden czarownik.

— Nie, widzę lęk w twoich oczach. Szatan zakazuje ci zdradzić ich imiona, a nawet straszy cię i nie pozwala wyznać, że ci grozi. Ale ja wiem, jak wyrwać cię z jego objęć.

— Potrafi pan wypędzić diabła?

— Tylko ty sama możesz odpędzić diabła, który w tobie zamieszkał — odparł Quill — potępiając szatana i tych, którzy za nim idą. Ale pomogę ci otrząsnąć się ze strachu przed szatanem i drogą cierpienia ciała zastąpić go lękiem przed Bogiem.

Teraz zrozumiała.

— Och, panie, w imię Boga proszę, nie torturuj mnie.

— Doprawdy — rzucił niecierpliwie — nie jesteśmy przecież hiszpańską inkwizycją, prawda? Nie, ciało bardziej cierpi przez zmęczenie niż przez ból. — Uśmiechnął się. — Kiedy już się uwolnisz, kiedy będziesz mogła stanąć przed gronem świętych i oznajmić, że wskazałaś tutaj wszystkich wyznawców szatana, jakże wtedy będziesz szczęśliwa i pełna miłości Chrystusa!

Schyliła głowę nad stołem.

— O Boże — modliła się. — Co ja zrobiłam? Pomóż mi. Pomóż mi. Pomóż mi.

* * *

Waldo Emerson zauważył ludzi z tyłu sali wykładowej.

— Mamy gości — oznajmił. — Czy jest coś w naukach Tomasza Akwinaty, co mógłbym wam wyjaśnić, panowie?

— Jesteśmy strażnikami pokoju z sądu czarowników w Cambridge — odpowiedzeli.

Serce Waldo zatrzymało się, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie.

— Nie ma sądu czarowników w Cambridge — powiedział. — Nie ma już od stu lat.

— Pewna dziewczyna, czarownica, wymienia innych czarowników — odparł strażnik. — Łowca czarownic, Micah Quill, przysłał nas, żeby doprowadzić pana na przesłuchanie... jeśli mamy do czynienia z Ralphem Waldo Emersonem.

Studenci siedzieli nieruchomo jak głązy. Wszyscy prócz jednego, który poderwał się na równe nogi.

— Jeśli profesor Emerson oskarżony jest o czary, to oskarżyciel jest kłamcą — oświadczył. — Ten człowiek jest przeciwieństwem czarownika, gdyż służy Bogu i głosi prawdę.

Zachował się bardzo dzielnie, ale też zmusił Emersona do natychmiastowej kapitulacji. W przeciwnym razie strażnicy zabraliby dwie osoby zamiast jednej.

— Koniec zajęć — powiedział Emerson studentom. — Dziękuję panu, proszę siadać. — Po czym dodał, schodząc z katedry i zwracając się do strażników: — Chętnie pójdę z wami i pomogę rozwiać wszelkie błędne mniemania, jakie mogły się pojawić.

— Och, nie ma tu żadnego błędu. Wszyscy wiedzą, że jesteś pan czarownistą. Pozostaje tylko rozstrzygnąć, czy przyczyną jest pańska głupota, czy też jesteś pan wyznawcą szatana.

— Jak ktokolwiek może wiedzieć, że jestem czymś, o czym aż do tej chwili nie słyszałem?

— To właśnie najlepszy dowód. Czarowniści zawsze twierdzą, że nie ma czegoś takiego jak czarownizm.

Waldo spojrział na studentów, którzy albo oglądali się za nim, albo stali obok krzesel.

— To zadanie na dzisiaj — powiedział. — Jeśli akt zaprzeczenia można uznać za dowód winy, w jaki sposób człowiek niewinny może się bronić?

Strażnicy chwycili go pod ramiona.

— Chodźmy lepiej, panie Emerson, i nie próbuj pan z nami tej swojej filozofii.

— Nawet o tym nie pomyślałem — odparł Waldo. — Filozofia poszłaby na marne wobec ludzi tak twardogłowych.

— Dobrze, że zdajesz pan sobie z tego sprawę — rzekł z dumą strażnik. — Nie chcemy, cobyś pan pomyślał, że nie jesteśmy dobrymi chrześcijanami.

* * *

Zakuli Alvina w łańcuchy, co uznał za przesadę. Nie znaczy to, że było mu niewygodnie — bez trudu odkształcił żelazo tak, by dopasować je do kształtu swych przegubów i kostek, a także sprawił, by skóra w tym miejscu stwardniała, jakby nosił kajdany od lat. Dobrze wypraktykował takie działania i teraz wykonał je niemal odruchowo. Męczyła go jednak przymusowa bezczynność w czasie, kiedy mógł być obserwowany. Robił to już wcześniej — choć bez kajdan — w więzieniu w Hatrack River. Życie było

za krótkie, by marnować kolejne jego godziny, nie mówiąc już o dniach i tygodniach, porastając pleśnią w więziennej celi, pod ciężarem łańcuchów — nie wtedy, gdy tak łatwo mógł się uwolnić i wrócić do swoich spraw.

O zachodzie słońca usiadł na podłodze, oparł się o drewnianą ścianę i przymknął oczy. Posłał swój przenikacz znajomą ścieżką i znalazł podwójny płomień serca żony i nienarodzonej córki, która w niej żyła. Margaret zmierzała już do biurka, wiedząc, że skoro Alvin zawędrował tak daleko na wschód, słońce zachodzi dla niego wcześniej niż dla niej. Zawsze była równie niecierpliwa jak on.

Tym razem żadni goście nie przerywali im rozmowy. Użaliła się nad nim z powodu kajdan i celi, ale szybko przeszła do sprawy, która budziła w niej największą troskę.

„Przenikacz Calvina został skradziony — tłumaczyła. — Posłał go za człowiekiem, który odbiera imiona i część duszy Czarnym, kiedy przybywają do portu”.

Powtórzyła mu ostatnie słowa Calvina do Balzaca, zanim wola opuściła ciało.

„Przede wszystkim muszę wiedzieć, jaka część duszy w nim jeszcze pozostała. Różni się od niewolników, gdyż chyba nic nie słyszy i trzeba go prowadzić. Jego cielesne funkcje przypominają noworodka. Balzac i ich gospodarz są równie zde gustowani skut-

kami, choć niewolnicy myją go bez protestów. Czy to odwracalne? Czy możemy się z nim komunikować i dowiedzieć się, gdzie przebywa? Przeszukałam miasto aż do półwyspu i nie znalazłam ani zbioru płomieni serc, ani płomienia Calvina. Został przede mną ukryty; modłę się tylko, by nie był ukryty przed tobą”.

Alvin nie musiał zapisywać ani nawet jasno formułować odpowiedzi. Wiedział, że wszystkie słowa znajdzie w płomieniu jego serca, kiedy tylko zdąży je pomyśleć i pojawią się w pamięci. Porwany przenikacz. . . Nigdy dotąd nie martwił się taką możliwością. Obawiał się raczej, że coś strasznego może się zdarzyć z jego ciałem, gdy on sam będzie nieobecny. Z doświadczenia jednak wiedział, że ciało pozostawało przytomne i czujne, a gdy tylko coś w otoczeniu ulegało zmianie — kiedy oczy dostrzegały ruch, uszy słyszały nietypowy dźwięk — koncentracja natychmiast powracała.

Koncentracja, a zatem i przenikacz. Tym właśnie był w rzeczywistości przenikacz — skupioną uwagą. To utracił Calvin. Nawet kiedy różne rzeczy działały się wokół jego ciała, zdarzały się z jego ciałem, nie potrafił skierować na nie uwagi. Ciało bez wątplenia domagało się tego, wysyłając mu gorączkowe sygnały.

Niewolnicy natomiast nie mogli przekazać swej koncentracji człowiekowi imieniem Duńczyk. To, co oddawali, to raczej pasja, uraza, pragnienie wolności. I imiona.

To był ważny wniosek: nie ma powodów, by przypuszczać, że Duńczyk trzyma imię Calvina. Ma pewnie sieć heksów, gdzie przechowuje wolne części oddzielonych dusz. Może nawet nie zdaje sobie sprawy, że przenikacz Calvina dostał się do środka, a heksy schwytały go automatycznie, niby tryby maszyny. Heksy służyły do ukrywania dusz. Calvin nie mógł wyrzeć na zewnątrz i nie był z zewnątrz widoczny.

Ale same heksy można przecież zobaczyć. Margaret nie potrafi ich znaleźć, ponieważ widzi jedynie płomienie serc. Jeśli ten człowiek zdołał ukryć przed nią zabrane płomienie, na pewno ukrywa także własny, więc Margaret nie zdoła znaleźć tego, kto zna tajemnicę.

„Czy ukrywa się przede mną?” — napisała.

Nie wie, że istniejesz. Ukrywa się przed wszystkimi.

„Jak mógł schwytać Calvina, jeśli Calvin nie miał tego węzełkowego amuletu, jak niewolnicy?”.

Nie wiem, jak działa moc Czarnych, ale zgaduję, że każdy niewolnik umieścił w tych węzełkach własne imię i wszystkie swoje lęki i nienawiść. Potrzebują amuletów, by oderwać od ciała fragment duszy. Calvinowi takie narzędzia są zbędne.

„Musieli dokonać Stwarzania?”

Tak, pomyślał. To właśnie to. Stwarzanie. Czy chodzi o moc Białych, Czerwonych czy Czarnych, sprowadza się do jednego: złączenia z otaczającym światem drogą Stwarzania. Czerwoni dokonują tego połączenia bezpośrednio — ono jest ich Stwarzaniem, ogniwem wykutym pomiędzy człowiekiem i zwierzęciem, człowiekiem i rośliną, człowiekiem i kamieniem. Czarni wykonują przedmioty, których jedynym celem jest moc — kukielki i powiązane sznurki. Biali przez całe życie budują narzędzia, które biją, tną i rwą świat naturalny; tylko w obszarze, który określają swoim talentem, połączenie dokonuje się bezpośrednio. A jednak się dokonuje. . . Nie są całkiem oddzieleni od świata wokół siebie. Alvin wyobrażał sobie mężczyzn i kobiety nigdy nieodczuwających tego głębokiego, wewnętrznego zespolenia, nigdy niewidzących, jak świat zmienia się dzięki aktowi ich woli, w harmonii z naturą. Jakże samotni muszą być, niezdolni do kształtowania żelaza inaczej niż młotem na kowadle, ogniem i obcęgami. Rozpalając

ogień jedynie stalą i krzemieniem. Widząc przyszłość tylko dzięki przeżywaniu kolejnych dni i obserwowaniu, jak rozwija się przed nimi — tylko jedna jej ścieżka. Widząc przeszłość tylko poprzez czytanie, co inni o niej napisali, poprzez słuchanie ich opowieści i wyobrażanie sobie całej reszty. Czy tacy ludzie w ogóle wiedzą, że natura jest żywa, że reaguje? Że ukryte moce poruszają się w świecie. . . Nie, nie tylko w świecie, one poruszają świat, są światem u jego fundamentów. Jakie to straszne, wiedzieć, ale nie dotykać tych mocy. Tylko najmądrzejsi i najdzielniejsi byłiby w stanie to znieść. Reszta musiałaby zaprzeczać samemu istnieniu takich mocy, udawać, że ich nie ma.

I wtedy uświadomił sobie: to są właśnie prawa o czarach. Próba zamknięcia ukrytych mocy, usunięcia ich z życia ludzi.

„Prawa o czarach przyznają jednak, że ukryte moce istnieją” — napisała Margaret.

Wtedy dopiero Alvin zrozumiał w pełni wagę tego, czego chciał dokonać Verily. Dobrze byłoby obalić prawa o czarach, ale tylko wtedy, jeśli doprowadzi to do otwartego uznania, że talenty są złe lub dobre w zależności jedynie od tego, jak się ich używa.

„Strategia Verily’ego polega na tym, by ośmieszyć samą ideę czarownictwa”.

Bo jest śmieszna, pomyślał Alvin. Wszystkie opisy diabła, jakie słyszał, były do-
prawdy dziecinne. Dzieło Boga to wielkie Stwarzanie, które żyło samodzielnie i mie-
ściło w sobie pomniejsze istoty, które on sam usiłował zmienić w przyjaciół i Stwórców.
Wrogiem tego wszystkiego nie była jakaś żalosna kreatura, dająca kilku samotnym, od-
izolowanym ludziom moc rzucania klątw i zsyłania nieszczęść. Wrogiem Stwarzania
jest Niszczenie, a Niszczyciel nosi tysiące masek, uzależnionych od pragnień osoby,
którą chce oszukać.

Ciekawe, jaką postać przyjął Niszczyciel, by sprowadzić tu tego łowcę czarownic.

„Niektórzy nie potrzebują masek, by mu służyć — wyjaśniła Margaret. — Sami
kochają jego niszczyielskie dzieło i angażują się w nie z wolnej woli i chęci”.

Chodzi ci o tego Quilla? Czy Calvina?

„Nie wątpię, że obaj wierzą, iż służą sprawie Stwarzania”.

Czy to prawda, Margaret? Czy nie ty tłumaczyłaś mi, że choć człowiek sam siebie
okłamuje, w głębi duszy wie, jaki jest w rzeczywistości?

„U niektórych prawda ukryta jest tak głęboko, że dostrzegają ją dopiero w ostatniej
chwili. Wtedy pojmują, że znali ją przez cały czas. Ale widzą prawdę dopiero wtedy,

kiedy za późno już, by ją pochwycić i ocalić siebie. Widzą ją i wpadają w rozpacz. To jest właśnie ogień piekielny”.

Wszyscy ludzie sami siebie oszukują. Czy wszyscy są potępieni?

„Nie mogą sami siebie ocalić — odpisała. — To nie znaczy, że nie mogą być ocaleni”.

Alvin uznał to za pociechę, gdyż lękał się własnych tajemnic, lękał się tego miejsca w głębi samego siebie, gdzie ukrył prawdę o własnych motywach, kiedy zabijał Odszukiwacza, który zamordował matkę Margaret.

Może pewnego dnia zdołam otworzyć te drzwi i stanąć wobec prawdy, wiedząc, że wciąż możliwe jest ocalenie przed ostrzem, co przebija mi serce.

„Calvin o wiele bardziej niż ty potrzebuje w tej chwili odkupienia”.

Dziwię się, że chcesz go ratować. To ty przecież stale mi tłumaczyłaś, że nigdy się nie zmieni.

„Mówiłam, że nie widziałam zmiany w żadnej z jego przyszłości”.

Poszukam go. Poszukam heksów, które go ukrywają. Potrafię zobaczyć to, czego ty nie widzisz. Ale co z Duńczykiem? Czy możesz odnaleźć go, kiedy chodzi po mieście, i dowiedzieć się prawdy?

„On także jest strzeżony. Potrafię odszukać go na ulicach. Nosi ze sobą swoje imię, więc nie rozstał się z tą częścią płomienia serca. Mimo to nie wie ani nie pamięta, dokąd zanoszą te amulety, czy też komu je oddaje. W jego wspomnieniach są puste przestrzenie. Gdy tylko wyjdzie z portu ze swoim koszykiem, nie pamięta niczego, dopóki znów się nie przebudzi. Mogłabym pójść za nim, używając jego oczu zamiast przenikacza. . .”.

Nie! Nie zbliżaj się do niego! Nic nie wiemy o mocach, które tam działają. Trzymaj się z dala i zaprzestań poszukiwań. Kto wie, może jakaś część ciebie także opuszcza ciało, kiedy zaglądasz w płomienie serc. Gdyby i ciebie uwięziono, nie zniósłbym tego.

„Przecież wszyscy jesteśmy w niewoli — odpowiedziała. — Nawet dziecko w moim łonie”.

Ona nie jest więźniem. Jest u siebie, w miejscu gdzie najbardziej chce przebywać.

„Wybiera mnie, bo nie zna innych możliwości”.

W odpowiednim czasie zje owoc z drzewa wiadomości dobrego i złego. Na razie wciąż jest w ogrodzie. Ty jesteś rajem. Jesteś drzewem życia.

„Słodki jesteś — napisała. — Kocham cię. Kocham”.

Zalało go uczucie miłości, wypełniło oczy łzami, a serce tęsknotą. Widział, jak Peggy odkłada pióro. Dzisiaj żadne więcej słowa nie pojawią się na papierze.

Leżał więc w celi i przenikaczem badał otoczenie. Bez trudu odszukał Purity. Nie spała w swej celi; płakała i modliła się. Stłumił złośliwą myśl, że bezsenna noc to najmniejsze, co jest mu winna. Wszedł w jej ciało i znalazł miejsce, skąd wydzielaty się płyny, od których jej serce biło szybciej, a myśli pędziły jak szalone. Obserwował, jak się uspokaja, a potem rozniecił słabe ogniki snu w jej mózgu. Wczołgała się na pryczę. Zasnęła. To straszne — nie wiedzieć, jaki jest cel własnego życia. I smutne — odkryć w nim cel tak niszczycielski.

* * *

Verily Cooper opuścił Arthura Stuarta, Mike’a Finka i Johna-Jamesa Audubona na niewielkiej polance w zagajniku, kawałek drogi na północ od rzeki i daleko od najbliż-

szej farmy. Arthur skłonił jakiegoś ptaka, żeby pozował na gałęzi, Audubon dyskutował o tym ptaku, ale żadna wypowiedź nie pozostała w pamięci Verily'ego. Zamierzał podjąć śmiałą próbę. Nigdy jeszcze świadomie nie starał się bronić człowieka, o którym wiedział, że jest winien. Alvin zaś, zgodnie z prawami Nowej Anglii, był rzeczywiście winny. Miał talent; używał go.

Verily sądził jednak, że wie, jak odbywają się procesy o czary. Czytał o nich w bibliotece prawniczej swojego nauczyciela — dość pobieżnie, żeby nikt się nie dziwił, czemu interesuje go temat tak specjalistyczny. We wszystkich procesach, w Anglii,

Francji i Niemczech, ujawniano te same „fakty”: kłątwy, czarownicy pojawiający się jako inkuby i sukuby oraz cały obłąkany system wierzeń w sabaty czarownic i potężne dary od szatana. Łowcy czarownic twierdzili, że podobieństwo szczegółów jest dowodem na istnienie i szeroki zasięg fenomenu czarownictwa.

Jednym z ich ulubionych chwytów było alarmowanie przysięgłych oświadczeniami w stylu: „Jeśli to wszystko działo się pod waszym bokiem, w tej wiosce, wyobraźcie sobie, co dzieje się w całym hrabstwie, w całej Anglii, na świecie”. Zawsze cytowali

„wiodące autorytety”, które oceniały — według liczby znanych czarowników postawionych przed sądem — że „musi być” dziesięć tysięcy, sto tysięcy albo milion innych.

Mówili: „Podejrzewajcie wszystkich. Tak wielu żyje czarowników, że niemożliwe, byście żadnego nie znali”. I argument rozstrzygający: „Jeśli zignorujecie drobne oznaki czarownictwa, będziecie odpowiedzialni za to, że szatan może działać bez przeszkód”.

Wszystko to miałooby może pewien sens, gdyby nie oczywisty fakt: Verily Cooper posiadał talent, a wiedział, że nigdy nie miał żadnych doświadczeń z szatanem, nigdy nie uczestniczył w sabacie, nigdy nie opuszczał swego ciała, by wędrować jako inkub, zdobywać ciała kobiet i zsyłać im dziwne sny o miłości. Robił jedynie beczki tak szczelne, że klepki musiały zgnić, nim zaczęły przepuszczać na łączeniach. Jedyłą jego mocą była umiejętność ożywienia martwego drewna, by rosło pod jego dłońmi. Nigdy też nie użył swego talentu, by skrzywdzić żywą istotę. Zatem wszystkie te opowieści musiały być kłamliwe. A statystyka oceniająca liczbę nieschwytanych czarowników to kłamstwo oparte na kłamstwie.

Verily wierzył w to, w co wierzył Alvin: że każdy rodzi się, posiadając jakieś połączenie z mocą wszechświata, być może z Bożą potęgą, ale bardziej prawdopodobne,

że z siłami natury. To połączenie objawia się jako talent wśród Europejczyków, jako związek z naturą u Czerwonych, a na inne niezwykle sposoby wśród innych ras. Bóg chciał, by te moce wykorzystywano dla dobra; szatan oczywiście chciałby, aby służyły złu. Ale samo posiadanie talentu jest moralnie obojętne.

Tutaj, w Nowej Anglii, pojawiła się okazja, by nie tylko ocalić Purity przed nią samą, ale też zdyskredytować cały system procesów o czary i same prawa o czarach. Sprawić, by świadkowie i prawa okazali się tak oczywiście, skandalicznie, niewiarygodnie fałszywi, że nikt już nigdy nie stanie przed sądem oskarżony o czary.

Z drugiej strony jednak może przegrać. Wtedy Alvin będzie musiał wyrwać siebie i Purity z więzienia, z jej wolą lub bez. Potem wszyscy uciekną z Nowej Anglii.

Cambridge było wzorem nowoangielskiego miasteczka. College dominował ze swymi imponującymi budynkami, jednak naprzeciw sądu wciąż pozostały niezabudowane łąki. W budynku sądu pewnie trzymali Alvina w celi. Ku wielkiemu zadowoleniu Verily'ego łowca czarownic i strażnicy gonili równocześnie Alvina i Purity. Tłum gapiów otaczał łąkę; z bezpiecznej odległości patrzyli, jak po jednej stronie zmuszają Alvina, po drugiej Purity, by biegiem zataczali ciasne kręgi.

— Długo to już trwa? — zapytał Verily jednego z patrzących.

— Zaczęli przed świtem i nie odpoczywali ani razu. Twardzi z nich czarownicy, nie ma co.

Verily z mądrą miną pokiwał głową.

— Czyli wiecie już, że oboje są czarownikami?

— Popatrzcie tylko! Myślicie, że gdyby nie byli, mieliby siłę, żeby tak długo biegać i nie paść ze zmęczenia?

— Moim zdaniem wyglądają na solidnie zmęczonych.

— Pewno. Ale ciągle biegają. A dziewczyna to sierota, przywieziona tutaj, chyba miała to już we krwi. Nikt jej nigdy nie lubił. Wiedzieliśmy, że jest dziwna.

— Słyszałem, że jest głównym świadkiem w oskarżeniu tego człowieka.

— Pewno. Ale skąd by wiedziała o sabacie czarowników, jakby nie poszła tam z własnej woli? Możecie to wytłumaczyć?

— W takim razie po co w ogóle się trudzą? Czemu od razu jej nie powieszają?

Mieszkaniec Cambridge spojrział niechętnie na Verily'ego.

— Chcecie narobić kłopotów, przybyszu?

— Nie — odparł Verily. — Moim zdaniem oboje są niewinni jak pan, drogi panie. Więcej nawet, uważam, że i pan wie o tym. Uważam, że opowiada pan o ich winie, by nikt nie podejrzewał, że również pan posiada talent, który dobrze ukrywa.

Jego rozmówca przejęty zgrozą zniknął w tłumie. Verily kiwnął głową. To było bezpieczne oskarżenie, jeżeli Alvin miał rację i każdy dysponował jakimś talentem. Wszyscy mieli co ukrywać. Wszyscy bali się oskarżenia. Zatem dobrze było zobaczyć tę oskarżycielkę postawioną na równi z oskarżonym. Powiesić ją, zanim oskarży jeszcze kogoś. Verily musiał polegać na tych obawach i rozniecać je.

Wkroczył na łąkę. Natychmiast podniósł się gwar. Kim jest ten obcy, jak śmie tak zbliżyć się do miejsca, gdzie łowca czarownic goni oskarżonych, by zmęczyć ich i wydobyc pełne zeznanie?

— Gdzie jest przedstawiciel prawa, nadzorujący to przesłuchanie? — zwrócił się Verily do łowcy czarownic. Mówił głośno, żeby wszyscy słyszeli.

— Ja jestem przedstawicielem prawa — odparł Micah Quill. Mówił równie głośno; Verily przekonał się już, że ludzie zwykle dopasowują swoje głosy do najgłośniejszego z rozmówców.

— Nie jest pan z tego miasta — rzekł oskarżycielskim tonem Verily. — Gdzie są strażnicy pokoju?

Natychmiast odwróciło się kilkunastu mężczyzn, którzy czujnie stali wokół Alvina i Purity. Niektórzy podnieśli ręce.

— Czy nie jesteście tymi, którym powierzono przestrzeganie prawa? — zapytał Verily. — Przesłuchanie świadków w procesach o czary ma się odbywać pod nadzorem przedstawicieli sądu, wyznaczonych zgodnie z prawem przez sędziego lub sędziego pokoju właśnie po to, żeby nie dopuścić do stosowania takich tortur, jakie tu widzę.

Słowo „tortury” miało uderzyć jak pejcz — i uderzyło.

— To nie są tortury! — krzyknął łowca czarownic. — Gdzie jest ława? Ogień? Woda?

Verily ponownie odwrócił się w jego stronę, ale zrobił krok w tył i przemówił jeszcze głośniej.

— Widzę, że jest pan zaznajomiony ze wszystkimi metodami tortur, ale gonienie oskarżonych to jedna z najbardziej okrutnych. Kiedy człowiek jest dostatecznie zmęczony, przyzna się nawet do samobójstwa, byle tylko przerwać mękę i odpocząć.

Chwilę trwało, nim zebrany tłum zrozumiał niemożliwość przyznania się do samobójstwa, ale Verily został nagrodzony chichotem. Chciał zmienić nastawienie tłumy — każdy, kto trafi do ławy przysięgłych, będzie wiedział, co tutaj powiedziano.

Ponieważ strażnicy już ich nie pilnowali, Alvin i Purity zatrzymali się chwiejnie i opadli na kolana. Dyszeli ciężko. Zwieszali głowy jak zmęczone konie.

— Nie pozwólcie im odpoczywać! — krzyknął rozgorączkowany Quill. — Stracimy całe godziny przesłuchania!

Strażnicy spojrzeli na swoje pałki i witki, których używali do poganiania więźniów, ale żaden nie zrobił nawet kroku w stronę ofiar.

— Wreszcie przypomniałście sobie o obowiązkach — pochwalił Verily.

— Nie masz tu żadnej władzy! — zawołał łowca czarownic. — Ja jestem przedstawicielem sądu!

— Proszę więc zdradzić nazwisko sędziego pokoju w Cambridge, który pana nominował.

Quill wiedział, że przyłapano go na przekroczeniu uprawnień, ponieważ nie miał żadnych, dopóki miejscowy sędzia nie zażądał jego usług. Dlatego nie odpowiedział wprost na wezwanie Verily'ego.

— A kim pan jest? — zapytał. — Sądząc po wymowie, pochodzi pan z Anglii. Jakie prawa ma pan tutaj?

— Mam prawo żądać, żeby pana zakuć w kajdany, jeśli z pana powodu te dwie nieszczęsne dusze będą torturowane choćby chwilę dłużej! — zawołał Verily. Wiedział, że tłum jak oczarowany obserwuje tę konfrontację. — Jestem bowiem obrońcą Alvina Smitha. Bezprawnie torturując mojego klienta, mój panie, złamał pan Akt o Protekcji z 1694!

Pogroził palcem, a łowca czarownic wyraźnie skulił się pod ciężarem oskarżenia.

Verily niecierpliwił się jednak, ponieważ nie planował tego niewielkiego zwycięstwa na miejskiej łące. Czy Purity jest tak zmęczona, że nie może już unieść głowy i przekonać się, kto mówi?

Miał właśnie rozpocząć kolejną tyradę, podczas której zbliżyłby się do Purity i w razie konieczności postawił ją na nogi, by na niego spojrzała. W końcu jednak rozpoznała go i nie było to już potrzebne.

— To on! — krzyknęła.

Łowca czarownic wyczuł nadchodzące zbawienie.

— Kto? Kto to jest?

— Angielski prawnik, który wędrował z Alvinem Smithem! On też jest czarownikiem! Ma talent do drewna!

— A więc i on był na sabacie czarowników! — zawołał Quill. — Oczywiście, szatan cytuje prawo, próbując ocalić swe sługi! Aresztować tego człowieka!

Verily natychmiast zwrócił się do tłumu.

— Widzicie, jak to działa? Każdy, kto wstawi się za moim klientem, będzie oskarżony o czary! Każdy trafi do więzienia i będzie skazany, być może na śmierć!

— Uciszcie go — polecił Quill. — Niech biega razem z tamtymi. Ale strażnicy, którzy z wahaniem ujęli Verily'ego za ramiona — bo przecież został oskarżony — nie zamierzali dopuścić do gonienia, skoro zostało nazwane torturą i uznane za nielegalne.

— Dość gonienia na dzisiaj — rzekł jeden z nich. — Musimy mieć zgodę sędziego, zanim pozwolimy wam znowu na takie rzeczy.

Dwóch strażników odprowadzało kroczącą chwiejnie Purity do budynku sądu. Wymamrotała coś, kiedy mijała Verily'ego.

— Nie chcę się do niego zbliżyć — szepnęła. — Rzucił na mnie urok. Przyjdzie do mnie jako inkub.

— Purity, biedne dziecko — powiedział Verily. — Posłuchaj tylko, jak powtarzasz te kłamstwa, których nauczył cię łowca czarownic.

— Nie odzywaj się do niej! — wrzasnęła Quill. — Słyszeliście, jak ją przeklina?

Verily wykrzywił się drwiąco, zwracając się do strażników:

— Czy dla was brzmiało to jak kłątwa?

— Bez mamrotania! Ani słowa!

Verily odpowiedział więc głośno:

— Powiedziałem tylko, że dla człowieka z młotkiem wszystko wygląda jak gwóźdź.

Niektórzy zrozumieli od razu i parsknęli śmiechem. Ale łowca czarownic nie był wyczulony na ironię.

— Szatańskie symbole! Młotki i gwoździe! Czym mnie przekląłeś? Natychmiast wyjaśnij pan znaczenie tych słów!

— Chodzi o to, mój panie, że dla tych, którzy odnoszą zyski z procesów o czary, każde słowo brzmi jak klątwa.

— Zabierzcie go stąd z tymi jego brudnymi kłamstwami i insynuacjami!

Strażnicy pokoju zawlekli Verily’ego i Alvina do cel położonych daleko od siebie. Jednak po drodze obaj zbliżyli się kilka razy i choć nie rozmawiali, wymienili spojrzenia. Verily zadbał, by Alvin zauważył, że uśmiecha się od ucha do ucha. Wszystko idzie właśnie tak, jak zaplanowałem, powiedział mu bez słów.

Samotny w celi, spoważniał jednak. Biedna Purity, myślał. Jak dalece ten łowca czarownic wykrzywił jej umysł? Czy zdoła dostrzec, jak nią manipulują? Przecież musi sobie wreszcie uświadomić, że łowca czarownic ją wykorzystuje.

Niech to odbędzie się szybko, pomyślał Verily. Nie chcę, żeby Alvin za długo czekał w więzieniu.

* * *

Hezekiah Study spakował już torbę na dłuższy pobyt u siostrzenicy w Providence, kiedy usłyszał krzyki na łące i wychylił się z okna, by posłuchać. Widział, jak angielski prawnik zawstydził Micaha Quilla, jak manipuluje tym mistrzem manipulacji. Miał ochotę bić mu brawo. Serce mu zamarło, gdy Purity oskarżyła Anglika — rzeczywiście, od początku wspominała o nim jako należącym do grupy Alvina Smitha — ale prawnik zdołał posiać ziarna wątpliwości w umysłach wszystkich obecnych. Po raz pierwszy Hezekiah Study obserwował wczesne stadia procesu o czary bez przerażenia i rozpaczycy ściskających mu serce. Angielski prawnik bowiem uśmiechał się jak uczeń, który nie dba o karę, bo mimo wszystko warto było rzucić kamieniem w okno dyrektora.

Panuje nad sytuacją, pomyślał Hezekiah.

Jego rozsądek, jego gorzkie doświadczenia odpowiadały: nikt nie panuje nad procesem o czary z wyjątkiem łowcy czarownic. Ten człowiek uśmiecha się teraz, ale przestanie, kiedy albo zacisną mu pętlę na szyi, albo odbiorą honor.

Boże, niech to będzie ten dzień, kiedy ludzie w końcu zrozumieją, że jedynymi, którzy służą diabłu w tych procesach, są łowcy czarownic.

Kiedy skończył się modlić, odszedł od okna i rozpakował bagaż. Cokolwiek się stanie, na tym procesie będą się bronić mężnie, więc Hezekiah Study musi zostać. Nie tylko po to, by zobaczyć, co się stanie, ale dlatego że ten młody prawnik nie będzie walczył samotnie. Hezekiah Study stanie przy nim. Mimo wszystko pozostało w nim jeszcze dość nadziei i dość odwagi.

W NIEWOLI

Z początku Calvin nie zauważył, że wpadł w pułapkę. Swoim przenikaczem podążał za Duńczykiem do Miasteczka Czarnych, tej części Camelotu, gdzie mieszkali wykwalifikowani niewolnicy, których wynajmowano do pracy, albo gdzie zaufani Czarni, przybywający z poleceniami właścicieli ziemskich spoza miasta, znajdowali nocleg i wyżywienie. Miasteczko Czarnych nie było duże, ale rozprzestrzeniało się poza swe oficjalne granice, to tu, to tam, w różnych składach, nielegalnie i bez rejestracji urządzano pokoje do wynajęcia. Mieszkali tam przyjezdni niewolnicy.

Do takiego właśnie składu, tuż poza granicami Miasteczka Czarnych, zmierzał Duńczyk, a za nim Calvin. Rozchwiane schody wewnątrz budynku prowadziły na strych wypełniony nieprawdopodobnym zestawem różnych śmieci. Deski, fragmenty mebli, złom, stare ubrania, sznury i strzepy sieci zwisały na hakach z belek stropu. Najpierw zdziwił się — kto traciłby czas, żeby to wszystko ze sobą powiązać? — ale zaraz zrozumiał, co widzi: powiększoną wersję amuletów, które Duńczyk odbierał niewolnikom.

Miał już wrócić do swego ciała i opowiedzieć Honoré, co znalazł, kiedy nagle śmieci się rozsunęły i zobaczył oślepiające światło. Zbliżył się i odkrył, że jest ono złożone z tysięcy, wielu tysięcy płomieni serc umieszczonych w siatce zwisającej na haku wbitym w sufit.

Jaka sieć może utrzymać dusze? Przysunął się bliżej. Pojedyncze płomienie serc były o wiele mniejsze od tych, które zwykle widywał. Jak często wcześniej, pożałował, że nie może w nie zajrzeć tak, jak to czynią żagwie. Niestety, pozostawały dla niego tajemnicą.

Potrafił jednak zobaczyć coś, czego Margaret nigdy by nie odkryła: mocną sieć związanych sznurów przytrzymującą płomienie. Bliższe badanie zdradziło, że każdy

płomień serca tańczył niczym ognik świecy nad jednym z tych drobnych amuletów, które — jak widzieli z Honoré — Duńczyk odbierał od niewolników. Może więc sieć wcale nie była magiczna.

Cofnął się. Liczył, że natychmiast powróci do swego ciała i porozmawia z Honoré. Zaczął nawet mówić, ale jego wargi się nie poruszyły. Jego oczy nie widziały. Pozostał na miejscu, patrząc na płomień serc wzrokiem przenikacza, zamiast spoglądać własnymi oczami na ulicę.

Nie, to nie całkiem tak. Był niejasno świadomy tej ulicy, jakby patrzył na nią kątem oka. Słyszał też dźwięki, słyszał głos Honoré, ale kiedy próbował się wsłuchać, jakoś nie mógł się skoncentrować. Nie potrafił uważać na to, co mówi Honoré, nie umiał skupić wzroku na tym, co widziały oczy. Wciąż wracał tutaj, do węzłów i sieci, choć starał się oderwać. Czuł, że jego nogi się poruszają, jak gdyby należały do kogoś innego. Poznawał, że głos Honoré staje się podniecony, ale wciąż nie rozumiał słów. Dźwięki docierały do umysłu, lecz były pozbawione znaczenia. Nic nie miało sensu.

Oślabły ze strachu, uświadomił sobie, że ostrzeżenie Honoré było rozsądne. Tę sieć przygotowano, by chwytać i trzymać w niej dusze, a przynajmniej fragmenty dusz, oraz

by nie pozwolić nikomu ich odnaleźć. Calvin posłał do sieci część własnej duszy i teraz nie mógł się wydostać.

W każdym razie ci tutaj pewnie w to wierzą. Sieci zrobione są ze sznurów, sznur ze zwijanych i skręcanych nici, te zaś z pojedynczych włókien. Wszystkie te rzeczy Calvin znał doskonale. Natychmiast wziął się do pracy.

* * *

Duńczyk Vesey patrzył chmurnie na Gullaha Joe, który chyba nie zwracał na niego uwagi. Zdarzało się, że Biali cofali się nieco, kiedy widzieli Duńczyka przechodzącego z taką miną. Nawet Biali, którzy lubili drażnić się z Czarnymi, jak dzisiaj ci na nabrzeżu, nie chcieli mieć z nim do czynienia, gdy pokazywał tak chmurną twarz. Dzisiaj pozwolił im sobą pomiatać, gdyż musiał pokazać nowym niewolnikom, jak sprawić, by biali właściciele byli zadowoleni. Ale wciąż czuł wściekłość, wzbierała w jego sercu.

Nie była to jednak taka furia, jaka wypełniała sieć z duszami wiszącą o dziesięć kroków od niego. Bo Duńczyk nie był niczym niewolnikiem. Nie był nawet w pełni Czarny. Urodził się jako syn jednego z tych rzadkich właścicieli, którzy czuli coś w ro-

dzaju ojcowskiej odpowiedzialności za dzieci spłodzone ze swymi czarnymi kobietami. Dał wolność wszystkim swoim bękartom, pół-Czarnym — wolność i lekcję geografii, gdyż każdy został nazwany od jakiegoś europejskiego kraju. Niewielu z nich pozostało wolnych, jeśli tylko oddalili się od plantacji pana Veseya w pobliżu Savannah. Zresztą jaka to różnica, czy człowiek jest wolny, jeśli mieszka wśród niewolników, pracuje jak oni i tak samo trudno jest mu podróżować?

Dla Duńczyka była to wielka różnica. Nie zamierzał zostawać na plantacji. Kiedy był jeszcze całkiem mały, zrozumiał, czym są litery; zdobył wtedy książkę i nauczył się czytać. Liczyć nauczył się od kuzyna ojca, francuskiego studenta, który zamieszkał na plantacji, by się ukryć, gdyż na uniwersytecie brał udział w antynapoleońskim wiecu. Chłopak uważał się za kogoś w rodzaju bohaterskiego obrońcy uciśnionych, ale Duńczyka obchodziło tylko odkrycie wszystkich tajemnic, dzięki którym Biali panują nad Czarnymi. Nim skończył dziesięć lat, prowadził już dla ojca księgi rachunkowe plantacji, lecz musiał trzymać to w tajemnicy nawet przed białym nadzorcą. Ojciec głaśkał go po głowie i chwalił, choć słysząc te pochwały, Duńczyk miał ochotę go zabić. „To dowodzi, że krew twojej czarnej mamy nie wymazała całego mózgu, jaki dostałeś

po białym tatusiu”. Ojciec wciąż sypiał z matką Duńczyka i płodził kolejne dzieci; wiedział, że nie jest głupia, jednak nie okazywał jej żadnego szacunku. A przecież jej dzieci były mądrzejsze od tępych, białych słabeuszy, których rodziła żona ojca.

Duńczyk hodował w sobie ten gniew i dzięki temu czuł się wolny. Nie zamierzał spędzić całego życia na plantacji, o nie. Prawo mówiło, że w koloniach Korony nie istnieje coś takiego jak wolny Czarny. Jeden z braci Duńczyka, Włoch, został schwytyany w Camelocie jako uciekinier; ojciec musiał porządnie go wychłostać, zanim prawo odstąpiło. Duńczyk nie miał zamiaru dać się złapać. Kiedyś w końcu poszedł do ojca i przedstawił plan. Ojciec nie był zadowolony — nie chciało mu się znowu prowadzić ksiąg — ale Duńczyk nie ustępował i zastrajkował pewnego dnia: odmówił prowadzenia rachunków. Ojciec odesłał go na jakiś czas na plantację, do nadzorcy, ale w sumie nie miał serca marnować zdolności chłopaka.

Kiedy więc Duńczyk skończył siedemnaście lat, ojciec zawiózł go do Camelotu i przedstawił listy polecające, które Duńczyk sam napisał, żeby charakter pisma zawsze się zgadzał. Duńczyk zamieszkał w mieście, udając wysłannika swego nieobecnego właściciela; wynajmował się do prowadzenia rachunków i kopiowania pism. Nie-

którzy Biali sądzili, że mogą go oszukiwać, odmawiając wypłacenia umówionej sumy. Duńczyk ukrywał gniew, wracał do domu i swym eleganckim charakterem pisał list do adwokata, znów używając nazwiska ojca. Gdy tylko Biali pojmowali, że właściciel Duńczyka nie pozwoli, by oszustwo uszło im na sucho, na ogół płacili. Tych, którzy mimo to odmawiali, Duńczyk zostawiał w spokoju i nigdy więcej dla nich nie pracował. Nie tak złe okazało się życie niewolnika, jeśli tylko sam był swoim właścicielem i występował w swojej obronie.

Tak to trwało aż do śmierci ojca. Duńczyk był już dorosły i odłożył trochę pieniędzy. Nikt nie znał jego ojca w Camelocie, więc nie miało znaczenia, czy żyje — chyba że ktoś wybrałby się do Savannah, próbując sprawdzić coś, co Duńczyk w imieniu ojca napisał. Nie znaczy to, że nie martwił się przez jakiś czas. Kiedy jednak okazało się, że wszystko idzie jak z płatka, zaczął sobie wyobrażać, że jest prawdziwym człowiekiem. Postanowił kupić sobie niewolnicę, Czarną, z którą mógłby spać i płodzić dzieci jak jego ojciec.

Wybrał taką, która mu odpowiadała, i kupił przez adwokata, po czym zgłosił się po odbiór, znowu w imieniu ojca. Kiedy jednak przyprowadził ją do domu i odkryła, kto ją

kupił, prawie wydrapała mu oczy; wybiegła na ulicę, wrzeszcząc, że nie będzie niewolnicą Czarnego. Duńczyk gonił ją, a żaden z mieszkańców Miasteczka nawet nie próbował mu pomóc. Wtedy właśnie zrozumiał: wszyscy wiedzą, że jest wolny, i nie znoszą go za to. Zrozumiał to z zachowania swej kobiety i swych sąsiadów — nienawidzą bycia niewolnikami, nienawidzą wszystkich Białych, ale jeszcze bardziej nienawidzą wolnego Czarnego, takiego jak on.

Dobrze, niech im będzie. Tak pomyślał z początku. Ale odczuwał to coraz silniej, aż wreszcie nie mógł prawie znieść widoku swojej kobiety, przykutej do ściany w jego maleńkim pokoiku i przeklinającej go, gdy tylko wracał do domu. Stale robiła lalki na jego podobieństwo, żeby go otruć. Niejeden raz słabł i miał mdłości. O takich kukielkach nic nie wiedział. Całe życie starał się zgłębić sekrety Białych; nie miał pojęcia, co robią Czarni. Nadszedł dzień, kiedy zrozumiał, że nie ma nic. Może oszukiwać białych klientów, by zachować dochody ze swej pracy, ale nigdy nie będzie Białym. Czarni natomiast nie ufali mu, ponieważ nie znał ich zwyczajów, zachowywał się jak Biały i trzymał niewolnicę.

Wreszcie pewnego dnia uklęknął przed swoją kobietą i zapytał: „Co mam zrobić, żebyś mnie pokochała?”. Roześmiała się tylko. „Nie możesz mnie uwolnić, bo czarni ludzie nigdy nie są wolni. I nie możesz mnie zmusić, żebym cię kochała, bo nigdy nie pokocham tego, kto jest moim właścicielem. Nie możesz mnie sprzedać, bo powiem o tobie mojemu nowemu panu. Możesz najwyżej umrzeć, kiedy zrobię dla ciebie dobrą kukielkę i zabiję ją na śmierć”.

Tyle nienawiści! Duńczyk sądził, że wściekłość jest podstawową zasadą jego życia, ale była niczym w porównaniu z tą, którą czuli niewolnicy. Wtedy zdał sobie w pełni sprawę z różnicy między człowiekiem wolnym i niewolnikiem: wolność okradała człowieka z nienawiści i czyniła słabszym. Pewnie, nienawidził swojego ojca, ale jego nienawiść była drobnostką wobec tej, jaką czuła wobec niego ta kobieta.

Oczywiście, musiał ją zabić. Wyłożyła wszystko tak pewnie, że zmiana zdania nie wchodziła w grę. Pozostało tylko kwestią czasu, kiedy ona go zabije, więc musiał się bronić, prawda? I miał ją na własność, prawda? Nie byłaby pierwszą czarną kobietą zabita przez właściciela.

Uderzył ją deską w głowę i straciła przytomność. Potem zawinął ją w worek i zaniósł do portu. Pomyślał, że przytrzyma ją pod wodą, póki nie utonie, a następnie wyciągnie z worka i wepchnie do wody, żeby nie wyglądało to na morderstwo. No więc trzymał ją już pod wodą i nawet nie szarpała się za mocno w tym worku, ale słyszał jakby głos w głowie, mówiący: Mordujesz nie tę, co trzeba. Nie czarna kobieta cię zabija, lecz biali ludzie. Gdyby nie oni, mógłbyś ożenić się z tą dziewczyną i byłaby wolna przy tobie. Ich chcesz zabijać, ich zabijać powinieneś.

Wyciągnął ją z wody i uratował. Ale potem nie była już całkiem zdrowa. Może powodem był cios w głowę, a może woda, którą wciągnęła do płuc, i czas, kiedy nie mogła oddychać... W każdym razie zaczęła chodzić śmiesznie i przestała go nienawidzić. Umarło też wszystko, co w niej kochał. Całkiem jakby był jednak mordercą, ale ofiara żyła w jego domu i urodziła mu dziecko.

Od tego czasu Duńczyk zawsze był już smutny. Zniknęła radość z oszukiwania Białych. Zaczął pracować niedbale, spóźniał się, więc klienci przestali go najmować — oczywiście uważali, że zwalniają jego białego pana. Czarni wokół także go nienawidzi-

li za to, co zrobił swojej kobiecie. Musiał stale pilnować, żeby nie zdobyli jego włosów, paznokci, nawet śliny czy moczu. Bo wtedy by go zabili.

Jego syn Egipcjanin miał cztery lata, kiedy Duńczyk oddał go na naukę czarnemu rymarzowi. Musiał sporo nakłamać, oczywiście, że właściciel, Biały, chce chłopca wyszkolić, by był użyteczny na plantacji. Nauka kosztowała dziewięć funtów rocznie, czyli większość tego, co Duńczyk ostatnio zarabiał. Jednak listy polecające zostały przyjęte i Egipcjanin, chociaż traktowany jak niewolnik, uczył się porządnego fachu. Nadejdzie taki dzień, kiedy Duńczyk powie mu prawdę. Jesteś wolny, powie tego dnia; Egipcjaninie Veseyu, żaden człowiek nie jest twoim właścicielem, ani ja, ani nikt.

Kiedy Egipcjanin odszedł z domu, ostatnie światło zgasło w jego matce. W dniu, kiedy Duńczyk przyłapał swoją kobietę na picu politory, zrozumiał, że musi coś zrobić. Choć stała się całkiem głupia, nienawidziła swojego życia i jego też nienawidziła. Zgadzał się z nią. Może sam nienawidził siebie nawet bardziej niż ona. Nienawidził też wszystkiego i wszystkich innych. Gryzło go to od środka.

Wtedy właśnie spotkał Gullaha Joe. Joe sam przyszedł do niego — mały czarny człowieczek pojawił się, kiedy Duńczyk w ogródku oddawał mocz. W jednej chwili ni-

kogo nie było, a potem nagle Gullah Joe stał, trzymając dziwaczny parasol obwieszony różnymi supełkami, kawałkami materiału, cyny i żelaza oraz jedną martwą myszą.

— Przestać sikać na moja noga — powiedział.

Duńczyk zrozumiał, że to czarownik, którym zawsze go straszili. Mocz skończył się natychmiast, gdy tylko Gullah Joe to nakazał.

— Przyszedłeś mnie zabić, czarowniku?

— Może — przyznał Gullah Joe. — Może nie.

— Lepiej to zrób. Bo jak nie, to może ja zabiję ciebie?

Gullah Joe tylko się zaśmiał.

— Co, walnąć mnie deska w głowa, wsadzić do worek i topić, aż ja nie chodźć i nie mówić dobrze?

Duńczyk rozplakał się, padł na kolana i prosił Gullaha Joe, żeby go zabił.

— Wiesz, jaki jestem! Wiesz, że jestem człowiekiem niegodziwym!

— Ja nie być Bóg. Ty trzeba iść do kapłana, jak ty chcieć kogoś, żeby posłać do piekło ty.

— Dlaczego tak śmiesznie mówisz?

— Bo ja nie niewolnik — wyjaśnił Gullah Joe. — Ja z Afryka, ja nie lubić mowa biały człowiek. Ja uczyć się źle i ja się nie martwić. Ja powtarzać: moja ludzie mówić dobrze.

Potem wyrzucił z siebie wiele słów w obcym języku. Trwało to i trwało, aż zmieniło się w pieśń, a Gullah Joe zaczął tańczyć dookoła, rozpryskując bosymi stopami błoto, jakie powstało z moczu Duńczyka. Każde chlapnięcie Duńczyk czuł, jakby ktoś kopnął go w nerki. Zanim Gullah Joe skończył śpiewać i tańczyć, Duńczyk leżał na ziemi i jęczał, a zamiast moczu sączyła się z niego krew.

Gullah Joe pochylił się nad nim.

— Jak ty się czuć?

— Świetnie — wyszeptał Duńczyk. — Tyle że jeszcze nie jestem martwy.

— Och, ja nie chcę ty martwy. Ja zmienić zdanie. Ty być zdrowy. Ty to wypić.

Gullah Joe wręczył mu małą buteleczkę. Ciecz cuchnęła okropnie, ale zawierała alkohol, co było wystarczającą zachętą. Duńczyk wypiłby wszystko, gdyby Gullah Joe nie wyrwał mu buteleczki z rąk.

— Ty chcę wiecznie żyć? — zapytał. — Zużyć cała moja leczniczy towar?

Cokolwiek to było, podziałało szybko. Duńczyk poderwał się na nogi.

— Chcę tego więcej! — zażądał.

— Ty nigdy nie pić tego więcej — odparł Gullah Joe. — Ty za bardzo to lubić.

— Daj to mojej kobiecie! — zawołał Duńczyk. — Niech znowu jest zdrowa!

— Ona chora na mózg. To nie robić nic dobrze na mózg.

— W takim razie lepiej zabij mnie znowu, ty oszuście! Dość mam takiego życia, wszyscy mnie nienawidzą, sam siebie nienawidzę!

— Ja ciebie nie nienawidzić. Ja mieć dla ciebie zadanie.

Od tego dnia Duńczyk pracował dla Gullaha Joe. Swoje zarobki przeznaczał na utrzymanie siebie i jego, i na realizację planów Gullaha Joe. Pół dnia spędzał w porcie, zajmując się przywiezionymi niewolnikami: zbierał ich imiona i przynosił je Gullahowi do domu.

Sam pomysł odbierania imion pochodził od kobiety Duńczyka. Co nie znaczy, że go wymyśliła. Ale kiedy Duńczyk wynajął skład i sprowadził tam Gullaha Joe i swoją kobietę, Gullah Joe zapytał ją o imię.

— Nie wiem, panie — odpowiedziała.

Dalekie to było od słów, jakie słyszał Duńczyk, zanim jeszcze uczynił ją głupią. Wtedy powtarzała:

— Pan nigdy nie zna mojego imienia. Możesz mnie nazywać, jak chcesz, ale imienia ci nigdy nie zdradzę.

Kiedy Gullah Joe zapytał o jej imię Duńczyka, a Duńczyk nie wiedział, zdawało się, że Gullah Joe najadł się pieprzu, tak zaczął podskakiwać, wyć i krzyczeć.

— Nie powiedzcie moje imię! — wołał. — Zachować swoją dusza!

— Zachowała swoją nienawiść — wyjaśnił Duńczyk. — Próbowałem ją kochać, a nawet nie wiem, jak mam ją nazywać, więc mówię „kobieto”.

Gullah Joe nie słuchał tej smutnej historii, tylko wziął się do pracy nad czarami. Kazał Duńczykowi złapać mewę — niełatwa sprawa, ale z Łapiącą Laską Gullaha Joe jakoś się udało. Wkrótce części mewy zostały upieczone, ugotowane, zmieszane, sklejonę, splecione albo powiązane w pierzastą pelerynę, którą czarownik zarzucał sobie na głowę, gdy chciał się zmienić w ptaka.

— Nie naprawdę — tłumaczył Duńczykowi. — Ja dalej człowiek, ale ja latać, a biały żeglarz widzieć mewa.

Wylatywał na spotkanie żaglowców zmierzających do portu w Camelocie. Lądował w ładowni i mówił ludziom, że zanim wylądują, muszą przygotować swoje sznurki imion i przekazać je pół-Czarnemu, który przyniesie im wodę.

— Przenieść nienawiść i strach do sznurek — mówił. — Spokojne i zadowolone być wszystko, co zostać. Ja was pilnować dobrze, aż przyjść właściwy dzień.

Tak przynajmniej opowiadał o tym Duńczykowi. Niewielu z niewolników znało choćby początki angielskiego, więc musiał im to tłumaczyć w jakiejś afrykańskiej mowie. A może potrafił przekazać wszystko w piśmie węzełkowym... Tego Duńczyk nie wiedział — Gullah Joe nie uczył go, co znaczą supły i jak działają.

— Ty czytać i pisać mowa Białych — wyjaśnił. — To dość sekret na jeden człowiek.

Duńczyk pojmował tylko, że ci ludzie wiedzą, jak powiązać różne odpadki kawałkami sznurka, tkaniny i nici, i jak ukryć tam swoje imię oraz oznaki strachu i nienawiści. Chociaż nic nie rozumiał, był dumny z tych sznurków i szmatek. Dowodziły bowiem, że Czarni w Afryce umieją czytać i pisać, tyle że nie znakami na papierze, lecz węzełkami na sznurku.

Prócz odbierania imion od nowych niewolników, Duńczyk pomagał gromadzić imiona tych, którzy byli już w Camelocie. Wieści rozeszły się szybko i wystarczyło, że przeszedł wzdłuż żywoplotu z otwartym koszem, a czarne ręce wysuwały się i rzucały sznurki imion.

— Dzięki — mówili. — Dzięki.

— Nie mnie dziękujcie — odpowiadał. — Jestem nikim.

Wreszcie, nie tak dawno temu, przyszedł dzień, kiedy zebrali imiona wszystkich niewolników. Gullah Joe śpiewał przez całą noc.

— Moja lud teraz być szczęśliwy.

— Wciąż są niewolnikami — przypomniał Duńczyk.

— Wszystko, co oni nienawidzić, być tam. — Gullah Joe wskazał wypchaną sieć.

— I cała ich nadzieja również. Nie mają już żadnej nadziei.

— Ja nie brać ich nadzieja. Biały człowiek zabierać nadzieja.

— Teraz wszyscy są głupi jak moja kobieta.

— Nie, nie. Oni sprytni. Oni mądrzy.

— Ale nikt o tym nie wie oprócz ciebie.

Czarownik błysnął zębami i postukał się w głowę. Najwyraźniej zupełnie wystarczało, jeśli to on znał prawdę.

Tylko jedna osoba nadal pozostała nieszczęśliwa. Oczywiście, Duńczyk był zadowolony, że teraz ma cel w życiu, że Czarni patrzą na niego z wdzięcznością zamiast pogardy. Ale to nie to samo co szczęście. Jego kobieta wciąż była przy nim; powłócząc nogami, chodziła po mieszkaniu i mamrotała słowa, które ledwie rozumiał. Gullah Joe zadbał, by jego lud nie był już nieszczęśliwy. Jednak Duńczyk widział, że najszczęśliwsi są Biali. Słyszał ich rozmowy.

— Widziałeś, jacy są potulni?

— Niewolnictwo to dla Czarnych stan naturalny.

— Nie buntują się.

— Są zadowoleni.

— Jedyne miejsce, gdzie Czarni się buntują, to tam, gdzie pozwala się im żyć bez pana.

— Czarny nie może być szczęśliwy bez dyscypliny.

I tak dalej, w całym mieście. Biali ludzie z całego świata przybywali do Camelotu i widzieli zadowolonych niewolników. To ich przekonywało, że niewolnictwo nie jest jednak takie złe. Duńczyk nienawidził tego, ale Gullah Joe chyba wcale się nie przejmował.

— Dzień przyjsć dla czarny człowiek — mówił.

— Kiedy?

— Dzień przyjsć dla czarny człowiek.

Właśnie dlatego Duńczyk Vesey pochmurnie spoglądał na Gullaha Joe, kiedy stary czarownik niósł kosz ze sznurkami imion przez zasłony splotów strzegące sieci — i wszystkich szczęśliwych niewolników. Czyżby Duńczyk Vesey był jedynym człowiekiem w Camelocie, który żyje w piekle?

Gullah Joe rozchylił sieć i wsypał do środka nowe sznurki imion. Wtedy właśnie sznury przy dnie sieci zaczęły się zrywać — jeden po drugim, jak gdyby ktoś je rozcinał. Sznurki imion wypadały, najpierw kilka, potem kilkanaście, wreszcie sieć puściła i wszystkie posypały się na podłogę.

— Co ty robisz? — zdziwił się Duńczyk.

Gullah Joe nie odpowiedział.

— Coś się stało?

Gullah Joe stał nieruchomo z uniesionymi rękami. Duńczyk obszedł go dookoła, odsuwając wiszące rupiecie, aż mógł zobaczyć jego twarz. Była nieruchoma jak w posągu — śmiesznym posągu, z wytrzeszczonymi oczami i zębami odsłoniętymi w dzikim grymasie, jak u aktorów w tych obrzydliwych pokazach, gdzie Biali występują z twarzami pomalowanymi na czarno.

Sieć nie rozpadła się sama. Ktoś albo coś ją rozerwało, wysypując sznurki imion. Jeśli miało moc, by to uczynić, mogło też zranić Gullaha Joe i to chyba właśnie się stało.

Co Duńczyk mógł zrobić? Nie znał się na czarach. Nie mógł jednak pozwolić, żeby coś się przydarzyło Gullahowi Joe. Ani sznurkom imion — nie mógł o nich zapominać, gdyż na podłogę wysypały się imiona wszystkich niewolników w Camelocie. Tylko że jeśli Duńczyk wejdzie w zaczarowany krąg, który pokazał mu Joe, też może się znaleźć w mocy nieprzyjaciela.

Może i nie, jeśli nie zostanie tam długo. Rozpędził się, skoczył i wypchnął Gullaha z kręgu. Obaj przewrócili się na podłogę; za nimi kołysało się i zderzało ze sobą kilka większych amuletów.

Po Gullahu Joe nie było widać, by coś mu się stało. Zerwał się, zamachał rękami i rozejrzał się gorączkowo.

— Wstawać, lichu! Miotła! Miotła!

Duńczyk wstał chwiejnie i pobiegł po miotłę.

— Dwa miotła! Szybko!

Po chwili obaj stali na obrzeżach kręgu i szerokimi ruchami mioteł wymiatali na zewnątrz sznurki imion.

— Szybko! — krzyczał czarownik. — On rozbić twoja miotła, jak ty robić wolno!

Duńczykowi wydawało się, że nie pracuje wolniej od Gullaha Joe, ale zaraz spostrzegł, że bliższy ciała koniec miotły pozostaje niemal nieruchomy, gdy opuszczał ją, by wymieść sznurki. I kiedy tylko o tym pomyślał, kij miotły pchnął go niczym bagnet, trafiając w żołądek tuż pod mostkiem. Duńczyk padł jak kłoda, bez tchu. A kiedy po chwili udało mu się nabrać wielki haust powietrza, natychmiast zwymiotował.

Po kilku minutach pochylił się nad nim Gullah Joe.

— Ty mieć powietrze? On nie zranić ty mocno. On nie widzieć ty, inaczej ty trup.

— Kto? — zapytał Duńczyk.

— Ty myśleć, że ja wiedzieć?

— Gadasz, jakbyś wiedział wszystko.

— Kiedy ja wiedzieć, ja mówić, że wiedzieć. Ten tutaj, on być zły demon. On włożyć się jak zgubiony pies, on widzieć wszystkie imiona, demon jeść imiona jak chleb, jak ciasto, imiona słodkie. On wejść do mój krąg i wpaść w pułapka, on już nie wyjść. Dlatego on wściekły, demon. Porwać sieć, sypać imiona, zabić ja, jeśli potrafić. Ale ja go zatrzymać.

— Pomogłem.

— Tak, ty mnie przewrócić, bardzo sprytny.

— To dlaczego się nie ruszałeś?

— Widzieć moja zasupłana włosy? Włosy wić się, on przejść do środek, on mnie rozbić na kawałek.

Duńczyk od dawna się zastanawiał, czemu Gullah Joe wplata we włosy tasiemki i ścinki. To nie były ozdoby, to była ochrona — dopóki warkoczyki nie zaczynały się wić.

— Czyli te włosy nie dopuszczają demona?

Czarownik dumnie potrząsnął warkoczykami.

— Włosy, one trzymać demon z dala ode mnie. — Wskazał wiszące amulety otaczające się z imionami. — Te czary, one trzymać go w krąg. — Uśmiechnął się. — Ja go złapać.

— A po co ci on potrzebny? — zapytał Duńczyk. — Będzie spełniał życzenia czy co?

Gullah Joe spojrzał na niego jak na durnia.

— Ty żyć Biały za długo, chłopak. Ty dziwny od tego.

— Myślałem, że to może taki dzinn albo co.

— Ty nie prosić demon, żeby ci pomagać, on ci pomagać być trup, to jego pomoc.

Gullah Joe ruszył wokół kręgu, rozglądając się wśród wiszących amuletów.

— Dać mi to, i to, i to.

Duńczyk był wysoki, więc bez trudu zdjął z haków wskazane przedmioty. Wkrótce czarownik stworzył nowy krąg, całkiem podobny do starego, choć jeśli się przyjrzeć, nie było w nim dwóch takich samych amuletów. Zdawało się, że to nie ma znaczenia. Po jeszcze kilku minutach zebrali sznurki imion z podłogi, wsypali je do drugiej sieci i zawiesili pośrodku nowego kręgu.

— Teraz nikt ich nie widzieć znowu, one bezpieczne, one się nie zgubić i nie znaleźć.

— Czyli tym razem pokonaliśmy demona — uznał Duńczyk.

Gullah Joe ze smutkiem pokręcił głową.

— Nie, on porwać to jedno. Chwycić imię, pognieść je, zerwać sznurek, imię gdzieś polecieć.

— Zgubione?

— Nie, imię starać się szukać dom, bardzo się starać. — Gullah Joe westchnął. — Czasem imię silne, ale ślepe, nie znaleźć droga. Czasem imię widzieć droga, ale nie latać i znikać. To tutaj, ono silne, ono jasne. Może znaleźć dom.

— Które to było?

— Ty myśleć, ja powiedzieć imię? Zawołać imię do siebie? Myśleć, ja być taki zły? Nie. Ja nie mówić imię, ja się modlić, żeby imię znaleźć ta dziewczyna, ona dobra. Dlaczego on ją wybrać?

— Mnie nie pytaj — odparł Duńczyk. — Nie wiem, czemu ktoś kogoś wybiera.

— Nie, on iść do niej, on znać. Znać ona. Ten demon chodzić po ulica Camelot. Ten demon, może on człowiek. Może on być biały człowiek. — Gullah Joe uśmiechnął się. — Ale może jego dusza lecieć, złapać się tutaj, a jego ciało być gdzie indziej.

Duńczyk zastanowił się. Biały człowiek z duszą schwytaną gdzieś poza ciałem. . .

— Myślisz, że trzeba go znaleźć?

— Jak dużo jego ja tu złapać? Czarny człowiek dusza, ja brać imię, ja brać smutek, cała reszta zostać w ciało. Ale biały człowiek, ile on posyłać, ile on mnie oddać?

Podszedł do stołu, gdzie setki tajemnic spoczywały w słoiczkach i pudełeczkach. Otworzył jedno, potem następne. Odsuwał kolejne, aż wreszcie znalazł pudełko pełne miałkiego białego proszku. Uśmiechnął się i chwycił palcami szczyptę. Potem stanął na brzegu pierwszego kręgu, gdzie tkwił schwypany demon–człowiek, rozsunął palce i dmuchnął mocno. Szary pył wypełnił cały krąg, wirując aż po brzegi, ale nie wy-

suwając się na zewnątrz. Duńczyk zobaczył małe światełko, jakby moskita z ogonem świetlika, zmieniające kolor i śmigające w chmurze.

— To on? — zdziwił się Duńczyk.

— On mieć moc — stwierdził Gullah Joe tonem wyrażającym podziw.

— Skąd wiesz?

— Ty daleko, ale ty go widzieć, tak?

— Pewnie, że go widzę. Jak świetlik.

Gullah Joe zaśmiał się krótko.

— Ty ślepy. On jak gwiazda. Jasna gwiazda. My mieć kłopot w krąg. On szukać wyjście. A potem on wściekły.

— W takim razie wynieśmy się stąd — zaproponował Duńczyk. — Nie chcę, żeby porozcinał mnie jak tę sieć.

— Nie kłopot.

— Potrafisz go zatrzymać?

— Ja zrobić mój najlepszy krąg, żeby go trzymać. On być taki silny? Nie wiedzieć. Ale ja nie zrobić lepszy, więc... Może my trupy, może my bezpieczni. — Gullah Joe wzruszył ramionami. — Nie kłopot.

— Ale dla mnie to ważne! — krzyknął Duńczyk.

— To może ty lepiej iść. — Joe uśmiechnął się szeroko. — Ty iść znaleźć, jaki dom mieć w środku człowiek, oczy otwarte, nikogo w środku.

— Biały człowiek?

— Myśleć, czarny człowiek porwać sznurek imię?

— Nie wszyscy Czarni są dobrzy.

— Czarni ludzie wszyscy nasza strona.

Duńczyk zaśmiał się ponuro.

— To najgłupsza rzecz, jaką powiedziałaś, odkąd się znamy.

Gullah Joe spojrział na niego dziwnie.

— Wiedzieć, co wiedzieć — odparł.

— Och, są teraz po twojej stronie, Joe, bo trzymasz w siatce sznurki z ich imionami, dzięki tobie są szczęśliwi. Ale to nie znaczy, że zawsze są po twojej stronie, stary durniu.

Biały pan tak ich nastraszy, że zechcą go zadowolić, jak małe szczeniaki. Teraz nie mówią, bo gdyby tak Biały zabrał im duszę? Ale nie są po twojej stronie. Są po stronie swojego pana.

— Ty myśleć, że ty jeden sprytny człowiek? — rzucił z irytacją Gullah Joe.

— Widziałem to tysiące razy. Czarni zdradzają Czarnych, bo zawsze liczą, że potem pan bardziej ich polubi niż innych niewolników, będzie traktował trochę lepiej. Zobaczysz.

— Ja to robić już długi czas, dużo lat. Czarni ludzie wiedzieć, co ja tu trzymać, nigdy nie stanąć przeciwko mnie.

— Więc skąd ten biały demon wie, gdzie jesteś?

Czarownik szeroko otworzył oczy, zaskoczony pytaniem. Potem uśmiechnął się do Duńczyka.

— Ty pokazać droga.

— Wcale nie — zaprotestował Duńczyk. — Noszę tę siatkę pamięci, co ją dla mnie zrobiłeś, nikt się ode mnie niczego nie dowie.

— On nie patrzeć w twoja głowa, moja siatka zrobić głowa pusta. Demon iść za twoje stopy, aż wejść tu za tobą.

— Skąd wiesz?

— Wiedzieć, co wiedzieć — rzekł Gullah Joe, po raz chyba tysięczny, odkąd Duńczyk go poznał. — Widzieć go, jak wchodzić.

— Kłamiesz. Jakbyś widział, że wchodzi, tobyś powiedział.

— Ja go czuć. Czuć jego gorące oko szukać. Czuć, jak czary tańczyć, jak czary trząść.

— No to dlaczego go nie zatrzymałeś?

Gullah Joe pokręcił głową.

— Może ja myśleć, on nie znaleźć imion. Może ja myśleć, krąg go złapać.

— Może ty myśleć gównem — zirytował się Duńczyk. — Nie wiesz, że tu jest, dopóki sieć nie zaczyna pękać. Pewnie za tobą wszedł do kręgu.

Gullah Joe zastanowił się.

— Lepiej my znaleźć mu ciało.

— Więc nie przyznasz, że cię zaskoczył? Musisz udawać, że widzisz wszystko i wiesz wszystko?

— Ja nie widzieć wszystko. Ja widzieć więcej niż ty.

— Czasami.

— Tak dobrze ty widzieć? To ty iść i użyć swoja oczy, swoja usta, swoja uszy, ty znaleźć, gdzie mieszkać pusty biały człowiek bez dusza.

Duńczyk zaśmiał się gorzko.

— To pasuje do wszystkich Białych, jakich znam.

Gullah Joe zignorował tę uwagę.

— To go znaleźć, a potem my zrobić, że jego dusza wrócić do ciało.

— Potrafisz to?

— Może. — Czarownik wzruszył ramionami.

— A jeśli się nie uda?

— Wtedy ciało umrzeć. Ciało sobie nie żyć długo bez dusza.

— Co ty właściwie gadasz, do diabła? — zapytał Duńczyk. — Wszyscy ci niewolnicy, znaczy, umierają bez duszy?

— Czarni ludzie dalej mieć dusza — odparł zniecierpliwiony Gullah Joe. — Tylko biały człowiek posyłać tak swoja dusza. Dusza nie wracać do domu, jego ciało myśleć, że umrzeć, ono gnić.

— Czyli jeśli nie znajduje drogi powrotnej, to jego ciało umiera?

— Nie, nie umrzeć jego ciało. To ciało gnić, wyschnąć do kość, rozsypać w proch, ale ciągle być żywe, bo ta dusza, ona nie znaleźć już ciało, nigdy nie wracać do domu.

— To on właściwie chodzi już martwy? — upewnił się Duńczyk. — No dobrze, w takim razie po co go szukać?

— Ciało gnić żywe, to za powoli. On robić na złość. — Czarownik podniósł wielki nóż. — Lepiej my jego stamtąd wypędzić.

— Jak? Zabijemy ciało?

— Zabić? — Gullah Joe roześmiał się głośno. — My sprowadzić ciało tutaj, włożyć ciało do krąg. Dusza wrócić do ciało, potem on wyjść z mój dom.

— Czy nie będzie silniejszy, jak już będzie miał ciało i duszę razem? — zapytał Duńczyk. — Chcesz, żeby włóczył się dookoła, kiedy wie, co tu robimy?

— Może tak się stać, jak my włożyć całe ciało do krąg. — Gullah Joe zaśmiał się znowu.

— Przecież mówiłeś...

— My włożyć tylko jego głowa. Wtedy my bezpieczni. Ta dusza wejść do głowa. Ale jak wejść, ona paść trup.

Duńczyk także parsknął śmiechem.

— Chciałbym to zobaczyć. — Spoważniał. — Oczywiście wiesz, że mówimy tu o zamordowaniu Białego.

Gullah Joe tylko przewrócił oczami.

— Być dużo biały człowiek. Ty iść go szukać.

* * *

Wieczorem Margaret wybrała się na spacer po sąsiednich uliczkach. Było gorąco, ale nie mogłaby zasnąć, gdyby nie zażyła nieco ruchu. Powietrze, choć na poziomie ulicy pełne było smrodu ryb i końskich odchodów, nie było tak stęchłe jak w domu. Alvin zapewnił ją, że na ogół cuchnące powietrze jest po prostu powietrzem i można

nim oddychać. Lepszy taki smród niż pleśń w pokojach. Kiedy próbował jej opowiadać o paskudnych małych stworzonkach, jakie żyją w każdym domu, choćby nie wiedzieć jak czystym i dobrze zamiatanym, Margaret musiała go prosić, żeby przestał. O pewnych rzeczach lepiej nie wiedzieć.

Wraciała wzdłuż dłuższego boku budynku, gdy usłyszała czyjś szloch w ogrodzie. Był tam tylko jeden płomień serca, dobrze jej znany — niewolnicy zwanej Rybą. Jednak z trudem ją rozpoznała, gdyż płomień zmienił się całkowicie. Na czym polegała różnica? Margaret dostrzegła wir emocji: wściekłość za każdą doznaną obrazę, żal za czymś utraconym. A w głębi, gdzie wcześniej nie było niczego, teraz zobaczyła je: prawdziwe imię Ryby.

Njia-njiwa. Ścieżka Gołębic. Czy może Gołębica na Ścieżce. Margaret trudno było to pojąć, ponieważ termin dotyczył w części jednego i drugiego. Gołębica widziana w locie po niebie, która jednocześnie wyznacza ścieżkę życia. Było to piękne imię, a w miejscu, gdzie się znajdowało, Margaret odkryła też miłość i podziw jej rodziny.

— Njia-njiwa — powiedziała głośno, usiłując zmusić usta i nos do sformułowania dziwacznych zgłosek: „n” bez samogłoski, jako sylaba sama w sobie. Nnn-jii-ja. Nnn-jii-ua. Powtórzyła jeszcze raz.

Łkanie ucichło. Margaret okrążyła krzak i znalazła Rybę — Njia-njiwę — skuloną na ziemi przy fundamentach sąsiedniego domu. Ryba szeroko otwierała oczy, przerażona, jednak palce miała zakrzywione jak szpony, gotowa do walki.

— Ty nie zbliżaj się do mnie — powiedziała.

To była prośba. I ostrzeżenie.

— Odzyskałaś swoje imię — stwierdziła Margaret.

— Skąd o tym wiesz? Co ze mną zrobiłaś? Jesteś czarownicą?

— Nie, nie. Nic ci nie zrobiłam. Wiedziałam, że utraciłaś swoje imię. Jak je odzyskałaś?

— On je wypuścił — odparła Ryba, szlochając. — I nagle czuję, że się unoszę. Lecę z wiatrem. Nie mogę nawet stanąć. Wiem, że moje imię leci w powietrzu, ale ja nie mogę go zawołać, bo go nie znam. Myślałam, że umrę. Ale dotarło do mnie i wtedy wszystko wróciło.

Ryba zadrżała i zalała się łzami.

Margaret nie potrzebowała wyjaśnień. Widziała wszystko w pamięci Ryby.

— Każdy podły występek twojego pana wobec ciebie. Każda obraza każdego Białego. Szczęśliwe życie z twoją mamą, które ci odebrali. Nic dziwnego, że chciałaś kogoś zabić. — Margaret podeszła bliżej. — A jednak nie zabiłaś. Cały ten ogień wybuchł w tobie, a ty uciekłaś tylko do ogrodu, żeby się schować.

— Kiedy ona się dowie, że nie skończyłam pracy, zbije mnie — powiedziała Ryba. — Zbije mnie mocno, ale tym razem nie wiem, czy potrafię to znieść. Ona nie taka silna. Wyrwę jej kij z ręki i też ją zbiję. Ty myślisz, że jej się spodoba?

— Nie będziesz się po tym dobrze czuła, Njia-njiwa.

Dziewczyna drgnęła na dźwięk swego imienia i znów zapłakała.

— Och, mamó, mamó, mamó. . .

— Biedactwo — szepnęła Margaret.

— Ty nie lituj się nade mną, biała kobieto! Sprzątam brud po tobie tak samo jak po wszystkich!

— Dobrzy ludzie sprzątają po tych, których kochają — odparła Margaret. — Nie o sprzątanie ci chodzi, ale o to, że jesteś zmuszana robić to dla ludzi, których nie kochasz.

— Ludzi, których nienawidzę!

— Rybo, czy wolisz, żebym raczej zwracała się do ciebie tym imieniem?

— Nie próbuj więcej wymawiać mojego prawdziwego imienia!

— Dobrze więc. Może zrobimy tak: powiem, że mi dzisiaj pomagałaś, i zapłacę twojej pani niewielką rekompensatę za to, że oderwałam cię od obowiązków.

Ryba spojrzała podejrzliwie, ale trochę spokojniej.

— Dlaczego chce pani to zrobić?

— Ponieważ naprawdę potrzebuję twojej pomocy.

— Za to nie musi pani płacić. Jestem niewolnicą, nie słyszała pani?

— Nie chcę twojej pracy. Potrzebna mi twoja pomoc.

— Nie mam zamiaru pomagać Białym. Wszystko, co mogę, to nie zabić pani od razu.

— Wiem — przyznała Margaret. — Ale jesteś silna. Opanujesz to. Dobrze, że odzyskałaś imię. To tak jakbyś do tej chwili nie żyła, a teraz znów żyjesz.

— To nie życie. Teraz nie mam już nadziei.

— Teraz właśnie zaczyna się nadzieja. To, co zrobiliście ty i inni niewolnicy, to, że oddaliście wasze imiona, wasz gniew... Tak jest dla was bezpieczniej, owszem, jest łatwiej. Ale wiesz, komu to jeszcze pomaga? Im. Białym ludziom, którzy są waszymi właścicielami. Teraz, kiedy znów czujesz swój gniew, spójrz na innych niewolników. Popatrz, jak wyglądają w oczach właściciela.

— Wiem, jak wyglądają — rzekła Ryba. — Oni wyglądają jak głupi.

— Zgadza się. Głupi i zadowoleni.

— Ja nie będę już więcej wyglądać na głupią. Ona zobaczy to w moich oczach, jak bardzo jej nienawidzę. Ona będzie mnie teraz biła cały czas.

— W tej chwili nic na to nie mogę poradzić. Kupiłabym cię od niej, gdybym mogła, ale nie mam dość pieniędzy. Mogę cię wypożyczać, żebyś nie musiała spędzać czasu ze swoją panią, dopóki nie zapanujesz nad tymi uczuciami.

— Nigdy nie zapanuję! Nienawiść będzie tylko rosła i rosła, aż kogoś zabiję!

— Tak ci się teraz wydaje — uspokajała ją Margaret. — Ale możesz mi wierzyć, niewolnicy w innych miastach, w innych miejscach uczą się w końcu panować nad sobą, choć nikt nie odbiera im dumy. Obserwują. Czekają.

— Na co czekają? Na śmierć!

— Czekają na nadzieję. Nie mają nadziei, ale mają nadzieję na nadzieję, na powód do nadziei. A tymczasem jest wielu białych mężczyzn i kobiet, takich jak ja, którzy nienawidzą niewolnictwa. Robimy co w naszej mocy, żeby was uwolnić.

— To jest nic niewarte!

Margaret musiała uznać prawdę zawartą w tych słowach.

— Obawiam się, Rybo, że masz rację. Staralam się dokonać tego tylko słowami, przekonać ich, ale boję się, że nigdy się nie zmieniają, jeśli nie zostaną zmuszeni do zmiany. I boję się, że wymaga to wojny, krwawej i strasznej wojny między Stanami Zjednoczonymi a koloniami Korony.

Ryba spojrzała na nią zdziwiona.

— Pani mówi, że są na Północy Biali, co zechcą walczyć i ginać, żeby uwolnić Czarnych?

— Niektórzy — potwierdziła Margaret. — I o wiele więcej takich, co zechcą walczyć i ginąć, żeby przetrącić kark królowi Arthurowi, i jeszcze inni, którzy staną do walki, by pokazać, że Stany Zjednoczone nikomu nie dadzą sobą pomiatać, i... Dlaczego masz się przejmować, o co walczą? Jeśli wybuchnie wojna i Północ zwycięży, będzie to koniec niewolnictwa.

— Więc niech nadejdzie ta wojna.

— Chcesz tego? — spytała zaciekawiona Margaret. — Ilu Białych musi zginąć, żebyś ty była wolna?

— Wszyscy! — zawołała Ryba z nienawiścią. Potem złagodniała nieco. — Tylu, ilu trzeba. — A potem znów zaszlochała. — O Boże, kim ja jestem? Moja dusza taka grzeszna! Idę do piekła!

Margaret uklękła obok niej i wreszcie ośmieliła się położyć dłoń na ramieniu dziewczyny. Ryba nie cofnęła się, jak by to zrobiła wcześniej.

— Nie pójdziesz do piekła — obiecała Margaret. — Bóg widzi twoje serce.

— Moje serce będzie teraz chcieć mordować przez cały czas!

— A mimo to twoja ręka wciąż pozostaje ręką pokoju. Bóg kocha cię za to, że tak wybrałaś, Rybo. Bóg kocha cię za to, że jesteś godna swego prawdziwego imienia.

Poruszenie było niewielkie, ale wyczuwalne: Ryba pochyliła się nieco bliżej Margaret, wreszcie zapłakała na ramieniu białej kobiety.

— Proszę, niech pani pozwoli mi zostać ze sobą — szepnęła.

— Chodźmy więc do mojego pokoju — rzekła Margaret. — Mam nadzieję, że zgodzisz się, byśmy wspólnie trochę kłamały.

Ryba zachichotała, choć pod koniec było to raczej łkanie niż śmiech.

— Tutaj, proszę pani, kiedy ludzie otwierają usta, jeśli nie jedzą, to kłamią.

DOBRY LUDZIE

Więc do tego wszystko się sprowadziło, po tylu latach w sądzie jako adwokat i jako sędzia: John Adams miał wydać wyrok w procesie o czary. Co za hańba! Przez jakiś czas był kimś w rodzaju filozofa; wywołał incydent międzynarodowy w związku ze swym zaangażowaniem w rewolucję w Appalachee. Agitował za unią Nowej Anglii i Stanów Zjednoczonych, wyzywając lorda protektora, by aresztował go za zdradę. Nawoływał do zakazu handlu z koloniami Korony, dopóki nie skończą handlować niewolnikami, gdy w tym samym czasie jego rodacy w Nowej Anglii głośno żądali nawiązania stosunków gospodarczych. Od 1760 nie było w Nowej Anglii żadnej sprawy większej wagi, w któ-

ra nie byłby zaangażowany. Założył nawet dynastię, a przynajmniej tak można było to nazwać, kiedy jego syn, John Quincy, został gubernatorem Massachusetts i przewodniczącym Rady Nowej Anglii. Od piętnastu lat John Adams cieszył się sławą wybitnego jurysty; zyskał w końcu miłość innych Jankeśów, kiedy zrezygnował z nominacji do sądu najwyższego lorda protektora w Anglii, woląc pozostać „wśród wolnych ludzi Ameryki”.

A teraz musiał poprowadzić proces o czary. Ten ropuchowaty łowca czarownic, Quill, spotkał się z nim, gdy tylko John przyjechał wczoraj wieczorem do Cambridge. Przypomniał mu, że jego obowiązkiem jest przestrzeganie prawa — jak gdyby potrzebował takiego przypomnienia od ludzi podobnych Quillovi.

— Nie przekroczyłem prawa w żadnym względzie — zaznaczył łowca czarownic. — Przekona się pan o tym nawet z zeznań czarowników, jeśli nie skłamię.

— Niech Bóg ma nas w swojej opiece, gdyby się okazało, że czarownik może kłamać — mruknął John.

Quill w ogóle nie zrozumiał ironii i uznał tę odpowiedź za potwierdzenie. Bardzo dobrze. Johnowi nie przeszkadzało, że łowca czarownic wyszedł zadowolony; najważniejsze, że wyszedł.

John powinien umrzeć już w zeszłym roku, kiedy zachorował na gripę. Wiedział z najlepszych źródeł, że bostońskie gazety zarezerwowały po dwie strony na jego nekrologi. Dokładnie tyle samo miejsca poświęcono na panegiryki z okazji opuszczenia doczesnej powłoki przez ostatniego lorda protektora. Miło wiedzieć, że uważają człowieka za równego władcóm i potentatom, nawet jeśli nie do końca udało się przyłączyć Nową Anglię do Stanów Zjednoczonych, co uniemożliwiło mu odegranie znaczącej roli w tym niezwykłym eksperymencie. Zamiast tego został tu, wśród dobrych ludzi z Nowej Anglii, których szczerze kochał jak braci i siostry. . . Choć czasami tęsknił, by zobaczyć jakąś twarz, która nie wygląda jak wszystkie inne twarze.

Ale procesy o czary. . . Paskudna sprawa, pozostałość z czasów średniowiecza. Skaża na obliczu Nowej Anglii.

Jednak prawo jest prawem. Wniesiono oskarżenie, a więc proces musi się odbyć, a przynajmniej rozpocząć. Quill dostanie szansę, żeby powiesić jakiegoś nieszczęśni-

ka — jeśli potrafi tego dokonać bez naruszania prerogatyw ławy przysięgłych i bez rozciągania działań prawnych poza ich ustawowe i naturalne granice.

Teraz John Adams siedział przy śniadaniu ze swoim dawnym uczniem Hezekiahem Study. Wyznając podwójną moralność, mówił sobie. Wczorajszą wizytę Quilla uznałem za wysoce niewłaściwą. Wizytą Hezekiaha, choć także obliczoną na wywarcie wpływu na moje sądy w tej sprawie, zamierzam się cieszyć. Cóż, każdy dureń potrafi być konsekwentny, i większości durniów się to udaje.

— Cambridge nie jest już takie jak dawniej — stwierdził John. — Studenci nie chodzą w togach.

— Wyszły z mody — odparł Hezekiah. — Ale gdyby ktokolwiek wiedział o pańskim przyjeździe, może włożyliby je znowu. Pańska opinia w tej kwestii jest powszechnie znana.

— Trudno mi uwierzyć, by ci chłopcy zechcieli choćby rozczesać włosy dla takiej relikwii jak ja.

— Świętej relikwii, sir?

John skrzywił się.

— Więc teraz mam być nazywany „sir”? Przez ciebie?

— Byłem pańskim studentem. Pan uczył mnie o Platonie i Homerze.

— Ale ty wolałeś Arystofanesa, o ile pamiętam. — John Adams westchnął. — Musisz zrozumieć, że wszyscy moi rówieśnicy nie żyją. Jeśli chciałbym, by ktokolwiek na tym świecie nazywał mnie Johnem, to właśnie przyjaciel, który kiedyś zwracał się do mnie „sir” z powodu mojego starszeństwa. Powinniśmy wprowadzić nową zasadę towarzyską: kiedy kończymy pięćdziesiąt lat, jesteśmy w tym samym wieku już na zawsze.

— Zatem Johnie — ustąpił Hezekiah. — Wiedziałem, że Bóg wysłuchał moich modlitw, kiedy usłyszałem, że właśnie ty i nie kto inny trafił do tej sprawy.

— Jeden sędzia wykasłuje płuca w pokrzwawione chusteczki, drugi właśnie chowa żonę, a ty sądzisz, że w taki sposób Bóg odpowiada na modlitwy?

— Nie wypadło na ciebie, a jednak jesteś tutaj. Na procesie o czary, sir. John.

— Aha, więc teraz mnie nobilitowałeś. Sir John.

Miał ochotę wyśmiać pomysł, że jest odpowiedzią na czyjeś modlitwy. Ponieważ jego własne rzadko bywały wysłuchiwane, raczej nie byłoby uczciwe ze strony Boga, gdyby uczynił go nagrodą w cudzej grze pobożności.

— Wiem, co sądzisz o czarownikach — rzekł Hezekiah.

— Wiesz także, co myślę o prawie — odpowiedział John. — Mogę nie wierzyć w samo przestępstwo, ale to nie znaczy, że będę miał jakieś uprzedzenia w prowadzeniu tej sprawy. — Och, przestańmy udawać, że ta kwestia pojawiła się przypadkowo. — Dlaczego tak cię to interesuje? Sam chyba broniłeś w takich sprawach, kiedy jeszcze pracowałeś jako adwokat.

— Nie byłem dobrym adwokatem.

John zauważył cierpienie w głosie przyjaciela. Wciąż go to dręczy, po tylu latach?

— Byłeś świetnym prawnikiem, Hezekiahu. Ale cóż znaczy prawnik wobec zabornej, krwiożerczej tłuszczy?

Hezekiah uśmiechnął się blado.

— Zapewne wiesz, że obrońca tego kowala został wczoraj aresztowany?

Quill nie uznał za stosowne wspomnieć o tej drobnej zagrywce, ale John dowiedział się od szeryfa.

— Teraz rozumiem. Jeden prawnik za drugim występuje, by bronić tego człowieka, więc zostaje oskarżony i zamknięty w celi. W ten sposób proces trwa, dopóki wszyscy prawnicy nie trafią do więzienia.

Hezekiah uśmiechnął się znowu.

— Są tacy, którzy uznaliby to za najlepsze z możliwych rozwiązań.

John zachichotał także. Potem westchnął.

— Nie martw się, Hezekiahu. Nie pozwolę, by obrońcy siedzieli w więzieniu po to, żeby podbudować oskarżenie łowcy czarownic. Ale nie powinniśmy o tym rozmawiać.

— Wiedziałem, jak postąpisz w tej sprawie. Jeśli Quill sądził, że ujdzie mu coś takiego... Ale powinieneś widzieć, co się stało, gdy się spotkali z tym prawnikiem. Uderzył Quilla w słaby punkt charakteru.

— To dość śliskie miejsce, by w nie trafiać.

— Ale nie, nie chodzi mi o adwokata. Jest inna kwestia, na którą chciałbym zwrócić twoją uwagę.

— Wnieś ją otwarcie w sądzie.

— Nie mogę. Zresztą nie ma wartości dowodowej.

— Więc powiedz mi o tym później.

— Nie dręcz mnie, przyjacielu — poprosił Hezekiah. — Nie próbowałbym robić nic sprzecznego z etyką. Zaufaj mi na tyle, by mnie wysłuchać.

— Jeśli chodzi o sprawę...

— Chodzi o oskarżycielkę.

— Która będzie też oskarżoną na własnym procesie.

— Nie będzie sądzona — sprzeciwił się Hezekiah. — Współpracuje z Quillem. Dlatego nasza rozmowa nie ma wpływu na działania sądu.

— Nie obwiniaj Quilla. Ona sama chciała wnieść to oskarżenie.

— Wiem, sir. John. Ale to nie jest typowa oskarżycielka. Jej rodziców powieszono za czary, kiedy się urodziła. Dokładniej, jej ojciec zadyndał, jak to mówią, zanim jeszcze przyszła na świat, a matka ledwie parę tygodni później. Dziewczyna odkryła to dopiero kilka dni temu, a to doprowadziło ją do takiego stanu, że...

— Że wniosła fałszywe oskarżenie przeciwko obcemu człowiekowi? — John skrzywił się. — Masz plamę z żółtka na brodzie.

Hezekiah wytarł ją serwetką.

— Myślę, że to oskarżenie nie jest fałszywe.

John spojrział na niego pośpiesznie.

— Cieszę się, że nie powiedziałaś niczego, co mogłoby wpłynąć na osądzenie sprawy tego kowala.

— Nie mówię, że jest obiektywnie prawdziwe. Chodzi mi o to, że ona jest szczerą. Jej intencje są czyste. Wierzy w swoje oskarżenia.

John wzniosł oczy ku niebu.

— Ilu więc mam powiesić z powodu przesądów jednej dziewczyny?

Hezekiah odwrócił wzrok.

— Ona nie jest przesądna, sir. To miła dziewczyna. Ma dobre serce i jest bardzo inteligentna. Studiowała u mnie i słuchała wykładów.

— Aha. No tak. Dziewczyna i jej profesorowie. Dlatego strażnicy urządzili najazd na Harvard i połowę grona wyciągnęli na przesłuchania.

— Nie ona do tego doprowadziła, sir. Odmawia obciążenia kogokolwiek prócz początkowych oskarżonych.

— Dopóki ten skory do wieszania łowca czarownic nie zagoni jej do nieprzytomności.

— Powinieneś słyszeć adwokata tego kowala, jak oskarżył Quilla o stosowanie tortur. Na łańce, przy wszystkich. — Hezekiah uśmiechnął się na samo wspomnienie. — To on trzymał sznurki, a Quill tańczył przed tłumem.

Johnowi ta wizja podobała się tak samo jak Hezekiahowi, ale był sędzią i pierwszą umiejętnością, jaką udoskonalił, było zachowywanie powagi i niezdradzanie uczuć nawet błyskiem oka.

— Czyli zaprosiłeś mnie, chcąc przekonać, że ta dziewczyna, Purity, ma dobre chęci, kiedy próbuje powiesić tego młodego człowieka?

— Chcę powiedzieć, że to nie jest przypadek zemsty, zawiedzionej miłości czy czegoś w tym rodzaju, co zwykle tkwi u podstawy takich procesów.

— Więc co to jest? Skoro obaj wiemy... — John rozejrzał się dyskretnie i zniżył głos. — Wiemy, że jedyną rzeczą pewną w tym procesie jest fakt, że nie ma żadnych czarowników.

— Chłopak głośno się przechwalał jakimś talentem. Ona wie tylko tyle, ile jej opowiedział, on czy ktoś z jego towarzyszy. Ale uwierzyła. Postąpiła tak, bo musi przecież wierzyć w prawo, które skazało jej rodziców na szubienicę. Gdyby zważyła w słusność tego prawa, wtedy straszliwa niesprawiedliwość wyroku doprowadziłaby ją do obłądu.

— Daj spokój, Hezekiahu. „Doprowadziła do obłądu”? Czytujesz powieści sensacyjne?

— Mówię to w sensie całkiem dosłownym. Purity żywi głęboką wiarę w dobroć naszej chrześcijańskiej społeczności. Gdyby uznała, że jej rodzice byli fałszywie oskarżeni i powieszni z tego powodu. . .

— Kim byli jej rodzice? Czy to sprawa, którą powinienem. . . — I nagle dokonał w głowie prostych obliczeń: wiek dziewczyny, tyle lat temu. . . Zrozumiał, czyją jest córką. — Och, Hezekiahu. . . To ta sprawa?

Hezekiahowi łzy pociekły z oczu.

— Chciałem, żebyś o tym wiedział, John. Ta, która wydaje się oskarżycielką, jest po prostu ostatnią ofiarą tej obrzydliwej afery.

John odpowiedział mu łagodnie:

— Nowa Anglia to piękna kraina. Mamy tu naszą porcję hipokryzji, naturalnie, lecz potrafimy stawić czoło swoim grzechom i słabościom ludzkiej natury, potrafimy wyznać nasze błędy. Ale to. . . jak mogło dojść tak daleko?

— Nie wiedziałeś tego co ja, John — szepnął Hezekiah.

— Nie, nie opowiadaj. Nie potrzebujesz usprawiedliwień, przyjacielu. Wtedy walczyłeś sam.

— Nie potrafiłem. . . Nie mogłem. . .

John położył dłoń na rękę Hezekiaha.

— Tak to siadamy do dobrego śniadania i doprowadzamy do tego, że staje się niestrawne — powiedział. — Nie martw się. Wiesz, że byłeś bez winy.

— Ależ nie.

— Więc teraz jej bronisz, żeby za to odpokutować?

Hezekiah pokręcił głową.

— Troszczyłem się o nią przez całe jej życie. To moja pokuta. By pozostawać tutaj, nieznany. Mam krew na rękach i nie chcę mieć nowej. Ten młody prawnik, który gnije teraz w celi. . . On tego dokona. Kiedy go wypuścisz i zacznie bronić swoich przyjaciół,

przekonasz się, czy nie otworzy ci drogi do rozwiązania tej sprawy. Ja proszę tylko, żebyś nie wnosił zarzutów przeciwko oskarżycielce.

— Angielski adwokat może to zrobić, ale ty nie?

— Złożyłem przysięgę, uroczyście, przed Bogiem.

— I pozbawiłeś adwokaturę Nowej Anglii uczciwego człowieka. Sądownictwo również. Powinieneś nosić toę jak ja, przyjacielu.

Hezekiah szorstkim gestem otarł łzy.

— Dziękuję, że zechciałeś się ze mną spotkać, John. I że potraktowałeś mnie jak przyjaciela.

— Teraz i zawsze, Hezekiahu. Zobaczę cię na procesie?

— Jak mógłbym to znieść? Nie. Niech Bóg cię błogosławi, John. Wiem, że to On cię tu sprowadził. Tak, pamiętam, że twoim zdaniem Bóg jest zegarmistrzem, który zainstalował długą bez końca sprężynę. . .

— Słowa, których nigdy nie wypowiedziałem, choć często są mi przypisywane. . .

— Słyszałem jeż twoich własnych ust.

— Rozbudź swą pamięć, a przypomnisz sobie, że cytowałem tę tezę, by ją obalić. Nie jestem deistą jak Tom Jefferson. To jego zdanie. Jedyny Bóg, jakiemu skłonny jest oddać cześć, to ten, który zamknął warsztat i poszedł sobie, więc nie ma ryzyka, że ktoś zaprzeczy Tomowi Jeffersonowi, kiedy głosi te swoje bzdury o „człowieku rozumnym”. On i ten jego mur oddzielający Kościół i państwo... Zwykły bełkot. Taki mur służy tylko tym, którzy próbują trzymać Boga po przeciwnej stronie, żeby mogli bez przeszkód dzielić naród.

— Przepraszam, że znowu przywołałem twoją dawną nemezis.

— Nie ty — odparł John. — Ja to zrobiłem. A raczej on. Można by sądzić, że przestanie mnie drażnić, ale to irytuje, że jego mały kraik będzie częścią Stanów Zjednoczonych, a mój nie jest.

— Jeszcze nie jest — zauważył Hezekiah.

— Nie będzie za mojego życia, a ja jestem egoistą i chciałbym jeszcze sam to zobaczyć. Stany Zjednoczone potrzebują społeczności purytańskiej jako przeciwwagi dla tej nieznośnie sekularnej Toma Jeffersona. Zapamiętaj moje słowa: kiedy rząd udaje, że jest najwyższym sędzią własnych działań, wynikiem nie jest wolność, jak utrzymuje

Jefferson, ale chaos i ucisk. Kiedy usuwa się religię z rządów, kiedy nie słucha się ludzi pełnych wiary, pozostaje tylko korupcja, pozerstwo i ambicja.

— Mam nadzieję, że mylisz się w tej kwestii — rzekł Hezekiah. — Wielu z nas spogląda na Stany Zjednoczone jak na kolejny etap amerykańskiego eksperymentu. Nowa Anglia zaszła daleko, aż do tego miejsca, ale teraz uległa stagnacji.

— Jak tego dowodzi obecny proces. — John westchnął. — Chciałbym się mylić, Hezekiahu. Ale to prawda. Tom Jefferson twierdzi, że walczy o wolność, i oskarża mnie, że promuję coś w rodzaju teokracji czy arystokracji. Ale na końcu jego drogi nie ma wolności.

— Skąd możemy o tym wiedzieć? Nikt nie przebył jeszcze tej drogi.

— Ja przebyłem — zapewnił John i natychmiast tego pożałował.

Hezekiah spojrział na niego ze zdziwieniem i zaraz się uśmiechnął.

— Nieważne, jak precyzyjna jest twoja wyobraźnia, nie przypuszczam, by uznano ją za dowód.

Ale tu nie chodziło o wyobraźnię. John widział. Widział wyraźnie, jak teraz Hezekiaha przed sobą. Ten rodzaj wizji Bóg powierzył mu na całe życie — że widzi, jak

płyńcie siła i władza, i dokąd prowadzi w grupach ludzi zarówno wielkich, jak i małych. Wizja była dziwna i niejasna, nie potrafili jej nikomu opisać i nigdy nie próbowali, nawet Abigail. Pozwalała mu jednak wyznaczyć kurs przez wszystkie teorie i filozofie, jakie wirowały i roły się w koloniach brytyjskich. Pozwoliła mu przejrzeć Toma Jeffersona, który mówił o wolności, ale nigdy nie zdołał się zmusić do uwolnienia swoich niewolników. Abolicjoniści krytykowali go za hipokryzję, lecz tracili z oczu najważniejsze. Jefferson nie był miłośnikiem wolności, który zaniedbał wyzwolenia niewolników; był człowiekiem, który chciał władać innymi, i czynił to, mówiąc o wolności. Jefferson obnażył się przed całym światem, gdy spróbował uciszyć swoich krytyków ustawami o obcych i o działalności wywrotowej, kiedy tylko Appalachee uzyskało niezależność od Korony. To tyle, jeśli chodzi o jego umiłowanie wolności — ludzie mogą korzystać z wolności słowa, pod warunkiem że nie przeciwstawiają się polityce Jeffersona. Ale chociaż uchylono te prawa — po długich latach, kiedy ścigano przeciwników Jeffersona, zmuszając ich do milczenia lub emigracji — ludzie wciąż uważali go za ostoję swobody.

John Adams poznał Toma Jeffersona i właśnie dlatego Tom Jefferson nienawidził Johna Adamsa — ponieważ John naprawdę był tym, kogo Jefferson tylko udawał: człowiekiem, który kocha wolność, nawet wolność tych, którzy się z nim nie zgadzają. Nawet wolność Toma Jeffersona. To czyniło ich walkę nierówną. Zwycięstwo musiało przypaść Jeffersonowi.

— Dobrze się czujesz, John? — zaniepokoił się Hezekiah Study.

— Raz jeszcze staczam w myślach dawne bitwy. To główny kłopot z podeszłym wiekiem. Dysponujesz wszystkimi zakurzonymi argumentami, ale nie masz sił na kłótnię, która by pozwoliła ich użyć. Mój umysł to prawdziwe muzeum, lecz niestety, jestem tam jedynym gościem i nawet mnie niespecjalnie interesują te eksponaty.

Hezekiah zaśmiał się z sympatią.

— Niczego nie pragnąłbym bardziej, niż zwiedzić to muzeum. Ale obawiam się, że walczylibym z pokusą, by okraść je i zabrać wszystko ze sobą.

John sam był zaskoczony, że te słowa wycisnęły łzy z jego oczu.

— Naprawdę, Hezekiahu? — Zamrugał gwałtownie, by usunąć wilgoć spod powiek. — Widzisz, wzruszyłeś starego człowieka. Znalazłeś jedyną metodę przekupstwa, na jaką jestem podatny.

— To nie było pochlebstwo, sir.

— Wiem. To był honor. Niech Bóg mi wybaczy, ale nigdy nie potrafiłem oczyścić swego serca z pożądania takich zaszczytów.

— Nie ma w tym grzechu, John. Honory od uczciwych ludzi można zyskać tylko dobrocią. W ten sposób dzieci boże się rozpoznają. To uczta miłości.

— Może Bóg naprawdę mnie tu sprowadził. W odpowiedzi na moje modlitwy.

— Może tak właśnie działa Bóg — zgodził się Hezekiah. — Modlimy się o bożego posłańca, ale kto wie, czy ów posłaniec także się nie modlił o miejsce, gdzie mógłby przekazać wieść?

— Czym mnie to czyni? Aniołem?

— Zmagaj się z Jakubem. Pozostaw go kulawym.

— Kiedyś wszystkie twoje aluzje odwoływały się do Homera i greckich tragiczków.

— Teraz mam Biblię. Bardziej od ciebie muszę obawiać się śmierci.

— Ale i dłużej musisz na nią czekać — stwierdził z żalem John.

Hezekiah zaśmiał się, uścisnął przyjacielowi dłoń i wyszedł. John poprawił serwetkę i skończył jeść śniadanie. Spotkanie wzbudziło więcej emocji, niż się spodziewał, a prawdę mówiąc — więcej, niżby sobie życzył. Emocje czasami wybuchały i co właściwie miał z nimi robić? Człowiek musiał przecież jakoś żyć dalej.

Każdy człowiek z wyjątkiem Hezekiaha Study. On nie dbał o swoje życie. Zakończyło się ono wiele lat temu, w Netticut, na końcach dwóch stryczków.

A moje życie? Kiedy się skończyło? Bo że się skończyło, widzę teraz wyraźnie. Jestem jak Hezekiah. Skręciłem gdzieś albo nie skręciłem; zatrzymałem się albo nie chciałem się zatrzymać. Powinienem być kimś innym. Powinienem być prezydentem tego młodego narodu wolnych ludzi. Nie sędzią w procesie o czary. Nie korpulentnym starszkiem, który dojada śniadanie, samotny przy stole w gospodzie w Cambridge, czekając, aż Tom Jefferson — niech będzie przeklęty! — umrze, bym mógł zyskać nędną satysfakcję, że przeżyłem tego bękarta Wolności.

Och, Tom, gdybyśmy tylko zostali kiedyś przyjaciółmi. Ja mógłbym odmienić ciebie, ty odmienić mnie; obaj stalibyśmy się w rzeczywistości takimi mężami stanu, jakiego ty udawałeś, a ja chciałbym być.

* * *

Przez całą noc Purity nie mogła zasnąć. Wszystko, co działo się wczoraj, było nie do zniesienia — ten bieg i bieg, i bieg. A jednak potrafiła go znieść. To ją zdumiało. Pociła się i dyszała, ale biegła, wciąż biegła, a przez cały czas gdzieś w głębi umysłu rozbrzmiewała jej jakaś muzyka. Gdy tylko próbowała jej słuchać, odnaleźć melodię, dźwięk zanikał i słyszała tylko dudnienie pulsu w skroniach, własny oddech, uderzenia stóp o ziemię. Zataczała się wtedy przez kilka kroków, a rytm i melodia wracały, podtrzymywały ją i . . .

Wiedziała, co to takiego. Czy Arthur Stuart nie opowiadał, jak to Alvin mógł biec i biec z zieloną pieśnią, której nauczył się od Czerwonego Proroka, czy też od samego Ta-Kumsawa? To nieważne. Alvin używał swoich czarów, żeby dodać jej sił. Purity miała ochotę krzyknąć, żeby przestał.

Od poprzedniego dnia czegoś się jednak nauczyła. Quill ją nauczył. Wszystko, co mówiła, było przekręcane. Nie wspomniała przecież o szatanie, nie pomyślała nawet o nim, a jednak spotkanie z Alvinem i jego przyjaciółmi nad rzeką zmieniło się w sabbat czarowników, pływanie Alvina z Arthurem w kazirodztwo. Wreszcie uświadomiła sobie coś, co powinno być oczywiste od samego początku, przed czym usiłował ją ostrzec wielebny Study. Jakiegokolwiek wady ma Alvin Smith, są niczym w porównaniu ze straszliwym złem, jakie wyniknie z oskarżenia go o czary. Co by się stało, gdyby teraz wykrzyczała to, co miała w sercu: „Przestań! Przestań czarować, żeby podtrzymać mnie w biegu!”. To by tylko pogorszyło sytuację.

Czy coś takiego spotkało moich rodziców? — pomyślała.

Stopniowo, w miarę upływu czasu, zaczęła dostrzegać coś jeszcze. Quill był pełen lęku i wściekłości; umysł miał czujny, by nie przeoczyć niczego i wszystko zmienić w dowód zła, którego szukał. Patrzył na Purity z fascynacją i odrazą, co uznała za groźne i niepokojące. Za to Alvin Smith był do niej nastawiony równie przyjaźnie jak wtedy na brzegu. Nie miał żalu, że przez nią trafił do celi. Owszem, używał swoich czarów — przynajmniej tak się jej wydawało — ale powodowany szczerym współczuciem. Taka

była prawda, wiedziała o tym dzięki własnemu talentowi. Był trochę zniecierpliwiony, ale nie miał do niej żalu.

Teraz, kiedy zbliżał się dzień składania zeznań, nie wiedziała, co powinna zrobić. Jeśli zaświadczy przeciwko Alwinowi, mówiąc wyłącznie prawdę, Quill wytłumaczy wszystko tak, by wydawało się, że coś ukrywa. Wyobrażała sobie te pytania. Dlaczego nie chcesz wspomnieć o sabacie czarowników? Nie było żadnego sabatu czarowników. A co z rozpustą, nago, między tym mężczyzną i chłopcem, pół-Czarnym, który, jak stwierdziłaś, jest jego synem? Bawili się w wodzie, to wszystko. Ach tak? Bawili się w wodzie? Nagi mężczyzna i nagi chłopiec pluskali się tylko? Czy takie jest twoje zeznanie?

Nie, to będzie okropne. Quill przekręci każde słowo.

O wiele łatwiej byłoby przyznać się do lżejszego przestępstwa. Wymyśliłam wszystko, Wysoki Sądzie, ponieważ wystraszyli mnie nad rzeką i chciałam, żeby sami poznali, jakie to uczucie. Wymyśliłam to, bo właśnie odkryłam, że moich rodziców powieszono za czary, i chciałam pokazać, jak łatwo się wierzy w fałszywe oskarżenia.

Niemal już zdecydowała się na takie rozwiązanie, gdy nagle ktoś przekręcił klucz w zamku, drzwi się otworzyły i stanął w nich Quill, uśmiechnięty, współczujący. Dla niej wyglądało to raczej na nienawiść; teraz zobaczyła to, co jej przedtem umknęło. Quill pragnął jej śmierci.

Jak mogła przeoczyć coś takiego? Przecież to był jej talent: wiedzieć, co ludzie zamierzają, co zrobią. A jednak przy ich pierwszym spotkaniu nie zdołała spojrzeć poza ten uśmiech, dostrzegła tylko szczerą miłość i troskę. Czy talent mógł ją tak zawieść?

Co takiego Quill jej powiedział w jednym ze swych wielu chaotycznych wykładów o szatanie? Że szatan nie jest lojalny i nie wspiera swych wyznawców.

Dlaczego więc teraz zobaczyła prawdę?

A może to wcale nie jest prawda? Czy szatan oszukał ją, pokazał nienawiść tam, gdzie istniała tylko miłość?

Nie było sposobu, by przerwać ten krąg wątpliwości. Wciąż stąpała po śliskim gruncie. Alvin Smith, który przyznał się przecież do czarów, był dla niej życzliwy i wyrozumiały, choć bardzo go skrzywdziła. Quill, który był sługą bożym w walce z czarami, przekręcał każde słowo, które wypowiadała, i zmieniał je w fałszywe świadectwo prze-

ciwko Smithowi i jego przyjaciółom. A teraz, jak się zdawało, chciał, żeby Purity zawi-
sła na szubienicy. Zdawało się... Czy prawda może być tak prosta? Czy to możliwe, że
wszystko jest takie, jak się wydaje?

— Wiem, o czym myślisz — rzekł Quill cicho.

— Naprawdę?

— Myślisz, że odwołasz swoje oskarżenia wobec Alvina Smitha i wtedy proces się
nie odbędzie. Wiem, co myślisz, bo wszyscy o tym myślą tuż przed rozprawą.

Nie odpowiedziała. Wyczuwała złośliwość płynącą od niego niczym smród od nie-
przewiniętego dziecka.

— Procesu nie odwołają — mówił Quill. — Mam już twoje zeznanie złożone pod
przysięgą. Osiągniesz tyle, że do twoich zbrodni dojdzie jeszcze krzywoprzysięstwo. Co
gorsza, wszyscy uznają, że powróciłeś do szatana i próbujesz ukrywać jego działania.
I tak już teraz wydaje się, że ukrywasz innych czarowników z Cambridge. Nie mogłaś
chyba się spodziewać, że będziesz chronić przyjaciół, a obciążać jedynie obcych. Czyż-
byś była aż tak naiwna? Tak mocno zaplątana w sidła i sieci szatańskie, że uwierzyłaś,
iż ukryjesz cokolwiek przed Bogiem?

— Niczego nie ukrywam.

Ale już mówiąc te słowa, wiedziała, że na próżno zaprzecza.

— Mam tutaj listę profesorów i wykładowców z Cambridge, o których wiadomo, że stwarzają na zajęciach atmosferę niechęci wobec wiary w Boga. Nie ty jedna ich oskarżasz; moi koledzy i ja tworzyliśmy tę listę przez wiele lat. Na przykład Emerson wykpiwa samą możliwość istnienia czarów i czarowników. Lubisz Emersona, prawda? Słyszałem, że z wyjątkową uwagą szpiegowałaś przed salami, gdzie prowadził wykłady.

— Nie szpiegowałam. Przyznano mi prawo do słuchania.

— Słyszałaś go — stwierdził krótko Quill. — Ale moje pytanie brzmi: czy jego również widziałaś na sabacie czarowników?

— Nigdy nie widziałam sabatu czarowników, więc jak mogłam zobaczyć na nim profesora Emersona?

— Nie baw się ze mną logiką — szepnął Quill. — Ten sylogizm jest fałszywy, ponieważ całe twoje zeznanie było fałszywe. Sama opowiedziałaś mi o sabacie czarowników.

— Nic takiego nie mówiłam.

— Rozpusta — szeptał dalej. — Zbrodnie przeciwko naturze.

Spojrzała na niego śmiało; żądzę swej krwi zobaczyła tak jasno wypisaną w emocjach na twarzy łowcy czarownic, w napięciu mięśni, że nie potrzebowała swego talentu, by ją wykryć.

— Pan jest tym, który nienawidzi natury — powiedziała. — Jest pan nieprzyjacielem Boga.

— Kiepskie. Odradzam korzystanie z tego argumentu w sądzie. Spowoduje tylko, że uznają cię za głupią, a ja zbiję go z łatwością.

— Jest pan wrogiem dobra i przyzwoitości — rzekła już śmieiej. — I o ile Bóg jest dobry, nienawidzi pan Boga.

— O ile? Profesorowie dobrze cię wyuczyli. Myślę, że twoja odpowiedź, mimo prób zafałszowania, brzmi „tak” na pytanie, czy widziałaś Emersona na sabacie czarowników.

— Nic takiego nie powiedziałam.

— Twierdę, że przez użycie naukowego języka w trakcie szatańskiego potępienia mojej roli w służbie bożej, twój prawdziwy duch, trzymany w pętach przez szatana, próbował przesłać mi zaszyfrowaną wiadomość, oskarżając Emersona.

— Kto uwierzy w takie bzdury?

— Powiem to tak, że przysięgli zrozumieją i uwierzą — zapewnił Quill. Postawił znaczek przy nazwisku Emersona. — Emerson, dobrze. Jeden ze szpiegów szatana schwytyany. Spójrzmy teraz na pozostałe nazwiska.

— Zaszyfrowana wiadomość — rzuciła z pogardą.

— Nie chcesz zrozumieć, że sam twój szyderczy uśmiech dowodzi wzgardy dla świętości. Nienawidzisz wszystkiego, co dobre i piękne, a twój pogardliwy ton najlepiej o tym świadczy.

— Proszę odejść.

— Na razie odejdę. Wstępne przesłuchanie wyznaczono na dzisiaj rano. Sędzia chce cię wysłuchać, kiedy przedstawi oskarżenie Alwinowi Smithowi.

Nie dała się oszukać. Jej talent był niezawodny; nie wątpiła w to, co teraz zauważyła.

— Marny z pana kłamca, Quill — rzekła. — Sędzia nie powołuje świadków na wstępnym przesłuchaniu. Będę tam, ponieważ też jestem oskarżona.

Quill stanął z nią twarzą w twarz.

— Szatan wyszeptał ci to kłamstwo, prawda?

— Skąd taki pomysł?

— Widziałem — oświadczył. — Widziałem, jak szepcze ci do ucha.

— Jest pan obłąkany.

— Widziałem, jak patrzysz na mnie, i nagle zobaczyłem, że dowiedziałaś się czegoś, o czym wcześniej nie miałaś pojęcia. Szatan ci to podszeptał.

Czyżby coś zauważył? Czy jego talent na tym polegał, że widział działanie innych talentów?

Nie. Jego talent pozwalał mu znaleźć użyteczne kłamstwo ukryte w każdej beużytecznej prawdzie. Po prostu dostrzegł zmianę wyrazu twarzy, kiedy zrozumiała nagle, jakie są jego intencje.

— Szatan nigdy mi niczego nie mówił.

— Ale powiedziałaś mi już o swoim talencie — odparł z uśmiechem. — Nie wypieraj się. To tylko pogorszy sytuację.

— Może i mam talent dostrzegania intencji innych — oświadczyła wyzywająco. — To nie znaczy, że pochodzi on od szatana.

— Owszem — pochwalił. — Korzystaj z tej obrony przed sądem. Wyznaj swój grzech, a potem zaprzeczaj, że to grzech. Przekonasz się, co cię spotka z wyroku prawa. — Poglądził ją po ręce delikatnie, pieścizotliwie. — Bóg cię kocha, dziecko. Nie odpychaj Go. Odwróć się od szatana. Wyznaj zło, które czyniłaś, dowodząc tym, że pozostawiłaś je za sobą. Niech twoje łono wyda na świat dzieci, jak Bóg zamierzył. To szatan, nie Bóg, chce cię zobaczyć na stryczku.

— Tak — zgodziła się. — To akurat jest prawdą. Szatan, pański władca, chce mojej śmierci.

Mrugnął do niej, wstał i podszedł do drzwi.

— Niezłe. Trzymaj się tego. Doprowadzi cię na szubienicę.

I wyszedł.

Wstrząsnęły nią dreszcze, jakby to nie było lato i upał nie narastał już przed świtem. Nagle wszystko stało się jasne. Quill przybył tu gotów zrobić właśnie to, co zrobił — wziąć drobne oskarżenie o korzystanie z talentu i zmienić je w historię o szatanie i straszliwych perwersjach. Wiedział, że nie ma innego wyjścia, gdyż dobrzy ludzie nigdy nie opowiadają o szatanie. Wiedział, że Purity nie wskaże innych, których widziała na sabatach czarowników, ponieważ nigdy nie bywała na takich zgromadzeniach, więc donosy trzeba wymusić takimi torturami, na jakie zezwala prawo. Łowcy czarownic zawsze robili to samo, co Quill w Cambridge, bo gdyby zrezygnowali, nikt nigdy nie zostałby skazany za kontakty z szatanem.

W ten sposób zginęli jej rodzice. Nie posiadali talentów pochodzących od szatana, ale nie chcieli pomagać łowcom czarownic w prześladowaniu innych. Nie chcieli składać fałszywych zeznań. Zginęli, gdyż kraina Boga tak bardzo starała się zachować czystość, że stworzyła własne nieczystości. Zło czynione przez łowców czarownic było gorsze od wszelkiego zła, któremu mogliby zapobiec. A jednak mieszkańcy Nowej Anglii się obawiali, że nie dorosną do ideałów purytyzmu, więc nie śmieli protestować przeciwko prawom, które jakoby miały ich chronić przed szatanem.

Wierzyłam im, myślała Purity. Zabili moich rodziców, wychowali mnie jako sierotę, skalali plotką o czarach, a zamiast potępić ich za to, co zrobili, ja wierzyłam. I próbowałam zrobić to samo komuś innemu. Alwinowi Smithowi, który nie wyrządził mi żadnej krzywdy.

Padła na kolana i zaczęła się modlić. Ojcze w niebiosach, co ja uczyniłam, co uczyniłam...

* * *

Alvin zjadł nędzne śniadanie, jakie podawali tu więźniom, po czym wyciągnął się na pryczy i sprawdził, co się dzieje z ludźmi, o których się troszczył. Daleko w Camelocie jego żona i nienarodzona córka były zdrowe i spokojne. W Vigor Kościele matka i ojciec, bracia i siostry, wszyscy mieli się dobrze; nikt nie chorował, nikt się nie zranił. W pobliżu właśnie wyprowadzali z celi Verily'ego. Alvin śledził go przez chwilę, by się upewnić, że naprawdę go zwalniają. Rzeczywiście, przed wejściem do sądu puścili go, żeby sam szukał sobie śniadania.

Nad rzeką Arthur Stuart i Mike Fink łowili ryby, Audubon malował zimorodka w świetle poranka. Wszystko układało się jak najlepiej.

Jedynie przypadkiem zauważył inne płomienie serc, zbierające się nad rzeką. I mógłby ich nie dostrzec, pochłonięty wyobrażaniem sobie ryby świeżo wyciągniętej z rzeki, przypieczonej nad dymem ogniska... Tyle że coś było nie tak, jak należy. Nastąpiła nieokreślona zmiana w świecie, przez który sunął przenikacz. Jak gdyby migotanie w powietrzu, wrażenie, że coś wyrasta groźnie gdzieś z boku, drży na granicy pola widzenia.

Alvin wiedział, co zobaczył: Niszczyciel krążył po świecie.

Dlaczego Niszczyciel postanowił wyjść na otwarty teren ze strażnikami pokoju? Alvin nie dostrzegł żadnego znaku, by Niszczyciel krążył wokół Quilla, choć łowca czarownic najwyraźniej kochał zniszczenie.

Oczywiście, tak postawione pytanie samo w sobie zawierało odpowiedź. Niszczyciel nie musiał się pojawiać tam, gdzie ludzie służyli jego sprawie świadomie i z własnej chęci. Z radością. Quill nie przypominał wielebnego Throwera. Nie trzeba było go okłamywać. Sam chciał być wężem w rajskim ogrodzie. Byłby zawiedziony, gdyby nie

powierzono mu tej roli. Ale strażnicy to przyzwoici ludzie i Niszczyciel musiał nimi pokierować.

Tak właśnie robił, całkiem dosłownie. Quill prosił, żeby poszukali sabatu czarowników. Wyruszyli, nie określając konkretnego celu; uznali jedynie, że skoro Purity mówiła o spotkaniu czarowników nad rzeką, dobrze będzie przeczesać tę okolicę. Teraz, kiedy tylko skręcali i schodzili z drogi prowadzącej ich do Arthura, Mike'a i Jean-Jacques'a, trafiali pod wpływ Niszczyciela; czuli niepokój, jakiś nieokreślony lęk. Zawracali więc i maszerowali rażnie w inną stronę. Bliżej przyjaciół Alvina.

No tak, pomyślał Alvin; ta gra będzie chyba ciekawsza, jeśli dwóch siądzie przy stole.

Najpierw pomyślał, by unieść mgłę nad rzeką, żeby nie zdołali odnaleźć drogi. Zaraz jednak zrezygnował — Niszczyciel może nimi kierować niezależnie od tego, czy cokolwiek widzą. Mgła sprawi tylko, że sytuacja będzie wyglądać bardziej podejrzanie, bardziej czarodziejsko, kiedy później będą o tym opowiadać. Poza tym mgła powstaje z wody, a woda to żywioł najchętniej wykorzystywany przez Niszczyciela. Alvin nie był całkiem pewien, że zachowa nad nią kontrolę, zwłaszcza z daleka, że powstrzyma

Niszczyciela od przejścia mgły. Ktoś może pośliznąć się, spaść z brzegu i utonąć, a winę za to przypiszą czarom.

Na czym naprawdę zależy strażnikom? To dobrzy ludzie, którzy służą swojej społeczności, dbają o bezpieczeństwo i zgodę między sąsiadami i w rodzinie. Kiedy małżeństwo się kłóci, strażnik ich odwiedza, stara się załagodzić konflikt albo rozdzielić oboje na pewien czas, jeśli to jest potrzebne. Gdy ktoś narusza prawa skromności, używa wulgarnego języka czy w inny sposób łamie normy, które wszystkim pozwalają zachować czystość, strażnicy próbują spokojnie przekonać winowajców, nakierować ich na dobrą drogę bez stosowania surowszych metod. Dzięki strażnikom pokoju praca sądów ogranicza się do minimum.

Żaden człowiek nie służył długo jako strażnik w Nowej Anglii, jeśli wyobrażał sobie, że posiada jakąś osobistą władzę. Nie miał żadnej. Był raczej głosem i ramieniem społeczności, a wszyscy woleli spokojny głos i delikatne ręce. Ktokolwiek sprawiał wrażenie, że lubi rozkazywać ludziom, był zwyczajnie pomijany, kiedy wybierano następnych strażników. Czasami uświadamiali sobie, że nie wzywano ich od wielu lat, i zastanawiali się dlaczego. Niektórzy pokornie pytali i starali się poprawić. Jeśli nie

pytali, niczego im nie tłumaczono. Ważne, żeby praca została wykonana, i to wykonana delikatnie.

A więc to nie drabów z pałkami poganiał Niszczyciel nad rzeką. Nie byli Odszukiwaczami, którzy przyjechali po Arthura Stuarta do Hatrack River i skłonni byli bez wahania zabić każdego, kto im się siłą przeciwstawi. Nawet nie jak wielebny Thrower, nieco oszukany przez Niszczyciela, który jednak miał w sobie zapał, by ścigać „zło” i wrywać je z korzeniami.

Jak mógł Alvin sprowadzić dobrych ludzi ze ścieżki zła? Jak skłonić, żeby nie zwracali uwagi na Niszczyciela, a jemu odebrać władzę nad nimi?

Alvin posłał przenikacz między domki Cambridge. Zaglądał do wnętrza, nasłuchiwał głosów. Potrzebował płaczu wystraszonego dziecka, ale szybko zrozumiał, że w porządnym purytańskim miasteczku dzieci traktowane są łagodnie i dobrze pilnowane. Musi trochę napsocić, żeby zdobyć to, czego szuka.

Kuchnia. Trzyletnia dziewczynka patrzy, jak matka kroci cebulę. Matka pochyla się na krzesło. Alvin bez trudu osłabił jedną z nóg i krzesło się złamało. Kobieta upadła z krzykiem; Alvin dopilnował tylko, żeby nie zrobiła sobie krzywdy. To, czego po-

trzebował, musiało pochodzić od dziecka, nie od niej. I rzeczywiście — dziewczynka krzyknęła „Mamo!”.

Alvin pochwycił dźwięk, jego wzorzec w powietrzu. Przeniósł go, wzmocnił wibrację fal, rozdzielił na warstwy, dodał echo, odegrał jedne powoli, inne szybciej w złożonym splocie dźwięków. Zadanie było bardzo trudne, wymagało ogromnego skupienia. W końcu jednak odtworzył strażnikom pierwszą kopię wołania dziewczynki.

— Mamo!

Zatrzymali się natychmiast. Głos dochodził jakby z bliska, ale z tyłu, z kierunku przeciwnego od rzeki.

I znowu, ciszej:

— Mamo!

Strażnicy zawrócili. Znali swoje obowiązki, ale lęk w głosie dziecka wzywającego matkę był wyraźnie ważniejszy.

Wpadli prosto na Niszczyciela, naturalnie, a on wypełnił im serca trwogą. W tej samej chwili jednak Alvin doniósł krzyk dziecka po raz trzeci i ostatni, więc kiedy zaatakował strach, zamiast się wycofać, szybciej pobiegli w stronę źródła dźwięku.

Trwoga się zmieniła; nie była lękiem przed osobistym zagrożeniem, ale pragnieniem, by jak najszybciej dotrzeć do dziewczynki, ponieważ dzieje się coś niedobrego. Strach nie był już barierą, ale ostrogą zmuszającą do większego wysiłku.

Przez jakiś czas Niszczyciel ich nie opuszczał, wypróbowując inne emocje — gniew, grozę — lecz wszystkie wysiłki obracały się przeciw niemu. Nie umiał pojąć tego, na czym polegał Alvin: na sile dobrych ludzi, zdolnych do działania wbrew własnym interesom, by pomóc tym, którzy im zaufali. Niszczyciel potrafił skłonić ludzi do zabijania na wojnie. Nie mógł tylko zrozumieć, dlaczego gotowi są umierać.

Dlatego strażnicy szukali bezskutecznie w lesie i na łąkach, usiłując odnaleźć dziewczynkę, której wołanie słyszeli. Wreszcie zrezygnowali i wrócili do miasteczka, by sprawdzić, które z dzieci zaginęło, i zorganizować poszukiwania. Jednak wszystkie dzieci były pod opieką, więc mimo pewnych wahań — w końcu wszyscy słyszeli ten głos — wrócili do zwykłych obowiązków. Uznali, że jeśli muszą polować na czarowników, jutrzejszy dzień będzie równie dobry jak dzisiejszy.

Na brzegu rzeki Arthur, Mike i Jean-Jacques nie mieli pojęcia, że Niszczyciel starał się ich podejść.

Alvin w swej celi marzył tylko o tym, by położyć się i przespać. Wtedy właśnie zjawiał się szeryf, by doprowadzić go przed sędziego na wstępne przesłuchanie.

* * *

Verily miał raptem kilka minut na rozmowę z Alvinem przed przesłuchaniem, cały czas w obecności szeryfa, więc nie mogli mówić szczerze. Taka jednak obowiązywała zasada w procesach o czary — by nie mogli sobie przekazać żadnych napojów czy proszków, nie rzucać potajemnych klątw.

— Nieważne, jak to będzie wyglądało, Alvinie, musisz mi zaufać.

— Dlaczego? A jak to będzie wyglądało?

— Sędzią jest John Adams. Czytałem jego prace, znam jego wystąpienia w sądzie, jako adwokata i jako sędziego. Interesowałem się tym, odkąd zacząłem studiować prawo. Ten człowiek jest uczciwy do szpiku kości. Nie wiedziałem jednak, czy kiedykolwiek prowadził proces o czary, więc nie miałem pojęcia, jak je traktuje. Ale kiedy rano wyszedłem z więzienia, spotkał mnie pewien człowiek, tutejszy. . .

— Nazwiska są zbędne — przypomniał Alvin.

Verily uśmiechnął się lekko.

— Pewien człowiek, jak powiedziałem. Studiował prawo o czarach. . . tak się zresztą nazywa, Study. . . i poinformował, że Adams nigdy jeszcze nie wydał wyroku w procesie o czary.

— Co to oznacza?

— Zawsze występowały jakieś braki w oskarżeniu i odrzucał je.

— To dobrze — ucieszył się Alvin.

— Nie — sprzeciwił się Verily. — To źle.

— Przecież wtedy mnie zwolnią, prawda?

— Tak, ale prawo pozostanie w mocy.

Alvin przewrócił oczami.

— Verily, nie po to wróciłem, żeby zreformować Nową Anglię. Wróciłem, żeby. . .

— Przybyliśmy, żeby pomóc Purity — przerwał Verily. I wszystkim pozostałym. Wiesz, co by to dało, gdyby same przepisy prawne okazały się błędne? Reputacja Adamsa wiele znaczy. Jego decyzje będą starannie analizowane i zachowają moc precedensu

w Anglii i w Ameryce. Właściwa decyzja może oznaczać koniec procesów o czary, tutaj i tam.

Alvin uśmiechnął się niewyraźnie.

— Masz zbyt dobrą opinię o naturze ludzkiej.

— Doprawdy?

— To nie prawo sprawia, że odbywają się procesy o czary. To żądza procesów o czary doprowadziła do uchwalenia takich praw.

— Ale jeśli usuniemy oficjalne, prawne podstawy. . .

— Posłuchaj mnie, Verily. Czy tobie się wydaje, że tacy ludzie jak Quill zwyczajnie znikną tylko dlatego, że czary nie wystarczą już, by dostali to, na czym im zależy? Nie, znajdą sobie inny sposób, by robić to samo.

— Tego nie wiesz.

— Jeśli nie czary, poszukają nowych zbrodni, równie wygodnych. Takich, żeby uderzyć w zwyczajnych ludzi popełniających zwyczajne błędy, albo po prostu zajmujących się swoimi sprawami. Aż nagle przybywa łowca czarownic i w tym, co robią, znajduje

jakaś niegodziwość; to, co mówią, zmienia w dowód, że są winni i spowodowali całe zło, jakie się ostatnio wydarzyło w okolicy.

— Żadne inne prawo nie działa w ten sposób.

— Bo mamy prawa o czarach, Very. Usuń je, a ludzie poszukają innego sposobu, żeby wszystkie grzechy świata zrzucić na głowę jakiegoś nieszczęśnika, żeby zniszczyć jego i wszystkich jego przyjaciół.

— Purity nie jest zła, Alvinie.

— Quill jest zły.

Szeryf pochylił się nad nimi.

— Staram się was nie słyszeć, chłopcy, ale wiecie chyba, że mówienie źle o łowcy czarownic jest przestępstwem. Ten Quill uważa to za dowód, że szatan trzyma was za włosy, za przeproszeniem.

— Dzięki za przypomnienie, szanowny panie — odparł Verily. — Słowa mojego klienta nie oznaczały dokładnie tego, co można by sądzić.

Szeryf wzruszył ramionami.

— Z tego, co widziałem, nie jest specjalnie ważne, jak brzmią, kiedy wy je mówicie. Liczy się, jak zabrzmia, kiedy Quill je powtórzy.

Verily uśmiechnął się szeroko do szeryfa, a potem do Alvina.

— Z czego się tak cieszysz? — zdziwił się Alvin.

— Właśnie otrzymałem dowód wystarczający do pokazania, że się mylisz. Ludziom nie podoba się sposób prowadzenia procesów o czary. Ludzie nie lubią niesprawiedliwości. Znieś te prawa, a nikt nie będzie za nimi tęsknił.

Alvin pokręcił głową.

— Dobrzy ludzie nie będą za nimi tęsknić. Ale nie uchwalali ich dobrzy ludzie, tylko ludzie wystraszeni. Świat nie jest stabilny. Złe rzeczy mogą ci się przytrafić, nawet jeśli byłeś ostrożny i nie zrobiłeś nic złego. Dobrzy ludzie, silni ludzie przyjmują to jako naturalne, ale przestraszeni i słabi chcą mieć kogoś, kogo można obciążyć. Dobrzy ludzie pomyślą, że zlikwidowali procesy o czary, lecz w następnym pokoleniu procesy wrócą. W innym przebraniu i pod inną nazwą, ale jednak procesy o czary, takie jak teraz, gdzie ważniejsze jest, żeby wymierzyć karę, niż to, czy w ogóle ktoś zawinił.

— Wtedy weźmiemy się za nie od nowa.

— Oczywiście, jak już odgadniemy, co jest czym i kto jest kto. Może następnym razem łowcy będą szukali ludzi, których opinie im nie odpowiadają, albo takich, którzy modlą się w nieodpowiedni sposób czy w nieodpowiednim miejscu, takich, co wyglądają brzydko albo śmiesznie mówią, nie są należycie grzeczni albo noszą nie takie ubrania. Pewnego dnia mogą prowadzić procesy o czary, żeby skazywać ludzi za to, że są purytanami.

Verily schylił się Alwinowi do ucha.

— Z całym szacunkiem, Alwinie, ale to twoja żona potrafi zajrzeć w przyszłość, nie ty.

— Bez szeptania — upomniał ich szeryf. — Może właśnie zarażacie mnie ospą. Zaśmiał się krótko, ale w jego głosie przez moment brzmiał prawdziwy niepokój. Alvin odpowiedział głośno:

— Z całym szacunkiem, Very, nie trzeba żadnego talentu, by wiedzieć, że ludzka natura nie zmieni się prędko.

Verily wstał.

— Pora na przesłuchanie. Nie warto przed procesem dyskutować o filozofii. Aż do dzisiaj nie zdawałem sobie sprawy, jakim jesteś cynikiem w kwestii ludzkiej natury.

— Znam potęgę Niszczyciela — odparł Alvin. — Nigdy nie ustępuje. Nigdy nie rezygnuje. On tylko przechodzi na nowy teren.

Kręcąc głową, Verily wyszedł z pokoju. Szeryf, ściskając mocno koniec łańcucha, którym skuty był Alvin, podążył za nim.

— Muszę powiedzieć — rzekł — że nigdy jeszcze nie widziałem więźnia, który tak mało by się przejmował, czy zostanie skazany.

Alvin uniósł dłoń i poskrobał się po nosie.

— Muszę przyznać, że faktycznie się nie martwię — stwierdził i opuścił rękę.

Byli już prawie w sali rozpraw, gdy szeryf uświadomił sobie, że więzień w żaden sposób nie mógł sięgnąć ręką do twarzy. Nie w kajdanach umocowanych łańcuchem do obręczy na kostkach nóg. Z drugiej strony nie był całkiem pewien, czy rzeczywiście widział, jak ten chłopak drapał się po nosie. Wydawało mu się, że pamięta. Ale to tylko złudzenie. W końcu gdyby Alvin Smith potrafił tak bez wysiłku wyjąć ręce z żelaznych kajdan, dlaczego w nocy nie wyszedł z celi?

NIEWOLNICY

— Musi się pani nim zaopiekować — powiedział Balzac.

— W pensjonacie dla dam? — zdziwiła się Margaret.

Calvin stał obok. Niewidzące oczy spoglądały nieruchomo w pustkę.

— Mają służbę, prawda? On jest pani szwagrem, jest chory, nie odmówią pani.

Margaret nie musiała pytać, co sprowokowało tę decyzję. Dzisiaj w ambasadzie francuskiej Balzac odebrał list od swojego paryskiego wydawcy. Jeden z esejów o podróży po Ameryce wydrukowano w tygodniku i okazał się tak popularny, że wydawca

postanowił opublikować je wszystkie w odcinkach, a potem także zebrane w książkę. Do korespondencji dołączył list kredytowy na kwotę wystarczającą na powrót do domu.

— Akurat kiedy zaczął pan zarabiać pieniądze na pisaniu o Ameryce, chce pan ją opuścić?

— Pisanie o Ameryce opłaci mi wyjazd z Ameryki — odparł Balzac. — Jestem powieściopisarzem. Opisuję ludzką duszę, nie dziwaczne obyczaje tego barbarzyńskiego kraju. — Uśmiechnął się. — Zresztą kiedy przeczytają, co napisałem o praktyce niewolnictwa w Camelocie, w moim interesie będzie znaleźć się jak najdalej stąd.

Margaret sięgnęła do jego przyszłości.

— Czy zrobi mi pan przysługę? — spytała. — Czy napisze pan w taki sposób, że kiedy dojdzie do wojny między armiami niewolnictwa i wolności, żaden francuski rząd nie zdoła uzasadnić udziału w tej wojnie po stronie właścicieli niewolników?

— Przypisuje pani moim tekstom większe wpływy, niż mają w rzeczywistości.

Ale już widziała, że spełni jej prośbę i odniesie zamierzony skutek.

— To pan sam siebie nie docenia. Decyzja, jaką podjął pan w głębi serca, już teraz odmieniła świat.

Balzacowi łzy stanęły w oczach.

— Madame, otrzymałem od pani bezcenny dar, jaki nie dostał się żadnemu z pisarzy: powiedziała mi pani, że moje historie nie są błahe, że czynią życie lepszym także w rzeczywistości.

— Proszę wracać do domu, monsieur de Balzac. Ameryka jest lepszym miejscem, gdyż pan tu przybył, Francja stanie się lepsza, ponieważ pan wróci.

— To straszne, że jest pani tak całkowicie zamężna. Nigdy jeszcze nie kochałem kobiety tak, jak kocham panią w tej chwili.

— Nonsens — roześmiała się Margaret. — To siebie pan kocha. Ja tylko przekazałam dobre wieści o przedmiocie pańskich uczuć. — Uśmiechnęła się znowu. — Niech pana Bóg błogosławi.

Balzac ujął dłoń Calvina.

— Nie warto nawet do niego mówić. Niech mu pani przekaze, że się starałem, ale muszę już wracać.

— Powiem, że pozostał pan jego szczerym przyjacielem.

— Tylko proszę nie posuwać się za daleko! — zawołał Balzac z udaną zgrozą. — Wolałbym, żeby nie przyjeżdżał w odwiedziny.

Margaret wzruszyła ramionami.

— Gdyby nawet, poradzi pan sobie.

Balzac ucałował jej dłoń, po czym oddalił się różnym krokiem. Margaret przyjrzała się Calvinowi. Był blady, skórę miał białą i pokrytą liszajami. Śmierdział.

— Tak być nie może — uznała. — Pora się przekonać, gdzie cię trzymają.

Poprowadziła tę posłuszną skorupę człowieka do pensjonatu. Przez chwilę rozważała, czy nie zostawić go w głównej sali, ale wyobraziła sobie, co by się działo, gdyby zaczął puszczać wiatry albo i gorzej. Dlatego weszła z nim na schody. Wszedł się bez oporu, ale po każdym stopniu musiała go pociągnąć na następny; inaczej po prostu stawał nieruchomo. Myśl, by wszystkie je pokonać bez zatrzymywania, okazała się za trudna dla jego rozproszonego umysłu.

Ryba stała na korytarzu, gdy Margaret dotarła na piętro. Z satysfakcją przekonała się, że gdy tylko Ryba ją rozpoznała, przestała pokornie schylać głowę, jak niewolnicy, ale spojrzała jej prosto w oczy.

— Nie można wprowadzać na piętro żadnych dżentelmenów, psze pani.

Margaret spokojnie otworzyła drzwi i wepchnęła Calvina do swojego pokoju.

— Mogę cię zapewnić, że on nie jest dżentelmenem.

Po chwili Ryba wśliznęła się za nią i zamknęła drzwi.

— Będzie skandal, psze pani. Ona panią wyrzuci. — Dopiero wtedy przyjrzała się Calvinowi. — Co mu się stało?

— Rybo, potrzebna mi twoja pomoc. Żeby sprowadzić tego człowieka z powrotem do jego ciała.

W największym skrócie opowiedziała Rybie, co się przydarzyło Calvinowi.

— To on przysłał mi z powrotem moje imię?

— Jestem pewna, że nie zdawał sobie z tego sprawy. Jest przerażony i zdesperowany.

— Nie wiem, czy mam go nienawidzić. Cierpię teraz przez cały czas. Ale wiem, że cierpię.

— Teraz jesteś pełną kobietą — zgodziła się Margaret. — To czyni cię wolną, nawet jako niewolnicę.

— Czy on ma moc oddania wszystkich imion?

— Nie wiem.

— Aha, więc pewnie ten Czarny, co zbiera imiona. Może poznam jego twarz, jak go zobaczę.

— I nie domyślasz się, gdzie te imiona chowa?

— Nikt nie wie. Nikt nie chce wiedzieć. Nie można zdradzić, czego się nie wie.

— Pomożesz mi go znaleźć”? Z tego, co mówił Balzac, zwykle kręci się po porcie.

— Och, łatwo jest go znaleźć. Ale jak pani go zatrzyma, żeby nie zabił pani, mnie i tego Białego naraz?

— Myślisz, że by to zrobił?

— Biała kobieta i biały mężczyzna, którzy wiedzą, że zbiera imiona? Pomyśli, że ja jestem tą, która zdradziła. - Przeciągnęła palcem po gardle. — Moja szyja, on ją przetnie. Dźgnie panią w serce. Jemu rozpruje brzuch. To spotyka tych, którzy mówią.

— Rybo, nie potrafię tego wytłumaczyć, ale zapewniam, że nie zdoła nas zaskoczyć.

— Wolę, coby raczej to wyszło niespodziewanie, kiedy on nas zabije. — Znowu przeciągnęła po szyi. — Niech on się zakradnie od tyłu.

— Wcale nas nie zabije. Staniemy w pewnej odległości.

— Co nam to pomoże?

— Wiele potrafię się z daleka dowiedzieć o człowieku, kiedy już wiem, kim jest.

— Mam jeszcze pokoje do sprząwania.

— Pomogę ci — zaproponowała Margaret.

Ryba roześmiała się niemal w głos.

— Jest pani najdziwniejszą białą damą na świecie.

— No tak. . . Przypuszczam, że to wzbudziłoby komentarze.

— Niech pani tu czeka — poleciła Ryba. — Wrócę niedługo. Wtedy będę już na pani półdniówce. Muszą mi pozwolić wyjść z panią.

* * *

Duńczyk przez cały ranek bezowocnie rozpytywał o Białego, który nagle zrobił się pusty. Pukał do drzwi, udając, że szuka pracy dla nieistniejącego białego pana — tylko po to, by niewolnik, który z nim rozmawiał, miał co odpowiedzieć, gdyby go pytano, kto przyszedł. Wszyscy niewolnicy wiedzieli, oczywiście, kim jest Duńczyk — wśród Czarnych z Camelotu nikt nie był bardziej znany niż zbieracz imion. No, chyba że Gul-

lah Joe, człowiek-ptak, który przylatywał na statki niewolnicze. Nie było więc takiego, który nie starałby się pomóc. Kłopot polegał na tym, że wszyscy ci ludzie bez imion utracili wszelką bystrość. Mgliście sobie przypominali, że słyszeli to czy tamto o Białym, który zachorował, albo Białym, który nie miał władzy w nogach, ale w każdym przypadku okazywało się, że chodziło o jakiegoś starego kalekę albo człowieka, który dawno już umarł na jakąś chorobę. Dopiero popołudniem usłyszał historię, która brzmiała jak to, czego potrzebował.

Według wskazówek poszedł do taniego pensjonatu, gdzie rzeczywiście, dwaj biali mężczyźni dzielili ze sobą pokój, a jeden z nich, z Północy, zapadł na niezwykłą chorobę.

— On je, on pije, on sika, wszystko robi — powiedział lokaj, który sprzątał w ich pokoju. — Zmieniani mu spodnie trzy razy na dzień, a myję wszystko dwa razy na dzień.

Ale obaj wyszli rankiem.

— Ten Francuz, on dostał list, zapakował wszystko, zabrał pustego człowieka i teraz obu nie ma.

— Czy mówił, gdzie zabiera tego chorego? — zapytał Duńczyk.

— On nic do mnie nie mówi.

— Czy ktoś może wiedzieć?

— Chcesz, żebym miał kłopoty, jak zacznę pytać białego bossa?

Duńczyk westchnął.

— Ty mu powiesz, że Francuz i ten drugi winni są mojemu panu pieniądze.

Lokaj zdziwił się wyraźnie.

— Twój pan taki głupi, żeby pożyczać im pieniądze?

Duńczyk nachylił się bliżej.

— To kłamstwo — powiedział. — Ty mówisz, że oni są mojemu panu winni pieniądze, wtedy biały boss mówi ci, dokąd poszli.

Zajął to chwilę, ale w końcu lokaj zrozumiał i wycofał się w głąb domu. Kiedy wrócił, miał już pewne informacje.

— Calvin, ten chory, ma tu żonę brata. W pensjonacie.

— Jaki adres?

— Biały boss nie wie.

— Biały boss liczy na łapówkę — uznał Duńczyk.

— Nie, on nie wie. — Lokaj pokręcił głową. — To prawda.

— Jak ja mam ją znaleźć, kiedy nie znam adresu?

Lokaj wzruszył ramionami.

— Może najlepiej ty o nią popytaj.

— O co mam pytać? Jest tu podobno taka kobieta z chorym szwagrem o imieniu Calvin, a mieszka gdzieś w pensjonacie. Dużo mi z tego przyjdzie.

Lokaj patrzył na niego jak na szaleńca.

— Ja nie myślę, że ty dużo się w ten sposób dowiesz. Pewnie szłoby ci lepiej, gdybyś podawał jej imię.

— Nie znam jej imienia.

— Nie? Ja znam.

Duńczyk na moment zamknął oczy.

— To dobrze. A może byś mi powiedział, jak ona ma na imię?

— Margaret.

— A ma też jakieś nazwisko? Biali zawsze mają nazwiska.

— Smith — odparł lokaj. — Ale nie wygląda na taką silną, żeby pracować w kuźni.

— Widziałeś ją? — zdziwił się Duńczyk.

— Dużo razy.

— Kiedy?

— Nosilem wiadomości do niej i z powrotem.

Duńczyk westchnął, starając się zachować spokój.

— No cóż, przyjacielu, czy nie wynika z tego, że wiesz, gdzie ona mieszka?

— Wiem — potwierdził lokaj.

— Dlaczego mi tego nie powiedziałeś?

— Ty nie pytałeś, gdzie ona mieszka, tylko pytałeś, jaki ona ma adres. Nie znam numerów ani liter.

— Możesz mnie tam zaprowadzić?

Lokaj przewrócił oczami.

— Sześć pensów dla białego bossa i on pozwoli ci mnie zabrać. Duńczyk przyjrzał mu się podejrzliwie.

— Na pewno to nie dwa pensy dla białego bossa, a reszta dla ciebie?

Lokaj zrobił urażoną minę.

— Ja jestem chrześcijaninem.

— Tak samo wszyscy Biali — zauważył Duńczyk.

Lokaj, od dawna już pozbawiony gniewu, nie miał szans zrozumienia tej uszczypliwej ironii.

— Oczywiście, że oni są chrześcijanami. Skąd inaczej ja bym się nauczył o Jezusie, jak nie od nich?

Duńczyk wygrzebał z kieszeni sześciopensówkę i wręczył ją lokajowi, który wrócił po chwili, szeroko uśmiechnięty.

— Ja dostałem dziesięć minut.

— To wystarczy?

— Dwie przecznice w bok, jedna dalej.

Kiedy dotarli do drzwi pensjonatu Margaret Smith, lokaj zatrzymał się na progu.

— Odsuń się, żebym mógł zapukać — polecił Duńczyk.

— Mogę, jeśli ty chcesz — odparł lokaj. — Ale nie rozumiem po co.

— Bo jak nie zapukam, to jak mam się dowiedzieć, czy jest w środku?

— Nie jest.

— Skąd możesz wiedzieć?

— Bo stoi, o tam, i patrzy na ciebie.

Duńczyk odwrócił się niby przypadkiem. Po drugiej stronie ulicy zobaczył białą kobietę, białego mężczyznę i czarną służącą. Właśnie odchodzili.

— Kto na mnie patrzy?

— Oni patrzyli — wyjaśnił lokaj. — I ja wiem, że ona może ci opowiedzieć o tym Calvinie.

— Skąd wiesz?

— Bo to jest on.

Duńczyk przyjrzał się znowu. Biały powłóczył nogami jak starzec. Pusty.

Duńczyk uśmiechnął się z satysfakcją i dał lokajowi dwa pensy.

— Dobra robota, kiedy już zdecydowałeś się mi powiedzieć. Lokaj wziął monetę, obejrzał ją i oddał z powrotem.

— Nie, biały boss chciał sześć pensów.

— Sześć pensów już zapłaciłem.

Lokaj patrzył na niego, jakby Duńczyk postradał rozum.

— Jak zapłaciłeś, dlaczego dajesz mi więcej? Te dwa pensy i tak zresztą nie wystarczą. — Wzburzony, wcisnął pieniądze Duńczykowi. — Ty wariat — powiedział.

Odszedł.

Duńczyk ruszył ulicą, nie tracąc z oczu całej trójki. Niewolnica oglądała się kilka razy i patrzyła na niego, ale się tym nie przejął. Wiedziała, kim jest. Było niemożliwe, żeby czarna dziewczyna powiedziała białej damie cokolwiek o zbieraczu imion.

* * *

— To on — oświadczyła Ryba. — On zabiera imiona.

Margaret od razu zobaczyła w umyśle Duńczyka, że nawet na chwilę nie można mu zaufać. Szukała go, a on jej szukał. Tylko że on miał przy sobie nóż i zamierzał go użyć. Nie był to dobry sposób, by odzyskać płomień serca Calvina.

— Przejdźmy na baterię. Zawsze jest tam sporo ludzi. Nie ośmieli się w tłumie zranić białego człowieka. Nie chce przecież umrzeć.

— On nie chce z panią rozmawiać — zauważyła Ryba. — Tylko patrzy.

— Porozmawia ze mną — zapewniła Margaret. — Bo pójdziesz go o to poprosić.

— Boję się go, psze pani.

— Ja też — przyznała Margaret. — Ale mogę obiecać, że nie zrobi ci krzywdy. On chce skrzywdzić tylko Calvina.

Ryba raz jeszcze obejrzała Calvina dokładnie.

— Wygląda, jakby ktoś skrzywdził go najbardziej, jak można go skrzywdzić, póki nie umarł. — Nagle zdała sobie sprawę, co powiedziała. — Oj.

— Ten zbieracz imion, Duńczyk Vesey, to bardzo ciekawy człowiek. Wiesz, że nie jest niewolnikiem?

— On wolny? Nie ma wolnych Czarnych w Camelocie.

— Tak, to oficjalna wersja, ale nieprawdziwa. Spotkałam już innych. Kobiętę o imieniu Łania. Dano jej wolność, kiedy była już za stara, żeby pracować.

— I wtedy ją wyrzucili! — zawołała gniewnie Ryba.

— Ostrożnie — upomniała ją Margaret. — Nie jesteśmy tu same.

Ryba natychmiast zmieniła pozę i spuściła głowę.

— Za dużo już widziałam w życiu tego przekłętego bruku.

— Nie wyrzucili jej — tłumaczyła Margaret. — Choć nie wątpię, że zdarzają się właściciele tak okrutni, by to zrobić. Nie; ma swój mały pokoik i je z pozostałymi. I płacą jej niewielką pensję za bardzo lekkie prace.

— Myślą pewnie, że to wystarczy za całe zabrane jej życie?

— Tak. Myślą, że wystarczy. I Łania też tak myśli. Dla niej wolność oznacza tyle, że nie musi już pracować, najwyżej tyle, by zasłać własne łóżko.

— Dla mnie to nie wystarczy, pani Margaret.

— Nie, Rybo. Jestem całkiem pewna, że nie wystarczy. Nikomu nie powinno wystarczyć. Ale nie miej Łani za złe jej zadowolenia. Zasłużyła na nie.

Ryba obejrzała się i przestraszyła.

— Podchodzi bliżej, psze pani.

— Tylko dlatego że boi się w tłumie stracić nas z oczu. Margaret pokierowała Calviną w stronę muru obronnego.

Niedaleko, na wodzie, widziała obie fortece: Lancelota i Galahada. Takie zabawne nazwy. Rzeczywiście, jak u króla Artura.

— Duńczyk Vesey jest wolny — powiedziała. — Zarabia na życie, prowadząc księgi rachunkowe dla kilku niedużych firm i biur.

— Czarny człowiek zna liczby?

— I litery. Oczywiście udaje, że pracuje dla Białego, który naprawdę prowadzi rachunki. Wątpię jednak, czy któryś z jego klientów daje się oszukać. Utrzymują tę fikcję prawną, żeby nikt nikogo nie musiał posyłać do więzienia. Płacą mu połowę tego, co wzięłyby Białe, a on zarabia o wiele więcej, niż potrzebuje, żeby się utrzymać w Miasteczku Czarnych.

— I zabiera imiona.

— Nie. Znosi je gdzieś i przekazuje komuś innemu.

— Komu?

Margaret westchnęła.

— Ktokolwiek to jest, potrafi nie dopuszczać mnie do tej akurat części pamięci Duńczyka. Nigdy jeszcze mi się to nie zdarzyło. A może zwyczajnie nie zauważyłam. Musiałam widzieć płomień serca tego człowieka, kiedy szukałam zbieracza imion, ale ponieważ tylko fragment jego pamięci ukryto, nie zwróciłam na to uwagi.

Zastanowiła się.

— Nie — uznała. — Chyba w ogóle nie zaglądałam w płomień jego serca, ponieważ on ma imię, a więc płomień jest jasny. Pewnie uznałam go za Białego i nie patrzyłam. Ukrywał się całkiem na wierzchu.

— Jest pani czarownik, psze pani?

— Nie w takim sensie, w jakim Biali używają tego słowa. Nie zajmuję się urokami, a heksy, które mam dla ochrony, są dziełem mojego męża. Ja tego nie potrafię. Jestem żagwią. Zaglądam w płomienie ludzkich serc. Znajduję tam ścieżki ich przyszłości.

— Co pani widzi w mojej przyszłości?

— Zbyt wiele ścieżek się przed tobą otwiera. Nie mogę ci powiedzieć, którą wybierzesz, ponieważ ty sama decydujesz.

— Ale ten człowiek mnie nie zabije, prawda?

Margaret pokręciła głową.

— Nie widzę w tej chwili ani jednej ścieżki, gdzie coś takiego by się stało. Ale nie przepowiadam przyszłości, Rybo. Ludzie żyją i umierają według własnych wyborów.

— Nawet nie zna pani własnej przyszłości? Pani męża?

Margaret skrzywiła się lekko.

— Naprawdę starałam się skłonić mojego męża, by zmienił swoje życie. Widzisz, na każdej ścieżce, gdzie nie jest zabity wcześniej, ginie z powodu zdrady swego brata.

Ryba natychmiast skojarzyła fakty.

— Ale może pani nie chodzi o tego brata?

— Owszem, właśnie o tego.

— To dlaczego nie pozwoli pani zbieraczowi imion poderżnąć mu gardła?

— Ponieważ mój mąż go kocha.

— Przecież on chce go zabić!

Margaret uśmiechnęła się blado.

— Czy to nie najdziwniejsza rzecz? Znajomość przyszłości nie zmienia takiego człowieka jak mój mąż. On robi to, co słuszne, niezależnie od tego, dokąd poprowadzi go droga.

— Zawsze robi to co słuszne?

— O ile to rozumie. Na ogół w ogóle niewiele robi, jak najmniej. Stara się zrozumieć, a potem uczy innych. Nie tak jak Duńczyk Vesey. Duńczyk to człowiek, który

działa. — Margaret zadrżała. — Ale nie mądrze. Sprytnie, owszem, ale mądrze nie. Ani łagodnie.

— Przykucnął pod tamtym drzewem, tam.

— Nadszedł czas, Rybo. Idź do niego, powiedz, że chcę z nim porozmawiać.

— Ale pani Margaret, na pewno on nic mi nie zrobi?

— Pomyśli, że jesteś ładna. — Margaret klepnęła niewolnicę po ramieniu. — Pomyśli, że jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widział.

— Pani żartuje teraz.

— Wcale nie. Widzisz, jesteś pierwszą wolną czarną kobietą, jaką spotkał.

— Nie jestem wolna.

— Kiedyś kupił sobie niewolnicę. Miał nadzieję, że będzie jego żoną. Ale wstydziła się być własnością czarnego człowieka. Zaczęła grozić, że na niego doniesie, powie wszystkim, że jest wolny Czarny w Camelocie.

— Co wtedy zrobił?

— A jak myślisz?

— Zabił ją.

— Próbował. W ostatniej chwili zmienił zdanie. Wciąż jest jego niewolnicą, ale została kaleką. Na ciele i umyśle.

— Nie musiała pani opowiadać mi tej historii — oświadczyła Ryba. — Nie pozwolę mu mówić do mnie o miłości. Za bardzo się go boję.

— Pomyślałam tylko, że powinnaś wiedzieć.

— A wie pani co? To wzięło trochę mojego bania, że wiem o nim to wszystko.

Margaret zabolalo serce, kiedy zobaczyła, jak uśmiechnięta dziewczyna zmienia się nagle. Uśmiech zniknął, powieki opadły nieco; Ryba przygarbiła się, spuściła głowę i dopiero wtedy weszła pomiędzy Białych na baterii. Ruszyła, jakby nie kierowała się wprost do Duńczyka, ale w bok, na ukos. Po chwili zawróciła i podeszła do niego z innej strony. Bardzo dobrze, pomyślała Margaret. Nie wpadłam na to, żeby jej powiedzieć, ale dzięki temu nie będzie tak oczywiste — gdyby ktoś patrzył — że posłałam ją po Duńczyka.

Ryba zręcznie załatwiła sprawę. Moja pani chce z tobą rozmawiać. O czym? Moja pani chce z tobą rozmawiać. Nieważne, co mówił, odpowiadała wciąż tym samym zdaniem, jak papuga. Może i domyślał się, że udaje, może uznał, że jest uparta i głu-

pia, w każdym razie skłoniła go, by wstał i ruszył za nią, znowu okrężną drogą. Szła dwa kroki z przodu. Nie mogli iść obok siebie, gdyż Biali mogliby pomyśleć, że spacerują, co zostałyby uznane za oburzającą drwinę. Teraz było jednak oczywiste, że ona go prowadzi, co znaczyło, że spełniają jakieś polecenie swego pana, i wszystko było w najlepszym porządku na tym świecie.

— O czym chce pani rozmawiać? — zapytał Duńczyk, nie podnosząc głowy. Ale w jego głosie Margaret wyraźnie słyszała wrogość.

— Szukałeś mnie — rzekła.

— Wcale nie.

— A rzeczywiście. Szukałeś Calvina.

— Tak ma na imię?

— Jego imię nie da ci władzy nad nim większej, niż masz już w tej chwili.

— Nad nikim nie mam władzy.

Margaret westchnęła.

— W takim razie dlaczego nosisz nóż w kieszeni? To wbrew prawu, Duńczyku Vesey. Masz też inne ukryte możliwości. Jesteś wolnym Czarnym w Camelocie, pro-

wadzisz księgi obrachunkowe dla... popatrzmy... Dunna i Browna, Longera i Forda, składu spożywczego Taggarta...

— Powinienem wiedzieć, że pani mnie szpieguje. — W jego głosie zabrzmiał strach, choć starał się to ukryć. — Białe damy nie mają nic lepszego do roboty.

Margaret naciskała dalej.

— Dowiedziałeś się, gdzie mieszkam, bo przyprowadził cię lokaj z dawnego pensjonatu Calvina. Masz w domu kobietę, której imienia nigdy nie wymawiasz. Prawie że utopiłeś ją w worku w rzece. Jesteś człowiekiem mającym sumienie i to sprawia ci wielki ból.

Zatoczył się jak od ciosu.

— Powiesz mi, Czarnego, co ma niewolnicę.

— Nieźle urządziłeś sobie życie jako człowiek wolny w mieście niewolników. Ale dla twojej żony nie okazało się takie dobre, prawda?

— Czego chcecie ode mnie?

— To nie jest wymuszenie; no, może w najdelikatniejszym sensie. Mówię ci, że wiem, kim jesteś, byś zrozumiał, że masz do czynienia z mocami daleko wykraczającymi poza twój zasięg.

— Podstępny to jeszcze nie moc.

— A co powiesz na moc oznajmienia ci, że masz w sobie zadatki na wielkiego człowieka? Albo wielkiego głupca. Jeśli dokonasz właściwego wyboru.

— Jakiego wyboru?

— Kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, powiem ci, na czym polega ten wybór. W tej chwili jeszcze nie masz żadnego. Zaprowadzisz mnie, Calvina i Rybę do miejsca, gdzie trzymasz sznurki imion.

— Czyli ciągle są takie rzeczy, których ty nie wiesz?

— Nie twierdziłam, że wiem wszystko. Ta moc, która ukrywa imiona, ukrywa także przede mną wiedzę o tym, gdzie są.

— To jest prawda, nawet bardziej niż myślisz — przyznał Duńczyk. — Nawet ja sam nie wiem.

Ryba parsknęła wzgardliwie.

— To nie jest zwykła głupia biała kobieta, co z nią ty możesz robić takie sztuczki.

— Nie, Rybo — uspokoiła ją Margaret. — On mówi prawdę. Rzeczywiście nie wie. Zastanawiam się tylko, jak udaje ci się tam trafić.

— Kiedy przychodzi czas, żebym tam szedł, chodzę po okolicy i całkiem szybko tam jestem. Staję w drzwiach i wtedy już wszystko pamiętam.

— Co pamiętasz?

— Skąd mam wiedzieć? Jeszcze nie stoję w tych drzwiach.

— Potężne heksy — uznała Margaret. — Zabierz mnie tam.

— Tego nie mogę — odparł Duńczyk.

— A co ty powiesz, kiedy utnę ci jaja? — zaproponowała uprzejmie Ryba.

Duńczyk spojrział na nią ze zdumieniem. Nie słyszał jeszcze, żeby czarna kobieta tak się wyrażała, publicznie, w obecności Białych.

— Poczekajmy z okaleczeniem, Rybo. Ponownie mam wrażenie, że Duńczyk Vesey mówi prawdę. Nie potrafi znaleźć tego miejsca, chyba że idzie tam samotnie.

Duńczyk pokiwał głową.

— Dobrze więc — rzekła Margaret. — Nie mamy już nic do załatwienia. Możesz iść.

— Chcę tego człowieka — oznajmił Duńczyk, patrząc na Calvina.

— Nigdy go nie dostaniesz. Ma większą moc, niż potrafisz sobie wyobrazić.

— Chyba nie ma aż takiej. Popatrz na niego. On jest pusty.

— Owszem, został schwytyany z zaskoczenia. Ale nie zatrzymacie go długo.

— Dość długo. Jego ciało zaczyna gnić. On już umiera.

— Zanim skończę liczyć do trzech, masz odejść ode mnie i iść dalej — ostrzegła Margaret.

— Bo co?

— Jeden. Bo zacznę krzyczeć, żebyś mnie nie dotykał swoimi brudnymi łapami.

Duńczyk cofnął się natychmiast. Nie istniało oskarżenie, które pewniej zaprowadziłoby go na stryczek, i to bez dalszych dyskusji.

— Dwa — powiedziała Margaret. Duńczyk zniknął.

— Teraz znowu go zgubiłyśmy — zmartwiła się Ryba.

— Nie, droga przyjaciółko, teraz go mamy. Doprowadzi nas prosto tam, gdzie chcemy. Nie może się przede mną ukryć. — Margaret obróciła się wolno dookoła, badając wzrokiem okolicę. — Myślę, że dzisiaj jest dobry dzień, żeby zafundować sobie przejażdżkę bryczką.

Poprowadziła oboje do rzędu czekających dorożek. Musiała sama unieść stopę Calvina, gdy Ryba ciągnęła go z przodu, by obojętne ciało znalazło się wewnątrz. Gdy tylko Calvin zajął miejsce na ławeczce, Ryba chciała wysiąść.

— Zostań tu ze mną, proszę — zaproponowała Margaret.

— Nie mogę zostać.

Jakby chciał włączyć się do rozmowy, biały woźnica uchylił odsuwane okienko między wnętrzem powozu a kozłem.

— Psze pani — zaczął. — Jest pani z Północy, więc nie wie, ale tu u nas nie pozwalamy niewolnikom jeździć powozami. Ona też wie. Musi wysiąść i iść pieszo obok.

— Powiedziała mi o tych przepisach i chętnie się do nich dostosuję. Jednakże ten oto mój szwagier często dostaje mdłości podczas jazdy. Rozumiesz, mam nadzieję, że jeśli zwymiotuje, nie jestem przygotowana, żeby trzymać mu torebkę.

Woźnica rozważał to przez chwilę.

— W takim razie lepiej niech pani zasłoni okno, psze pani — zdecydował. — Nie chcę kłopotów.

Ryba spojrzała na Margaret z niedowierzaniem. Potem schyliła się i zaciągnęła zasłony po jednej stronie powozu, gdy Margaret zrobiła to samo z drugiej. Kiedy nie były już widoczne z zewnątrz, usiadła obok Calvina z uśmiechem małej dziewczynki, która dostała pełną łyżkę melasy. Kilka razy podskoczyła nawet na siedzeniu.

Okienko uchyliło się znowu.

— Dokąd, psze pani? — spytał woźnica.

— Poznam to miejsce, kiedy tam dojedziemy — odparła Margaret. — Ale jestem pewna, że to w Miasteczku Czarnych.

— Psze pani, nie powinna pani tam jechać.

— Dlatego mam przy sobie szwagra.

— No dobrze. Zabiorę tam panią, ale wcale mi się to nie podoba.

— Spodoba się wam bardziej, kiedy wam zapłacę.

— Spodobałoby mi się jeszcze bardziej, psze pani, gdyby zapłaciła pani z góry.

Margaret roześmiała się tylko.

— Znaczy się, połowę z góry.

— Dostaniecie pieniądze po przybyciu na miejsce, i to, mój panie, jest prawo. Choć gdybyście chcieli wyrzucić mnie ze swojej bryczki, możecie oczywiście wezwać konstabla. Zapytajcie go przy okazji o niewolnicę siedzącą w powozie.

Woźnica zatrzaskał okienko i powóz ruszył z ostrym szarpnięciem. Ryba pisnęła, niemal spadła z ławeczki, potem usiadła znowu ze śmiechem.

— Nie rozumiem, dlaczego wy, Biali, nie jeździecie tak bez przerwy.

— Bogaci jeżdżą — przyznała Margaret. — Ale nie wszyscy Biali są bogaci.

— Oni wszyscy są bogatsi niż ja.

— Co do pieniędzy, z pewnością masz rację — zgodziła się Margaret.

A potem, ponieważ cieszyła ją radość Ryby, także podskoczyła na siedzeniu. I obie zachichotały jak uczennice.

* * *

Nóż w kieszeni ciążył, jakby ważył ze dwie tony. Duńczyk chciał zrobić coś strasznego: zabić bezradnego człowieka, a wszystko wydawało się jeszcze gorsze, ponieważ biała dama znała jego zamiary. Przyzwyczał się być niewidzialny, przywykł do Białych, którzy nie zwracają na niego uwagi, najwyżej czasem sprawią jakieś drobne kłopoty. Ale kłopoty, jakie sprawiała ta kobieta, wcale nie były drobne. Wiedziała o nim takie rzeczy, jakich nie domyślał się nawet Gullah Joe. Była przerażająca.

Z ulgą ją opuścił, z ulgą ruszył znowu po uliczkach Miasteczka Czarnych, aż w końcu trafił na drzwi i nagle wiedział, że to właśnie te, choć nie mógłby wytłumaczyć, jak je poznał ani dlaczego wcześniej ich nie pamiętał. Położył rękę na klamce i otworzył je bez klucza. Kiedy wszedł już do środka i zamknął je za sobą, przypomniał sobie wszystko. Gullah Joe. Walka i sznurki imion. Nic dziwnego, że miał tego Białego zabić, bo ten Biały rozwiązał imię jakiegoś biednego niewolnika i wypuścił, by wędrowało nie wiadomo gdzie...

Ale przecież wiedział gdzie. Aż huknął głośno z radości.

— Gullahu Joe, nie uwierzysz! Spotkałem czarną dziewczynę, co to jej imię wypuścił ten demon, co go złapałeś.

Gullah Joe spojrział na niego gniewnie.

— Ty tak nie krzyczeć, co my robić i wszyscy na ulica słyszeć.

— Mówią na nią Ryba — opowiadał Duńczyk już ciszej. — Nie myślę, że to był przypadek, że biały chłopak wypuścił akurat jej imię. Bo wynajęła ją żona jego brata.

— Ty mówić mi, że znaleźć ten Biały.

— Znalazłem, ale jeszcze nie zginął.

Gullah Joe walnął ręką o stół. Duńczyk aż podskoczył; jego wesoły nastrój ulotnił się natychmiast.

— Ty stracić odwaga?

— Ona wiedziała, że ja przyjdę.

— Kobieta, ona!

— Ona zaprowadziła go na baterię, pełno Białych dookoła, ty myślisz, że ja mogłem chociaż pokazać nóż, a co dopiero ciąć białego chłopaka?

— Chłopak? Ten Biały być on może dziecko?

— Nie, mężczyzna, ale młody. Pewnie się jeszcze nie goli. Duńczyk przypomniał sobie, jak wygląda Calvin. Taki pusty. . . jak jego kobieta. Biała czarownica wszystko o niej wiedziała.

Rozejrzał się mimowolnie. Jego kobieta tam była, naprawiała ubrania w kącie. Nie podniosła głowy — pełnej koncentracji wymagało samo wbicie i wyciągnięcie igły z materiału. Kiedyś była porywcza, jak ta Ryba. Może zdobyłbym ją uczciwie, pomyślał. Gdybym ją uwolnił. Ale musiałem być jej panem, prawda? Jak biały człowiek. Byłem panem.

— Jak on być? — zapytał Gullah Joe. — Kto?

— Ciało ten demon.

— Niewiele mu już brakuje, Joe.

— Ale za dużo.

Gullah Joe zerknął na krąg, który więził demona. Duńczyk zauważył, że zasłona z supełków i amuletów jest dwa razy grubsza niż rano, kiedy wychodził.

— Próbował uciekać?

— Może on uciec już.

— Zaraz. . . Gdyby uciekł, czy my byśmy nie wiedzieli? Czy ty byś nie był trupem?

— Może on wiedzieć za dużo — stwierdził Gullah Joe. — Ty patrzeć. Patrzeć na to!

Choć w pomieszczeniu nie czuło się nawet najlżejszego podmuchu, jeden z amuletów zakołysał się nagle i podskoczył.

— On to robi? — zdziwił się Duńczyk.

Gullah Joe rzucił mu pogardliwe spojrzenie.

— Nie, głupi, karaluchy w amulet, one robić tak on skakać.

— Jak on to potrafi, kiedy ty trzymasz go w niewoli?

Gullah Joe może by coś odpowiedział, ale właśnie wtedy obaj usłyszeli, że otwierają się drzwi na dole. Gullah Joe aż podskoczył wysoko, a Duńczyk chciał krzyknąć ze zdumienia, jednak Joe gwałtownie potrząsnął głową i zasłonił dłonią usta, nakazując milczenie.

Duńczyk pochylił się do niego.

— Mówiłeś, że nikt nie może tu trafić.

Usłyszeli kroki na schodach. Przybysze nie starali się iść cicho. Tup, tup, tup. . . Powolny marsz, wiele stóp. Wreszcie Duńczyk zrozumiał, co takiego słyszy.

— To ona — szepnął. — Ona go tu przyprowadziła.

Jej głos nadpłynął z dołu.

— Rzeczywiście przyprowadziłam — rzekła. — Odsuń się, Duńczyku Vesey. Muszę porozmawiać z Gullahem Joe.

Czarownik zatańczył przy stoliku jak dziecko, które musi się wysiusiać. Nikt jeszcze z taką łatwością nie przebił się przez jego bariery. Nikt jeszcze nie nazwał go imieniem, kiedy sobie tego nie życzył. Ta kobieta musiała być tak potężna, że nie wiedział nawet, jakich czarów próbować. Pokonała już niektóre z jego najpotężniejszych.

Duńczyk zauważył przerażenie czarownika i zrozumiał, że dzieje się coś nieprzewidywalnego.

— Calvinie! — zawołała Margaret. — Czy słyszysz mój głos?

Byli już prawie na szczycie schodów; mogli rozejrzeć się po stryszku, zobaczyć wszystkie wiszące amulety. Biała kobieta, biały mężczyzna i niewolnica Ryba.

Margaret czekała na odpowiedź. Ku jej zdumieniu, nadeszła od idącego obok mężczyzny.

— Słyszę cię — powiedział Calvin. Ale głos miał cichy i mówił z roztargnieniem.

— Sprowadziłam twoje ciało w pobliże twego przenikacza — wyjaśniła.

— Wyciągnij mnie stąd — poprosił głuchym głosem.

— Ty zabić on teraz — nakazał Gullah Joe. — On ciało, ona wołać z powrotem jego dusza. Zabić!

Duńczyk chwycił nóż o wiele większy od tego, który trzymał w kieszeni.

— Trzymaj go z daleka — zwrócił się do Margaret.

Zignorowała to polecenie całkowicie. Podprowadziła Calvina bliżej do wielkiego kręgu amuletów.

— Stać, ty! Nie brać on tam! — Gullah Joe rzucił w nią garścią jakiegoś proszku, ale nagła bryza dmuchnęła mu w twarz i proszek zakłuł go w oczy, aż zaczęły łzawić. — Jak ty robić takie czary?

Nie zwracała na niego uwagi. Rozsunęła amulety, żeby wepchnąć Calvina do kręgu.

— O tak — odezwał się Calvin. Mówił już swoim zwykłym głosem, choć bez zwykłej buńczuczności. — Teraz lepiej. Przyprowadź mnie.

— Stać on! — wrzasnął Gullah Joe.

Duńczyk z nożem w ręku rzucił się między amulety i białego mężczyznę.

Margaret natychmiast pchnęła Calvina z całej siły. On i Duńczyk zatoczyli się razem prosto do wnętrza kręgu, który więził Calvinowy przenikacz.

Gullah Joe zawył z wściekłości i rzucił się na podłogę.

— Mam pewien kłopot, Margaret.

Słowa miały typową dla Calvina intonację. Jednak głos wydobywał się z ust Duńczyka Veseya.

— Jaki kłopot, Calvinie? — zapytała.

— Nie mogę wrócić do mojego ciała. Dobrze, że wrzuciłaś tu zapasowe.

— To nie jest zapasowe ciało — zwróciła mu uwagę Margaret. — Ktoś już z niego korzysta.

— Myślisz, że nie zauważyłem? Ale do własnego nie umiem powrócić, a bez ciała nie mogę mówić.

Margaret podeszła do Gullaha Joe.

— Co się dzieje? Dlaczego nie może wrócić do swojego ciała?

— Bo on już pól umrzeć! On ukraść ciało mój przyjaciel, on!

— Twoje ciało umiera — wyjaśniła Calvinowi Margaret. — Duńczyk wspominał o tym już wcześniej. Gnijesz.

— Oddać mu jego ciało! — krzyczał Gullah Joe.

— Więc pomóż mi wprowadzić go do jego własnego.

— Jak? On już martwy człowiek w grób!

— Wcale nie — sprzeciwiła się Margaret. — Calvinie, musisz wyleczyć swoje ciało.

— Nie wiem jak — odpowiedział Calvin. — Nigdy nie próbowałem wskrzeszać umarłych.

— Nie umarłeś. Patrz, twoja pierś unosi się i opada.

— Dobrze, próbuję, ale to nie jest skaleczony palec. Nie wiem, co trzeba. . .

— Czekaj! — Margaret odwróciła się, podeszła do czarownika i postawiła go na nogi. — Ty wiesz! — krzyknęła. — Powiedz!

— Co ja wiedzieć? — zdziwił się Gullah Joe, udając bezradność i pokorę. — Ty kobieta czarownik, ty złamać wszystkie te czary, ty.

Wzruszył ramionami. Margaret rozpoznała wyraz jego twarzy, rozpoznała gest: w taki sposób niewolnicy mówili swoim panom, że mogą iść do diabła. Zajrzała w płomień jego serca i zobaczyła wiele. Jednak jego wiedza pozostała przed nią ukryta.

— Wiesz, jak go wyleczyć — powiedziała głośno, patrząc mu prosto w oczy, z tak bliska, że musiał czuć na twarzy jej oddech. — Chwytałeś już przedtem dusze i wiesz, jak je oddać.

Czarownik skrzyżował tylko ręce na piersi i wpatrywał się w pustkę.

— Przepraszam, pani Margaret — wtrąciła Ryba. Przycisnęła lewą dłoń do policzka Gullaha Joe, a prawą uderzyła w drugi policzek tak mocno, że aż krew popłynęła mu z ust.

— Rozmawiaj z miłą panią! — wrzasnęła. — Ona nie jest wrogiem, słyszysz?

— On wystraszył ją! — zawołał Gullah Joe, wskazując leżącego na podłodze Calvina. — Zabrać go na to ciało!

Ryba uderzyła po raz drugi, tak mocno, że przewrócił się, wymachując rękami. Jego warkocze rozsypały się na boki. Jakiś amulet musiał się przy tym poluzować, gdyż nagle przed Margaret otworzyła się nowa część jego duszy. Nie musiała już czekać, aż jej

powie. Wzięła dwa małe słoiczki ze stołu, z każdego wyjęła solidną szczyptę proszku, weszła do kręgu amuletów i rozsypała proszek nad Calvinem.

Robiąc to, myślała o Antygonie, która sypała ziemię na ciało swego brata, mimo zakazu wydanego przez Kreona. Czy rytualnie chowam brata mojego męża? Gdybym wierzyła, że pozwalając mu umrzeć, mogę ocalić Alvina. . . ale wtedy straciłabym Alvina. To przecież jego ukochany młodszy braciszek, z którym bawili się przez całe dzieciństwo. Jeśli zginie, nie może to się stać z mojej ręki, nawet pośrednio. Coś takiego zniszczyłoby moje życie z Alvinem, a jego wcale by nie musiało ocalić. W płomieniu serca Alvina, który sprawdziła szybko, nie znalazła ani jednej ścieżki nieprowadzącej do zdrady Calvina. Dopóki ten chłopak żyje, Alvin nie jest bezpieczny.

A jednak właśnie z miłości do Alvina nie pozwoliła Calvinowi umrzeć. Chmurki proszku spłynęły nad jego ciałem, zostały wessane do nozdrzy. . . Niemal natychmiast się ożywił. Usiadł.

— Ależ jestem głodny — powiedział.

— Nie! — zawył Gullah Joe. — Wracać! Uciekać stąd!

Calvin wstał.

— To jest ten drań, który uwięził mnie poza moim ciałem?

— Przez przypadek — odrzekła Margaret. — Nie rób mu krzywdy.

Calvin wyciągnął rękę, skrzywił się i zachwiał.

— Wylecz się! — zawołała znowu Margaret.

Calvin stał nieruchomo, najwyraźniej robiąc coś, czego nikt inny nie mógł dostrzec.

— Z każdą chwilą czuję się lepiej — oświadczył. — To, że znowu mam w sobie przenikacz, samo mnie leczy.

W tym momencie Ryba krzyknęła przerażona. Margaret odwróciła się błyskawicznie i zobaczyła, jak Duńczyk zbliża się chwiejnym krokiem do Calvina, unosząc nóż. Ryba skoczyła mu na plecy, chwytając rękę z nożem. Oboje runęli na podłogę.

Calvin tymczasem przestał się chwiać. Stał pewnie na nogach, a kiedy odwrócił się do Duńczyka, miał już dość przytomności umysłu, by podgrzać nóż. Duńczyk krzyknął i odrzucił gorący metal.

— Ty wszedłeś w moje ciało! — wrzasnął do Calvina, trzymając przed sobą oparzoną dłoń. — Ja mam nosić to, co ty wyrzuciłeś!

Zdawało się, że Calvin w ogóle go nie dostrzega. Szukał Gullaha Joe.

— Ty przeklęty bękartie, ty brudny czarowniku z siłdami! — wołał. — Gdzie jesteś? Mewa przeleciała przez pokój, gorączkowo trzepocząc skrzydłami. Zanim jednak znalazła otwarte okno, Calvin wyciągnął ku niej palec; spadła na podłogę. W jednej chwili ptak zniknął, a pojawił się Gullah Joe. Calvin ruszył w jego stronę; twarz wykrzywił mu straszny grymas nienawiści i gniewu.

— Calvinie, przestań! — krzyknęła Margaret. — To był wypadek! Złapali cię w pułapkę, ale nie mieli pojęcia, że to ty. A kiedy zrozumieli, jaką moc posiadasz, nie mieli wyjścia; musieli trzymać cię w niewoli ze strachu przed zemstą.

Przez chwilę Calvin przyglądał jej się w milczeniu. Potem zawrócił do kręgu, który był jego więzieniem. Kolejno zrywał z sufitu wszystkie czary, aż krąg przestał istnieć. W ciszy słychać było tylko łkanie Gullaha Joe. Kiedy jednak Calvin podszedł do mniejszego kręgu i też zaczął zrywać amulety, czarownik krzyknął w rozpacz.

— Zostawić to w spokoju, ty! Ja błagać! Ty puścić ich wolno, niektóre imiona nie znaleźć nigdy droga do swoje ciało!

Calvin nie zwracał na niego uwagi. Zerwał wszystkie wiszące czary, a potem otworzył nową sieć, tym razem rękami. Wszystkie sznurki imion rozrzucił po całej podłodze strychu.

— Nie ranić ich! — płakał Gullah Joe. — Duńczyk, ty zatrzymać on!

Ale Duńczyk siedział nieruchomo na podłodze i szlochał.

— Pozrywaj sznurki imion! — zawołała Ryba. — Oddaj niewolnikom ich gniew!

Calvin przyjrzał się jej z paskudnym uśmieszkiem.

— Na co dobrego może się komuś przydać gniew?

Potem z wściekłością, gwałtownie, samą siłą umysłu rozwiązał wszystkie supły, aż sznurki imion legły w strzępach. Wszyscy patrzyli na przewalający się stos, z którego wypadały różne śmieci. I wreszcie wszystko znieruchomiło, a strzępy i odpadki zmieszwały się w jedną masę.

Teraz, gdy czyn się dopełnił, Gullah Joe zaprzestał protestów. Wzniósł wzrok ku niewidocznemu niebu nad sufitem, przygniatającym ich z góry.

— Iść do domu, do wasza ciało, wy! Wszystkie imiona iść do domu!

Potem z płaczem osunął się na kolana.

— Dlaczego płaczesz? — zapytał Calvin. Zerknął na Duńczyka, który wycierał oczy.

— Ty wiatr za silny dla mnie — odparł Gullah Joe. — Och, mój lud, mój lud, iść do domu.

Calvin zrobił kilka kroków w jego stronę i przewrócił się.

— Umieram, Margaret — wyszeptał. — Moje ciało odeszło zbyt daleko.

— Niech on umrze, to nie będę go musiał zabijać — rzekł Duńczyk. — Wszystko, co zrobiliśmy dla naszego ludu, on teraz zniszczył.

— Nie! — krzyknęła Ryba. — On nas wyzwolił! Cały nasz gniew zamknięty w tej sieci to jak najgorsze więzienie! Wtedy jesteśmy niewolnikami, aż do głębi serca! Mamy oddać siebie, żeby się ukryć? Przed czym? Najgorsza rzecz już się stała, kiedy oddaliśmy imiona.

Margaret przyklęknęła obok Calvina.

— Musisz się uleczyć — powtarzała mu cicho.

— Nie wiem, od czego zacząć — wyszeptał Calvin. — Cały jestem pełen zepsucia.

— Alvinie! — zawołała zrozpaczona Margaret. — Alvinie, patrz! Spójrz na mnie! Zobacz, co się tu dzieje! — Poderwała się i zaczęła kreślić w powietrzu litery: POMÓŻ CALVINOWI WYLECZ GO. — Popatrz na mnie i ratuj go, jeśli chcesz, żeby żył!

— Co pani robi w powietrzu? — zdziwiła się Ryba. — Na co pani tak macha?

— Do mojego męża — odparła Margaret. — Ale on mnie nie widzi. — Zwróciła się do Gullaha Joe. — Czy możesz jakoś pomóc tym wszystkim zagubionym imionom wrócić do domu?

— Tak.

— W takim razie działaj.

— A co pani robi? — zapytał ponuro Duńczyk.

— Spróbuję wezwać męża, żeby uleczył swojego brata. A jeśli nie zdoła, będę trzymać Calvina za rękę, kiedy umiera.

Calvin jęknął zrozpaczony.

— Nie jestem gotów na śmierć!

— Gotów czy nie, kiedyś musi ci się przydarzyć — przypomniała mu Margaret. — Leczyć się, jak najlepiej potrafisz. Podobno jesteś Stwórcą, nie pamiętasz?

Calvin zaśmiał się, ale śmiech brzmiał słabo i gorzko.

— Całe życie starałem się uwolnić od Alvina. A teraz, jedyny raz, kiedy jest mi potrzebny, akurat nie pęta się pod nogami.

Zapadła cisza, w której rozległ się cichy, niski głos Gullaha Joe.

— Robić to, one. Znaleźć drogę na powrót.

— Więc teraz wyjdźcie na ulice i roześlijcie wiadomość po całym mieście — poradziła Margaret. — Czarni pełni są długo powstrzymywanej wściekłości. Nie wolno dopuścić, by powstali w daremnym buncie, kiedy tylko odzyskają wszystkie gwałtowne uczucia.

Nie ruszyli się.

— Idźcie! — krzyknęła. — Ja się zajmę Calvinem.

Gullah Joe i Duńczyk wybiegli. Szli od domu do domu. Już teraz w całym mieście rozlegały się wycia i śpiew. Chwyтали każdego napotkanego Czarnego, tłumaczyli wszystko i posyłali go dalej z ostrzeżeniem: Opanujcie swój gniew. Nie krzywdźcie nikogo. Zniszczą nas, jeśli się nie powstrzymamy. Tak mówi zbieracz imion. Nie jesteśmy gotowi. Jeszcze nie jesteśmy gotowi.

Na strychu nad składem Margaret i Ryba mogły tylko ocierać czoło Calvinowi, który leżał nieprzytomny z gorączki. Ciało i dusza znów były razem, ale — zdawało się — tylko po to, by umrzeć.

Po chwili dołączyła do nich trzecia para rąk — czarna kobieta, poruszająca się powoli i niepewnie. Mówiła bełkotliwie, kiedy zadała im jedno czy drugie pytanie; trudno było ją zrozumieć. Margaret od razu się domyśliła, kim jest. Ujęła jej dłoń; z drugiej strony Ryba uczyniła to samo.

— Nie musisz pracować dzisiaj — powiedziała Ryba. — My się nim zajmiemy.

Ale kobieta chyba nie zrozumiała tych słów. Pomagała im przy Calvinie, jak gdyby z osobistych powodów zależało jej na utrzymaniu go przy życiu. A może po prostu kochała bliźniego swego jak siebie samą.

DZIEŃ SĄDU

John Adams nie zadał sobie nawet trudu, by usadowić się wygodnie za stołem. Przesłuchanie powinno być rutynowe. Quill odczyta oskarżenie. Młody prawnik pełniący funkcję obrońcy oświadczy, że jego klient jest winny — albo nie. Wszystko skończy się po paru minutach.

Zaczęło się zwyczajnie. Quill odczytał akt oskarżenia — normalny zestaw zarzutów o kontakty z szatanem. Kiedy stało się jasne, że to raczej retoryka niż lista oskarżeń, John stuknął młotkiem.

— Sądzę, że usłyszeliśmy już wszystkie zarzuty, i teraz przeszedł pan do mowy oskarżycielskiej, panie Quill.

— Dla lepszego zrozumienia oskarżeń, Wysoki Sądzie, chcę. . .

— Doskonale rozumiem oskarżenie, tak samo jak podsądny. Dokładnego omówienia szczegółów wysłuchamy, nie wątpię, w późniejszym terminie. Co oskarżony ma do powiedzenia?

Verily Cooper wstał ze swego miejsca z gracją — dżentelmen doskonały. Wysoki kowal, wstając, przywodził na myśl żółwia wychodzącego ze skorupy.

— Alvinie Smith, czy przyznajesz się do winy? — zapytał John.

— Jestem niewinny, Wysoki Sądzie.

Alvin usiadł, a John zaczął odczytywać plan jutrzejszego posiedzenia, kiedy to miał się zacząć właściwy proces. Wtedy zauważył, że Cooper wciąż stoi.

— O co chodzi, panie Cooper?

— Jak sądzą, tradycja nakazuje wysłuchać teraz wniosków.

— Bezwarunkowe wnioski o oddalenie oskarżenia nigdy nie są przyjmowane w procesach o czary — uprzedził John.

Cooper stał wciąż nieruchomo i czekał.

— No dobrze. Czy obrona zgłasza jakieś wnioski?

Cooper podszedł do stołu z kilkoma kartkami pokrytymi jego eleganckim pismem.

— O co tu chodzi? — zdziwił się Quill.

— Jak się zdaje, oskarżony ma kilka bardzo ciekawych próśb — rzekł John. — No dobrze, panie Cooper. Proszę zaspokoić ciekawość pana Quilla i odczytać swoje wnioski.

— Po pierwsze, ponieważ oskarżyciel zamierza wnieść zarzuty przeciwko świadkowi, zapisanemu w aktach tutejszej parafii jako Purity Orphan, na podstawie tych samych dowodów co wobec mojego klienta, obrona wnioskuje o połączenie obu procesów.

— To śmieszne — zaprotestował Quill. — Purity jest naszym głównym świadkiem i obrona wie o tym doskonale.

Wniosek Cooper a rozbawił Johna, a irytacja Quilla sprawiła mu satysfakcję.

— Mam przez to rozumieć, panie Quill, że nie zamierza pan oskarżyć panny Purity Orphan na podstawie tych samych dowodów?

— Chcę powiedzieć, że nie jest to istotne dla obecnego procesu.

— Uważam, że panna Purity musi mieć w tej sali prawa oskarżonej — oświadczył Cooper. — Ponieważ zeznania, jakie tutaj złoży, nie powinny być potem wykorzystywane przeciwko niej na jej procesie.

Zanim Quill zdążył odpowiedzieć, John zwrócił się do niego ostrym tonem.

— Panie Quill, skłonny jestem przyjąć ten wniosek, chyba że zechce pan złożyć nieodwołalną rezygnację ze wszystkich zarzutów przeciwko Purity Orphan, jakie mogłyby wynikać z jej zeznań w tym procesie.

Przez chwilę Quill nie mógł wykrztusić słowa — ale tylko przez chwilę. Łatwo było odgadnąć, co myśli: Czy ważniejsze jest rozdzielenie obu spraw, czy możliwość osądzenia Purity?

— Nie mam zamiaru rezygnować z oskarżenia czarownicy, która sama się przyznała. John uderzył młotkiem.

— Wniosek przyjęty. Czy Purity Orphan znajduje się w sądzie?

Wystraszona, zmęczona młoda kobieta wstała z miejsca za fotelem oskarżyciela.

— Panno Purity — zwrócił się do niej John. — Czy zgadza się pani na połączony proces? A jeśli tak, czy zgadza się pani również, by Verily Cooper reprezentował wspólnie panią i Alvina Smitha?

Quill poderwał się z miejsca.

— Jej interesy są różne od interesów Alvina Smitha!

— Nie, nie są — zapewniła Purity zadziwiająco śmiałym tonem. — Zgadzam się w obu przypadkach, Wysoki Sądzie.

— Proszę zająć miejsce przy stole obrony.

John odczekał chwilę, póki nie usiadła po drugiej stronie Verily'ego Coopera. Dał im jeszcze chwilę, by szeptem wymienili jakieś uwagi. Quill przerwał ciszę.

— Wysoki Sądzie, czuję, że muszę zaprotestować przeciwko tej nieregulaminowej procedurze.

— Przykro mi słyszeć, że tak pan to odczuwa. Niech pan zawiadomi, gdyby to uczucie stało się nieodparte.

Quill zmarszczył czoło.

— Dobrze więc, Wysoki Sądzie. Zgłaszam protest.

— Zaprotokołowano. Proszę jednak zauważyć, że sąd nie pochwała praktyki zwożenia świadka i namawiania go do zeznań w czyjejs sprawie tylko po to, by potem jego zeznanie zostało użyte przeciwko niemu w jego własnym procesie. Praktyka ta, jak rozumiem, jest typowa w procesach o czary.

— Jest to praktyka uzasadniona przez trudności w uzyskaniu dowodów na kontakty z szatanem.

— Tak — zgodził się John. — To powszechnie znane trudności. Wiele od tego zależy, nieprawdaż? Następny wniosek, panie Cooper.

— Ponieważ pan Quill otwarcie i publicznie pogwałcił prawa zakazujące wymuszania zeznań torturami, wnioskuję, by wszelkie dowody uzyskane w wyniku przesłuchań obojga moich klientów podczas i po zastosowaniu tortur były wyłączone z niniejszego postępowania.

Quill poderwał się na równe nogi.

— Żadnemu z oskarżonych nie zadano fizycznego bólu, Wysoki Sądzie! Nie pojawiła się też groźba takiego bólu! Prawo było ściśle przestrzegane!

Quill miał rację. John wiedział o tym dobrze. Wspierała go ponad setka lat precedensów, od czasu gdy po fiasku w Salem wprowadzono prawa zakazujące tortur. Łowcy czarownic bardzo się pilnowali, by nie przekroczyć granicy.

— Wysoki Sądzie — rzekł Cooper. — Twierdzę, że zmuszanie oskarżonej osoby do biegu, póki nie osiągnie stanu całkowitego wyczerpania, jest w swej istocie torturą i podlega takim samym ograniczeniom jak formy tortur, które wyliczono szczegółowo w kodeksie.

— Kodeks mówi to, co mówi! — zawołał Quill.

— Proszę się opanować, panie Quill — zwrócił mu uwagę John. — Panie Cooper, sformułowania kodeksowe są całkiem wyraźne.

Cooper odczytał wówczas długi ciąg cytatów z prawa umów, dotyczących prób omińnięcia litery kontraktu poprzez stosowanie praktyk nie zakazanych, ale wyraźnie łamiących jasno wyrażoną intencję umawiających się stron.

— Zasada stwierdza jasno, że jeśli daną praktykę wykorzystuje się wyłącznie w celu obejścia prawnych ograniczeń, owa praktyka także uznawana jest za pogwałcenie prawa.

— To prawo umów — stwierdził Quill. — Nie ma zastosowania w tej sprawie.

— Wręcz przeciwnie. Prawo zakazujące tortur jest formą umowy pomiędzy rządem i obywatelami, gwarantujące niewinnym, że nie będą zmuszani torturami, by dawać fałszywe świadectwo przeciwko sobie lub innym. Wśród łowców czarownic powszechną praktyką jest stosowanie metod torturowania wymyślonych po spisaniu tego prawa, a zatem nie wyliczanych przez kodeks, jednak mających ten sam zgubny efekt jak procedury zakazane. Inaczej mówiąc, powszechna praktyka gonienia świadków w procesach o czary została wprowadzona, by uzyskać dokładnie ten sam skutek co tortury szczególnie zabronione: zmusić do zeznań na temat czarów, niezależnie od tego, czy owe zeznania są wsparte innymi dowodami.

Reporter sądowy notował w szaleńczym tempie, gdy Quill rzucał gromy. John pozwolił mu mówić. Nic, co Quill mógłby powiedzieć, nie miało najmniejszego znaczenia. John wiedział, że z punktu widzenia prawdy i prawości tezy Coopera są prawdziwe i prawe. Wiedział jednak również, że problem prawny wcale nie jest tak oczywisty. Wykorzystywanie precedensu z prawa umów w prawie o czarach, które jest fragmentem prawa kościelnego, naraziłoby Johna na oskarżenie, że świadomie sieje chaos. Do cze-

go mogła doprowadzić taka praktyka? Wszystkie tradycje prawne zostaną beznadziejnie wymieszane, a wtedy kto zdoła poznać prawo na tyle, by praktykować je w dowolnym sądzie? Byłby to krok oburzająco radykalny. Co nie znaczy, że John obawiał się krytyki czy potępienia. Był już stary i jeśli inni nie zechcą naśladować jego precedensu, niech tak będzie. Nie; naprawdę chodziło o to, czy warto narażać na szwank cały system prawny, by uzyskać praworzędne wyroki w sprawach o czary.

Kiedy Quill się nagadał, John nie podjął jeszcze decyzji.

— Sąd weźmie ten wniosek pod rozwagę i ogłosi decyzję w późniejszym terminie, jeżeli dalsze wnioski nie rozstrzygną tej kwestii niezależnie.

Cooper był wyraźnie rozczarowany. Quill też wcale nie wyglądał na zadowolonego.

— Wysoki Sądzie, samo rozważanie takiego wniosku. . .

John uderzył młotkiem.

— Następny wniosek, panie Cooper.

Cooper wstał i znowu zaczął cytować całą serię mało znanych rozstrzygnięć sądów angielskich. John, mając przewagę czytania wniosku złożonego na jego ręce, nieźle się bawił, obserwując, jak Quill powoli zdaje sobie sprawę, do czego zmierza adwokat.

— Wysoki Sądzie — odezwał się w końcu, przerywając młodemu prawnikowi. — Obrońca zdaje się całkiem poważnie sugerować, by zeznań inkwizytora nie dopuszczać jako materiału dowodowego.

— Posłuchajmy do końca, to się przekonamy.

— A zatem, Wysoki Sądzie — podsumował Cooper — inkwizytorzy w procesach o czary, będąc bez wyjątku profesjonalistami, których zatrudnienie uzależnione jest nie od ustalenia prawdy, ale od uznania oskarżonych za winnych, są stroną zainteresowaną wynikiem postępowania. W ciągu ostatnich stu lat rejestry nie wymieniają ani jednego łowcy czarownic, który po przesłuchaniu by stwierdził, że osoba oskarżona o czary nie jest winna. Co więcej, można zaobserwować stały schemat poszerzania kręgu oskarżonych wskutek uzyskanych zeznań. Tylko w dwóch przypadkach zarzuty kontaktów z szatanem obecne były w oryginalnym zeznaniu i oba okazały się świadomym, celowym fałszerstwem. Schemat jest jasny: wszystkie zgodne z prawem procesy o czary rozpoczynają się bez dowodów na cokolwiek poza użyciem talentu. Zeznania o udziale szatana pojawiają się dopiero po przybyciu inkwizytora, a wtedy trafiają do sądu na dwa możliwe sposoby. Albo jako własne zeznanie inkwizytora, negujące zapewnienia

świadka czy oskarżonego, którzy przeczą udziałowi szatana, albo w zeznaniu świadka, który przyznaje się do kontaktów z szatanem, co stanowi element skruchy, wskutek czego oskarżenie zostaje wycofane. Krótko mówiąc, Wysoki Sądzie, zapisy historyczne stwierdzają to wyraźnie. Dowody szatańskiego zaangażowania we wszystkich procesach o czary w Nowej Anglii to wyłącznie zeznania samych łowców czarownic oraz tych, którzy z lęku przed śmiercią naginają się do ich woli i składają jedyne zeznanie, które łowcy skłonni są zaakceptować.

— On żąda, by ten sąd zaprzeczył samej podstawie prawa o czarach! — krzyknął Quill. — Chce, by ten sąd zaprzeczył wyraźnej intencji parlamentu i zgromadzenia Massachusetts!

John zaśmiał się niemal w głos. Cooper okazał się wyjątkowo zuchwały. Chciał nie tylko, by oskarżenie odrzucono bez procesu. Żądał też od sędziego takich rozstrzygnięć, które praktycznie uniemożliwią w przyszłości jakikolwiek proces o czary. To znaczy, jeśli decyzja Johna zostanie uznana za ważny precedens.

A wszystko sprowadziło się do jednej myśli: on daje mi szansę dokonania w ostatnich latach życia czegoś wielkiego.

— Pański zarzut dotyczy bardzo poważnego nadużycia ze strony pana Quilla. Gdybym miał przyjąć ten wniosek, nie miałbym wyboru, musiałbym unieważnić licencję pana Quilla i oskarżyć go o krzywoprzysięstwo. To na początek.

— Działalem w zgodzie z najlepszymi tradycjami mojego zawodu! — zawołał Quill. — To oburzające!

— Mimo to — ciągnął John — zarzuty są tak poważnej natury, że czynią problematycznym całe postępowanie przeciwko panu Smithowi i pannie Purity. Mam bowiem przeczucie, że gdybym uznał którykolwiek z tych dwóch wniosków, następny dotyczyłby zastosowania literalnej wykładni praw o czarach.

— Istotnie, Wysoki Sądzie — przyznał Cooper.

— To ja wnioskuję o literalną wykładnię — zaprotestował Quill.

— Pan prosi o literalną wykładnię prawa zakazującego tortur — zauważył John. — Sądy od dawna zdawały sobie sprawę z faktu, że literalna wykładnia prawa o czarach wymaga dla uzyskania wyroku udowodnienia nie tylko korzystania z ukrytych mocy, ale też że owe moce biorą się z wpływu lub władzy szatana.

— To nie jest wymaganie, to warunek ich wystąpienia! — krzyknął Quill.

— Proszę na mnie nie krzyczeć, panie Quill. Sprawiedliwość może być ślepa, ale nie jest głucha.

— Proszę o wybaczenie.

— Niezależnie od wybuchów pańskiego temperamentu, panie Quill, od dawna ustalono, że literalna wykładnia tradycyjnego tekstu prawa o czarach prowadzi do wniosku, iż udział szatana nie jest rzeczą oczywistą i musi zostać udowodniony. Posiadanie niezwykłych umiejętności nie jest *prima facie* dowodem szatańskich wpływów, co wynika wprost z tradycji prawa kościelnego, które zawsze musi pozostawić miejsce na możliwość cudu, dokonanego dzięki wierze w Jezusa Chrystusa i interwencji niebios.

— Czyżby obrona wyznawała teorię, że ta para czarowników czyniła cuda dzięki mocy zesłanej im przez Chrystusa? — zapytał Quill takim tonem, jakby to był największy z możliwych absurdów.

Ale jego słowa zawisły w powietrzu bez odpowiedzi, bez protestu, wywierając efekt przeciwny do zamierzonego. John wiedział, że jedną z głównych tez, zapamiętanych dzisiaj w sali sądowej, będzie ta, że ludzie o mocy danej od Boga mogą zostać oskarżeni o czary, jeśli łowcy czarownic postawią na swoim.

Dobra robota, panie Cooper.

— Decyzją sądu wnioski wniesione przez obronę muszą zostać rozpatrzone, zanim proces będzie kontynuowany. Niech woźny zwolni przysięgłych i opróżni salę, aby dyskusja na temat dowodów, jaka się teraz zacznie, nie wpłynęła na końcowy werdykt. Posiedzenie wznowimy w południe. Radzę wszystkim zjeść wczesny obiad, zamierzam bowiem rozstrzygnąć te kwestie, zanim wieczorem nastąpi odroczenie.

Uderzenie młotkiem, i John poderwał się z fotela, by niemal tanecznym krokiem pobiec do szatni. Nigdy by nie przypuszczał, że ten paskudny procesik nagle stanie się tak istotny. Odrzucił oskarżenia w obu procesach o czary, którym przewodził. Ale w tamtych sprawach powodem były sprzeczności w zeznaniu świadka, więc nie powstał precedens. Cooper doprowadził do sytuacji o wiele groźniejszej — przyjęcie któregośkolwiek z jego wniosków dowodowych może obalić same prawa o czarach, czyniąc je nieegzekwowalnymi. Wobec klimatu politycznego w Nowej Anglii niewielka była szansa, by prawodawca wprowadził je na nowo, przynajmniej bez potężnych zabezpieczeń, które usuną wszystkie te drobne sztuczki z arsenału łowców czarownic. To, co dzieje się w Anglii, może oczywiście przebiegać całkiem inaczej. Ale jeśli John znał swego

syna Quincy'ego, zgromadzenie Massachusetts zadziała błyskawicznie i zanim jeszcze parlament przedyskutuje sprawę, prawo w Nowej Anglii zostanie już ustanowione. Parlament znajdzie się wówczas w nieprzyjemnej sytuacji, zmuszony odrzucić prawo kościelne wprowadzone w Nowej Anglii — miejscu, gdzie życie chrześcijan uważa się za najbardziej czyste. Istniała szansa, że wszystko to może się skończyć w tej sali, dzisiaj.

Usiadł w krytym pluszem fotelu, niemal zapadając się w poduszki, gdyż mebel zaprojektowano dla potężniejszych mężczyzn. Przymknął oczy i uśmiechnął się. A jednak Bóg przeznaczył mu pewną rolę do odegrania w życiu.

* * *

Purity nie miała pojęcia, co planuje Verily Cooper. Wiedziała tylko, że Quill przeciw temu protestuje ze szczerym oburzeniem, a zatem jej musiało się podobać. Poza tym widziała wyraźnie, że Verily Cooper nie czuje wobec niej złości; Alvin także nie, choć przez nią przecież znalazł się w łańcuchach. Mimo to niełatwo jej przyszło usiąść obok tych ludzi, których oskarżyła. Gdyby wiedziała, składając doniesienie, do czego to doprowadzi... Spróbowała im wytłumaczyć.

— Wiemy dobrze — przerwał jej Verily. — Proszę się nie martwić.

— Gdzie jedzenie? — zainteresował się Alvin. — Nie mamy wiele czasu, a trzeba coś zjeść.

— Nie wiem, czemu mi pan pomaga — powiedziała Purity.

— Wcale nie pomaga — stwierdził Alvin. — On próbuje zmienić świat.

— Alvin ma kłopoty z władzą — odparł Verily. — Nie lubi, kiedy ktoś inny dowodzi.

— Chcę, żeby ktoś inny zaczął dowodzić operacją sprowadzenia tutaj jakiegoś jedzenia. Ten stół zaczyna wyglądać coraz bardziej smakowicie.

Wtedy właśnie zbliżył się woźny. Zapytał, czy chcą jeść w celach, osobno, czy może w sali sądowej, na stole obrony. Wielki piknikowy kosz jedzenia przygotowało kilka dam z Cambridge, w tym jego żona.

— To wręcz niezwykła życzliwość — ucieszył się Verily.

Woźny uśmiechnął się szeroko.

— Moja żona była wczoraj na łąkach. Uważa was za Galahada. Albo Percivala.

— Zechce jej pan podziękować ode mnie? Od nas wszystkich? Wkrótce stół był zastawiony chlebem, serem i owocami.

Alvin zabrał się do jedzenia jak podrostek. Purity o wiele trudniej przyszło wzbudzić w sobie apetyt, kiedy jednak poczuła w ustach smak sera i gruszek, odkryła, że jest bardzo głodna.

— Sama nie wiem — powiedziała — jak moglibyście mi kiedykolwiek wybaczyć.

— Ależ wybaczymy pani — zapewnił Alvin. — Nawet więcej niż wybaczymy. Obecny tutaj Verily ma wręcz obsesję na pani punkcie.

Verily uśmiechnął się tylko; iskierki błysnęły mu w oczach.

— Alvin czuje się trochę nieswojo — wyjaśnił. — Nie lubi więzień.

— Siedział pan już kiedyś w więzieniu? — zdziwiła się Purity.

— Został oczyszczony ze wszystkich zarzutów — wyjaśnił Verily. — Co dowodzi, że jestem sprytnym adwokatem.

— Co dowodzi, że byłem niewinny — sprostował Alvin. — Przewaga, jaką w tym przypadku nie dysponuję.

Dopiero wtedy Verily okazał irytację.

— Jeżeli uważasz, że jesteś winien, to dlaczego się nie przyznałeś? — zapytał ostrym tonem.

— Nie jestem winien czarów — odparł Alvin. — Czy przy „literalnej wykładni”, czy jakkolwiek. Ale wszystko, co mówiła o mnie panna Purity... Obaj wiemy dobrze, że to prawda.

Jakby chciał to wykazać, ściągnął z prawej ręki żelazną obręcz kajdan.

Purity syknęła tylko. Nie widziała jeszcze takiej mocy. Nawet po wysłuchaniu opowieści Arthura Stuarta nad rzeką, nie zdawała sobie sprawy, jak łatwo Alvin narzuca swoją wolę żelazu. Żadnych zaklęć, żadnego wysiłku.

— Panna Purity jest zdziwiona — zauważył Verily.

— Jak myślisz, może rozsmaruję to żelazo na chlebie i zjem?

— Przestań się popisywać.

Alvin rozparł się wygodnie na krześle i zaczął jeść solidny kawał chleba z serem — tej pozycji nie mógł przyjąć, kiedy był skuty. Mimo pełnych ust mówił dalej.

— Pomyślałem, że warto wam przypomnieć, panno Purity. To, coście o mnie powiedzieli, to prawda. Nie obwiniajcie się więc o kłamstwo.

Purity była na granicy płaczu.

— Cały świat popada w chaos — szepnęła.

— Fakt — zgodził się Alvin. — Ale w różnych miejscach na różne sposoby. Dlatego warto jest podróżować.

— Wiem, że chcecie tylko mojego dobra, obaj. Ale jesteście źli na siebie nawzajem. Nie wiem dlaczego.

— Verily sądzi, że jest w pani zakochany — oznajmił Alvin.

Purity nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Verily także. Zarumienił się tylko, zjadając gruszkę. Ale nie zaprzeczył słowom Alvina.

— Co nie znaczy, że nie podoba mi się to jego zakochanie — dodał Alvin. — A żona mówi mi, że jesteście dobrą dziewczyną, lojalną, mądrą, cierpliwą i mającą wszystkie inne zalety, jakie powinna mieć żona pana Coopera.

— Nie wiedziałam, że spotkałam kiedyś pańską żonę, drogi panie — zdziwiła się Purity.

— Nie spotkaliście. Nie pamiętacie, co Arthur o niej opowiadał?

— Że jest świecą.

— Żagwią.

— Tu, w Nowej Anglii, rzadko słyszymy o talentach. Jedyny znany polega chyba na pozbywaniu się ciał zwierząt. Kuchennie.

Verily zaśmiał się głośno.

— Mówiłem ci, Al, że ma poczucie humoru.

Pozwoliła sobie na lekki uśmieszek.

— Powiedzmy tyle: Margaret uważa, że warci jesteście kłopotu przespania kilku nocy w celi — podsumował Alvin.

— Pan mnie podtrzymawał, kiedy biegaliśmy wczoraj na łąkach, prawda?

Alvin wzruszył ramionami.

— Kto mógł wiedzieć, jacy jesteście twardzi, panienko? W pewnym momencie każdy się poddaje i mówi to, co pytający chce usłyszeć.

— Chciałabym wierzyć, że potrafię wytrzymać tortury nie gorzej niż ktokolwiek inny.

— O to mi właśnie chodzi. Nikt nie wytrzyma, jeśli przesłuchujący zna się na tym, co robi. Ciało nas zdradza. Większość ludzi nigdy się o tym nie dowiaduje, bo nigdy

nie stawiają im pytania, które naprawdę jest ważne. A ci, którzy na takie pytanie muszą odpowiedzieć, w większości mówią to, co pytający chce usłyszeć, bez przymusu tortur. Tylko ci silni, ci najbardziej uparci bywają torturowani.

— Panie Cooper. — Purity zwróciła się do Verily'ego. — Nie myśli pan, mam nadzieję, że przywiązuję wagę do żartów pana Smitha na temat pańskich uczuć wobec mnie.

Verily uśmiechnął się do niej.

— Nie zna mnie pani, trudno więc oczekiwać, by cieszyła panią taka myśl.

— Wręcz przeciwnie. Znam pana bardzo dobrze. Widziałam pana dzisiaj w sądzie, i na łąkach także. Wiem, jakim pan jest człowiekiem.

— Ale nie wie pani, że puszcza bąki przez sen — wtrącił Alvin.

Purity spojrzała na niego z niesmakiem.

— Jak każdy — odparła. — Ale większość nie uważa za konieczne wspominać o tym przy jedzeniu.

Alvin uśmiechnął się szeroko.

— Nie chciałem, żeby zrobiło się z tego spotkanie towarzyskie. Nie wtedy, kiedy obecny tu mój adwokat próbuje spalić stodołę, żeby usunąć pchły.

Verily spochmurniał natychmiast.

— To nie są pchły, kiedy umierają niewinni ludzie, a inni ze strachu stają się krzywoprzysięzcami.

— Jak będzie wymierzana sprawiedliwość, kiedy sędziowie zaczną obalać prawa, gdy tylko jakiś adwokat da im choć ślad pretekstu?

— To teoria. Jeśli praktykowanie prawa wiedzie do niesprawiedliwości, prawo musi zostać zmienione.

— Do tego służy parlament — przypomniał Alvin. — I zgromadzenie.

— Który polityk ośmieli się głośno powiedzieć, że popiera czarowników?

Ta dyskusja trwałaby pewnie dalej, jednak w tej chwili otworzyły się drzwi do sali sądowej i wszedł Hezekiah Study. Nie przywitał się, ale przeszedł między ławkami publiczności, aż zatrzymał się przy krześle za stołem obrony. Zwracał się tylko do Verily'ego Coopera.

— Niech pan tego nie robi — powiedział.

— Czego mam nie robić?

— Niech pan nie atakuje łowców czarownic. Proszę bronić tej konkretnej sprawy. Albo jeszcze lepiej, jeśli pański klient rzeczywiście ma talent, o jaki jest oskarżony, niech zrzuci łańcuchy i ucieka razem z panem.

Dopiero teraz Hezekiah zauważył obręcz kajdan, skrzywioną i skręconą na kolanach Alvina, który uśmiechnął się do niego i wpakował sobie do ust ostatni kawał chleba i sera naraz.

— Niech pan wybaczy, ale kim pan właściwie jest? — zapytał Verily.

— To wielebny Study — wyjaśniła Purity. — Radził mi nie oskarżać Alvina Smitha o czary. Żałuję, że go wtedy nie posłuchałam.

— A pan pożałuje, że nie słucha mnie teraz — dodał Hezekiah.

— Prawo jest po mojej stronie — oświadczył Verily.

— Nie. Nic nie jest po pańskiej stronie.

— Drogi panie, znam tę sprawę i znam prawo.

— Ja też znałem. Próbowałem stosować tę samą strategię.

Teraz Verily się zainteresował.

— Jest pan prawnikiem?

— Byłem prawnikiem. Zrezygnowałem i zostałem kaznodzieją.

— Ale, jak rozumiem, przegrał pan proces o czary?

— Próbowałem odwołać się do literalnej wykładni prawa, co i pan chce zastosować — odparł Hezekiah. — Próbowałem wykazać, że zeznanie łowcy czarownic nie jest wiarygodne. Tak samo jak pan teraz robi.

— I zawiodło?

— Co pan uczyni, jeśli łowca powoła pana na świadka?

Verily milczał.

— Łowca czarownic może wezwać mojego adwokata na świadka? — zdziwił się Alvin.

— To prawo kościelne. Starsze niż adwokatura. Nie ma żadnych przywilejów, chyba że dla wyświęconych kapłanów.

— I wtedy powołali pana na świadka — domyśliła się Purity. — Ale co pan zeznał?

— Prawdę. Że widziałem, jak korzystają z talentów. Nieszkodliwych! Darów od Boga, tłumaczyłem. Ale zeznałem, co zeznałem. — Łzy popłynęły Hezekiahowi po policzkach. — To zaprowadziło ich na szubienicę.

Purity także płakała.

— Jakie mieli talenty?

— Kto? — zdziwił się Alvin.

— Moja matka i ojciec — powiedziała, czekając na potwierdzenie Study'ego.

Kiwnął głową i odwrócił wzrok.

— Za co zginęli? — nie ustępowała Purity. — Jaką popełnili zbrodnię?

— Twoja matka potrafiła leczyć zwierzęta — odparł Hezekiah. — To ją zabiło. Sąsiad, mający zadawnione urazy, czekał za długo, wezwał ją za późno, jego muł zdechł. Powiedział więc, że z mocy szatana przekląła zwierzęta wszystkich, których nie lubi.

— A ojciec?

— Potrafił wykreślić linię prostą.

Słowa zawisły przez moment.

— I to wszystko? — nie dowierzał Alvin.

— Na papierze. Na ziemi. Dokładniej niż mierniczy. Jego płoty podziwiali wszyscy sąsiedzi. Co roku wygrywał nagrodę za orkę na wiejskich konkursach. Nikt nie potrafił wyciąć tak prostej bruzdy. Żona zawsze kazała mu ciąć materiał, kiedy szyła. Ludzie przypomnieli sobie o tym talencie, kiedy sądzono jego żonę, a on przyznał się chętnie, ponieważ nie widział w tym nic złego. Nigdy nie skrzywdził nikogo i nie wykorzystywał talentu, by zyskać przewagę, najwyżej na tych konkursach.

Purity szlochała tak, że ledwie potrafiła mówić.

— I dlatego zginęli?

— Zginęli przez zazdrość — odparł Hezekiah. — Przez żądzę krwi łowcy czarownic, a także z powodu niekompetencji i arogancji, tak, i pychy swojego obrońcy. Nazywał siebie ich przyjacielem, ale odważył się narazić ich życie dla większej sprawy. Mogłem uzyskać dla nich wygnanie. Byli lubiani, proces nie cieszył się poparciem, łowca był skłonny do targów. Ale wierzyłem w sprawę. — Ujął dłonie Purity. — Nie mogę pozwolić, żeby ten człowiek zrobił ci to samo! Poświęciłem życie, żeby ustrzec cię przed takim losem, bo oni cię nazaczyli. Nie myśl, że nie. Quill wie, kim jesteś. Z twojego powodu nie mogli powiesić twojej matki, dopóki nie przyszedł na świat, a wzburzenie

wśród ludzi narastało. Chcieli już wyrwać ich z więzienia. Ale łowcy zwrócili się o pomoc do władz i pilnowali egzekucji. Ciebie odesłali, żebyś nie przypominała ludziom, jaką potworną krzywdę ci wyrządzono. Aż po dziś dzień niech Bóg ma w opiece łowcę czarownic, który zabłądzi do tej części Netticut, bo ludzie tam znają prawdę.

— A zatem było to w pewnym sensie zwycięstwo — zauważyła Purity. — Nie umarli na próżno.

— Umarli — odparł Hezekiah. — Ich oskarżyciele podlegali ostracyzmowi i w końcu musieli się wyprowadzić, ale żyją, prawda? Łowcy czarownic utracili wiele ze swego prestiżu, ale wciąż pracują w swoim fachu. Jak dla mnie, wygląda to jak śmierć na próżno.

— To inny proces — wtrącił Verily. — I inny sędzia.

— To człowiek honoru, ale skrępowany przepisami prawa. Nie myślcie, że tak nie jest.

— Złe prawa nie wiążą ludzi honoru.

Alvin roześmiał się odrobinę złośliwie.

— Jeżeli tak, to w jaki sposób zamierzasz odróżniać tych honorowych od niehonorowych? Kogo w ogóle wiąże prawo? Bo przecież każde prawo jest złe w tym czy innym przypadku.

— Po czyjej jesteś stronie? — zapytał kwaśnym tonem Verily.

— Widzisz, mam zbudować miasto — odparł Alvin. — I jeśli nie oprę go na prawie, to na czym może stanąć? Nawet Napoleon wydaje prawa, które wiążą także jego, bo gdyby nie, wtedy nie byłoby porządku, ale chaos do samego końca.

— Wolisz raczej zawisnąć?

Alvin westchnął i podniósł skreconą obręcz kajdan.

— Nie będę wisiał.

— Ale ktoś będzie — rzekł Verily. — Jeśli nie w tym roku, to w przyszłym albo jeszcze następnym. Ktoś zawiśnie. Sam to powiedziałaś.

— Niech te procesy o czary wygasną same z siebie — mruknął Alvin.

— Tak jak wygasa niewolnictwo? — odpowiedział drwiąco Verily.

Ludzie wracali na salę. Zjawił się woźny, by sprzątnąć po posiłku.

— Nie zjedliście dużo — zauważył.

— Ja zjadłem — zapewnił Alvin.

Hezekiah i Purity wciąż trzymali się za ręce ponad barierką oddzielającą sąd od publiczności.

— Proszę o wybaczenie — odezwał się woźny. — Ona jest teraz oskarżoną. Nie chcę zakuwać jej w łańcuchy, ale nie wolno jej dotykać nikogo poza barierką.

Hezekiah skinął głową i cofnął ręce.

Woźny wyszedł z koszem. Alvin na powrót owinał sobie obręcz na przegubie. Purity nie mogła się powstrzymać, by jej nie dotknąć — znów była twarda. Twarda jak żelazo.

Quill wrócił na salę z uśmiechem.

Purity odwróciła się.

— Myli się pan — szepnęła do Hezekiaha. — To nie pan zaprowadził ich na szubienicę.

Hezekiah pokręcił głową.

— Nie znałam ich, ale teraz siedzę na miejscu, na którym oni siedzieli, choć bardziej winna, gdyż to ja postawiłam zarzuty. I mogę pana zapewnić, że wiedzieli, kto jest im przyjacielem.

— Nie byłem dla nich przyjacielem.

— Wiedzieli, kto jest im przyjacielem — powtórzyła. — I ja wiem także. Wszyscy byli oburzeni, ale pozwolili, by ich powieszono. Tylko pan podążył za mną, czy też odnalazł mnie tutaj. Tylko pan troszczył się, bym dorastała bezpiecznie. Oddał pan całe lata swego życia ich dziecku. Jak prawdziwy przyjaciel.

Hezekiah ukrył twarz w dłoniach. Ramiona mu drżały, niezdolne unieść złożonego na nich brzemienia. Rozgrzeszenie okazało się większym ciężarem — przynajmniej w tej chwili — niż poczucie winy.

* * *

Quill poderwał się z krzesła, gdy tylko John Adams wkroczył na salę.

— Wysoki Sądzie, mam wniosek.

— Nie pańska kolej — odparł John.

— Wysoki Sądzie, sędzę, że wszystko się rozwiąże, jeśli powołamy na świadka Verily'ego Coopera! To prawo kościelne i nie ma. . .

John walił młotkiem raz po raz, dopóki Quill nie zamilkł.

— Powiedziałem, że to nie jest pańska kolej na zgłaszanie wniosków.

— Są precedensy! — Quill aż wrzał z wściekłości.

— Wręcz przeciwnie. Pański wniosek będzie na miejscu, kiedy podejmiemy proces Alvina Smitha i Purity Orphan. W tej chwili jednak przesłuchanie dotyczy wniosku obrony, a w tej procedurze ja zadaję pytania. Nie ma tu stron ani oskarżycieli, jedynie moje poszukiwanie prawdy, które pozwoli mi podjąć decyzję. Dlatego zajmie pan swoje miejsce, dopóki nie zechcę pana przesłuchać. Jest pan równy każdej z obecnych tu osób. Nie ma pan uprawnień do zgłaszania żadnych wniosków. Czy wreszcie pan zrozumiał, panie Quill?

— Przekracza pan swoje uprawnienia, Wysoki Sądzie!

— Woźny, proszę przynieść kajdany i łańcuchy. Jeśli pan Quill znów się odezwie, zostaną mu założone, by przypominać, że w czasie tych przesłuchań nie ma żadnej władzy na sali.

Quill usiadł blady i drżący.

Przez dłuższy czas przesłuchania szły gładko. John wezwał najpierw Purity. Opisała naturę oskarżeń, jakie wniosła początkowo, po czym opowiedziała, jak Quill je prze-

kręcał, jak zmienił niewinne zabawy w rzece w kazirodczą orgię, a spokojną rozmowę na brzegu w sabat czarowników. John spytał jeszcze o profesorów z college'u, a ona potwierdziła, że nigdy o nich nie wspominała; dowiedziała się, że są przesłuchiwani, dopiero kiedy Quill zażądał, by zadenuncjowała ich, a zwłaszcza Emersona.

Następnie pojedynczo wprowadzano profesorów. Opowiadali o przesłuchaniach przez Quilla. Każdy z nich stwierdzał, że dano mu do zrozumienia, iż pozostali przyznali się i wskazali również jego, i że jego jedyną nadzieją jest wyznanie swych win i skrucha. Każdy zaprzeczył, że to on doniósł na kolegów.

Wtedy John zwrócił się do Quilla.

— Czy nie przesłucha pan najpierw jego? — Łowca czarownic wskazał Alvina.

— Czy zapomniał pan, czego dotyczy to przesłuchanie?

— Chciałbym usłyszeć, czy on również zaprzeczy oskarżeniu o czary.

— Dowie się pan podczas procesu — wyjaśnił John. — Ponieważ w sprawach o czary oskarżony może zostać wezwany, by zeznawać przeciwko sobie.

— Faworyzuje go pan.

— A pan nadużywa mojej cierpliwości. Niech pan położy dłoń na Biblii i złoży przysięgę.

Quill zrobił, co mu kazano, i rozpoczęło się przesłuchanie. Odpowiadał pogardliwie i zaprzeczał, by kogokolwiek okłamywał.

— To ona mówiła o szatanie. Musiałem zatykać uszy, z taką miłością go opisywała. Chciała zyskać o nim wiedzę cielesną. Powiedziała mi nawet, że szatan kazał jej kłamać i twierdzić, że to ja wymyśliłem całą historię. Nie lękałem się jednak, gdyż wiedziałem, że w praworządnym sądzie bardziej będzie się ufać moim zeznaniom niż jej.

John słuchał Quilla spokojnie, a ton zeznań stawał się coraz bardziej przykry.

— Ci profesorowie zachowują się dokładnie tak, jak można się spodziewać po konklawe magów — tłumaczył Quill. — Nie przesłuchiwałbym ich nawet, gdyby dziewczyna ich nie wydała. Natychmiast zmieniła zdanie, oczywiście, i próbowała zaprzeczać, ale wystarczyło, co mówiła wcześniej. Oni też negują, że się przyznali, jednak niektórzy to zrobili, co potwierdzają złożone w sądzie protokoły.

John podniósł ze stołu plik zeznań.

— Istotnie, mam te protokoły i przeczytałem je wszystkie.

— A zatem zna pan prawdę — rzekł Quill. — A całe to przesłuchanie jest parodią.

— Jeśli nawet — odparł John — to przebiega według pańskiego scenariusza.

— Nie pisałem scenariusza do tego, co się tu odbywa. Oczekiwałem, że sąd będzie działał tak, jak na uczciwym procesie o czary.

— Ale panie Quill, to nie jest proces o czary. To przesłuchania dotyczące wniosku obrony. Wydaje się, że nie jest pan w stanie tego pojąć. Procedura jest całkowicie uprawniona. A ja jestem już gotów, by podjąć decyzję co do wniosku.

— Ale nie przesłuchał pan Alvina Smitha!

— No dobrze. — John westchnął ciężko. — Panie Smith, jak się pan dzisiaj czuje?

— Trochę mnie męczą te łańcuchy, Wysoki Sądzie — odparł Alvin. — Ale poza tym całkiem dobrze.

— Czy kiedykolwiek utrzymywał pan kontakty z szatanem?

— Nie jestem pewien, o kogo panu chodzi, Wysoki Sądzie.

John zdziwił się. Oczekiwał krótkiego „nie”.

— O szatana — wyjaśnił. — Nieprzyjaciela Boga.

— No cóż, jeśli szatan oznacza nieprzyjaciela Boga, to owszem, swego czasu miałem kontakt ze sporą ich liczbą, w tym z obecnym tu panem Quillem.

— Wysoki Sądzie! — zaprotestował Quill.

— Proszę usiąść, panie Quill — polecił John. — Panie Smith, mam wrażenie, że świadomie źle pan zrozumiał moje pytanie. Niech pan nie nadużywa mojej cierpliwości. Szatan, jak się powszechnie uważa, jest istotą nadprzyrodzoną. Został pan oskarżony o to, że otrzymał pan moc od niego i że wykonuje pan jego polecenia. Czy otrzymał pan od szatana jakieś ukryte moce albo czy jest mu pan posłuszny?

— Nie, Wysoki Sądzie.

— Ściślej mówiąc: czy kiedykolwiek mówił pan Purity Orphan, że ma pan kontakty z szatanem, albo czy mogła zobaczyć pana w obecności szatana?

— Jeśli Wysoki Sąd ma na myśli tego czerwonego osobnika ze szponami niedźwiezia, kozimi kopytami i rogami na głowie, to nigdy go nie widziałem ani nie słyszałem. Nie przysłał mi nawet listu. Czuję za to jego zapach, ale tylko wtedy, gdy byłem sam z panem Quillem.

John pokręcił głową.

— Nie wydaje mi się, żeby poważnie traktował pan to dochodzenie.

— Nie, Wysoki Sądzie — zgodził się Alvin. — Muszę przyznać, że faktycznie nie traktuję tego poważnie.

— A czemuż to? Czy nie rozumie pan, że pańskie życie może zależeć od wyników tych przesłuchań?

— Nie zależy — stwierdził Alvin.

Cooper próbował go uciszyć.

— A dlaczego wierzy pan, że jest bezpieczny, niezależnie od wyników przesłuchania?

Alvin wstał i ściągnął z przegubów kajdany, tak łatwo, jakby zdejmował rękawiczki. Potrząsnął nogami i łańcuchy zsunęły się na podłogę.

— Ponieważ mam talent, z którym się urodziłem. A o ile wiem, to Bóg nas stwarza, nie szatan, zatem wszelki talent, jaki mi dano, od Boga pochodzi. Staram się korzystać z niego w sposób łagodny i uczciwy. Jedno, czego nigdy nie próbuję, to użyć mojego talentu, by zmusić kogokolwiek do zrobienia czegoś wbrew jego woli. Ale pan i mój adwokat postanowiliście, jak się zdaje, zmusić mieszkańców Nowej Anglii do zawie-

szenia prawa o czarach, czy tego chcą, czy nie. Pan Quill jest kłamliwą żmiją, ale nie obala się prawa tylko po to, żeby przyłapać kilku kłamców.

Verily Cooper oparł głowę o blat. John, który zadrżał na widok potęgi w tak oczywisty sposób nadprzyrodzonej, zrozumiał, że dla Coopera to żadna nowość.

Alvin mówił dalej.

— Miałem zamiar wytrzymać tu do końca i sprawdzić, jak obaj zdołacie nagiąć przepisy, nie łamiąc przy tym zbyt wielu, ale moja żona potrzebuje mnie natychmiast i nie będę marnował ani minuty dłużej. Kiedy znajdę czas, wrócę i możemy omówić to razem, Wysoki Sądzie, bo uważam pana za człowieka honoru. Jednak w tej chwili jestem niezbędny gdzie indziej.

Ruszył do drzwi w tylnej części sali.

Quill poderwał się i próbował go zatrzymać, ale jego dłonie ześliznęły się z ciała Alvina, jakby było wysmarowane tłuszczem.

— Zatrzymać go! — wrzasnął. — Nie pozwólcie mu uciec!

— Woźny — powiedział John. — Jak się zdaje, pan Smith zamierza uciec.

Alvin odwrócił się i spojrzał na sędziego.

— Myślałem, Wysoki Sądzie, że to nie jest mój proces. Myślałem, że to przesłuchania w sprawie wniosku. Nie jestem panu potrzebny.

Verily wstał.

— Alwinie, a co z Purity?

— Nie będzie wisieć — odparł Alvin. — A zanim skończysz, zostanie już pewnie królową Anglii.

— Zaczekaj chwilę. — Verily zwrócił się do Johna Adamsa. — Wysoki Sądzie, zwracani się z prośbą o zwolnienie mojego klienta za jego własnym poręczeniem, z obietnicą, że stawi się przed sądem jutro rano.

John zastanowił się, o co prosi adwokat, i postanowił udzielić zgody. Ucieczka zmieni się wtedy w zgodne z prawem zwolnienie.

— Ponieważ obecność oskarżonego nie jest niezbędna na tym przesłuchaniu, i ponieważ uzyskaliśmy dowód, że jego zgoda na uwięzienie aż do tej chwili była całkowicie dobrowolna, sąd uznaje go za osobę godną zaufania. Zostaje zwolniony za własnym poręczeniem i ma się stawić w tej sali jutro o dziesiątej rano.

— Dziękuję, Wysoki Sądzie — powiedział Alvin.

— To skandal! — zawołał Quill.

— Proszę usiąść, panie Quill — upomniał go John Adams. — Jestem gotów do wydania decyzji w sprawie wniosku.

Quill usiadł powoli, patrząc, jak za Alvinem zamykają się drzwi.

— Wysoki Sądzie — odezwał się Verily Cooper. — Muszę przeprosić za zachowanie mojego klienta.

— Niech pan siada, panie Cooper — przerwał mu John. — Podjąłem decyzję. Uwaga pana Smitha była głęboko słuszna. Nie jest rolą sądu obalanie prawa w celu uzyskania sprawiedliwości. A zatem oba wnioski zostają odrzucone.

Quill szeroko rozłożył ręce.

— Bogu niech będą dzięki!

— Nie tak prędko, panie Quill — upomniał go John. — Wstępne przesłuchanie jeszcze się nie skończyło.

— Ale pan zdecydował.

— W toku przesłuchania wstępnego poznałem istotne dowody niegodnego zachowania ze strony urzędników zwanych inkwizytorami lub łowcami czarownic. Mianowanie

owych łowców należy do władz kościelnych; przekazały one tę odpowiedzialność komisji ekspertów do spraw czarów, którzy mają dopilnować, by łowcy byli właściwie przeszkoleni. Jednakże sama licencja uprawniająca do przesłuchiwania i do występowania w sądzie wydawana jest przez gubernatora po zaprzysiężeniu przez sędziego. Licencja taka wymagana jest, by inkwizytor mógł wystąpić w sądzie świeckim i zażądać procesu o czary. Tym samym licencje wszystkich łowców czarownic podlegają przepisom, które mówią o licencjonowaniu przedstawicieli rządu, jeśli nie są wymienieni w przepisach szczegółowych. Zgodnie z tymi przepisami pańska licencja może zostać zawieszona, jeśli urzędnik sądowy w randze sędziego pokoju lub wyższej stwierdzi, że wykorzystywał pan swój urząd wbrew interesom członków społeczności. To właśnie stwierdziłem. Panie Quill, niniejszym oznajmiam, że pańska licencja, jak również licencje wszystkich innych inkwizytorów w Massachusetts oraz w okręgu sądowym Nowej Anglii są zawieszane.

— Ale... Nie może pan... Przecież...

— Co więcej, oświadczam, że wszelkie śledztwa prowadzone na podstawie tych licencji zostają również zawieszane. Zarządzam, by żadne postępowanie sądowe nie

było kontynuowane, dopóki, i o ile, nie przeprowadzi się przesłuchań dostarczających dowodów spełniających normalne reguły postępowania dowodowego w sądach świeckich, które to sądy mają jurysdykcję nad licencjonowaniem. Jeśli pan albo inny łowca czarownic nie potrafi wykazać, że dowody przedstawione przez was w sądzie spełniają standardy dowodowe w sądach świeckich, zawieszenie licencji nie będzie zniesione. A dopóki licencje są zawieszono, wszystkim przedstawicielom prawa w Nowej Anglii zabrania się wykonywania poleceń inkwizytorów w kwestii aresztowania, zakuwania w kajdany, uwięzienia, stawiania przed sądem i osądzania nikogo. Ponieważ prawo wymaga, by łowca czarownic był oskarżycielem podczas każdego procesu o czary w Nowej Anglii, zarządzam, by żaden proces o czary nie odbył się w Nowej Anglii, dopóki i jeżeli nie znajdzie się inkwizytor z ważną licencją, by pełnić obowiązki oskarżyciela.

Słowa płynęły z ust Johna Adamsa niczym potok ze źródła. Odnosił wrażenie, że śpiewa. Alvin Smith miał rację. Ale w chwili gdy John uświadomił sobie, że honor zmusza go do oddalenia obu sprytnych wniosków Coopera, w umyśle otworzyła się nagle nowa ścieżka. Zobaczył, jak może przerwać procesy o czary, nie używając sądowego precedensu, by obalić prawo, ale używając innego prawa, by je przebić.

— Posiedzenie zostaje zamknięte. — Uderzył młotkiem. Po czym uderzył raz jeszcze. — Otwieram proces w sprawie naród przeciwko Alwinowi Smithowi i Purity Orphan. Jako że jest to proces o czary, nie możemy go kontynuować bez obecności inkwizytora z ważną licencją. Czy inkwizytor posiadający taką licencję znajduje się na sali?

Z uśmiechem spojrzął na Quilla.

— Drogi panie, siedzi pan przy stole oskarżyciela. Czy posiada pan taką licencję? Quill zobaczył ogniste litery na ścianie.

— Nie, Wysoki Sądzie.

— No cóż... — John westchnął. — Nie widzę tu innych kandydatów do roli inkwizytora. Nie mam zatem wyboru i muszę uznać ten proces za nieprawny i nielegalny. Oddalam wszystkie zarzuty. Oskarżeni są wolni. Pan Smith nie ma obowiązku stawiania się w sądzie. Posiedzenie zamknięte.

Quill wstał niepewnie.

— Jeśli pan sądzi, że to się uda, myli się pan!

John ruszył do wyjścia, nie zwracając na niego uwagi.

— Dostaniemy nowe licencje! — krzyknął za nim Quill. — Przekona się pan!

Ale John Adams wiedział o czymś, o czym Quill zapomniał. Licencje wydawano jedynie z polecenia gubernatora. I John był pewien, że Quincy nie wyda żadnych, dopóki zgromadzenie Massachusetts nie zdoła napisać nowego prawa o czarach. Prawa, które całkowicie wyeliminuje urząd inkwizytora i wprowadzi normalne zasady postępowania dowodowego, w tym prawo oskarżonego do odmowy zeznań. Kościoły zachowają naturalnie uprawnienia, by przeprowadzać procesy o czary, kiedy tylko zechcą, jednak w kościelnych sądach najwyższą karą jest ekskomunika i usunięcie z kongregacji. A tej kary używano przeciwko ludziom, którzy niedostatecznie często chodzili do kościoła.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi szatni, John nie zdołał się dłużej powstrzymać. Odańczył dziki taniec wokół pokoju, śpiewając przy tym dziecięcą pioseneczkę.

A potem przypomniał sobie, co na jego oczach zrobił Alvin Smith, i spoważniał.

Siedział w miękkim pluszowym fotelu i starał się zrozumieć, co właściwie zobaczył. Nigdy nie wierzył w talenty, które przeczyły prawom natury. Teraz jednak zrozumiał, skąd brał się ten brak wiary: nie stąd, że takie talenty nie istniały, ale stąd, że nikt nie ośmiewał się ich używać w Nowej Anglii, gdzie groził za to stryczek. Prawa o czarach

były złe nie dlatego, że takie moce są wymysłem, ale dlatego że niekoniecznie pochodzą od szatana. Ale czy rzeczywiście? Czy pozbawił skuteczności prawo o czarach akurat w chwili, gdy uzyskał dowód, że jest niezbędne?

Nie. Cooper nie zdołał doprowadzić do przyjęcia swoich wniosków, ale przecież się nie mylił. Jedynie fałszywe zeznania łowców czarownic wskazywały na jakikolwiek związek szatana z talentami. Jeśli pominąć te zeznania, talenty były tylko wrodzonymi zdolnościami. To, że niektóre z nich są rzeczywiście niezwykle, nie świadczy jeszcze, że ich posiadacz jest zły albo dobry. Nie ma też dowodów, że prawo o czarach zostało kiedykolwiek wykorzystane przeciwko ludziom, których ukryte moce stanowiły prawdziwe zagrożenie. To przecież jasne: gdyby Alvin Smith nie pozwolił się uwięzić, żadna cela nie mogłaby go zatrzymać. Zatem tylko ci, których talenty były stosunkowo niewielkie i nieszkodliwe, mogli zostać skazani i powieszani. Prawo nie spełniało żadnego z celów, dla jakich je wprowadzono. Nie chroniło nikogo, a krzywdziło wielu. Dobrze, jeśli uda się go pozbyć.

Tymczasem jednak był jeszcze Alvin Smith. Cóż za niezwykle młody człowiek! Tak wyjść z własnego procesu, bo uznał, że adwokat go wybroni i przysłuży się społeczeń-

stwu jako całości. . . Czyżby był aż takim altruistą? Czy dobro ludzi więcej dla niego znaczy niż własne dobre imię? A skoro już o tym mowa, to dlaczego w ogóle został? O to John nie musiał pytać. Tak jak Hezekiah błagał go, by nie dopuścił do skrzywdzenia Purity, tak i Alvin zaczekał na proces właśnie w celu połączenia losu Purity z własnym. Ale niezależnie od tego, co mogło się wydarzyć, Purity nie trafiłaby na szubienicę. Miał dość mocy, by o to zadbać.

Tylko że Verily'emu Cooperowi to nie wystarczało. Ocalić przyjaciela, ocalić tę dziewczynę — to za mało. Musiał ocalić wszystkich. John rozumiał to pragnienie. Sam je odczuwał. Uniemożliwiono mu realizację, a porażka sprawiała ból. Nie taki, jak Hezekiahowi Study, naturalnie. Ale trzeba przyznać, że Cooper dał im szansę, by w końcu odkupić dawne przegrane. To piękny dar. Cooper jest może za sprytny, lecz korzysta z tego sprytu w dobrej sprawie, a to więcej, niż można powiedzieć o wielu sprytnych ludziach.

Talenty. . . Alvin Smith potrafi giąć żelazo jak miękką glinę. A jaki ja mam talent? Czy w ogóle mam jakiś? Może polega na tym, że trzymam się kursu, czy wydaje się dokądś prowadzić, czy nie. Upór. . . To też może być dar boży, prawda? Jeśli tak, mogę

powiedzieć, że zostałem nim pobłogosławiony w ilości znacznie większej, niż zwykle przypada na każdego. I gdy Bóg kiedyś mnie osądzi, będzie musiał przyznać, że nie pogrzebałem swego talentu. Dzieliłem się nim z każdym wokół siebie, ku wielkiej ich konsternacji.

Siedząc samotnie w fotelu, John Adams setnie się ubawił tą myślą.

BUNT

Gdy tylko Alvin wyszedł z sądu, ruszył biegiem nad rzekę. Z początku nie pomagała mu zielona pieśń, ponieważ w mieście domy stały zbyt blisko siebie. Mimo to prawie się nie zmęczył, gdy dotarł do miejsca, gdzie Arthur, Mike i Jean-Jacques właśnie budzili się z popołudniowej drzemki. Chcieli mu zaraz pokazać, co Jean-Jacques namalował, lecz Alvin nie miał na to czasu.

— Siedziałem w sądzie i nie chciało mi się uważać nawet na połowę tego ich gadania, więc sięgnąłem myślą do Margaret. Stała tam, a serce biło jej tak szybko, że od razu zrozumiałem: dzieje się coś niedobrego. Wypisywała w powietrzu wielkimi li-

terami: „Pomóż”. Rozejrzałem się wokół niej i znalazłem Calvina; leżał na podłodze jakiegoś strychu w Camelocie. Źle z nim.

Jean-Jacques był pełen współczucia.

— Musisz się czuć całkiem bezradny, bo jesteś tak daleko.

Mike Fink zarechotał głośno.

— Alvin nie jest bezradny, gdziekolwiek by był.

— To znaczy, że musimy się z tobą rozstać, Jean-Jacques — wyjaśnił Alvin. — A raczej niektórzy z nas muszą. Arthurze, ty pójdziesz ze mną.

Arthur, który siedział jak na szpilkach, czekając na szczegóły planu, natychmiast się uspokoił.

— Mike, idź do miasta i znajdź Very’ego. Myślę, że będzie z nim ta dziewczyna, Purity. Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej. Macie ruszyć do granicy Nowego Amsterdamu. Spotkamy się w Filadelfii.

— Gdzie? — spytał Mike. — Filadelfia to duże miasto.

— W pensjonacie pani Louder, oczywiście.

— A jak nie będzie wolnego pokoju?

— To zostawicie u niej wiadomość, gdzie jesteście. Ale będzie miała pokój. — Alvin zwrócił się do Jean-Jacques'a. — Jestem dumny i szczęśliwy, że poznałem człowieka z takim talentem do malowania. Teraz jednak muszę zabrać Arthura, a nie mamy nikogo innego, kto sprowadzałby dla ciebie ptaki.

— To co mam robić? — zmartwił się Francuz. — Gniewasz się, kiedy zabijam ptaka i go wypycham. Moja kariera skończona, jeśli nie zabijam ptaków.

Alvin obejrzał się na Arthura Stuarta.

— Muszę przyznać, Arthurze, że nie martwi mnie specjalnie, jeśli od czasu do czasu Jean-Jacques zabije ptaka, by ludzie mogli oglądać jego obrazy.

Arthur stał nieruchomo, ze zwieszoną głową.

— Arthurze, nie mamy zbyt wiele czasu.

Chłopiec spojrział na Jean-Jacques'a, potem na Alvina.

— Chcę tylko dowiedzieć się jednej rzeczy. Czy ptak ma duszę?

— Czy ja jestem, jak to mówią, *théologien*?

— Ja tylko. . . Kiedy taki ptak umiera, kiedy go zabijasz, co się z nim dzieje? Jest zupełnie martwy? Czy może jakaś jego część. . .

Łzy spływały chłopcu po twarzy. Alvin spróbował go objąć, ale Arthur odsunął się tylko.

— Nie proszę o pociechę, do licha. Proszę o odpowiedź!

— Nic o tym nie wiem — rzekł Alvin. — To, co widzę, wygląda jak mały płomyk w każdym żywym stworzeniu. Ludzie mają wielki i jasny, przynajmniej większość ma, ale podobny pali się w każdym zwierzęciu. W roślinach też, tylko tam ogień jest rozciągnięty na całą roślinę, nie skupiony w jednym miejscu, jak u zwierząt. Margaret widzi podobnie, lecz nie dostrzega więcej niż przebłysku tego, co mają zwierzęta, jak gdyby cień płomienia, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Czy płomień serca jest duszą? Nie wiem. Co się z nim dzieje, kiedy ciało umiera? Tego też nie wiem. Wiem tylko, że nie ma go już w ciele. Ale czasami płomień serca może opuścić ciało. Tak się zdarza, kiedy wysyłam przenikacz: część płomienia wychodzi ze mnie. Czy to znaczy, że kiedy ciało umrze, może wyjść cały? Nie wiem, Arthurze. Zadałeś mi pytanie, na które nie umiem odpowiedzieć.

— Ale może, prawda? Tyle potrafisz powiedzieć, prawda? Może żyć dalej, znaczy, jeśli ludzie tak robią, to ptaki też mogą, prawda? Ich płomienie serca są mniejsze, ale z tego przecież nie wynika, że gasną, kiedy umierają. Prawda?

— Moim zdaniem rozsądnie myślisz — zgodził się Alvin. — Tak sędzę, że jeśli ktoś żyje po śmierci... A uważam, rozumiesz, że żyje, tylko ja tego nie widzę... To właściwie czemu nie ptaki? Płomień serca to płomień serca, moim zdaniem, chyba że ktoś mnie przekona, że jest inaczej. Czy to ci wystarczy?

Arthur Stuart kiwnął głową.

— W takim razie może pan czasem zabić ptaka, jeśli już pan musi.

Jean-Jacques z szacunkiem skłonił głowę przed Arthurem.

— Myślę, panie Stuart, że to właśnie pytanie chciał mi pan zadać od samego początku. Jeszcze w Filadelfii.

Arthur Stuart był trochę zakłopotany.

— Może i tak — przyznał. — Sam nie byłem pewien.

Alvin rozczochrał skręcone włosy Arthura. Chłopak uchylił się.

— Nie traktuj mnie jak dziecko.

— Jak ci się nie podoba, to urośnij — poradził Alvin. — Póki jesteś niższy ode mnie, będę używał twojej głowy do drapania, kiedy tylko przyjdzie mi ochota.

Dotknął kapelusza, żegnając się z Mike'em i Jean-Jacques'em.

— Spotkamy się w Filadelfii, Mike. A ciebie, Jean-Jacques, mam nadzieję kiedyś znowu zobaczyć, a przynajmniej zobaczyć twoją książkę.

— Przyślę egzemplarz — obiecał Jean-Jacques.

— Nie podoba mi się to — stwierdził Mike. — Powinienem być z tobą.

— Zapewniam cię, Mike, że nie mnie grozi tam niebezpieczeństwo.

— Skończona głupota, żeby to robić!

— Co? Zostawiać cię tutaj?

— Leczyć Calvina.

Alvin rozumiał, że miłość była przyczyną tych słów, nie mógł jednak zostawić ich bez odpowiedzi.

— Mike, on jest moim bratem.

— Ja bardziej jestem ci bratem, niż on był kiedykolwiek.

— Teraz jesteś. Ale swego czasu Calvin był dla mnie najdroższym przyjacielem. Wszystko robiliśmy wspólnie. Nie mam żadnych wspomnień z dzieciństwa, w których by go nie było.

— To czemu on nie myśli tak samo?

— Może nie byłem dla niego tak dobrym bratem, jak on dla mnie. . . — Alvin westchnął. — Mike, na pewno wrócę bezpiecznie.

— To takie samo wariactwo jak pójście do więzienia — ocenił Mike.

— Wyszedłem, kiedy chciałem. A teraz muszę ruszać. Jesteś tu potrzebny, żeby wyprowadzić Jean-Jacques'a z Nowej Anglii, zanim deportują go jako katolika. Verily i Purity potrzebują kogoś, kto nie stracił rozumu z miłości, bo musi przypilnować, żeby jedli i spali.

Arthur Stuart z powagą uścisnął dłonie Mike'owi i Jean-Jacques'owi. Alvin obu uścisnął. Ruszyli truchtem, mężczyzna z przodu, chłopiec za nim. Po kilku chwilach objęła ich zielona pieśń i niemal pofrunęli przez las nad rzeką.

* * *

— Przybywa — oznajmiła Margaret.

— Gdzie jest on, ty mówić? — zapytał Gullah Joe.

Z ulicy dobiegł tętent koni. Po zachodzie słońca pieśni i wycie z dzielnic niewolniczych stawało się coraz głośniejsze, w miarę jak gęstniała ciemność.

— Nie wiem — odparła Margaret. — Jest okryty muzyką. Biegnie. Pędzi jak wiatr. Ale musi pokonać bardzo długą drogę.

— My mówimy ludziom to, co pani kazała — zapewnił Duńczyk. — Ale to dla nich za trudne. Gniew przyszedł do nich tak nagle. Słyszę, jak niektórzy mówią o zabijaniu białych panów jeszcze dzisiaj, w łózkach. Słyszę, jak mówią: zabić ich, i białe niemowlaki też, i dzieci. Zabić wszystkich.

— Wiem — przyznała Margaret. — Zrobiliście, co tylko można.

— Są inni też — wtrącił Gullah Joe. — Imię do nich nie wrócić. Pusty jak on. Bardziej. Oni umrzeć. On ich zabić.

Margaret spojrzała na ciało Calvina. Jego oddech stał się tak płytki, że musiała sprawdzić płomień serca, by się upewnić, czy jeszcze żyje. Zajmowały się nim teraz Ryba i kobieta Duńczyka, więc Margaret mogła odpocząć, ale czy wiele mu pomogą zwilżaniem czoła? Może powstrzymały gorączkę. Może utrzymywały skórę w stanie wilgoci. Na pewno natomiast nie dotrzymały mu towarzystwa, gdyż kilka godzin temu stracił świadomość i wszystkie jego przyszłości zwięzły się do tej mizernej garstki, która nie prowadziła do nędznej śmierci tutaj, dzisiaj, na tym strychu.

— Czemu on się nie naprawić sam? — zdziwił się Gullah Joe. — On silny.

— Silny, ale niedouczony — wyjaśniła Margaret. — Mój mąż próbował mu pokazywać, ale on nie chciał się uczyć. Chciał osiągnąć wyniki, nie ćwicząc metod.

— Młody — stwierdził Joe.

— Ja się uczyłem, kiedy byłem młody — przypomniał Duńczyk.

— Ty nigdy młody.

Duńczyk skrzywił się tylko.

— Masz rację, Gullahu Joe.

— Twoja żona — odezwała się Margaret.

Duńczyk spojrział na niewolnicę, którą kupił i zniszczył.

— Nigdy nie pozwalała mi się tak nazywać.

— Nigdy też nie zdradziła ci swojego imienia.

Duńczyk pokręcił głową.

— Nie nazywam jej żadnym niewolniczym imieniem. Ona nie mówi mi swojego. I teraz nie mam dla niej imienia.

— Czy chciałbyś wymówić teraz to imię? Czy nie sądzisz, że w jej obecnym stanie chciałaby, żeby ktoś zwrócił się do niej po imieniu?

— Kiedy miała dobry umysł, nie chciała, żebym mówił jej imię.

— Niewolnictwo każe ludziom robić dziwne rzeczy — stwierdziła Margaret.

— Ja nigdy nie byłem niewolnikiem — oświadczył Duńczyk.

— Byłeś, mimo wszystko. Otoczyli cię murem wielu praw. Kto bardziej jest niewolnikiem niż człowiek, który musi udawać niewolnika, żeby przetrwać?

— Nie zmusili mnie, żebym jej to zrobił.

— Nie wiem. Oczywiście, sam dokonywałeś wyboru. Chciałeś znaleźć sobie żonę w taki sam sposób jak twój ojciec: kupiłeś ją sobie. I znalazłeś się w ślepym zaułku.

Myślałeś, że zabójstwo jest twoją jedyną nadzieją. Ale w ostatniej chwili odkryłeś, że nie potrafisz jej zabić.

— Nie w ostatniej chwili — zaprotestował. — Chwilę później.

— Tak — przyznała Margaret. — Niemalże za późno.

— A teraz żyję z nią każdego dnia. I kto jest czyim właścicielem?

— Cały ten gniew w mieście. . . A jeśli zaczną zabijać? Myślisz, że będą mordercami?

— Pani myśli, że nie?

— Musi istnieć coś pomiędzy morderstwem a niewinnością. Widziałam najmroczniejsze zakamarki płomieni serc wielu ludzi, Duńczyku. Nie istnieje taki, który nie miałby wspomnień, jakich wolałby nie mieć. Są też zbrodnie wynikające z. . . z uczciwych pragnień, które zeszyły na manowce, z usprawiedliwionych pasji niosących zbyt daleko. Zbrodnie, które zaczęły się jako zwykłe błędy. Nauczyłam się nie osądzać ludzi. Naturalnie, oceniam, czy są niebezpieczni, czy nie, czy postąpili słusznie, czy nie. Kto potrafi się powstrzymać od takich sądów? Chodzi mi o to, że nie mogę ich potępiać. Niektórych owszem; tych, którzy kochają cierpienia innych, albo takich, którzy w ogó-

le o innych nie myślą, bezwartościowe dusze, żyjące tylko po to, by szukać własnej satysfakcji. Ale takich ludzi spotyka się rzadko. Czy ty w ogóle wiesz, o czym mówię?

— Wiem, że pani się boi — stwierdził Duńczyk. — Pani mówi, kiedy się boi.

— Tu jesteśmy raczej bezpieczni — uspokoiła go Margaret. — Ja tylko... Myślę o tym, co zrobiłaś swojej żonie, Duńczyku. Sądzisz, że nigdy nie chciałam zrobić czegoś podobnego? Wrogowi? Komuś, o kim wiem, że pewnego dnia spowoduje śmierć człowieka, którego kocham najbardziej, którego kochałam przez całe życie, od dziecka? Znam to rozpaczliwe uczucie: trzeba go powstrzymać... i nagle widzisz szansę. Jest bezbronny. Musisz tylko pozwolić, by zadziałała natura, a on umrze.

— Ale pani woła męża — przypomniał Duńczyk. — Pani macha rękami w powietrzu. On jakoś to widzi.

— Czyli wybrałam właściwie.

— Jak ja.

— Ale może wybrałam za późno.

Duńczyk wzruszył ramionami.

— Może. Nie wszystko jest jeszcze rozwiązane.

— Wszyscy ci ludzie, pragnący zemsty... Co oni wybiorą? Kiedy będzie za późno i dla nich? Czy może akurat na czas?

Nowy odgłos: tupot licznych stóp. Margaret podbiegła do okna. To gwardia królewska maszerowała przez Miasteczko Czarnych.

— Straszni głupcy — uznał Gullah Joe. — Co my tu zrobić, w miasto Czarnych? Kogo ranić? Oni bać się nas, oni mieć Czarni w domach, Czarni ich nienawidzić, czekać przy schody. Biały człowiek zasnąć, oni po schody wejść, kucharka mieć nóż, ogrodnik mieć sierp, lokaj rozbić butelka wina, mieć szkło, ostre brzegi. Kiedy ich krew malować ściany, kiedy ich ciała puste, kogo czarna mężczyzna nosić cylinder? Kogo czarna kobieta nosić krwawa suknia?

Obrazy były zbyt straszne, nie do zniesienia dla Margaret. Wcześniej widziała je sama, w jaskrawych płomieniach serc rozgniewanych niewolników. To, co Gullah Joe sobie wyobrażał, ona zobaczyła na dziesięciu tysiącach ścieżek wiodących w przyszłość. Dopóki Calvin nie porozrywał sznurków imion, ta przyszłość nie ukazywała się nigdzie. Calvin posiadał moc odmieniania wszystkiego, nagle, bez ostrzeżenia. Margaret nie by-

ła przyzwyczajona do niespodzianek. Nie wiedziała, jak sobie radzić w sytuacji, której nie zobaczyła wcześniej i nie miała czasu przemyśleć.

Odeszła od okna w kącie pokoju. Zaczęła się modlić.

Nie potrafiła jednak skupić uwagi na słowach modlitwy. Wciąż wracała myślami do Calvina. Jakby nie miała dość zmartwień... Jakież to podobne do Cala. Uwolnił siły, które mogły kosztować życie tysięcy, a sam miał zamiar leżeć przez cały ten czas i umierać.

Co do Gullaha Joe i Duńczyka, nie miała serca im mówić, jaka jest najbardziej prawdopodobna przyszłość. Czy wybuchnie bunt niewolników, czy nie, król i jego ludzie z pewnością zaczną szukać osoby, która kierowała rebelią. Bo przecież musiał działać jakiś spisek. To nie mógł być przypadek, że rankiem wszyscy niewolnicy w Camelocie zachowywali się pokornie, a wieczorem wyli i krzyczeli w każdym domu. Na pewno ktoś to zaplanował. Na pewno ktoś dał sygnał. Bez trudu znajdą niewolników, którzy na torturach wymienia zbieracza imion. I innych, którzy wskażą go palcem. Mózg i dusza spisku, tak będzie określany. Nazwą to wojną Duńczyka Veseya, jakby to była wojna, takie mordowanie we śnie całych rodzin, a potem wieszanie za karę co trzeciego nie-

wolnika. Sam Duńczyk Vesey będzie łamany kołem i ćwiartowany, a kawałki jego ciała zatknięte na żerdziach w Miasteczku Czarnych, żeby wszyscy pamiętali, jaki los go spotkał.

Nie potrafiła mu o tym powiedzieć. Zresztą w ostatecznym rozrachunku nie miało to znaczenia, gdyż jedno było pewne w płomieniu serca Duńczyka: kiedy to się wydarzy, będzie wierzył, że zasłużył na taką karę, bo skrzywdził swoją kobietę.

Calvin. . . Znowu pojawił się w jej myślach. Coś z Calvinem. . . Ale co? Nie potrafi się uleczyć, więc do czego mógłby się przydać?

Do czegoś, co potrafi zrobić.

Margaret przerwała modlitwę i podbiegła do Gullaha Joe.

— Robieś to już, Gullahu Joe. Słyszałam takie historie, widziałam w płomieniach serc niewolników. Legendy o zombi, chodzących trupach.

— Ja nie robić to — odparł.

— Wiem, nie chcesz robić, bo to jest złe, ale on tam leży, martwy, choć żywy. Musisz mieć coś odpowiedniego, coś między swoimi narzędziami, swoimi proškami, co może go zbudzić. Tylko na chwilę.

— Zbudzić go, on potem umrzeć szybciej.

— Jest mi potrzebny. Żeby ratować ludzi, którym to zrobił.

— On nie leczyć własne ciało — mruknął pogardliwie Gullah Joe.

— Bo nie wie jak. Coś jednak potrafi.

Gullah Joe wstał i podszedł do swoich słoiczków. Po chwili miał już miksturę — niebezpieczną, sądząc po tym, że nie pozwalał żadnemu z proszków dotknąć skóry, a kiedy je mieszał, odwracał głowę, by nie wciągnąć pyłu przy oddychaniu. Gotową miksturę wsypał przez otwór w małym miechu i zakorkował go dokładnie. Rozdał wszystkim mokre ścierki, żeby oddychali przez nie, na wypadek gdyby odrobina proszku wzbiła się w powietrze.

Potem wylot miecha wsunął Calvinowi do nozdrza, a drugie zatkał szczelnie woskiem.

— Ty — zwrócił się do Duńczyka. — Trzymać mu usta zamknięte.

— Nie — odmówił Duńczyk. — Ja nie. Za bardzo podobne do topienia.

— Ja go przytrzymam — zaproponowała Margaret.

— Co powiedzieć twój mąż, jak się nie udać?

— To i tak będzie moja wina. Ja ci kazałam.

— Ja mogę, psze pani — wtrąciła Ryba. — Ja to zrobię. Margaret odstała. Ryba umieściła jedną rękę pod brodą Calvina, drugą na czubku głowy.

— Powiedzieć już, ja, ty zamknąć jego usta mocno — poinstruował Gullah Joe.

Ryba skinęła głową.

— Już.

Zacisnęła Calvinowi usta. Calvin opierał się słabo, walcząc o oddech. Nie mógł nabrać powietrza. Gullah Joe pchnął uchwyty miecha w chwili, gdy Calvin rozpaczliwie nabrał tchu. Uniósł się obłoczek pyłu, ale Gullah Joe był na to przygotowany. Chwycił wiadro wody i chlusnął na Calvina, wyłapując i spłukując drobinki proszku.

Calvin szarpnął się i zadygotał gwałtownie. Potem usiadł, wyrwał się z uścisku Ryby, wydmuchał sobie z nosa wosk i wylot miecha. Zakrztusił się i zakaszłał, próbując oczyścić płuca.

Nie wyglądał zdrowiej. Gorzej nawet, kawałki skóry łuszczyły się i zsuwały niczym zgniły owoc ciśnięty na szybę. Ale był przytomny.

— Posłuchaj mnie, Calvinie — odezwała się Margaret. Calvin krztusił się tylko i dyszał.

— Wkrótce wybuchnie rebelia niewolników. Trzeba ją powstrzymać. Alvin jest za daleko, musisz mi pomóc!

Calvin zaszlochał.

— Obudź się! — krzyknęła na niego Margaret. — Przynajmniej raz zachowaj się jak mężczyzna! Tu nie chodzi o ciebie, nie chodzi o Alvina, chodzi o ludzi, którzy cię potrzebują.

Któreś jej słowa przebiły się wreszcie do zasnutego mgłą umysłu Calvina.

— Tak — rzekł. — Powiedz, co mam robić.

— Coś, co oderwie ich myśli od zemsty. Potrzebujemy gwałtownej burzy. Wiatru i deszczu. Błyskawic!

— Nie umiem robić błyskawic.

— Skąd wiesz, że nie umiesz?

— Bo długo próbowałem. — Spojrzał na swoje ręce. Zauważył odsłoniętą, nagą kość palca. — Margaret, co się ze mną dzieje?

— Za długo przebywałeś poza własnym ciałem — wyjaśniła. — Alvin pędzi już tutaj, żeby cię ratować.

— On nie zechce mi pomóc! Chce mojej śmierci!

— Przestań myśleć tylko o sobie, Calvinie! — powiedziała surowo. — Potrzebujemy czegoś, co będzie wyglądało jak naturalny żywioł.

— Potrafię robić ogień. Mogę podpalić całe miasto.

Kiedy to mówił, kilka małych płomyków zatańczyło wokół niego po podłodze.

— Nie! — krzyknęła Margaret. — Wielkie nieba, czyś ty oszalał? Oskarżą niewolników o podłożenie ognia, to tylko pogorszy sytuację. Żaden ogień.

— Nie wiem, jak cokolwiek działa — wyznał Calvin. — Nie tak dobrze, żeby to zmienić. Alvin próbował mnie uczyć, ale ja chciałem się tylko popisywać. — Zaszlochał znowu. Margaret musiała chwycić go za ręce, by nie zdrapywał sobie skóry z twarzy.

— Opanuj się — powiedziała. Bezradnie spojrzała na Gullaha Joe. — Czy jest coś...

Gullah Joe zaśmiał się obłąkańczo.

— Ja mówić! Na nic taki sposób! Zombi na nic! On myśleć tylko, ja strasznie martwy. On smutny, bardzo smutny, on.

— A co z wodą? — spytała Calvina. — Wiem, że ty i Alvin urządzaliście zabawy z wodą. Opowiadał mi. Wzbudzaliście fale, nie rzucając kamienia. . . to była taka wasza zabawa. Pamiętasz?

— Wielki plusk — szepnął.

— Tak, zgadza się. Zrób taki plusk tutaj. W rzece, takie naprawdę wielkie fale. Rozkołysz wodę aż na brzeg. Niech wyleje.

— Robiliśmy tylko małe pluski.

— No to teraz zrób wielki! — zawołała Margaret, tracąc resztki cierpliwości.

— Spróbuję. Spróbuję. Spróbuję. — Znów się rozpląkał.

— Przestań! Działaj!

Poczuła, że ktoś przyklęknął obok niej. Ryba? Nie, żona Duńczyka. Trzymała wilgotną ściereczkę; delikatnie przycisnęła ją do czoła Calvina. Potem do policzka. Wymamrotała coś niezrozumiałego, ale sam rytm słów uspokajał i łagodził. Calvin zamknął oczy i spróbował wznieść fale na rzece.

Margaret także przymknęła oczy i spojrzała w płomień serc ludzi w pobliżu brzegu. Przeskakiwała od jednego do drugiego, tam i z powrotem, na północnym i południowym krańcu półwyspu. Nikt nie patrzył na wodę. Wszyscy spoglądali w stronę lądu, przerażeni wyciem niewolników.

Aż wreszcie ktoś zauważył, jak kołyszą się łodzie: maszty wychylały się w tę i w tamtą stronę. Woda nadpływała fala za falą, jakby od spadających wielkich głazów, czy też może czegoś pulsującego w głębinie. Każda fala była wyższa od poprzedniej. Zaczęły się wdzierać do portu.

Ludzie stojący najbliżej brzegu uciekali dalej na ląd. Fale zalewały ulice, całe rzeki spływały po bruku. W głębi lądu woda wzbierała, kryjąc półwysep. Statki uderzały o nabrzeża, niektóre rozpadały się na kawałki. Ludzie z krzykiem biegali po ulicach, walili pięściami w drzwi, błagali, by wpuścić ich do środka.

Niewolnicy także stukali do drzwi. Jeszcze przed chwilą myśleli tylko o zabijaniu i zemście, teraz w ich parterowych kwaterach zapanowało inne pragnienie: dostać się na piętro, nim zatopi ich powódź. Kolejne fale przelewały się przez ich szopy i pokoiki. Wycie i pieśni ucichły, zastąpione kakofonią panicznych krzyków.

Wielu Białych, widząc tę powódź, otwierało drzwi i wpuszczało niewolników — wystraszonych teraz i pokornych — na bezpieczne poziomy. Inni jednak trzymali drzwi zamknięte, a niejeden strzelał przez okno, ostrzegając niewolników, by się nie zbliżali.

Nikt już nie myślał o mordowaniu rodzin Białych, dla których pracował. Już teraz Czarni powtarzali sobie historie, które sensownie wszystko tłumaczyły: „Bóg, on nam mówi: Nie będziesz zabijał, bo inaczej ześlę ci potop jak Noemu. O Panie, nie chcę umierać!”. Groza zajęła miejsce wściekłości, zdusiła ją, zatopiła — przynajmniej na pewien czas.

— Dość — powiedziała Margaret. — Dokonałeś tego, Calvinie. Wystarczy.

Calvin aż zaszlochał z ulgi.

— To było takie trudne!

Położył się, przewrócił na bok, zwinął w kłębek i zapłakał. Kiedy ciągnął nogi po podłodze, prawa stopa oderwała się od ciała. Na ten widok Margaret coś ścisnęło w gardle. Ale kobieta Duńczyka schyliła się, chwyciła stopę i umieściła ją na końcu uszkodzonej nogi.

— On już prawie trup — stwierdził Gullah Joe.

— Nie! — jęknęła Margaret. — Calvinie, nie teraz, nie wtedy, kiedy wreszcie nauczyłeś coś dobrego!

— To najlepszy czas, żeby umrzeć — oświadczyła Ryba. — On pójdzie do nieba. Margaret znowu obejrzała się na Gullaha Joe.

— Nie patrzec na mnie, ty! — powiedział. — Ja robic, co ty kazać, ty widziec, co potem.

— A gdyby znowu wysłał swój przenikacz? Jak poprzednio? Nawet gdyby umarł, potrafisz go utrzymać? Nie pozwolić, żeby się rozpułnął?

— Co myśleć ty? Kto być ja? Ja czarownik! Ty chcieć Bóg dla on.

— Raz już miałeś go w niewoli. Spróbuj znowu. Już! Nalegając, widziała, jak zmieniają się ścieżki przyszłości.

Kiedy wreszcie znalazła taką, na której Calvin wciąż jeszcze żył z nadejściem świtu, zaczęła krzyczeć.

— To jest to! Zrób tak!

— Jak zrobić?

— Co myślałeś! Akurat w chwili, kiedy krzyknęłam! Gullah Joe rozłożył bezradnie ręce, ale natychmiast wziął się do pracy. Ryba i Duńczyk pomagali mu układać amulety w nowy krąg, pośrodku którego postawił otwartą skrzynkę.

— Kazać mu wejść do skrzynia. Włożyć całe ja do skrzynia.

— Zrozumiałeś, Calvinie?

Calvin jęknął z bólu.

— Wyślij swój przenikacz! Niech on go złapie i uratuje! To twoja jedyna szansa, Calvinie! Poślij przenikacz do Gullaha Joe, do tej skrzynki, którą trzyma. Zrób to, Calvinie!

Calvin, oddychając szybko i z wysiłkiem, spróbował wypełnić polecenie. Czarownik wciąż rzucał do kręgu szczypty drobnego proszku. Za dziesiątym razem krzyknął:

— Widzieć to? Część on wejść! Patrzyć na to!

Znowu sypnął proszkiem i Margaret także zauważyła iskierkę.

— Wszystko co jasne, on! Do środek, wejść do środek!

— Zrób to, Calvinie. Całą swoją uwagę skieruj do tej skrzynki. Wszystko, czym jesteś, do skrzynki.

Przestał jęczeć. Przetoczył się na plecy, patrząc nieruchomo w sufit.

— Już nic więcej nie zrobi! — zawołała Margaret. — Jest wyczerpany!

— On jest martwy — powiedziała Ryba.

Gullah Joe zatrzasnął wieko skrzynki, odwrócił ją dnem do góry i usiadł na niej.

— Ty ją wysiadujesz? — spytała Ryba.

— W środku krąg, w środku moje włosy. Ten raz on nie uciec.

— Dobrze, Alvinie — szepnęła Margaret. — Przybywaj jak najszybciej.

Jakby się wspierała na sofie, położyła rękę na ramieniu żony Duńczyka, która kłę-
czała za nią. Westchnęła.

— Jestem taka zmęczona.

— Teraz się prześpijmy.

— Nie ja — zapewnił Gullah Joe.

Margaret przymknęła oczy i znowu spojrzała na miasto. Woda uspokoiła się i pani-
ka minęła, ale rebelia na tę noc przynajmniej się skończyła. Zabijanie zniknęło z serc
Czarnych.

Teraz jednak myśli o zabijaniu pojawiły się w innych sercach. Biali ruszali do pałacu, by żądać ustalenia, kto pokierował spiskiem, tym jednoczesnym buntem wszystkich niewolników. Tylko cudowna interwencja fał ich ocaliła. Zróbcie coś! — krzyczeli. Schwytajcie przywódców rebelii!

A król Arthur słuchał. Wezwał swoich doradców. Wkrótce na ulicach pojawili się żołnierze wyłapujący Czarnych na przesłuchania.

Jak długo to potrwa? — zastanawiała się Margaret. Kiedy pojawi się imię Duńczyka Veseya?

Na pewno przed świtem.

Wstała.

— Nie czas na odpoczynek — oznajmiła. — Alvin przybędzie tutaj. Powiecie mu, cośmy zrobili. Nie ruszajcie ciała Calvina, tylko chrońcie je przed rozkładem.

Gullah Joe przewrócił oczami.

— Gdzie iść, ty?

— Pora na moją audiencję u króla.

* * *

Lady Ashworth przez cały czas trwania rebelii wymiotowała w swoim pokoju. Przez czas potopu również. Jej mąż dowiedział się bowiem o związku z tym chłopcem — niewolnicy, kiedyś tacy potulni, teraz wyraźnie się cieszyli możliwością zasiania niezgody między nią i lordem Ashworthem. Na próżno przekonywała, że to tylko raz, na próżno błagała o wybaczenie. Przez godzinę siedziała w salonie, drżąca i zapłakana, a jej mąż ścisnął w jednym ręku pistolet, w drugim szpadę; od czasu do czasu odkładał jedno lub drugie, by pociągnąć z butelki burbona.

Dopiero wycie niewolników przerwało tę pijacką, morderczą, samobójczą tyradę. Jego dom był jedynym, gdzie Czarni nie chcieli stawiać czoła oszalałemu Białemu z pistoletem. On za to chętnie by ich powystrzelał, jeśli nie zamkną się natychmiast, nie przestaną tak jęczeć i wyć. Gdy tylko opuścił lady Ashworth, pobiegła do swojego pokoju i zamknęła drzwi na klucz. Zwymiotowała tak nagle, że nie zdążyła nawet od nich odejść — wymiociny zaplamiły same drzwi i podłogę. Kiedy nadszedł potop, nie miała już czym wymiotować, ale skurcze wciąż ścisnęły jej żołądek.

Skoro Czarni byli przerażeni, a lady Ashworth niedysponowana, jedyną osobą, która mogła zareagować na uparte dzwonki Margaret, okazał się sam lord Ashworth. Stał w drzwiach pijany, ubrany niedbale, wciąż trzymając w dłoni pistolet wiszący na palcu za spust. Margaret natychmiast odebrała mu broń.

— Co pani robi? — zapytał. — To mój pistolet. Kim pani jest?

Margaret kilka razy zajrzała szybko w płomień jego serca. Zrozumiała sytuację.

— Biedny głupcze — powiedziała. — Pańska żona nie dała się uwieść. Została zgwałcona.

— Więc dlaczego tego nie powiedziała?

— Bo sama myśli, że to było uwiedzenie.

— A co pani w ogóle może o tym wiedzieć?

— Proszę mnie natychmiast zaprowadzić do żony!

— Wynocha z mojego domu!

— Doskonale — rzekła Margaret. — Nie pozostawia mi pan wyboru. Będę zmuszona poinformować prasę, że zaufany urzędnik króla od dwóch lat utrzymuje związki z żoną pewnego plantatora w Savannah. Nie wspominając już o licznych przypadkach,

kiedy korzystał z gościnności właścicieli niewolników, którzy pilnowali, by nie musiał spać samotnie. O ile pamiętam, kontakty płciowe między Białymi i Czarnymi nadal są w tym mieście uznawane za przestępstwo.

Cofał się krok za krokiem, powoli unosząc rękę, by wymierzyć do niej z pistoletu. Po chwili jednak przypomniał sobie, że odebrała mu broń.

— Kto panią przysłał?

— Sama siebie przysłałam. Mam pilną sprawę do króla. Pańska żona nie jest w odpowiednim stanie, by mnie tam zaprowadzić. Zatem pan musi wystarczyć.

— Sprawę do króla? Chce pani, żeby zwolnił mnie ze stanowiska?

— Znam przywódców buntu niewolników!

Lord Ashworth zdziwił się wyraźnie.

— Bunt niewolników? Kiedy?

— Dziś wieczorem, kiedy groził pan śmiercią swojej żonie. To płytka kobieta, lordzie Ashworth, i ma w sobie nieco okrucieństwa, ale w małżeństwie jest na pewno wierniejsza od pana. Proszę o tym pamiętać, zanim jeszcze raz zechce ją pan wystraszyć. Zaprowadzi mnie pan do króla czy nie?

— Proszę powiedzieć, co pani wie, a ja mu powtórzę.

— Audiencja u króla! — zażądała Margaret. — Natychmiast! Lord Ashworth zdołał sobie wreszcie uświadomić, że nie ma wyboru.

— Muszę się przebrać — oświadczył. — Jestem pijany.

— Tak, jak najbardziej. Niech się pan przebierze.

Lord Ashworth, zataczając się na schodach, ruszył na górę.

Margaret zawołała głośno:

— Łania! Lew! Gdzie jesteście?

Znalazła ich, kiedy otworzyła drzwi na dolny poziom. Na wpół zalani wodą, przestraszeni niewolnicy wyglądali żałośnie.

— Chodźcie — powiedziała. — Lew, twój pan potrzebuje pomocy przy ubieraniu. Jest bardzo pijany, ale zabrałam mu broń. — Pokazała pistolet. Następnie, kiedy się upewniła, że Lew nie kryje w sercu żądzy mordy, oddała mu go. — Byłoby dobrze, gdybyś go zgubił i przez kilka dni nie mógł znaleźć.

Zabrał pistolet ze sobą na górę; dopiero w ostatniej chwili schował do kieszeni.

— Pani pewna, że on nie zabije pana? — spytała Łania.

— Łanio, wiem, że jesteś wolną kobietą, ale czy możesz pójść do lady Ashworth? Jak przyjaciółka. Niczym ci to nie grozi. Trzeba ją pocieszyć. Trzeba, by ktoś jej powiedział, że człowiek, który ją wykorzystał, był nie tylko oszustem. Zmusił ją wbrew jej woli. Jeśli zapamiętała inaczej, to najlepszy dowód, jaki jest potężny.

Łania przyglądała się jej z uwagą.

— To długa wiadomość, proszę pani.

— Ale zapamiętałaś sens. Ubierz ją we własne słowa.

* * *

Król Arthur i jego doradcy dyskutowali ponad godzinę, zanim wreszcie raczył się zjawić lord Ashworth, w dodatku wyraźnie pijany. Było to dość szokujące i wywołałoby skandal każdej innej nocy, ale w tej chwili król był tylko wdzięczny, że w końcu przyszedł. Może uda mu się przełamać impas w sprawie najbliższych działań. Zapalczywy John Calhoun przekonywał, że dla przykładu należy powiesić jednego z każdych trzech niewolników.

— Dwa razy się zastanowią, zanim znów spróbują spiskować!

Z drugiej strony, jak przypominali mu starsi, nie wolno odbierać właścicielom i niszczyć jednej trzeciej najcenniejszego mienia w mieście tylko po to, żeby cokolwiek wykazać.

Lord Ashworth jednak wyraźnie nie był zainteresowany dyskusją.

— Przyprowadziłem kogoś, kogo powinniście wysłuchać — oświadczył.

— Audiencja? W takiej chwili?

— Ta kobieta twierdzi, że dużo wie o spisku.

— My też już dużo wiemy — zauważył król. — W tej chwili żołnierze poszukują kryjóWKi ich przywódców. Jeśli ci spiskowcy mają choć trochę rozsądku, potopią się w rzece, zanim pozwolą nam się schwytać.

— Wasza Wysokość, proszę, byś ją wysłuchał.

Powaga jego tonu, choć pijackiego, była otrzeźwiająca.

— Dobrze więc — ustąpił król. — Tylko dla mojego drogiego przyjaciela.

Margaret została wprowadzona i przedstawiła się. Król niecierpliwie przeszedł od razu do sedna.

— Wiemy wszystko o spisku. Co może pani jeszcze dodać?

— Wiem tyle, że to nie był spisek. To był wypadek.

Opowiedziała całą historię, trzymając się dość blisko prawdy, nie zdradzając jednak, jak potężny wcześniej był Calvin i jaki teraz stał się bezbronny. Młody biały mężczyzna, jej znajomy, zauważył człowieka odbierającego coś od każdego niewolnika schodzącego ze statku. Jak się okazało, były to amulety, które przechowywały prawdziwe imiona niewolników, wraz z ich gniewem i strachem. Dziś wieczorem zdarzył się wypadek, wskutek czego amulety uległy zniszczeniu i niewolników nagle długo wypełniła skrywana wściekłość.

— Ale powódź wystraszyła ich i teraz nie będzie już żadnej rebelii.

— Bzdury — stwierdził Calhoun.

Margaret spojrzała na niego lodowato.

— Tragedią pańskiego życia, sir, jest fakt, że mimo pańskich ambicji nigdy nie będzie pan królem.

Calhoun zaczerwienił się i próbował coś odpowiedzieć, ale król uciszył go gestem ręki. Władca był młodym człowiekiem, może nawet młodszym od Margaret; miał w so-

bie spokojną pewność, która dość jej się podobała. Zwłaszcza że sprawiał wrażenie, jakby naprawdę zainteresował się tym, co mówiła.

— Chcę wiedzieć tylko jedno — rzekł. — Jakie jest imię tego, którego nazywają zbieraczem imion.

— Przecież znasz je już, panie — odpowiedziała. — Kilku świadków powiedziało ci o Duńczyku Veseyu.

— Ale my wiemy o nim dzięki znakomitej pracy śledczej. Skąd zna go pani?

— Wiem, że nie jest winny i nie miał żadnych złych zamiarów.

Jakiś człowiek wręczył władcy kartkę papieru.

— Aha, już mamy — ucieszył się król. — Nazywa się pani Margaret Smith, prawda? Żona oskarżonego o kradzież niewolników. I zjawiała się pani tutaj, w Camelocie, by mieszać się w naszą tradycyjną praktykę niewolnictwa. No cóż, dzisiaj się przekonaliśmy, dokąd prowadzi pobłażliwość. Czy wie pani, ilu niewolników powiedziało nam o planach wymordowania we śnie całych białych rodzin? A teraz odkrywam, że pewna biała kobieta jest bardzo blisko związana ze spiskowcami.

Z mdlącym przerażeniem Margaret zobaczyła siebie, grającą główną rolę w kilku paskudnych przyszłościach w płomieniu serca króla. Nie po to się tutaj zjawiała. Powinna zajrzeć we własną przyszłość, zanim stanęła przed królem z wariacko brzmiącą opowieścią o Czarnych.

— Musi pani przyznać, że brzmi to jak bajka — rzekł łagodnym tonem.

— Wasza Wysokość — próbowała tłumaczyć — wiem, że niektórzy nalegają, by tę rebelię ukarać z całą brutalnością. Możesz sądzić, że konieczne jest, by twoi poddani mogli czuć się bezpiecznie we własnych domach. Jednakże, Wasza Wysokość, przesadne środki, jakie proponuje pan Calhoun, sprowadzą tylko na ciebie tym większe zagrożenie.

— Trudno sobie wyobrazić groźbę bardziej ohydną niż tę, że niewolnicy nas pozarzynają — rzekł Calhoun.

— A jeśli to wojna? Co pan powie na krwawą, straszliwą wojnę, która zabije, zrani i duchowo okaleczy całe pokolenie młodych ludzi?

— Wojna? — zdziwił się król. — Kara za bunt ma prowadzić do wojny?

— Retoryka wokół sprawy, czy zachodnie terytoria Appalachee będą niewolnicze, czy wolne, wymknęła się już spod kontroli. Masowa rzeź niewinnych czarnych mężczyzn i kobiet wzburzy i zjednoczy ludy Stanów Zjednoczonych i Appalachee, usztywni ich pozycję, wzmocni przekonanie, że nie ma wśród nich miejsca na niewolnictwo.

— Dość tego — uciął król. — Udało się pani jedynie przekonać mnie, że jest pani członkiem spisku, w którym uczestniczy przynajmniej jeden z pałacowych służących. Inaczej skąd by pani wiedziała, co proponował John Calhoun? Co do reszty, kiedy będę od jakiejś abolicjonistki potrzebował rady w sprawach państwowych, niezawodnie zwrócę się właśnie do pani.

— Wasza Wysokość — wtrącił Calhoun. — To jasne, że ta kobieta wie o spisku o wiele więcej, niż chce nam zdradzić. Błędem byłoby pozwolić jej tak łatwo odejść.

— Wiem tylko, że nie było żadnego spisku — powiedziała Margaret. — Ale proszę, aresztujcie mnie, jeśli jesteście gotowi na głosy protestu, jakie się podniosą.

— Kiedy powiesimy co trzeciego niewolnika, nikt nie będzie się o panią dopytywał — stwierdził Calhoun. — Aresztujcie ją.

Ostatni rozkaz skierowany był do żołnierzy stojących przy drzwiach. Natychmiast podeszli i chwycili Margaret za ramiona.

— Szybko zacznie zeznawać — mruknął Calhoun. — W sprawach o zdradę zawsze zeznają.

— Nie lubię dowiadywać się o takich rzeczach — rzekł król.

— Ani ja — odezwał się męski głos.

Dopiero po chwili zorientowali się, że to żaden z królewskich doradców. Mówił wysoki mężczyzna, ubrany jak człowiek pracy w święto — ubranie, które miało być nieco bardziej eleganckie, ale wyglądało jedynie na nędzne i trochę niedopasowane. Obok niego stał kilkunastoletni chłopak, mieszaniec.

— Jak się tu dostałeś? — zawołało jednocześnie kilku ludzi.

Obcy nie odpowiedział ani słowem. Podeszedł do tej dziwnej kobiety i delikatnie pocałował ją w usta. Potem spojrział nieruchomo w oczy jednemu z trzymających ją żołnierzy. Ten zadrżał gwałtownie, puścił kobietę i cofnął się. Drugi także.

— Margaret, wygląda na to, że nawet na parę minut nie można zostawić cię samej.

— Kim jesteś? — zapytał król. — Jej doradcą w sprawach polityki zagranicznej?

— Jestem jej mężem. Alvin Smith.

— Bardzo uprzejmie z twojej strony, że pojawiłeś się akurat w chwili, kiedy aresztowaliśmy twoją żonę. Nie wątpię, że ty również należysz do spisku. A co do tego czarnego chłopaka... Nie wypada przyprowadzać niewolnika przed króla, zwłaszcza niewolnika zbyt młodego, by mógł być dobrze wytresowany.

— Przyszłam, by powstrzymać cię, panie, od popełnienia błędu, który w rezultacie pozbawi cię tronu — oświadczyła Margaret. — Jeśli nie chcesz słuchać ostrzeżeń, to przynajmniej nie mam sobie już nic do zarzucenia.

— Wyprowadźcie ją stąd — polecił Calhoun. — Przed nami jeszcze wiele godzin pracy, a jest oczywiste, że trzeba ją przesłuchać jako członka spisku. Jej męża również, i tego dzieciaka.

Margaret i Alvin parsknęli śmiechem. Arthur był zbyt zajęty oglądaniem wspaniałości komnaty rady, by zwracać uwagę, co się obok niego dzieje. Nie zauważył właściwie króla aż do tej chwili, kiedy Alvin wskazał mu go palcem.

— Popatrz, Arthurze Stuart. To jest człowiek, po którym otrzymałeś imię. Król Anglii na wygnaniu w koloniach Korony. Przyjrzyj się majestatowi koronowanej głowy.

— Bardzo mi miło pana poznać, sir — przywitał się grzecznie Arthur.

Wściekłość Calhouna osiągnęła nowy poziom.

— Jak śmiesz drwić w taki sposób z króla? Że nie wspomnę już o nazwaniu mieszańca imieniem Jego Wysokości!

— Ponieważ i tak powiesiliście mnie już w myślach — odparł Alvin — co komu przeszkadza, że rozszerzę zakres przestępstw?

— Niczego nie musisz rozszerzać, Alvinie — powiedziała Margaret. — Został uprzedzony, że jeśli wyrze karę za ten bunt, który nawet nie wybuchł, jeśli będzie zabijał niewolników, nie zważając na ich winę czy niewinność, doprowadzi do wojny.

— Nie boję się wojny — oznajmił władca. — Właśnie na wojnie królowie mogą się wykazać.

— Myślisz o szachach, panie — wyjaśniła Margaret. — Na wojnie każdy ma szansę przelać krew. — Zwróciła się do Alvina. Przekazałam swoją wiadomość. Teraz rozwiązanie nie leży już w moich rękach. A ty jesteś potrzebny bratu.

Alvin skinął głową. Skłonił się otaczającym go ludziom.

— Panowie, możecie wracać do swojej debaty. Dziś po południu przybiegłem tutaj z Nowej Anglii i nie mogę wam poświęcić więcej czasu. Dobrej nocy.

Wziął Arthura za rękę, a drugą podał Margaret.

— Odsuńcie się, proszę — powiedział.

Ludzie stojący mu na drodze nie drgnęli nawet.

A potem nagle się poruszyli. A raczej ich stopy wysunęły się spod nich. Alvin zrobił kolejny krok w stronę drzwi.

Król dobył szpady. Inni także chwycili za broń, choć musieli zdejmować ją ze ściany, gdzie wisiała w czasie narady. Dwóch gwardzistów przed drzwiami wyjęło pistolety.

— Doprawdy, Wasza Wysokość — powiedział Alvin — istotą uprzejmości jest pozwolić swoim gościom wyjść.

Zanim skończył mówić, zmienił już żelazo w klingach i pistoletach. Ku swemu przerażeniu napastnicy zobaczyli, jak broń rozpuszcza się im w rękach i ścieka w kałuże zimnego, płynnego metalu na podłodze. Rzucili ją i odskoczyli.

— Kim pan jest, mój panie?! — zawołał król.

— Czy to nie oczywiste? — odpowiedział Calhoun. — To diabeł, diabelska żona i ich bękarci syn!

— Chwileczkę! — zaprotestował Arthur Stuart. — Może i jestem bękartem, ale nie ich.

— Przykro nam, że tak szybko musimy wyjść — powiedział Alvin. — Miłej przyszłości, Wasza Wysokość.

Chwycił gałkę, wyciągnął zamek z masywnych drzwi, a potem pchnął je lekko. Wypadły z rozpuszczających się zawiasów i z hukiem runęły na podłogę korytarza.

Wyszli bez przeszkód.

* * *

Trupi fetor wypełniał już strych, kiedy Margaret wreszcie doprowadziła Alvina i Arthura na miejsce. Alvin natychmiast podszedł do ciała Calvina i uklęknął ze łzami w oczach.

— Calvinie, przybyłem, jak tylko mogłem najszybciej.

— Ty chcesz płakać — powiedział Duńczyk. — Płacz po umarłych.

— Wytłumaczyłam mu już, że płomień serca Calvina jest schowany w skrzynce — poinformowała Margaret.

— Nie mogę naprawić ciała, kiedy nie ma w nim płomienia serca — stwierdził Alvin. — A ciało nie zdoła utrzymać płomienia serca, dopóki nie będzie naprawione.

— Spróbuj jednego i drugiego naraz — poradziła Margaret. — Potrafisz to zrobić, prawda, Gullahu Joe? Po trochu wprowadzać płomień serca z powrotem do ciała?

— Ty rozum stracić? — zapytał czarownik. — Ile cudów chcesz dzisiaj ty?

— Zrobię, co będę mógł — obiecał Alvin.

Pracował nad ciałem Calvina przez trzy godziny. Gdy tylko zaczynał coś naprawiać, część, którą przed chwilą skończył, znowu się rozkładała. Pracując bez przerwy i metodycznie, zdołał jednak przygotować do działania serce i mózg.

— Teraz — rozkazał.

Gullah Joe podniósł się ze skrzynki, przyniósł ją do Calvina i otworzył.

Alvin i Margaret zobaczyli, jak płomień serca przeskakuje do ciała. Serce uderzyło konwulsyjnie. Raz. Drugi. Krew popłynęła przez rozpadające się arterie. Alvin nie zwracał na to uwagi — teraz musiał naprawić płuca, i to szybko, natychmiast. Ale z pło-

mieniem serca szło mu łatwiej, gdyż teraz mógł tylko pokazać wzór, a ciało naśladowało go, przekazując żywymi tkankami informacje. Na wpół zniszczona przepona skurczyła się, potem napompowała płuca. Krew, do tej pory ciekąca słabo, teraz niosła stale rosnącą ilość tlenu.

To był dopiero początek. Dzień wstał już w pełni, zanim Alvin skończył swoje dzieło. Calvin oddychał teraz swobodnie i równo. Rany zagoiły się, nie pozostawiając blizn. Skórę miał czystą niczym nowo narodzony.

— Co widzieć ja w ta noc — powiedział Gullah Joe. — Jaki bóg być ty?

Alvin potrząsnął głową.

— Czy istnieje bóg zmęczenia?

Ktoś zaczął dobijać się do drzwi na dole.

— Nie zwracajcie uwagi — uspokoiła ich Margaret. — Jest ich tylko dwóch. Nie wyłamiaj drzwi, dopóki nie zjawi się więcej żołnierzy, by im pomóc.

— Ile mamy czasu? — spytał Alvin.

— Niewiele. Powinniśmy odejść stąd jak najszybciej.

— Czy diabeł nigdy nie zazna odpoczynku? — zmartwił się Alvin.

— Ty diabeł też? — spytał Gullah Joe.

— To był żart. Margaret, kim są ci ludzie?

— W drodze będzie dość czasu, żeby to wyjaśnić. — Margaret obejrzała się na pozostałych. — Nie możecie tu zostać. To niebezpieczne. Chodźcie z nami. Alvin ochroni was, póki nie dotrzemy na Północ, daleko od tego nędznego kraju. — Popatrzyła na Rybę i żonę Duńczyka. — Warn nie zagraża tak wiele, ale po co macie zostawać? Zabierzemy was ze sobą. Jeśli chcecie, możecie iść do Vigor Kościoła albo do Hatrack River. — Uśmiechnęła się do Gullaha Joe. — Chciałabym zobaczyć, co utalentowani ludzie w Hatrack River o tobie pomyślą.

Duńczyk pociągnął Alvina za rękaw.

— Wiele zrobiłeś dla swojego brata. Wskrzesiłeś go z martwych. Co z moją żoną? Przyprowadził ją bliżej.

Alvin przymknął oczy i badał ją przez chwilę.

— To stara rana i w dodatku związana z mózgiem. Sam nie wiem. Wynieśmy się stąd, a kiedy będziemy już bezpieczni na Północy, zrobię, ile się da.

Wszyscy zgodzili się wyruszyć. Zresztą jaki mieli wybór?

— Czy możecie zabrać wszystkich? — zapytała Ryba. — Wszystkich niewolników z tego miasta? Weźcie nas.

Margaret objęła ją.

— Gdyby to było w naszej mocy, zabralibyśmy wszystkich. Ale taka liczna grupa. . . kto by przyjął tyle tysięcy wolnych Czarnych naraz? Zaprowadzilibyśmy ich na Północ tylko po to, żeby ich zaraz zawrócono. Ale was możemy zaprowadzić.

Ryba kiwnęła głową.

— To nie wystarczy. Choć ja wiem, że pani chce dobrze.

— Nie wystarczy — zgodziła się Margaret. — Ale robimy tyle, ile zdołamy, i modlimy się, by pewnego dnia to wystarczyło.

Alvin uklęknął przy Calvinie, potrząsnął nim delikatnie i obudził. Calvin otworzył oczy i zobaczył nad sobą brata. Zaśmiał się radośnie.

— To ty — powiedział cicho. — Przybyłeś, żeby mnie ocalić.

OJCOWIE I MATKI

Mike Fink i Jean-Jacques Audubon czekali dyskretnie w pewnej odległości, gdy Hezekiah Study prowadził Verily'ego i Purity cmentarną alejką do dziwnej wnęki w murze, gdzie mieściły się groby rodziców Purity. Ukłękła przy nich i zapłakała. Verily klęknął obok niej, a po chwili chwyciła za rękę Hezekiaha i jego także pociągnęła na kolana.

— Jest pan wszystkim, co mi po nich pozostało — rzekła. — Ponieważ nie mam własnych wspomnień, muszę polegać na pańskich. Proszę iść z nami.

— Będę wam towarzyszył przynajmniej do Filadelfii — przyrzekł. — Potem niczego nie mogę obiecać.

— Kiedy Alvin zacznie opowiadać o Kryształowym Mieście — wtrącił Verily — pana również opanuje ta wizja. To pewne.

Hezekiah uśmiechnął się smutnie.

— Czy będzie tam potrzebny purytański kaznodzieja?

— Bez wątplenia — zapewnił Verily. — Ale taki uczony jak pan. . . Myślę, że trzeba będzie siłą odrywać pana od różnych problemów, żeby zmusić do wygłoszenia kazania.

— I tak nie wkładam serca w swoje kazania — odparł Hezekiah. — Zmęczony już jestem głosem wychodzącym z moich własnych ust.

— Więc niech pan nie słucha — zaproponowała Purity. — Dlaczego mamy być pozbawieni pańskich kazań z tego tylko powodu, że pan sam nie ma ochoty ich wysłuchiwać?

Przez dłuższą chwilę stali przy grobach. Dopiero gdy odchodzili, Verily'emu przyszło na myśl, że dość niezwykła jest owa wnęka mieszcząca jedynie dwa groby. Gdzie indziej mur cmentarza tworzył równy prostokąt.

Hezekiah kiwnął głową.

— Widzi pan, kiedy ich chowano, łowca czarownic nalegał, by groby znalazły się poza cmentarzem. Nie można w poświęconej ziemi składać czarowników. Potem łowcy odjechali, a sąsiedzi, którzy znali rodziców Purity i kochali ich, zburzyli w tym miejscu cmentarny mur i wytyczyli na nowo, więc teraz leżą jednak w poświęconej ziemi.

* * *

Stali na południowym brzegu Potomacu i czekali na prom, który miał ich przenieść do Stanów Zjednoczonych, a konkretnie do Nowej Szwecji, gdzie — mimo nazwy — ludzie mówili już prawie wyłącznie po angielsku, jak w Pensylwanii. Długonogi ptak wodny spłynął nad rzekę, elegancki w swej pełnej gracji przemianie ze stworzenia powietrznego w wodne.

— Szkoda, że nie ma tu Audubona — westchnął Alvin. — Powiedziałyby nam, co to za ptak.

Arthur Stuart wziął Margaret za rękę.

— Byłaś tam — powiedział. — Wiesz. Jaki to był ptak, który mnie przyniósł?

Margaret spojrzała na niego zdziwiona.

— O co ci chodzi?

— Pamiętam, jak leciałem — wyjaśnił Arthur. — Godzina za godziną, cały czas na północ. Jaki to był ptak?

— To nie był ptak — powiedziała. — To była twoja matka. Miała trochę tej czarodziejskiej wiedzy, jakiej używa Gullah Joe. Zrobiła sobie skrzydła i poleciała, niosąc cię przez całą drogę.

— Ale ja widziałem tego ptaka — upierał się Arthur.

— Byłeś noworodkiem. Jak możesz cokolwiek pamiętać?

— Skrzydła takie szerokie... Cudownie było lecieć. Wciąż mi się to śni.

— Twoja matka nie była ptakiem, Arthurze Stuart — zapewniła Margaret.

— Owszem, była. Ptakiem w powietrzu, a potem kobietą, kiedy wylądowała na ziemi.

Alvin przypomniał sobie pytanie, które ciągle dręczyło Arthura, kiedy towarzyszył im Audubon — pytanie, którego nie potrafił sformułować w taki sposób, by uzyskać poszukiwaną odpowiedź. Teraz dopiero Alvin mógł mu tej odpowiedzi udzielić.

— Ona czeka na ciebie, Arthurze Stuart — powiedział. — Ze skrzydłami czy bez, twoja matka-ptak wciąż żyje i oczekuje waszego spotkania, kiedy nadejdzie czas.

Chłopiec pokiwał głową.

— Chyba masz rację. Czasami wyczuwam ją na niebie, tak wysoko, że nie mogę jej zobaczyć, ale ona patrzy w dół i mnie widzi. — Spojrzał na Alvina i Margaret. — To nie jest głupie, prawda?

— Tysiąc aniołów musiałoby pilnować w niebie twojej mamy bez chwili przerwy — zapewniła Margaret — żeby powstrzymać ją od czuwania nad tobą.

Arthur Stuart przytaknął.

— Kiedy ją zobaczę — szepnął — poznani swoje prawdziwe imię.

— Wszystkie imiona tego dnia będą prawdziwe — stwierdził Alvin. — Wtedy zobaczymy siebie nawzajem takimi, jacy naprawdę jesteście.

Margaret nie odzywała się. Nie znajdowała pocieszenia w myślach o zmartwychwstaniu w jakiejś dalekiej przyszłości, ponieważ nie widziała tego dnia w żadnym płomieniu serca. Wszystkie jej wizje wcześniej czy później kończyły się śmiercią. To śmierć była dla niej realna.

Realna, ale jednak nie tak znowu najważniejsza. Czuła, jak nabrzmięwa jej brzuch, gdzie rósł maleńki płomień serca dziecka. Jeśli tylko wystarczy jej czasu, by tego dopilnować, by wprowadzić tę dziewczynkę w świat, wychować aż do dojrzałości, nie będzie się skarżyć, kiedy nadejdzie dzień śmierci.

Prom zacumował i na brzeg wysypał się hałaśliwy tłumek przybyszów z Nowej Szwecji. Alvin, Margaret i Arthur wrócili do miejsca, gdzie czekali na nich Ryba, Gul-lah Joe i Duńczyk z żoną. Choć drogę pokonywali szybko, i tak doścignęły ich wieści o masowych egzekucjach w Camelocie. Obawiali się najgorszego — że przejdzie propozycja Johna Calhouna, by powiesić co trzeciego niewolnika. Okazało się, że tylko co dwudziestego.

Tylko co dwudziestego. . .

Na dodatek wysłano list gończy za Duńczykiem Veseyem, nielegalnie wyzwolonym Czarnym, nędznikiem, który zaplanował cały bunt, ustalając szczegóły z niewolnikami schodzącymi z każdego statku, jaki zawijał do portu. Ale na szczęście nic takiego się już nie powtórzy. Miasteczko Czarnych zostało oczyszczone, a prawa dotyczące poru-

szania się niewolników bez ich panów będą zaostrzone. Czasy łagodnego traktowania niewolników w koloniach Korony dobiegły końca.

Jednak historie te zmieniły się, kiedy dotarły za Potomac. Fakty pozostały te same, ale opowiadano je sobie z narastającym gniewem. Nawet Czarni pragną wolności, powtarzali ludzie z Północy. Planowali bunt, lecz przecież ani jednego Białego nie zabili. A teraz kolonie Korony jeszcze mocniej będą uciskać tych nieszczęśników. Dość tego. Gdzieś trzeba wytyczyć granicę. Żadnego niewolnictwa na terytoriach zachodnich. Koniec z uprawnieniami Odszukiwaczy Niewolników w Stanach Zjednoczonych. Trzeba odrzucić ten układ. Jeśli obecny kongres odmówi, wybierzemy inny, który to zrobi. Już nigdy istota ludzka na północnych terytoriach nie będzie własnością innego człowieka. Ludzie nie zdawali sobie jeszcze z tego sprawy, ale to właśnie były pierwsze zwiastuny wojny i już wkrótce ziarno miało wydać plon. Margaret przez długie miesiące usiłowała do tego nie dopuścić, a teraz zrozumiała, że wojna jest jedyną szansą likwidacji niewolnictwa. Choć przerażająca, ta wojna musi wybuchnąć. Tutaj, w Nowej Szwecji, rozmowy o wojnie rozbrzmiewały po właściwej stronie. To mówili jej rodacy.

Duńczyk podsłuchał jedną z takich rozmów w przydrożnym zajeździe, gdzie cała grupa mogła zasiąść razem przy stole: Czarni, Biali i mieszańcy. Oparł się wtedy wygodnie, założył ręce za głowę i westchnął.

— Dobrze jest być w domu — powiedział.

Przez całą drogę Alvin starał się uleczyć rany żony Duńczyka. Margaret zapewniła go, że wszystkie jej wspomnienia wciąż tkwią w płomieniu serca, ukryte przed nią dlatego, że są ukryte przed samą kobietą. Była to powolna, precyzyjna robota, naprawianie kilku nerwów naraz, kilku maleńkich obszarów w mózgu. Ale wszyscy widzieli postęp. Kobieta coraz mniej utykała, coraz sprawniej poruszała rękami, mówiła coraz wyraźniej. I coraz więcej pamiętała.

Aż pewnego ranka z krzykiem zbudziła się z przerażającego snu. Była z nią Ryba, ale Duńczyk przybiegł natychmiast. Kiedy wszedł do pokoju, kobieta spojrzała na niego i powiedziała:

— Ja śniłam, ty chciałeś mnie zabić!

Szlochając, Duńczyk wyznał jej swą straszną winę i błagał o wybaczenie.

— Nie jestem już tym samym człowiekiem — przekonywał.

Takie rany także potrzebują długiego czasu, by się zagoić.

Odległość, którą Alvin pokonał jednej nocy, niesiony zieloną pieśnią, w tej niespiesznej podróży zajęła im ponad tydzień. Wreszcie jednak stanęli na znajomej ulicy w Filadelfii. Arthur rozpoznał pensjonat i pobiegł szybko. Po chwili wypadł na ulicę Mike Fink, a za nim wolniej, choć także z radością, Verily z Purity i Hezekiah. A kiedy Alvin wszedł do domu, powitała go pani Louder cała obsypana mąką, ale to nie powstrzymało jej przed mocnym uściskiem. Natychmiast zaczęła traktować Margaret jak swą ukochaną córkę i tak się trzęsła nad nienarodzonym dzieckiem, aż Alvin żartował, że sama czuje się matką.

Alvin i Margaret dostali najlepszy pokój, z balkonem wychodzącym na ogród. Usiedli tam pierwszego wieczoru, rozkoszując się spokojem pierwszej wspólnej nocy po długim rozstaniu. Tak długim, że Alvin zdumiewał się, jak w ogóle ich dziecko zostało poczęte.

— Nie rozstawajmy się już — odezwała się Margaret.

— Wiesz, nie chcę ci wypominać, ale podróżowałaś nie mniej ode mnie.

— Już nigdy więcej. Teraz się mnie nie pozbędziesz.

Alvin westchnął.

— Nie chcę się ciebie pozbywać, ale chcę też, żeby dziecko było bezpieczne. Zabiorę cię do domu, do Hatrack albo Vigor Kościoła, co wolisz. Ja jednak muszę się wybrać do takiego miejsca w Tenuzy, które nazywa się Kryształowym Miastem.

— Weź mnie ze sobą.

— Ryzykując, że zaczniesz rodzić w drodze? Nie, dziękuję.

Margaret westchnęła.

— Tyle włości, tak długie rozstanie, i co osiągnęliśmy? Wojna wciąż się zbliża. A ty dalej nie wiesz, do czego może służyć ten twój pług, czym właściwie ma być Kryształowe Miasto ani jak je zbudować.

— Parę rzeczy jednak wiem — odparł Alvin. — I może główną przyczyną tych podróży nie były te cele, o których myśleliśmy. Może chodziło o ludzi, którzy śpią teraz w sąsiednich pokojach. o Duńczyka, Gullaha Joe, o Rybę i panią Duńczyka. Myślę, że w końcu doprowadzimy ich do Kryształowego Miasta. Purity i Hezekiah. . . chyba oni też do nas dołączą.

— I Calvin — dodała Margaret. — Zmienił się.

— Ale nie potrafił się zmusić, by jechać razem z nami.

— Chyba mu wstyd tego, do czego doprowadziła w Camelocie jego beztroška. Ale jest spokojniejszy. Jego płomień serca zawiera wiele ścieżek, które dokądś prowadzą. I...

— I...?

Uniosła jego dłoń do ust i pocałowała.

— I może mam też inne powody, by z większą nadzieją patrzeć w przyszłość.

— Wydaje się, że teraz, kiedy zawdzięcza mi życie, choćby w części, powinien zacząć myśleć inaczej.

— Nie licz zbyttnio na wdzięczność. To najbardziej ulotna ze wszystkich cnót człowieka. Zmiana w nim musiała sięgnąć głębiej. Zaszła chyba wtedy, kiedy wzniósł falę, by nie dopuścić do buntu niewolników. Ocalił tym tysiące ludzkich istnień.

Alvin zachichotał.

— Z czego się śmiejesz? — zapytała Margaret

— Wiesz, biegłem wtedy do was, ale patrzyłem, co się dzieje. Zobaczyłem, że próbuje rozkołysać wodę, jak w zabawie z czasów dzieciństwa. Ale był taki słaby, że nie mógł sobie dać rady. Nie umiał się skupić.

— Więc ty to zrobiłeś — odgadła Margaret.

— Nawet mnie nie było łatwo — zapewnił Alvin. — A byłem przecież zdrowy i doświadczony.

— W każdym razie nie mów mu, że to ty sprowadziłeś powódź.

Alvin znów się roześmiał.

— Miałbym mu odebrać wspomnienie jedynebohaterskiego czynu? Na pewno tego nie zrobię.

Przez długą chwilę milczeli. Wreszcie Margaret westchnęła i pogłaskała się po brzuchu.

— Myślę, jak bardzo moja matka chciałaby być tutaj przy mnie. Tak bardzo kochała dzieci. Straciła dwoje, zanim ja się urodziłam i zdołałam przeżyć niemowlęctwo.

— Ale twoja matka tu jest — zapewnił Alvin. Położył jej rękę na piersi. — To ona włożyła tu każde uderzenie serca, przez długie miesiące słyszała ten puls w swoim

łonie. Jest teraz w płomieniu twojego serca, a ty w jej. Coś takiego nie znika z powodu takiego drobiazgu jak śmierć.

Uśmiechnęła się do niego.

— Sądzę, że masz rację, Al. Jak zwykle.

Pocałował ją.

Siedzieli na balkonie jeszcze chwilę, dopóki moskity nie zagoniły ich do pokoju. Zasnęli i nawet w śnie tulili się do siebie, jakby w lęku, że to drugie może gdzieś zniknąć. Jednak cudownym zrządzeniem losu rankiem wciąż byli razem, oboje, bliscy, oddychający zgodnie, serca bijące jednym rytmem, płomienie serc jaskrawe, splecione ze sobą żywoty.